NEWMAN
ROZANOW

JAKUBOWSKI
McCARTHY

KUDYBA
POLKOWSKI

FRONDA LUX

PISMO POŚWIĘCONE \ NUMER 74 \ ROK 2015
CENA 29 ZŁ [W TYM 5% VAT]

PRZYCHODZIMY ZBURZYĆ TWÓJ DOM I ZRUJNOWAĆ CI ŻYCIE

PIOTR NOWAK
HODOWANIE TROGLODYTÓW

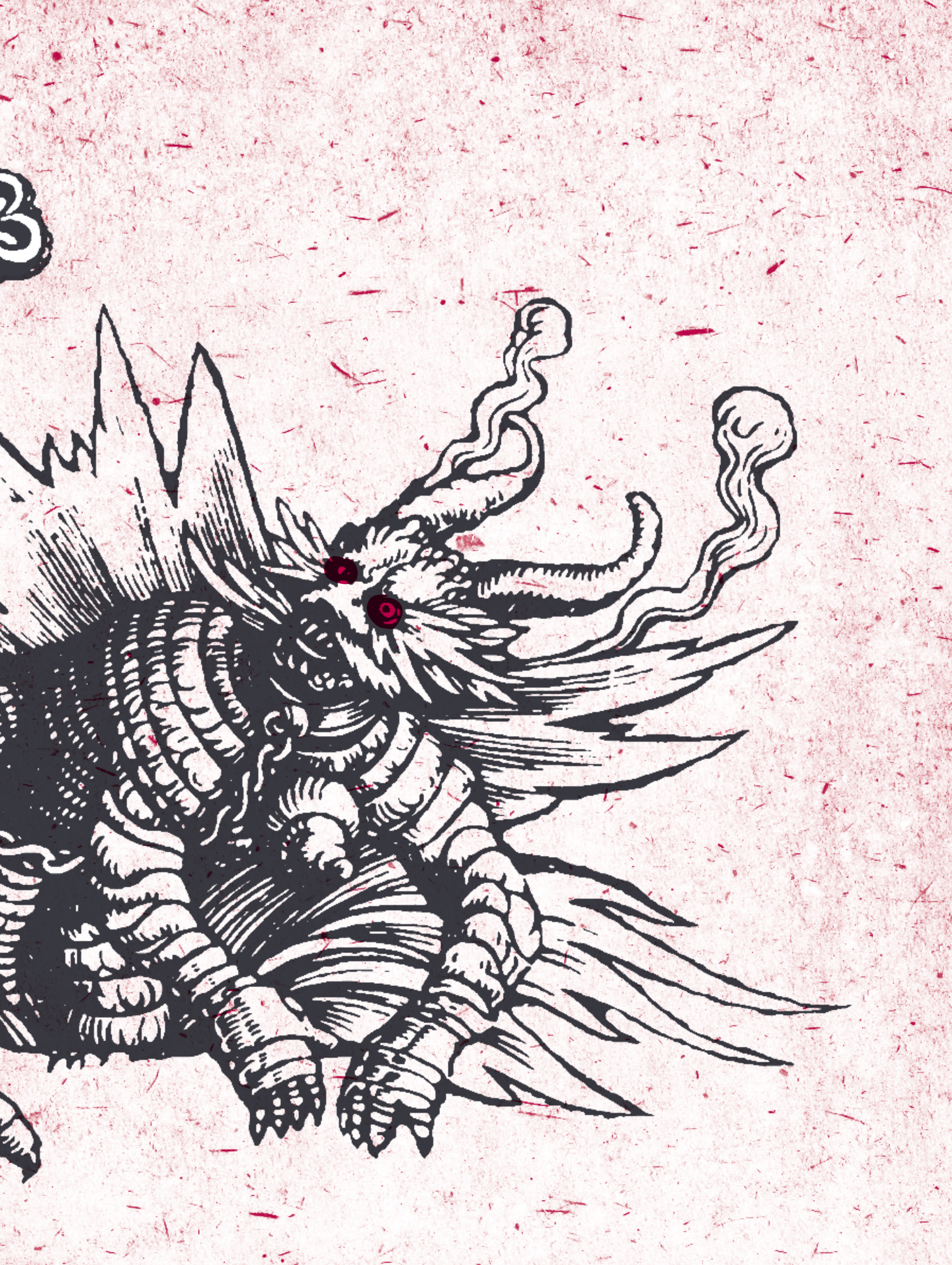
BUDYŃ
CONSERVATIVE PUNK MOVEMENT

ROSJANIE
O POLAKACH I UKRAIŃCACH

FRONDALUX

74





FRONDA LUX

074

spis treści



do lektury przystąp

FRONDA LUX kwartalnik, nr 74, 2015 rok

Organizator zawodów: Mateusz Matyszkowicz (gdzieś do 17.00 udający makaka)

Makakizacja zawodów: Uczestnik I wielkiego otwarcia, śmiejący się Budda: Piotr Pałka; Uczestnik II wielkiego otwarcia, prowodyr bójek, cień dawnego makaka: Dawid Wildstein; Sekretarz Zawodów: Leszek Zaborowski; Mediator między zawodnikami a makakami: Jerzy Kopański; Człowiek, który wie, jakie to zawody: Mateusz K. Dziób; Makak konwertyta: Jakub Dybek; Wyciągacz z wody: Salomon Lagenfeld; Skład na zawody: Izabela Nottowska; Promocja zawodów: Anna Kierzkowska marketing@fronda.pl

Zawodnicy: Tomasz Bardamu, Monika G. Bartoszewicz, Marcin Darmas, Marcin Herman, Maciej Kalbarczyk, Krzysztof Karnkowski, Tomasz Kempski, Jakub Lubelski, Jakub Moroz, Wojciech Mucha, Zofia Orłowska, Samuel Rodrigo Pereira, Tomasz Rowiński, Adrian Sinkowski, Anna Stępniak, Tewu z Empewu, Tewu z Krakowa

Korektor wyników: Katarzyna Szol

Okładka: jak zwykle piękna

Adres redakcji: ul. Łopuszańska 32, 02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35, faks (22) 877 37 34
www.pismofronda.pl www.wydawnictwofronda.pl
facebook.com/pismofronda
facebook.com/frondawydawnictwo
fronda@fronda.pl

Wydawca: Fronda PL Sp. z o.o. Zarząd: Michał Jeżewski

Druk: Drukarnia im. A. Półtawskiego
ul. Krakowska 62, 25-701 Kielce

ISSN 2391-5013; Indeks 380202

Prenumerata:
Prenumeratorzy otrzymują kwartalnik po preferencyjnej cenie 25 zł za egz. Wydawnictwo pokrywa koszty wysyłki. Cena rocznej prenumeraty wynosi 100 zł. Kwotę tę prosimy przelać na konto Wydawnictwa 76 1160 2202 0000 0000 3542 8686, podając informację, od którego numeru mamy rozpocząć wysyłkę. Kontakt w sprawie prenumeraty, a także zakupu numerów archiwalnych: Janina Szajnar: janina@fronda.pl lub: prenumerata@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl/prenumerata

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



facebook.com/Poudawajmy.makaka

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem (22) 693 7000 lub 801 800 803 – czynne w godzinach 7:00–17:00. Koszt połączenia wg taryfy operatora



Kiedy podczas rewolty studenckiej proszono Alexandre'a Kojève'a, by ten przyłączył się do walki, profesor odpowiedział, że lepiej by było, gdyby protestujący w tym czasie pouczyli się greki. To lekcja, którą lewica odrobiła. Dziś znaczna część spuścizny zachodniej jest interpretowana przez lewicę

Lewica już wyrosła z taniego kontestowania kultury, zrozumiała, że o wiele więcej może zdziałać, jeśli będzie ją przemieniać od środka. Dlatego, mimo buntowniczego sztafarzu, ludzie lewicy coraz częściej przedstawiają się jako kustosze dziedzictwa. W tym samym czasie znaczna część konserwatystów odrzuciła pracę intelektualną, zaniedbała kulturę i obrosła tłuszczem. Coraz częściej konserwatysta dopatruje się cnoty w tym, że do teatru nie chodzi, książek nie czyta (poza historycznymi) i gardzi pracą rozumu. Wydaje mu się, że jest przez to bliżej rzeczywistości, że staje po stronie prostych prawd i oczywistych myśli. Nie wie nawet, że odrzuca tym samym znaczną część własnego dziedzictwa. Zwykłe „nie rozumiem, bo głupie" kryje zaś w sobie lenistwo.

Kultura europejska była i jest oparta na hierarchii, na rozumie i na guście. Jeśli ktoś jest zbyt leniwy, by zabrać się do lektury Platona, Arystotelesa i ich dzisiejszych pogrobowców, jeśli nie zagląda do galerii oraz teatru, jeśli wreszcie szczyci się tym, że jest chamem i prostakiem w odróżnieniu od wypudrowanego lewactwa, to musiał gdzieś popełnić poważny błąd – jeden z tych, które są trudne do naprawienia, bo to, co

Mateusz Matyszkowicz

w kulturze najcenniejsze, wymaga długiej pracy, wychowania i zdrowego dystansu do ludowych rozrywek (tymi oczywiście gardzić nie wolno, ale trzeba znaleźć dla nich stosowne miejsce).

Jeżeli więc konserwatyści dopuścili do tego, że porządnie wykształcony człowiek zastanawia się, czy koledzy z prawa potrafią posłużyć się widelcem i nożem, to kara boska powinna ich ugodzić nie raz, ale wiele razy. Kara boska powinna trwać tak długo, aż konserwa zrozumie, że człowiek różni się od zwierzęcia, tym, że podejmuje pracę nad sobą, i że do tej pracy niektórzy są bardziej predysponowani, a inni mniej. Że wreszcie człowiek poddany procesowi wychowania będzie się różnił od tego, który żadnego wysiłku nie podjął – jego sądy będą inne, a skłonności do rozrywek znacznie bardziej wyrafinowane.

Człowiek konserwy, jeśli chce mieć jeszcze prawo do chodzenia po mieście i rozpowiadania, że stoi na straży dziedzictwa europejskiego, musi podjąć pracę nad sobą. Może być lepszy od kolegów z lewicy, jeśli odnajdzie w tym wolność, jeśli jego myśli staną się śmielsze i bardziej samodzielne. Będzie lepszy także, jeśli odrzuci jeden z lewicowych dogmatów, który każe podporządkować nowożytnie rozumianej polityce każdą sferę życia. Jeśli od partyjnej polityki uwolni religię i kulturę. Jeśli powróci do najważniejszych dla siebie kategorii: dobre i złe, piękne i brzydkie, pożyteczne i szkodliwe.

Zacznie on wtedy podejrzewać, że budzi się w nim duch anarchisty, bo szczere przywiązanie do najważniejszych kategorii i praca, którą każdy musi wykonać nad sobą samym i nad nikim innym, doprowadzą go do jednej myśli. Jestem inny.

***

Pierwszej „Frondzie” towarzyszyła myśl, że konserwa zaniedbała popkulturę. To wciąż wymaga pracy. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat konserwa zaniedbała nie tylko pop, lecz także kulturę po prostu. „Fronda LUX” próbuje to zrozumieć. Na tym polega różnica między „Frondą” starą i nową. Różnica jest też we wpisaniu naszej nazwy w anarchistyczny znaczek. LUX chce być inny, chce iść tam, gdzie innym nie chce się wybierać.

Jeśli komuś LUX kojarzy się z ukłonem w stronę naszych czasów, jest w błędzie. LUX to dla nas przede wszystkim światło. Uczyliśmy się łaciny. **Ω**



LEOPOLD STUFF

WIERSZ O TYM, ŻE WARTO MIEĆ SKRAŃCOWANĄ BAJERĘ

OTCHŁAŃ BEZDENNA NA SKALISTEJ GRANI
NAD NIĄ SKRZYDLATY DUCH NIE-RAD SZYBUJE
PODGLĄDA DRANI NIEZNAJĄCYCH GRANIC
NIECNĄ BAJERĘ GRACKO KRAŃCUJE

NA DNIE TEJ OTCHŁANI CO TWORZY BARIERĘ
BY SERCE OSTYGŁE ZAPŁONĘŁO ŻAREM
DOBRZE MIEĆ SKRAŃCOWANĄ BAJERĘ
SKRAŃCUJ JĄ ZANIM WYKURWISZ NA HAREM

BAJERA JEST WAŻNIEJSZA NIŻ WAŻKIE TEMATY
ZAPINA TWARZ DUSZY NA OCZU GUZIKI
WSPÓŁCZESNOŚĆ NIECZEM MENEL SZCZERBATY

W PORUBSTWIE MA JENO POCIAPNE WYNIKI
BEZ CELU ŻADNEGO I W DZIKIM SPOSOBIE
SKRAŃCUJ JĄ SOBIE!



KULTURA, UNIWERSYTET I BANDA TROGLODYTÓW

JA BYM CHCIAŁ, ABY POLITYCY POWIEDZIELI TO NA GŁOS: *TAK, INTERESUJĄ NAS JEDYNIE CI, KTÓRZY W KÓŁKO JEDZĄ I WYDALAJĄ, KTÓRZY NIE CHODZĄ NA WYBORY, KTÓRYCH WŁASNY LOS NIE OBCHODZI, KTÓRZY CHCĄ MIEĆ TYLKO CIEPŁĄ WODĘ, BROWAR, PORNO*. NIECH POLITYCY TO POWIEDZĄ!

LESZEK ZABOROWSKI: Na samym początku swojej książki *Hodowanie troglodytów* stwierdza pan, że nie ma lepszego sposobu na pognębienie współczesnego człowieka niż deprecjacja kultury narodowej. Na ile nasza kultura jest dziś deprecjonowana na polskich uniwersytetach?

PIOTR NOWAK: Kultura jest deprecjonowana wszędzie tam, gdzie szwankuje uniwersytet, a więc miejsce, w którym rodzą się wolne myśli, struktura, która została powołana do tego, by strzec jakości myślenia. Pod tym względem polskie uniwersytety po prostu nie działają. Nie są przestrzenią sprzyjającą myśleniu, nie pozwalają mu się rozwijać, co dzieje się ze szkodą dla całej kultury, nie tylko tej akademickiej. Pozostaje kwestia, jak mamy rozumieć kulturę, czym ona jest. Najważniejsza jest kultura narodowa, bo ta znajduje się najbliżej, jest, by tak rzec, na wyciągnięcie ręki. Naturalnie, zdaję sobie sprawę z istnienia kultury uniwersalnej, na którą składają się wielkie i małe dzieła ducha ludzkiego, a więc między innymi te wszystkie książki obcych autorów, w których się zaczytujemy i które pochłaniamy. Wkład kultur partykularnych w dziedzictwo ogólnoludzkie to taka wielka zrzutka, od której nie wolno się migać. Jednak to kultura narodowa jest towarem pierwszej potrzeby. Bez niej po prostu niedobrze się żyje i ludzie przestają się ze sobą dogadywać we własnym domu, w najbardziej elementarnych sprawach.

L.Z.: A gdy wykładał pan w Stanach Zjednoczonych i w Rosji, czy miał pan wrażenie, że sytuacja tam jest podobna? Że w krajach tych ma miejsce kryzys tego samego typu?

P.N.: Właśnie wróciłem z Moskwy, gdzie uczestniczyłem w międzynarodowej konferencji, latem wybieram się tam ponownie z wykładami. Rosjanie borykają się z bardzo podobnymi trudnościami, na jakie natrafia współczesny uniwersytet w Polsce. Nawet nie chodzi o ideologię neoliberalną, tylko o neoliberalną doktrynę, nową falę przerażającego doktrynerstwa, które

KULTURA JEST DEPRECJONOWANA WSZĘDZIE TAM, GDZIE SZWANKUJE UNIWERSYTET

każe przeliczać im wszystkie przedsięwzięcia naukowo-badawcze na ruble. Stany Zjednoczone mają to już za sobą. Dyskusja, która teraz odbywa się w Polsce, miała tam miejsce na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku. Mam na myśli *The Closing of the American Mind* Allana Blooma. Amerykanie zdołali w porę pewne niedobre rzeczy dostrzec i im zaradzić. Miała tam miejsce prawdziwa debata na temat uniwersytetu, którą zainicjowała ta książka, pojawiły się setki głosów intelektualistów, filozofów, polityków, dziennikarzy. Przez kilkadziesiąt lat Amerykanie starali się wypracować zgrabną formułę „kohabitacji" akademii i wolnego rynku. Nie twierdzę, że to działa tam bez zarzutu, ale w Stanach czułem się z tym dobrze. Choć oczywiście byłem w specyficznych miejscach, jest przecież wiele Ameryk...

JAN ŻEGOTA: A czy nie było tak, że w Stanach Zjednoczonych naukowcy, w tym również humaniści, zdali sobie sprawę, że trzeba bezpośrednio wpłynąć na polityków, lobbować w kwestii tworzonego przez nich prawa? Mam wrażenie, że polscy humaniści mówią o tym, że potrzebne są zmiany, ale nie spotkałem się z listem filozofów skierowanym do konkretnych polityków, który zawierałby nie ogólny apel, ale projekt zmian, oraz miałby na celu doprowadzenie do konkretnych rozmów. Być może politycy nawet nie wiedzą...

P.N.: Przerwę panu. Książka *Hodowanie troglodytów*, dzięki której się spotykamy, nie ma jednego autora, autorów jest wielu. Wystarczy zajrzeć do bibliografii, żeby to zrozumieć. Ja tylko zredagowałem głosy sumujące się w zbiorowy protest, niczego specjalnego nie wymyślałem. Po prostu nadałem temu szlif literacki, to wszystko, niewiele więcej. Nie zajmuję się zawodowo naprawą szkolnictwa wyższego. Słyszę, że boli, więc powtarzam, że boli. Niemniej w jednym z tekstów składających się na książkę, w rozdziale *Język poleceń*, postuluję bardzo konkretne rozwiązania. *Troglodytów* posłałem więc pani minister nauki i szkolnictwa wyższego. Okazało się, że nie tylko książkę dostała, ale też zdążyła się z nią pobieżnie zapoznać. Owszem, spotkała się ze mną, tyle że w telewizji, w programie dla kobiet o nazwie *Babilon*, emitowanym w porze obiadowej przez TVN24. Tam mogliśmy dowoli się przekrzykiwać, bo to był taki stragan, bazar racji. Nikt nikogo nie słuchał. Można wykorzystywać media do tego, żeby krzyczeć, „jak bardzo boli" albo że „nie obchodzi mnie, że pana boli", to wszystko. Czas, w którym jednym artykułem w gazecie można było zmienić ministra, skończył się. I chyba dobrze. Ale zmieniło się jeszcze coś. Media oduczają nas pamiętania, relatywizują

wagę wydarzeń. W konsekwencji nie ma większego znaczenia, co kto powie, co obieca publicznie. Politycy błyskawicznie to pojęli. Dilują państwem po knajpach, żenią kit bez mrugnięcia okiem, ponieważ wiedzą, że nikt ich z tego nie będzie umiał rozliczyć, nikt niczego nie zapamięta, więc w ogóle nie ma o czym mówić. Dla gazet zaś ważniejsza jej mama Madzi od informacji na temat zapaści szkolnictwa wyższego.

Politycy nie chcą rozmawiać. Także urzędnicy nie są przygotowani do rozmów. Jedni i drudzy wszystko sobie już poukładali i nic ich nie zmusi do zmiany obłąkańczej wizji hodowania troglodytów – nic poza nagą siłą.

J.Ż.: W takim razie pozostają tylko protesty studenckie...

P.N.: Proszę nie liczyć na nie. Studenci nieźle prosperują i są zadowoleni z tego, co mają. Dlaczego? Pracuję na uniwersytecie masowym, gdzie przyjmuje się na studia każdego, kto tylko zechce się zapisać. Jeżeli grupa liczy 30 osób, to spośród nich może cztery, może pięć jest rzeczywiście zainteresowanych pogłębianiem wiedzy. Pozostałe osoby przyszły z innego powodu: jedne chcą się ogrzać, bo jest zima, inne przyszły, bo nie miały innego pomysłu na życie, więc siedzą teraz w ławkach. Nie chce im się pracować, więc przychodzą, póki rodzice ich żywią. Na zajęciach SMS-ują, jedzą kanapki, robią cokolwiek. Ich ten uniwersytet urządza – ogrzane klasy, ładne rówieśnice, juwenalia, na których można schlać się na umór. Nie stawiam im żadnych wymagań, bo nie mogę. W dyrektywach, jakie otrzymałem z ministerstwa, stoi wyraźnie napisane, że mam opracować sylabus – kontrakt między mną, uczelnią a studentami – tak by wiedzę, którą przekazuję studentom, mógł opanować student najsłabszy. Studenci są zadowoleni ze swego status quo. Nikt od nich niczego nie wymaga.

Druga rzecz jest już o wiele bardziej niepokojąca, bo dotyczy tych bardziej łebskich studentów, czyli doktorantów. Oni zostali kupieni. Fucha doktoranta jest jedną z najlepszych, jakie można sobie wymarzyć. Z tego powodu, że doktoranci, inaczej niż osoby z dyplomem doktora, mają bardzo łatwy dostęp do grantów. Mają pieniądze na bieżące wydatki – przez pięć lat. To nie jest mało: przez pięć lat mieć w tzw. płynnej rzeczywistości zapewnione pieniądze na w miarę przyzwoitym poziomie, plus turystyka naukowa, to naprawdę całkiem nieźle. A zatem jeżeli nie studenci, nie doktoranci, to kto ma się zbuntować? Szukajmy podmiotu rewolucji, panowie... Zaczynają się budzić niektórzy uczeni. Ale znów – z akcentem na „niektórzy", ponieważ większość uczonych zaangażowanych w kształtowanie współczesnego uni-

wersytetu ponosi odpowiedzialność za jego opłakany kształt. To jest profesura całkowicie skorumpowana. Rzecz jasna, bez nazwisk – ale bardzo łatwo je sobie dośpiewać. Jeśli coś im się nie podoba, to chyba tylko to, że tracą wpływy. Niestety, zbyt wolno je tracą. Na przykład dostrzegli, że z powodu niżu demograficznego nie mogą dalej pracować już na dziesięciu etatach. I że zarabiają raptem 10 tysięcy złotych miesięcznie, co jest dla nich żenująco niską stawką. Zaczynają się niecierpliwić i mówić o reformie uniwersytetu. Mam im uwierzyć? To wszystko trzeba zamknąć, rozwiązać, zasypać i zbudować coś zupełnie nowego. Od podstaw.

J.Ż.: Nie zgodzę się o tyle, że sam, studiując na dwóch kierunkach, w tym na jednym doktoranckim, zaobserwowałem opór studentów. Na studiach magisterskich, humanistycznych, zostało nas na koniec 15 osób ze 130, z którymi wspólnie rozpoczynaliśmy studia licencjackie. Pod sam koniec studiów pojawiało się coraz więcej głosów, że to, w jaki sposób jesteśmy uczeni, jest wielkim błędem. Chodziło tu o cały system, a nie tylko nasz instytut...

P.N.: No i co chcecie zrobić?

J.Ż.: W dużej mierze czekamy na kogoś, kto by ten opór zorganizował. Nie zrobił tego za nas, tylko nadał naszemu niezadowoleniu odpowiednią formę. Oczywiście głos profesorów też jest tu potrzebny.

P.N.: Jest taki profesor, który stał się bardzo sławny w 1991 lub 1992 roku i przez cały czas utrzymuje się w głównym nurcie. Wcześniej był zwyczajnym psychologiem – ani wybitnym, ani niewybitnym. Mówię o profesorze Czapińskim. Właśnie w 1991 lub 1992 roku – nie pamiętam dokładnej daty – przykuł się do kaloryfera kajdankami czy innym paskiem. Przyjechała telewizja, dziennikarze. Wszyscy pytali, dlaczego to robi. Odpowiedział, że za słabo zarabia, podobnie jak reszta profesorów. Od tego momentu jego nazwisko stało się głośne, on sam zaś zmienił się w autorytet. To chyba nazywa się dobre wyczucie chwili. Wszakże od lat 90. sporo się zmieniło... Podstawowe pytanie brzmi, z kim pan chce się organizować? Z Czapińskim?

J.Ż.: Może warto się zastanowić, czy ma chodzić bunt, czy raczej o reformę...

P.N.: A jeśli reformę, to jaką? Urzędnicy odmawiają rozmowy. Nie przyjmują niczego do wiadomości. Kropka. To sprawdzona diagnoza, przekonałem się o tym na własnej skórze. Urzędnicy chcą jedynie decydować o moim, o pana losie – oni oraz politycy, któ-

rych ci pierwsi są emanacją. Dlatego postuluję przywrócenie powagi senatowi, radom wydziałów, które dziś są tylko listkiem figowym przesłaniającym decyzje w gruncie rzeczy jednoosobowe. Jednocześnie postuluję zamknięcie ministerstwa. Nie rozumiem powodu, dla którego jego istnienie miałoby być konieczne, skoro uczelnie nie są ani szkołami zawodowymi, ani liceami potrzebującymi takiego nadzoru... Istnienie uniwersytetów gwarantowane jest ustawą, poza tym posiadają deklarowaną autonomię. A skoro tak, po co jeszcze ministerstwo? Naprawdę tego nie rozumiem.

Politycy – moja diagnoza brzmi strasznie, wiem o tym – liczą się tylko z zorganizowaną przemocą. Jedynym graczem na scenie, którego siłę biorą pod uwagę, są zatem związki zawodowe. I nie nauczycieli, lecz górników. Mnie jednak, co jasno wynika z przesłania książki, nie jest z nimi po drodze.

J.Ż.: A droga biznesu? Przykłady z Zachodu wskazują na to, że przedsiębiorcy są zainteresowani np. zatrudnianiem absolwentów filozofii. Może to biznesmenów należałoby przekonać, że inwestycja w humanistykę im się opłaci? A gdy przekona się ich do tego, stanie się to łatwiejsze w wypadku polityków.

P.N.: Widzi pan, nawet pan jest zakładnikiem myślenia według kryterium opłacalności. Filozofia, proszę pana, ma być całkowicie od tego wolna, suwerenna. Należy zadbać o jak największą suwerenność, o wolność myślenia. I bez względu na to, czy będzie to Dziadek Mróz, Wujek Sam czy pan Kulczyk z jakimiś gigantycznymi dotacjami, stypendiami, nie wolno dać się kupić. Myślenie musi utrzymać niezależność od podejrzanych filantropów, bo oni mają swoje, często wrogie myśleniu cele. To pierwsza rzecz. Teraz druga: koncepcja prywatnych uniwersytetów – nadzieja na kasę z nauczania – w zasadzie została w Polsce pogrzebana. One już nigdy nie powstaną. Prywatny uniwersytet już zawsze będzie oznaczać w Polsce uniwersytet gorszy. Do tego doprowadziła polityka lat 90. Z tego żadnych pieniędzy nie będzie.

Politycy muszą wreszcie zrozumieć, że nam, humanistom, uczonym, kulturze polskiej, należą się środki zapewniające godne, a nie dziadowskie życie. Bez tego przestanie funkcjonować państwo, ponieważ każda wspólnota polityczna jest bardzo silnie związana z myśleniem, z kulturą.

Ł.Z.: A gdyby pojawił się polityk, który chciałby słuchać? Załóżmy hipotetycznie jego istnienie. Jak przekonałby go pan, że słaby uniwersytet oznacza słabe państwo, a w pewnym sensie słaby naród, rozumiany tu jako pewna wspólnota?

P.N.: Uniwersytet powinien być dla państwa tym bardziej wartościowy, im bardziej jest od niego niezależny. Jest też odwrotnie: słabe państwo chce mieć uniwersytet na kolanach, uniwersytet umniejszony i ograniczony w swych dążeniach do godności i do emancypacji. Słabe państwo staje się bowiem w ogniu krytyki jeszcze słabsze, nie mocniejsze. Na słabym uniwersytecie myśli się i mówi wyłącznie o przyszłości, kształci się w nim pracowników zainteresowanych dniem dzisiejszym, których wyobraźnia nie sięga dalej niż weekend i obowiązkowa najebka. Szkoła zawodowa nie musi pamiętać o swojej genezie, o rzeczach przeszłych. Uniwersytet, który tego nie robi, to zawodówka.

Kiedy byłem jeszcze na studiach, prowadziłem z kolegami hurtownię mięsa. Jeździłem po całej Polsce i zakładałem hurtownie spożywcze. Jedną z nich założyłem w Częstochowie, to było na początku lat 90. Nie było tam wtedy (nie wiem, jak jest teraz) żadnej wyższej uczelni. Próbowałem porozumieć się z pracownikami hurtowni na przykład w takich sprawach, jak: co jest moje, a co ich; wytłumaczyć im, że jeśli przywożę im artykuły spożywcze, to nie oznacza jeszcze, że one należą do nich. I że jeśli je sprzedadzą, to tylko część pieniędzy należy do nich, nie wszystkie. Bardzo proste rzeczy. Wyłożyłem im standardowe rozumienie sprawiedliwości i uczciwości. Nie rozumieli tego. Nie rozumieli podstawowych słów. To, że się z czymś takim zetknąłem, świadczy o tym, że niebezpieczeństwo istniało już wcześniej, ale też że istnieje nadal. Polega ono na rozwarstwieniu rzeczywistości, na podziale ludzi na „Indian" i „białych". Osoby, które starałem się zatrudnić w hurtowni, nie posługiwały się tym samym językiem, którym ja się posługiwałem. Jak zaradzić temu rozwarstwieniu? Jedyny pomysł na zasypanie tej kulturowej przepaści, na jaki wpadli rządzący, to zasypywanie jej unijnymi pieniędzmi. Kultura, uniwersytet, dobra wystawa, koncert, to w oczach urzędników za mało – one się nie liczą. Dlaczego? Ponieważ zmieniła się koncepcja kształcenia – urzędnicy domagają się, byśmy na uniwersytetach kształcili konsumentów, a nie obywateli. No więc ja bym chciał, aby politycy powiedzieli to na głos: *Tak, interesują nas jedynie ci, którzy w kółko jedzą i wydalają, którzy nie chodzą na wybory, których własny los nie obchodzi, którzy chcą mieć tylko ciepłą wodę, browar, porno*. Niech politycy to powiedzą! I jakie wtedy ma pan państwo? To nie jest żadne państwo, tylko pastwisko, gdzie każdy jest po swojemu „tutejszy". Moja chata z kraja. Konsumenci nie mają żadnej tożsamości. Ich chwiejna lojalność wynika z przywiązania do marki czy sklepu, do niczego więcej.

J.Ż.: W tym miejscu pojawia się problem odpowiedzialności intelektualistów. Czy w takiej sytuacji nie powinni iść w lud i naprawiać szkody poczynione przez władzę? Tak jak bywało w czasach zaborów...

P.N.: Jak pan zapewne zorientował się, czytając moje teksty, mam inne zdanie. Nie złapie mnie pan na „miłość do ludu".

J.Ż.: Oczywiście, stąd też moje pytanie. Rozumiem, że nie pała pan miłością do ludu, tak jak wielu w przeszłości. Czy nie boi się pan jednak, że kiedyś ten lud po pana przyjdzie? On kiedyś w końcu przychodzi...

P.N.: Zdaję sobie sprawę, że istnieje Edek i jego koledzy. Dlatego zabezpieczam się przed nimi na różne sposoby. Na pewno nie będę się łasił ani starał się wkupić w łaski ludu. Ale, przepraszam pana, kogo właściwie nazywa pan „ludem"? Odbyłem kiedyś przy wódce fascynującą rozmowę z góralami. Tylko oni byli jacyś inni. Wypowiadali się inteligentnie, choć oczywiście bez odwoływania się do zagranicznych słów albo takich wyrażeń, jak „transcendentny", „immanentny". Mogłem się może nie tyle wielu rzeczy od nich dowiedzieć, ile z zainteresowaniem ich posłuchać. Z drugiej strony, kiedy słucham niektórych profesorów, doktorantów, studentów, to wyobrażam ich sobie w awangardzie „ludu", który lepiej określić przez odwołanie się do kategorii tłumu czy hołoty. Z takim „ludem" nie mam punktów przecięcia. Gdy przyjdzie, trzeba będzie, jak mawiał Gombrowicz, *osadzić go w osobowości*. Z hołotą się nie negocjuje, na hołotę wywiera się nacisk.

W *Juliuszu Cezarze* Shakespeare'a znajdzie pan scenę, w której łapią tego biednego Cynnę. Tłum krzyczy: *Rozerwać go na sztuki!*. On mówi: *Ja nie jestem Cynna buntownik, tylko Cynna poeta*. Tłum wrzeszczy, napiera: *Nieważne – Cynna taki czy siaki. Rozerwać go za to, że pisze złe wiersze*. Byleby rozerwać. Z takim „ludem", z hołotą, łobuzerią umysłową nie może pan siąść do stołu i porozmawiać albo starać się wziąć za nią odpowiedzialność. To jakiś gorszący protekcjonalizm, to branie za „lud" odpowiedzialności. Co to miałoby w ogóle znaczyć? Nie pozwalam sobie na jakikolwiek protekcjonalizm w stosunku do kogokolwiek, bo to psuje również mnie.

L.Z.: Chciałbym jeszcze wrócić do pana postulatu wyprowadzenia myślenia poza uniwersytet. Czy

ZDAJĘ SOBIE SPRAWĘ, ŻE ISTNIEJE EDEK I JEGO KOLEDZY

nie jest to rozwiązanie, z którego skorzysta bardzo niewiele osób? Czy w ten sposób na pastwę technokratów nie zostałaby pozostawiona spora grupa ludzi, do której takie inicjatywy, jak podejmowane przez Fundację hr. Augusta Cieszkowskiego, wydawcę pisma „Kronos", nie dotrą, mimo że nie można ich określić mianem niezainteresowanych czerpaniem wiedzy?

P.N.: Wyprowadzanie myślenia poza uniwersytet rozumiem w bardzo określony sposób. Mam tu na myśli przede wszystkim to, że ludzie poza uniwersytetem, poza sztywnymi strukturami instytucjonalnymi, czasami świetnie się odnajdą. Niedawno rozmawiałem o tym z Tadeuszem Gadaczem, który powiedział mi, że już dawno by rzucił tę swoją robotę, bo będąc dyrektorem Wydziału Filozofii jest skrępowany tysiącem ograniczeń. Na przykład zwalniają mu ze staffu, kogo chcą. Jeśli tego nie robi, to tylko dlatego, że rozpoczął budowanie filozofii w Krakowie i czuje się za to odpowiedzialny – za studentów, za kilkudziesięciu doktorantów, a przede wszystkim za swoich pracowników. Tak długo, jak to możliwe. Oto nowy typ heroizmu. Nikt z nas nie myślał, że tego dożyje. Tylko proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie namawiam kolegów: rzućcie wszystko i chodźcie do parku czytać Kanta, bo zaduch w klasie niemiłosierny. Raczej mówię im: jeśli pan profesor inżynier Kraśniewski i inni urzędnicy nauki zmuszają nas do skonstruowania sylabusa tak, byśmy nie mogli przeczytać ze studentami stu stron Kanta, to trudno, nie to nie, nie ma sprawy. Mogę robić na uniwersytecie – mówię to do profesora inżyniera Kraśniewskiego – wszystko, co sobie pan życzy, bym robił. Ale myśleć idę gdzie indziej. Nie chodzi o to, że się obrażam. Przystaję na formułę: wynagrodzenie za inne czynności niż myślenie. To taki nowy układ. I godzę się na to, skoro to na mnie wymuszono. Myślenie zaś musi się wyprowadzić gdzie indziej.

Jakie formy instytucjonalne powinno ono przybrać? *Ganz egal*. Pracowaliśmy nad rozwojem naszej fundacji i pisma „Kronos" przez siedem lat. Przez pierwsze lata zupełnie nieodpłatnie, bywało, że musieliśmy do tego dokładać z własnej kieszeni. Spyta pan, czy teraz się z tego utrzymujemy. Oczywiście, że nie. Natomiast mamy miejsce, w którym możemy robić fajne rzeczy. Urzędnicy uniwersyteccy również są zadowoleni, głównie z punktów, które otrzymujemy od urzędników ministerialnych, by urzędnicy uniwersyteccy mogli je potem policzyć. Punkty naliczane są nam za to, co robimy w „Kronosie". Nie wiem, co to znaczy i komu to jest potrzebne, nie wnikam w to. Niech sobie liczą, niech robią z tym, co chcą. My mamy poczucie, że

wydajemy książki i pismo ważne dla kultury polskiej. I jesteśmy z tego dumni. Z czego mogą być dumni urzędnicy, tego nie wiem i niewiele mnie to obchodzi.

J.Ż.: Może drogą jest właśnie zarabianie na uniwersytecie, a podejmowanie określonych działań poza nim. Choć nie spotkałem się, oprócz Uniwersytetu Krytycznego, współfinansowanego zresztą z państwowych dotacji, z inicjatywą cykliczną, w której profesorowie zachęcaliby do darmowego uczestnictwa w wykładach i seminariach wszystkich zainteresowanych. Także tych spoza uniwersytetu, choć przy spełnieniu pewnych warunków wstępnych, takich jak napisanie odpowiedniego eseju.

P.N.: Pamiętam, jak kiedyś profesor Axer powiedział w rozmowie ze mną – mówiliśmy wtedy o rozsianych po świecie Colleges of Liberal Arts (to amerykański sposób na kryzys uniwersytetu) – że jeśli chcę budować podziemny uniwersytet, na którym nikt z wykładowców nie będzie pobierał wynagrodzenia za swoją pracę, to on pisze się pierwszy. Cóż, gdybym rzeczywiście się tego podjął, to sprawiłbym niewątpliwą frajdę niektórym moim kolegom. Powiedzieliby: *Jezu, jaki ciężki frajer! On to robi za darmo...* Nie chcę im dać tej satysfakcji. Szczególnie że w życiu i na uniwersytecie nieraz wykazałem się nieodpłatną aktywnością. Prowadziłem szkoły letnie, do których dokładałem, dowoziłem studentom książki, miałem dla nich zawsze czas. Mam poczucie – ma je wielu z nas – że przez całe swoje życie dokładaliśmy do nauki. Uważam, że praca nieopłacona jest skandalem, na który nie wolno się godzić. Pracę należy opłacać bez względu na to, kto ją wykonuje – adiunkt czy profesor.

L.Z.: A jeśli chodzi o już istniejące w Polsce ścieżki? Na przykład międzywydziałowe indywidualne studia humanistyczne czy matematyczno-przyrodnicze? Czego tym ścieżkom brakuje?

P.N.: W mojej książce bronię wartości, ale odnoszę się też do bardzo konkretnych kwestii. Na przykład do liczebności grup seminaryjnych. Jeśli grupa liczy więcej niż dziesięć osób, seminarium zamienia się w występ prowadzącego albo w wiec. Nauczyciel to często nieudany aktor, który odgrywa rolę przed widownią dobraną ze studentów; gra zamiast nauczać. To jest pomieszanie, nieporozumienie.

Mnie bardzo dobrze pracuje się ze studentami filozofii na moim uniwersytecie, ale wystarczy że zejdę z tej ścieżki i zrobię krok np. w kierunku pierwszego roku socjologii... Wtedy,

cóż, spotyka mnie nie zawsze miła niespodzianka. Kiedyś wykładałem filozofię dla czwartego roku socjologii, a miałem wrażenie, że to rok pierwszy. Za sprawą programu bolońskiego ludzie z geografii trafili na pierwszy rok drugiego stopnia socjologii, nie słysząc choćby słowa o Mannheimie. Musiałem tłumaczyć im wszystko od nowa. Gdy rozmawiam z niektórymi studentami, odnoszę wrażenie, że osoby te nigdy nie powinny przekroczyć progu akademii. To nie dla nich.

Być może MISH czy MISMaP to dobry kierunek zmian. Hospitowałem jedne zajęcia, nie powiem gdzie, które miały charakter nie interdyscyplinarny, ale międzyobszarowy. Skończyły się niepowodzeniem nie dlatego, że prowadzący był słaby czy studenci za głupi, tylko coś szwankowało w samym pomyśle prostego zestawienia heterogenicznych w końcu obszarów wiedzy. Napisałem raport, w którym starałem się wskazać pokrótce przyczyny fiaska tego eksperymentu. Na pewno seminaria międzyobszarowe powinny prowadzić dwie lub trzy osoby, w zależności od tego, jak wiele obszarów wiedzy wzajemnie się przenika. Biolog, który choćby nie wiem jak dobrze radził sobie z materią humanistyczną, czytał książki, słuchał muzyki, był kulturalny, ładnie się wysławiał, to za mało, żeby przekonać humanistów do biologii. I odwrotnie, humanista, który lubi prywatnie kroić żaby i podglądać je pod mikroskopem, jest za słaby, żeby przekonać biologów do humanistyki. Oni będą patrzyli na niego jak na osobę niekompetentną w kwestii żab, następnie przeniosą to na jego wiedzę humanistyczną.

Na pewno jakimś rozwiązaniem są studia międzyobszarowe, na których kilku uczonych układa wspólnie jeden sylabus, następnie prowadzą razem zajęcia. Wtedy jednak musimy zapomnieć o trzech miesiącach wakacji! Mnie wystarcza pięć dni, żeby się zregenerować, i dalej do pracy. Ale są między nami i tacy, którzy przez cały rok sposobią się do wakacji, na okrągło myślą o plaży... O jakiej odnowie uniwersytetu możemy mówić, jeśli wielu nauczycieli akademickich tylko czeka, by rozłożyć się z kocem gdzieś w cieniu? Tymczasem powinni siedzieć we dwóch, trzech i układać przez miesiąc sylabus. Zresztą nie lubię tego słowa, słowa „sylabus”, to kolejna sprawa. Sylabus wiąże ręce. Oczywiście zależy jeszcze, jak władze na to patrzą. Dlatego jestem za luźną formą sylabusa.

J.Ż.: Moje kolejne pytanie dotyczy związku między masowością polskich uniwersytetów a ich wynikami. Zaintrygowało mnie, że oczywiście, uczelnie znajdujące się w pierwszej dziesiątce rozmaitych rankingów mają przeważnie niewielką liczbę studentów, zwykle kilkanaście tysięcy. Ale na przykład Uniwersytet Toronto,

który zwykle plasuje się w trzeciej dziesiątce na świecie, ma ich ponad 70 tys. Na uniwersytecie w Madrycie, który stale osiąga lepsze wyniki niż wszystkie polskie uniwersytety, uczy się ponad 90 tys., a z tego, co wiem, w seminariach potrafi tam uczestniczyć około stu osób. A Uniwersytet Waszyngtoński, który znajduje się na piętnastym miejscu, ma aż 44 tysiące studentów...

P.N.: Piętnastym miejscu w czym? W skoku o tyczce, w wyciskaniu, a może panu chodzi jeszcze o coś innego, o jakiś inny ranking? Na przykład o ranking szanghajski?

L.Z.: Tak, mamy na myśli listę szanghajską.

P.N.: Stawia pan pytanie o kryteria uznania, w związku z tym dotykamy kwestii obiektywizacji rezultatów naukowych. Jeśli będę miał okazję, to stworzę taki ranking, w którym wszystkie polskie uniwersytety zdystansują Uniwersytet w Toronto czy inne, które pan wymienił. Podstawowe pytanie jest więc takie: kto ustala kryteria w tej grze i dlaczego robi to on, a nie kto inny? Oraz: czy pytał ktoś pana, czy akceptuje pan te kryteria?

Dla mnie ważne jest, czy artykuł lub książka, które przepychają się do sfery nauki, do kultury, będą dyskutowane przez najbliższe pięć lat. Jeśli tak, są



to rzeczy dobre. Jeżeli mówi się o nich przez dziesięć lat, mamy do czynienia z pracami wybitnymi, a jeśli dłużej, to prawdopodobieństwo, że tekst ten pozostanie w kulturze, że zmieni coś w nauce, jest już bardzo wysokie. I nastąpi to lub nie nastąpi niezależnie od tego, czy opublikuje pan swoją pracę w czasopiśmie z listy ERIH, filadelfijskiej czy jakiejś jeszcze innej. Wszakże istnieje też naprawdę spora szansa, że pański artykuł zdezaktualizuje się już w chwili publikacji, że nikt go nie przeczyta ani nie zacytuje. A wtedy żadna lista panu nie pomoże – w nauce będzie pan istniał jedynie na liście płac. Przekonany jestem o jedynym zasadnym kryterium w nauce i w kulturze – jest nią trwałość rezultatu badawczego. Ale do tego potrzebny jest czas.

To jednak ideał, w rzeczywistości wszystko wygląda inaczej, mniej słodko, nie tylko w nauce, również w dziedzinie kultury. Podam przykład z własnego podwórka: ostatnio wydałem w Nowym Jorku, w wydawnictwie Rodopi (to taki anglosaski odpowiednik naszego Universitasu) książkę o Shakespearze. Książkę solidnie przemyślaną. W Polsce była recenzowana na łamach pism naukowych. Duży, dwuszpaltowy artykuł poświęcił jej profesor Krzysztof Rutkowski na łamach „Plusa Minusa”, dodatku do „Rzeczpospolitej”. Mnie jednak zachciało się wstrząsnąć kulturą anglosaską i tu, jak się zdaje, poniosłem klapę. Książki w Stanach nie dostrzeżono, nie napisał o niej NYRB i nic nie wskazuje na to, że napisze. Szkoda. Czy zatem napisałem książkę słabą? Nie o to chodzi. Dziś nie wystarczy napisać dobrą książkę o Shakespearze. Kiedyś wystarczyło, dziś nie. Kott mógł przeczytać światu Shakespeare'a zza żelaznej kurtyny, Shakespeare'a będącego „filozofem polityki”. Takie odczytanie od razu spotkało się z ciepłym przyjęciem i zostało okrzyknięte mianem nowego, rewolucyjnego spojrzenia. (Nieważne, że parę lat przed Kottem także Carl Schmitt dostrzegł w Shakespearze „filozofa polityki”, gdyż tego postanowiono nie zauważyć). Powiem więcej – Kott miał „swojego” Brooka. Dziś jednak nie ma ani Kotta, ani Brooka, ani nawet miejsca, gdzie mogliby się pojawić. W jakimś momencie załamało się porozumienie między czytelnikami i twórcami. Obecnie to dwa różne kontynenty. W miejsce między czytelnikiem a pisarzem weszły duże wy-

JADĄC Z PRZYJACIÓŁKĄ PRZEZ CENTRUM WARSZAWY, ZOBACZYŁEM PARĘ TYGODNI TEMU GIGANTYCZNY BILLBOARD NA DAWNYCH DOMACH TOWAROWYCH CENTRUM: „NAJWAŻNIEJSZA KSIĄŻKA ROKU”

dawnictwa z agresywnie działającymi agentami, działami promocji, co tam jeszcze. Można wydawać rewelacyjne książki w bibliotece „Kronosa", lecz bardziej z myślą o hołdzie dla Wielkich Zmarłych – dla Platona, Heideggera, Shakespeare'a. W konfrontacji z wielkimi wydawnictwami, z potężnymi pieniędzmi nie mamy żadnych szans. Jadąc z przyjaciółką przez centrum Warszawy, zobaczyłem parę tygodni temu gigantyczny billboard na dawnych Domach Towarowych Centrum: „Najważniejsza książka roku". Nie pamiętam autora, tytuł nic mi nie mówił (a uważam się za człowieka obytego z literaturą, z tym, co się teraz wydaje). Okazało się, że ominęła mnie lektura książki „najważniejszej". To ja panów zapytam: najważniejszej dla kogo? Jak długo najważniejszej – przez miesiąc, przez pół roku czy jednak, jak założyli macherzy od promocji, przez rok? A co potem? Już nie będzie najważniejsza? To co się takiego stało, że nią była? I to przez rok! Czy zdają sobie panowie sprawę z kalibru tych przekrętów i jak to się odbija na kulturze? Przeczuwał to Norwid, rzecznik wszystkich opieszałych, stroniących od nowości czytelników, gdy pisał, że *czytelnictwo opieszałe bywa naglonem napisami wykrzyknikowemi na rogach ulic: „czytajcie to a to" – przyczem rodzaj ręki z palcem wskazującym ów nakaz w rysunku kolosalnym… rodzaj pięści zaciśniętej… „Czytajcie! Ten albo ów nowy romans!"*.

Dziś, choćby był pan Kantem, nie miałoby to żadnego znaczenia. Można zostać przemilczanym, zatupanym z wielu, na ogół niemerytorycznych powodów. Pierwszym z nich jest brak kasy na promocję. Oczywiście, być może czeka na pana sława pośmiertna, zawsze więc pozostaje jakieś pocieszenie. Ale o tym się pan łatwo nie dowie. Coś stało się niedobrego i z nauką, i z kulturą. Wchodzicie jeszcze do księgarń? U mnie do niedawna był to nałóg. Przestałem do nich zaglądać, odkąd księgarnie stały się knajpami czy kawiarniami. Nie chodzę od dawna do empików, bo nic w nich nie można znaleźć. Młodzi ludzie przesuwają tam pudła z napompowanymi tytułami, które z jakichś powodów muszą się zwrócić wydawcy. Rzeczy ważnych tam nie ma.

J.Ż.: Często mówi się dziś o problemie wakatów na uczelniach. Czy to, że młodzi naukowcy mają problem ze znalezieniem zatrudnienia, nie jest ponadczasowe? Dla mnie idealnym przykładem jest tu Jan Łukasiewicz, który obronił doktorat w 1902 roku i potem musiał uczyć w gimnazjum, bo nie było dla niego miejsca. Problem ten poruszono też w *Barwach ochronnych* Zanussiego, w których pokazano bezwzględną walkę rozgrywającą się między starszą

i młodszą kadrą. Czy na pewno wiąże się to z erą procesu bolońskiego?

P.N.: W takim razie opowiem coś ze swojego podwórka. Mój dyrektor, nim zrobiłem habilitację, sugerował, że jeśli nie ukończę jej w ciągu pół roku, to mnie zwolni. Na wszelki wypadek zrobiłem ją. Wkrótce okazało się, że mam nowy problem. Otóż jest bardzo wielu tzw. samodzielnych pracowników naukowych (z habilitacją), a niewielu niesamodzielnych (o zatrudnieniu nowych nie ma mowy). W związku z tym zaczęto brać mi za złe, że ją zrobiłem, bo nie jest to zgodne z aktualną polityką instytutu. W drugim kroku namówiono mnie, żebym wystartował w konkursie na profesora, który wygrałem, gdyż nikt inny się nie zgłosił. Po wygraniu go poszedłem do kadr i – proszę wyobrazić sobie moje zdziwienie – pracująca w kadrach pani, gratulując mi, powiedziała, żebym zwrócił uwagę na to, co podpisuję. Do tej pory miałem kontrakt bezterminowy, ale po awansie na profesora dostałem do podpisu zwykłą śmieciową umowę – na dwa lata. Powiedziano mi, że stanowię poniekąd ewenement, ale też że prawdopodobnie mój przypadek otwiera na uczelni nową politykę polegającą na niestabilności zatrudnienia, na zarządzaniu strachem. Oczywiście niestabilność zatrudnienia nie dotyczy profesorów tytularnych, którzy nierzadko swoje tytuły otrzymali jeszcze od Henryka Jabłońskiego.

Praca twórcza, praca naukowa – powinność każdego pracownika uniwersytetu – choć jej rezultaty są nadal skrzętnie ujmowane w tabele i protokoły – przestała mieć znaczenie. Mówiąc wprost, nasi przełożeni, nasi koledzy, nie wspominając o studentach, nie są zainteresowani stroną merytoryczną naszych przedsięwzięć. Nie dyskutuje się artykułów czy książek, które piszemy, konferencje zaś to jedna wielka ściema. Natomiast wymusza się na nas uczestnictwo w pisaniu grantów badawczych, których przydzielanie przez anonimowych peer reviewers przypomina loterię – tylko 13% wniosków jest rozpatrywanych pozytywnie. To nie wszystko. Władze dają nam do zrozumienia, że jeśli chcemy zachować pracę, powinniśmy zachwalać pośród licealistów miejsce, w którym pracujemy; czyli jeździć po szkołach z ofertą dydaktyczną; przekonywać zdezorientowane, przerażone perspektywą matury dzieci, dlaczego warto stawiać na filozofię, polonistykę, kulturoznawstwo. To nowe oblicze handlu obwoźnego. Jest mi wstyd!

Powiada pan, że młodzi ludzie muszą odczekać swoje, żeby dostać zatrudnienie na uniwerku... Cóż, kiedy pojawiły się dla mnie wątłe perspekty-

wy pracy naukowej, bez żalu rozstałem się z biznesem, by móc zajmować się myśleniem. A potem czekałem na bezrobociu trzy lata, nim dostałem pracę w akademii. Ale ważny jest tu raczej inny problem, na który wskazałem w książce, problem umów śmieciowych. Wszystko jedno, czy dotyczy to profesury, czy adiunktów...

Pan jednak pyta o młodych, a ja w kółko o starych… Opowiadam się więc za tym, żeby nie było tak: Skoro jesteś dobry, masz prawo zostać na uniwersytecie. Nie. Lepszy pomysł jest chyba taki: Skoro jesteś dobry, zaczekaj chwilę. Zobaczymy, czy twoja wola myślenia i bezkompromisowość wobec rzeczywistości są na tyle silne, że oprzesz się pokusom, którymi wabi cię wolny rynek potrzeb. Bo jeśli jesteś dobry, ten świat będzie chciał cię kupić. Większość temu ulega, to tylko kwestia ceny. Gdy jednak zdecydowałeś się myśleć „bez trzymanki", wtedy odrzucisz każdą ofertę, każdą cenę, jaką będą płacili ci za niemyślenie.

L.Z.: Najpierw zajmował się pan działalnością gospodarczą, ale otrzymał stypendium Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu, a następnie etat, dzięki czemu mógł się pan poświęcić pracy naukowej. A co doradziłby pan osobom, które są zmuszone przejść odwrotną drogę? Jak stwierdza pan wprost w swojej książce, sprzyjał panu los...

P.N.: W życiu trzeba mieć fart i tupet. Dobrze jest też mieć odrobinę poukładane w głowie. Ale los musi panu sprzyjać, bez tego ani rusz.

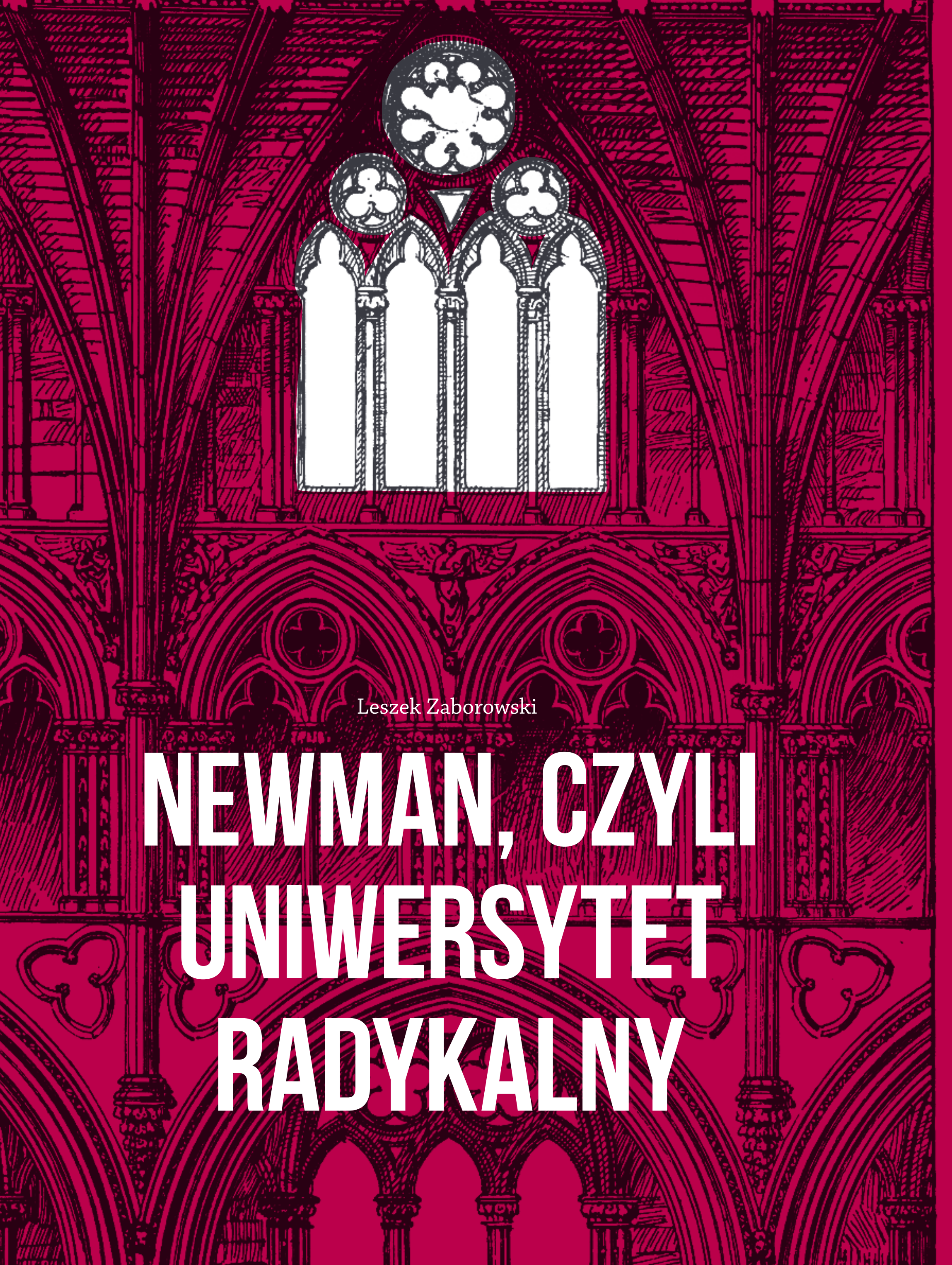
L.Z.: Czyli nie ma pan recepty dla tych, którzy np. ukończyli doktorat i nie mogą pozostać na uczelni?

P.N.: I tak nie posłuchają.

L.Z.: A gdybyśmy założyli, że posłuchają, tak jak zrobiliśmy wcześniej w wypadku polityków?

P.N.: Jeżeli ktoś wierzy w siłę swojego myślenia, to da sobie radę. Myślenie powinno być nieprzekupne. Jeśli ma pan olej w głowie, to wszystko w porządku, powinno wystarczyć. Przynajmniej na początek. Reszta się ułoży. **Ω**

PIOTR NOWAK – profesor filozofii na Uniwersytecie w Białymstoku, doktor (IFiS PAN, 2002) habilitowany (IF UW, 2012). Autor m.in. *Ontologii sukcesu* (Gdańsk 2006), *Podpisu księcia* (Warszawa 2013), *Hodowania troglodytów* (Warszawa 2013), *The Ancients and Shakespeare on Time* (New York 2014). Wykładał na uniwersytetach w Europie, Stanach Zjednoczonych, Rosji.



Leszek Zaborowski
NEWMAN, CZYLI
UNIWERSYTET
RADYKALNY

Ani w roku 2010, ani w następnych latach nie wznowiono w Polsce żadnej spośród jego książek. Być może kardynał należy do klasyków chętnie przywoływanych, lecz rzadko czytanych?

W ostatnich latach bł. Johna Henry'ego Newmana przywoływano w Polsce dosyć często. Początkowo miało to miejsce przede wszystkim w kontekście utworzenia specjalnego ordynariatu dla anglikanów konwertujących na katolicyzm. Z wydarzeniem tym zbiegła się beatyfikacja kardynała, a Benedykt XVI uczynił go jednym z patronów nowej struktury. Później nawiązywano do jego myśli w kontekście Synodu Biskupów poświęconego rodzinie i ewentualnych zmian w kościelnej dyscyplinie, które ten miałby zalecić. Wynikało to oczywiście z uwagi, jaką błogosławiony poświęcał autonomii ludzkiego sumienia oraz problemowi ciągłości i rozwoju doktryny Kościoła.

Nie znaczy to oczywiście, że Newman zyskał wśród katolików rozgłos na miarę św. Ojca Pio czy św. Faustyny. Jak stwierdził o. Janusz Pyda OP, raczej nie stanie się on popularnym świętym, którego wierzący masowo prosiliby o wstawiennictwo, zaś Kościół budowałby liczne świątynie pod jego wezwaniem. Prędzej spotka go los „świętych intelektualistów", których teksty zgłębiają specjaliści, a reszta w najlepszym wypadku darzy szacunkiem, w najgorszym nie zna, na pewno zaś nie modli się za ich pośrednictwem.

Dominikanin wyraził w jednym ze swoich tekstów przekonanie, że znajomość dzieła Newmana będzie w Polsce wzrastać. Sądzę, że na małą skalę rzeczywiście ma to miejsce. Z podobnymi domysłami kontrastuje jednak słaba dostępność jego dzieł. Oczywiście, na polski została przełożona bardzo duża część dorobku Newmana. Jednak ani w roku 2010, w którym został beatyfikowany, ani w następnych latach nie wznowiono w Polsce żadnej spośród jego książek. Ostatnie polskie wydanie słynnej pracy *O rozwoju doktryny chrześcijańskiej* pochodzi z 1998 roku, *Logiki wiary* zaś z... 1989 roku. Bodajże jedynym spośród kluczowych dzieł Newmana, którego polski przekład, przy odrobinie szczęścia, można jeszcze znaleźć w księgarni, jest *Apologia pro vita sua*. Być może kardynał należy dziś do dwuznacznego grona klasyków chętnie przywoływanych, lecz rzadko czytanych? Z takim podejrzeniem

poświęciłem się lekturze *Idei uniwersytetu* – w podniszczonym, jedynym dostępnym w bibliotekach wydaniu z roku 1989.

Książka stanowi doskonały przykład niepowtarzalnego stylu argumentacji Newmana, imponującej przenikliwością i szerokością spojrzenia. Warto zauważyć, że oprócz częstego czerpania z ustaleń i refleksji autorów niekatolickich oraz stylu rozumowania dalekiego od prezentowanego choćby przez neotomistów niewiele odnajdziemy w nim cech pasujących do domniemanego prekursora modernistycznie zabarwionego katolicyzmu. W jego słowach, przynajmniej z dzisiejszej perspektywy, uderzają radykalizm, żarliwość i pewna surowość. Jak sądzę, im bardziej zagłębiamy się w dzieła Newmana, tym wyraźniej widzimy, jak głębokim nieporozumieniem jest obsadzanie go w roli patrona rozluźniania przez Kościół rozmaitych norm moralnych. Co dzieje się zwykle w imię wizji sumienia przystosowanej do dominującej mentalności, która samemu kardynałowi byłaby raczej obca. Ale to już temat na inny tekst...

Na pierwszy tom *Idei uniwersytetu* składa się zbiór wystąpień wygłoszonych w 1852 roku, w czasie przygotowań do utworzenia katolickiego uniwersytetu w Dublinie. Wcześniej przez wiele lat katolicy, stanowiący przytłaczającą większość ludności Irlandii, byli w wyniku angielskiej (co w tym wypadku oznaczało również – anglikańskiej) dominacji w dużej mierze pozbawieni możliwości studiów uniwersyteckich. W dwa lata po swoich wystąpieniach Newman został pierwszym rektorem nowej uczelni. W okresie piastowania przez niego tego urzędu powstały teksty zgromadzone następnie w drugim tomie dzieła, do dziś nieprzełożonego na język polski.

Wiele spośród tematów poruszonych w książce brzmi zaskakująco znajomo i aktualnie. Newman broni chociażby czerpania wiedzy jako celu samego w sobie. Krytykuje zaś tych, którzy chcą uczynić z uniwersytetu jedynie szkołę zawodową. Występując przeciwko nadmiernej specjalizacji, oczekuje od uniwersytetu kształtowania wszechstronnych dżentelmenów, a nie ekspertów w wąskiej dziedzinie. Z pewnością krytycy kierunku zmian na uczelniach lansowanego w ostatnich latach znajdą tu wiele sobie bliskich, choć pochodzących sprzed niemal 150 lat, refleksji.

Poprzestając na tych wątkach, łatwo Newmana oswoić. Sprowadzić jedynie do roli nieco niespodziewanego sojusznika w walce z psuciem uniwersytetu przez współczesnych biurokratów. Oczywiście, w pewnym sensie może nim być. Zdzisiejszej perspektywy ciekawsze wydaje mi się jednak pochylenie nad tym, co w jego tekstach może brzmieć dla nas obco i zaskakująco.



Często wspominamy o Newmanie jako o wielbicielu ideału wszechstronnego, kulturalnego dżentelmena. Łatwo ulec wtedy pokusie pominięcia tego, że przy tej samej okazji ujawnia się jego spojrzenie na kondycję człowieka, które w zależności od preferencji możemy nazwać realistycznym, pesymistycznym, nieufnym... Wykształcony dzięki odpowiedniemu wychowaniu smak nie może według Newmana zastąpić chrześcijańskiej moralności. O niej zaś nigdy nie możemy mówić w oderwaniu od kwestii łaski. Jak przypomina autor *Logiki wiary*, św. Bazyli Wielki i Julian Apostata byli szkolnymi kolegami; obaj w pewnym sensie byli dżentelmenami. To, że chrześcijanie na przestrzeni wieków wysyłali swoje dzieci do pogańskich szkół, co samo w sobie nie musi być złe, nie oznacza, że roztoczenie przez Kościół opieki nad uniwersytetem nie jest wskazane, a potencjalne jego skutki zbawienne. Jednym z najważniejszych wątków, które Newman porusza w swoim dziele, jest obrona koncepcji uniwersytetu działającego pod kościelną kuratelą. Wykształcenie uniwersyteckie dostarcza bowiem równie wielu szans, co pu-

łapek w dziedzinie rozwoju moralnego i duchowego. Podobnie jak zajmowanie się naukami przyrodniczymi. Często czytając współczesnych autorów zajmujących się relacją nauki i wiary, mamy wrażenie prześlizgiwania się po powierzchni problemu. Newman dostrzega go w całej ostrości i nie waha się z nim zmierzyć, nawet gdyby miało to doprowadzić do niepopularnych czy nieco ponurych wniosków.

Szczególnie że kardynał nie zastanawia się jedynie nad tym, w jaki sposób kształtować dżentelmena, by nie zaszkodziło to chrześcijańskiej ortodoksji i ortopraksji. Kolejnym ważnym wątkiem książki jest rola teologii w odpowiednim rozwoju nauki i ludzkiej wiedzy. Newman nie tylko bronił obecności wydziałów teologicznych na uniwersytetach. Starał się również wykazać, że jednoczesne uznanie istnienia Boga oraz nieprzyznawanie miana wiedzy wynikom teologicznych dociekań jest dla katolika absurdem. Można by je pogodzić z właściwym niektórym odłamom protestantyzmu sprowadzaniem wiary przede wszystkim do uczuć czy emocji, ale nie z katolicką harmonią *fides* i *ratio*.

Oczywiście, Newman formułował wszystkie te opinie w specyficznym, wspomnianym już irlandzkim kontekście. Z jednej strony bronił katolickiego spojrzenia na teologię i filozofię oraz relacji między nimi, w kontrze do niedawnych współwyznawców. Jednocześnie chciał też ukazać, jakie konsekwencje dla katolików może przynieść zaniedbanie poznawania własnej teologii w otoczeniu przesiąkniętym protestantyzmem. Nie oznacza to jednak, że Newman nie stawia pytań ważnych również dziś. Nie chodziło mu przecież tylko o lęk przed wypaczeniem irlandzkich, katolickich studentów; odcięcie się od rzetelnej teologii po prostu oddala według niego naukę od poznania prawdy o świecie. Czytając książkę kardynała na serio nie uciekniemy przed podstawowym pytaniem: czym jest dziś teologia dla chrześcijan-nieteologów, również humanistów.

Od wielu lat z całą ostrością stawiają je teologowie z nurtu Radykalnej Ortodoksji, w większości anglikanie. Nieprzypadkowo wśród jego źródeł wymienia się Ruch Oksfordzki, który Newman współtworzył. Współzałożyciel ruchu, John Milbank, analizując stosunek nauk społecznych do teologii, doszedł do wniosku, że te pierwsze skolonizowały dziedzinę badawczą drugiej, zamykając ją ostatecznie w niszy. Sami teologowie zaś przestali podejmować wysiłek budowania całościowej wizji świata. Wydaje mi się, że nawet jeśli niektórzy starają się to robić, bardzo często odbieramy ich tak, jak opisuje Milbank – jako gospodarzy wąskiego poletka, odciętego od pola, po którym poruszają się nasze myśli.

Cezary Michalski w jednym ze swoich felietonów w szyderczy sposób

wspomniał kolację, w której uczestniczył w Anglii wspólnie z Milbankiem i grupą jego uczniów. „Ortodoksów” przedstawił jako hipokrytów, którzy pełnymi garściami korzystają z udogodnień zapewnianych przez nowoczesność, zarazem mając usta pełne skierowanych przeciwko niej potępień. Nie wiem, na ile ich zachowanie usprawiedliwiało przedstawienie całej grupy w tak negatywnym świetle. Na pewno jednak dawny publicysta „Frondy” trafnie wskazał na pułapki, które zagrażają każdemu, kto stara się poruszać poza typowymi dla obecnej mutacji nowoczesności szlakami myślenia na temat wiedzy, prawdy i Boga. Grozi mu spożytkowanie energii na przybieranie – nieraz efektownej – pozy, sprowadzającej się do wyładowania frustracji spowodowanej obecnym kształtem humanistyki, która zdaje się karłowacieć pod wpływem politycznej poprawności, skutków postmodernizmu, dekonstruktywizmu czy czegokolwiek innego.

To właśnie Newman pokazuje nam, jak iść pod prąd nie dla samego efektownego oporu, ale by rzeczywiście podjąć trud poszukiwania dróg poznania prawdy, wbrew dominującym wokół trendom. Paweł Kłoczowski, znawca jego myśli, na pytanie o powody, dla których Benedykt XVI odwoływał się do niego w kontekście właściwego odczytywania dziedzictwa Soboru Watykańskiego II, stwierdził, że papież widzi kardynała jako przewodnika po wąskiej ścieżce między modernizmem a integryzmem. Jest nadzieja, że to właśnie na niej leżą odpowiedzi na pytania, które domagają się dziś odpowiedzi, zarówno na uniwersytecie, jak i poza nim. Odgrzebujcie zakurzone egzemplarze książek Newmana w bibliotekach i antykwariatach, warto. Ω





Krzysztof Karnkowski

POZDRO DLA KUMATYCH! — RZECZ O POLSKICH KONSERWATYWNYCH PUNKACH





Świat się zmienia dookoła, chociaż wolniej, też się zmieniam
Rozglądam się wokół siebie i po swojemu oceniam
To, co widzę, to, co słyszę, i wyciągam z tego wnioski
A polityczna poprawność nie jest dla mnie godna troski
Wierzę w to, w co wierzę, i robię to, co robię
Nie zamykaj mnie w szufladzie, szufladę zostaw sobie

SPIRIT OF 84, *Kto ma wiedzieć, ten wie*

Czy punk może być konserwatystą? Nie może. Ale że jest punkiem, nie będzie się tym przejmował, więc jeśli tak sobie w głowie poukłada, konserwatystą zostanie

Można do tematu spróbować podejść naukowo, ale jak to zrobić, gdy wie się samemu dobrze, że punkowcy na ankiety najczęściej odpowiadają jednym, niecenzuralnym słowem? Zresztą, czy to w ogóle da się zbadać? Antykomunistyczny Jarocin, stopniowe otwarcie sceny na hasła lewicowe, moda na „apolityczność" i ujawnienie się sporej grupy, mającej raczej prawicowe przekonania, która jednak nie chce odcinać się od subkultury, z którą przeszła kilka lub kilkanaście lat życia. Szukanie miejsca dla swoich poglądów, internet, nowe znajomości, wielotygodniowe polemiki na forach, potem wszystko się jakoś uspokaja. Dorośli czasem jeszcze bardziej dorośleją, czasem zostawiają sobie muzykę, koncerty, ale w życiu już bardziej conservative niż punk. A czasem rozmawiają o tym, że kiedyś założyli bardzo fajne forum internetowe, które zrobiło spore zamieszanie, a potem stało się mniej fajne, przyszli nowi użytkownicy, którzy woleli pisać o niczym, bo już ani o polityce, ani o muzyce, wreszcie wszystko zdechło, bo nikomu z założycieli już nie zależało. Więc czas stracony, nic nie zostało? Też

(DEAD)

przecież nie. To może spróbować od początku, tylko kiedy właściwie był ten początek?

Wiosną 2006 roku przez prawicowe strony internetowe i fora przewinęły się ogłoszenia o treści:

> *W imieniu Conservative Punk – Division Poland mam zaszczyt zaprosić wszystkich obecnych (zarówno z lewej, jak i z prawej strony) na nowo otwarte forum dyskusyjne. Przybywajcie tłumnie do* TAJNEJ KWATERY REBELIANTÓW*! znajdującej sie pod adresem*
> *http://www.punk-forum.prv.pl*
>
> *Co oferujemy? Konserwatywno-narodowo-katolicko-prawicowo-punkrockowy punkt widzenia. Zażarte polemiki polityczno-kulturalno-obyczajowe, trwające do białego świtu w towarzystwie flaszki piwa i kielonka gorzały. Obraźliwe epitety w przypadku braku argumentów i nieuzasadnione bany dla użytkowników, którzy nas będą wkurwiać.*
> *Czego nie oferujemy? Politycznej poprawności. Tolerancji. Litości. Pobłażliwości. Wyrozumiałości. Postępowości.*
>
> *Na co czekasz?* PRZYBYWAJ*! Czekamy także na* CIEBIE*!*
> *Conservative Punk – Division Poland.*

Nie, to na pewno nie jest początek. Co najwyżej – środek, szukać trzeba jeszcze głębiej. I trzeba pamiętać, że punk, choć bywa stadny, równocześnie jest tak indywidualistyczny, że trudno pisać o jednoznacznych regułach. Można co najwyżej znaleźć pewne tendencje. Szukajmy więc.

Wczoraj Lenin, dzisiaj kler – *śpiewał Stan Oskarżenia*

Końcówka lat 70., lata 80., Jarocin. Jeśli ktoś chciałby szukać tu konserwatyzmu, raczej się rozczaruje. Owszem, jest antykomunizm, oczywisty w przypadku buntu w kraju komunistycznym. Niemniej nie idzie za tym sympatia do Kościoła, opozycji czy Zachodu. Dobrze oddaje to fragment tekstu Karcera, zespołu, któremu zresztą już w o wiele późniejszych czasach (na płycie *Nic nikomu o niczym*) zdarzały się w tekstach dość konserwatywne obserwacje. Ale ten numer sztandarem pozostaje do dziś:

Zapytaj, jeśli możesz, jeżeli się nie boisz,
W co bezpieczniej wierzyć i kto silniejszy jest.
Musisz przecież wybrać między Leninem a Bogiem,
Bo musisz się dowiedzieć, dla kogo będziesz wrogiem.
A ja nie oddam życia za wasz hymn,
Bo ja wyśniłem sobie wolność!

Kościół, opozycja, cały świat dorosłych pozostaje wrogiem, tyle że komuna to najgorszy, najbardziej opresyjny element tego świata. Gdy tylko się skończy, lepszym tematem okaże się Kościół (*Wczoraj Lenin, dzisiaj kler* – śpiewał Stan Oskarżenia, a podobny przekaz znaleźć można było na prawie każdej punkowej kasecie z lat 90.) czy Ameryka, choć zaskakująco mało uwagi poświęcono w tekstach transformacji ustrojowej jako takiej (najwięcej uwag pod jej adresem miał zespół Nauka o Gównie, przez sporą część sceny uznawany wówczas za obciachowy, zbyt prosty i populistyczny). Pierwszym punkom zdarzało się pobić czasem homoseksualistów, ale to trochę za mało, by uznać ich za konserwy. Bywali też przeciwnikami aborcji (pamiętny utwór Prowokacji), cały czas jednak mamy raczej poglądy zbliżone do konserwatyzmu na wycinek rzeczywistości, nie zaś cały świat. Komunizm się kończy, zaczyna się coraz mocniejsze kopiowanie haseł zachodniego, zaangażowanego politycznie punk rocka. Nie ma jeszcze internetu, ziny czytuje się rzadko, sporo wciąż zostaje punków, którzy owszem, tłuką się ze skinami, ale poglądy miewają bardzo różne, czasem i prawicowe. Ton nadaje jednak zupełnie kto inny. Antyfaszyzm z samoobrony coraz częściej staje się uzasadnieniem mocnego skrętu w lewo, pojawiają się feminizm, prawa zwierząt (choć ten temat przewijał się sporadycznie i w latach 80., jednak w mniejszym stopniu), walka z rasizmem i homofobią. Dużo ulotek, plakatów, demonstracji i coraz bardziej przegadane płyty.



Na warszawskim skłocie na żadnym koncercie już raczej nie zagramy



Na pozycje chrześcijańskie i konserwatywne przechodzi święcąca największe triumfy Armia, równocześnie jednak coraz trudniej określić ten akurat zespół mianem kapeli punkrockowej. Muzyka wymyka się wszelkim gatunkowym klasyfikacjom, z punka przechodząc w nieuchwytną formułę „muzyki bajkowej”. O ile jednak nawrócenia stają się udziałem osób związanych z kręgiem Armii





i Izraela, o tyle nie idzie za tym żadna większa zmiana wśród punkowców. Zamiast niej pojawia się raczej trwająca przez wiele lat nieufność. Gdy w 2007 roku spełniam swoje marzenie i ze swoim Spirit of 84 otwieram koncert Armii, ze zdziwieniem słyszę kilka tygodni później, że na warszawskim skłocie na żadnym koncercie już raczej nie zagramy. Ot, albo-albo. Wtedy pierwszy raz spotykam się z ostracyzmem ze strony części sceny punkowej, dla wielu osób z tego samego towarzystwa zresztą zupełnie niezrozumiałym. To jednak już o wiele późniejsze czasy.

W 1993 roku ogromną popularność zdobywa zespół Włochaty. Zespół, kopiujący udatnie angielskie kapele anarchopunkowe, wydaje płytę, będącą jednym wielkim manifestem, która ma duży wpływ na bardzo wielu ówczesnych punkowców. Z jednej strony zespół godzi anarchistyczny przekaz z chrześcijaństwem, z drugiej po raz pierwszy używa słowa „komunista" w kontekście pozytywnym i apeluje do otwarcia się sceny również na taką ideologię (*Masz dosyć nierówności, zostań komunistą* – recytują na płycie, wprawiając słuchaczy, w tym mnie, w pewien dyskomfort. Jednak oswojenie pojęcia się nie uda, nawet wśród lewicującej części sceny). Włochaty dawał się jednak, choć pewnie dla wielu czytelników to sprawa dyskusyjna, słuchać. Większość zespołów zaangażowanych w walkę z prawdziwym i wymyślonym złem całego świata nie traciła czasu na układanie w miarę przynajmniej strawnych dla słuchacza numerów. Zaowocowało to modą na crust, mocno zmetalizowany podgatunek punka, gdzie rzadko kto bawił się w melodię i inne subtelności. Akcja wywołuje reakcję. W 1996 roku wychodzi pierwsza kaseta zespołu The Analogs. Dziś Analogsi grają wielkie trasy, a ich popularność wychodzi poza skromną niszę ulicznego punk rocka, co zresztą odbiera kapeli wiarygodność w oczach dużej grupy dawnych fanów. Jak traktować w 100% poważnie zespół, który gra dla hippisów na Woodstocku kawałki o *hippisach w martensach za pieniądze mamy*? Jednak w '96 roku Analogsi rozpoczynają rewolucję. W tekstach atakują i wyśmiewają anarchistów czy feministki na równi z faszystami, śpiewają o przemocy, piciu piwa i chuligańsko-robotniczym życiu w portowym mieście. Nagle, z tygodnia na tydzień, stają się głosem wielkiej, dotąd mającej do dyspozycji

Kawałki o hippisach w martensach za pieniądze mamy

głównie stare nagrania Ramzes & The Hooligans i skinowskich kapel typu BTM czy Rezystencja, grupy apolitycznych punków i skinów. Scena wzywa do bojkotu Analogsów, jednak jest już za późno. Nagle okazuje się, że całkiem sporo osób nie identyfikuje się z kanonem punkowej poprawności, obejmującym antyfaszyzm, walkę z homofobią, feminizm i wegetarianizm. Zaczyna się fala kapel, które do prostej muzyki dośpiewują proste teksty o dziewczynach, awanturach i piwie. Tylko gdzie tu konserwatyzm? W poglądach sporej części fanów i muzyków. Tyle że znów to konserwatyzm raczej częściowy, rzadko zaglądający do kościoła, czasem nawet bratający się z tą drugą stroną, dla której socjalizm jednak przejdzie, byle był narodowy. Obie strony nowego konfliktu dostarczają sobie amunicji i argumentów.

Gdzieś pod koniec lat 90. przez łamy „Pasażera", najważniejszego polskiego Zina, zaczynają przewalać się mocne polemiki. Część czytelników (i redakcji) dość ma politycznej poprawności, a radykalizację sceny HC/punk uważa za ślepą uliczkę. Jeden z redaktorów nie podziela entuzjazmu dla idei bojkotu chińskich towarów, za to mocno ceni sobie gospodarkę rynkową. Ktoś chwali Łysiaka, ktoś polemizuje z radykalnymi feministkami, które w ramach pluralizmu mają swój kąt na łamach pisma. W listach do redakcji robi się coraz ostrzej, choć nie wszyscy mają chęć się podpisać – podpisują się więc za nich Adolf Hitler i Hugo Kołłątaj. Pod swoim nazwiskiem mocny list wysyła do „Pasażera" Robert Baran. To jeden z przełomowych dla tej historii momentów.

Podpisują się (...) za nich Adolf Hitler i Hugo Kołłątaj

> *Od środka tego nie widać, ale z boku jesteście tak potwornie schematyczni, zuniformizowani, TACY SAMI, że aż śmieszne, iż śmiecie się nazywać jakąkolwiek alternatywą, ruchem łamiącym bariery, konwenanse. Gówno prawda. Wszyscy tak samo wyglądają, wszyscy to samo kupują, wszyscy to samo czytają (ziny) i tego samego słuchają (muzyka). Był bardzo krótki okres (okolice '94 roku), gdy scena niezależna, zyskując na świadomości była promotorem świeżych, mądrych i ciekawych idei. Potem, jak grzyby po deszczu, w przeróżnych zinach zaczęto serwować jedyną, prawdziwą i słuszną drogę życia – zaczął się rodzić anarchopunk. Coś, co z gruntu jest*

> *spontaniczne, radosne, zaczęło być wciskane w całkiem czerwono wyglądający mundurek.*

Robert się podpisał, zaś ucieszony faktem pojawienia się w druku pisał dalej i w numerze 14 miał już nawet swoją kolumnę, w której dość przewrotnie rozprawiał się z feminizmem i czymś, co po latach szerokie masy poznały jako gender. W tym samym numerze pisma Bezkoc, czyli sam naczelny, zastanawiał się, czy punk może być konserwatystą i co więcej, wówczas chyba nawet wyszło mu, że może. Czytałem to wszystko, zdziwiony i ucieszony, że tak można, bo od początku swojego uczestnictwa w tym wszystkim starałem się łączyć rzeczy do połączenia trudne. Anarchizm z antykomunizmem dawały ze sobą związać postkomunistyczne rządy III RP, wyniesiony z domu patriotyzm z antyfaszyzmem się przecież nie kłócił, co jeszcze ułatwiali mało przyjaźni skini z pierwszej połowy lat 90... Skończyło się to jednak dość szybko, bowiem jeden z redaktorów z frakcji wolnorynkowej poczęstował czytelników również negacjonizmem, a tego było dla nich za wiele. Baran również zniknął z łamów, przenosząc się na fora internetowe. I tak zaczyna się kolejna odsłona tej opowieści.

Anarchizm z antykomunizmem dawały ze sobą związać postkomunistyczne rządy III RP

W połowie lat 90. polityką interesuję się o tyle, o ile, jednak moją główną dziedziną pozostaje muzyka. Dość późno (co w świetle moich dalszych losów brzmi komicznie) odkrywam internet. Zaczynam pisać bloga, ale o polityce jeszcze nie piszę. Odkrywam fora. Najpierw, przypadkiem, forum Armii, później Punkserwis i Skinheads.civ.pl. Pewna grupa użytkowników jest wspólna i właściwie w wielu sprawach jest mi z nimi po drodze, jednak pozostaję na uboczu największych dyskusji, net nie jest moim żywiołem. Na tym ostatnim dominują mało ciekawe osoby i czytam to raczej jako ciekawostkę, Punkserwis natomiast to wieczna wojna między frakcją ortodoksyjnie lewacką a grupą dość złośliwych prawicowców, których nicki znam już częściowo ze „skinów". W rozmowach na którejś ze stron po raz pierwszy pojawia się ciekawostka ze Stanów. Oto ktoś, komu nie podeszło masowe poparcie udzielane przez punkowe kapele Johnowi Kerry'emu w kontrze do George'a W. Busha w ramach akcji Punk Voter, organizuje kontrakcję. Po raz pierwszy pada określenie „conservative punk". Choć

na liście kapel, które miałyby popierać nowy ruch, znana jest tylko jedna (Gotham Road, której wokalista zaliczył epizod w The Misfits), to sprawa wydaje się ciekawa. Pojawiają się informacje, że przecież z republikanami sympatyzowała nawet część składu The Ramones, więc oparcie w punkowej tradycji jest całkiem przyzwoite. Gdy po kolejnej awanturze na Punkserwisie widać już, że nie ma szans na ułożenie sobie relacji z ekipą zarządzającą forum, grupa, w której znajduje się też Robert, znany już nam z „Pasażera", postanawia założyć miejsce, w którym da się spokojnie pogadać. Choćby i z anarchopunkami, ale bez groźby zbanowania za każdym razem, gdy adminowi zabraknie sensownego argumentu. Sprawę obserwuję z oddali, choć z życzliwością. Forum i portal Conservative Punk Division Poland powstaje bez mojego udziału, po kilku dniach dostaję jednak propozycję objęcia moderatorską opieką działu poświęconego młodym zespołom.

Przez chwilę ktoś od nas korespondował nawet z tymi z Ameryki, ale okazało się, że mamy inne poczucie humoru. Cóż, przynajmniej o nas wiedzieli. W kraju zaś nowe forum wzbudziło pewną konsternację i stało się na czas jakiś tematem zakazanym, a zarazem bardzo popularnym. Oto część punkowych stron wpisała adres „konserw" na listę wyrażeń cenzurowanych, a przy tym wciąż rozmawiano o tym, jak bardzo jest to zjawisko niszowe, głupie, szkodliwe i niemające racji bytu. Tymczasem okazało się, że zainteresowanie stroną przerosło oczekiwania jej założycieli. Obok rozmówców ciekawych pojawiło się też kilku głąbów, niespecjalnie rozumiejących, o co w tym wszystkim biega. Jeden z nich, gdy już zorientował się, że obrażaniem Adolfa Hitlera nie wzbudzi niczyjego zainteresowania, postanowił napisać donos do właściciela serwera. Ten nie wchodził w szczegóły, stronę zamknął i nie miał już z nami nic wspólnego. Po kilku miesiącach Tajna Kwatera Rebeliantów, bo tak koledzy nazwali to miejsce, wróciła. Aby rozwiać wątpliwości, powstało credo, które podpisałem swoim nickiem, bo ktoś musiał się przecież pod tym podpisać, zaś faktycznie byłem głównym autorem tekstu – wówczas zaczynałem już pisać dłuższe, polityczne formy, czemu nie miałbym więc napisać oświadczenia? Umiejętność ta przydawała się później na kolejnych portalach blogowych. W sierpniu 2007 roku gości witaliśmy już trochę inaczej

niż w pierwszym ogłoszeniu, jednak forum zostało utrzymane w poprzedniej stylistyce i estetyce. Credo spisane przeze mnie, z pomocą i akceptacją założycieli strony brzmiało:

Witamy Was na portalu Conservativepunk.net, który powstał wbrew wrogiej propagandzie, napędzany entuzjazmem i zaangażowaniem garstki zapaleńców. Byśmy mogli ruszyć, potrzeba było poświęcenia czasu, pracy i pieniędzy – dzięki pomocy kilku osób udało się. Nie jest to nasza pierwsza próba zaznaczenia swojej obecności w sieci. Gdy na początku próbowaliśmy pisać na pewnym znanym tu i ówdzie „punkowym forum", okazało się, że nie dla wszystkich z nas jest tam miejsce. Założyliśmy więc własne forum, które rozwijało się z szybkością, która nas całkowicie zaskoczyła, a odzew, z jakim spotkała się nasza propozycja, przeszedł najśmielsze oczekiwania. Niestety, znalazły się osoby „życzliwe", które jako najlepszy argument w politycznym sporze traktują donosy (pozdrawiamy gorąco niektórych użytkowników forum ibw.costam). Ci, którzy najgłośniej krzyczą o wolności, nie każdemu przyznają do niej prawo. Nasze forum zostało usunięte z darmowego serwera przez admina, który w liście wyjaśnił nam, że przyczyną jego decyzji były groźby skierowania sprawy do prokuratury. Wolał więc nie ryzykować i bez sprawdzenia, na ile zarzuty są prawdziwe, po prostu wyłączył nasza stronę. Nikt nie musi nadstawiać karku za nie swoje ideały, więc czego wymagać... Postanowiliśmy zacząć od nowa, zachowując w życzliwej pamięci kilku konfidentów, mieniących się nie wiedzieć czemu anarchistami, i robiąc dalej swoje. Tym razem na płatnym serwerze i pod nowym adresem. Przez kilka tygodni trwały działania, których zwieńczeniem jest udostępnienie do Waszej dyspozycji tego portalu i forum.

Obok rozmówców ciekawych pojawiło się też kilku głąbów

Kim jesteśmy? Mamy różne poglądy, nie jesteśmy monolitem. Kilka spraw nas jednak łączy. Cenimy sobie prawdę i piszemy ją niezależnie od tego, na ile zgodna jest z obowiązującą w danym momencie polityczną poprawnością. Jesteśmy patriotami.






Jesteśmy antykomunistami. Nie jesteśmy nazistami, choć są tacy, którzy bardzo chcieliby w nas nazistów zobaczyć. Brunatny i czerwony to bardzo podobne kolory – w polityce nie podobają nam się oba. Oprócz spraw politycznych łączy nas jeszcze jedna rzecz, dzięki której się spotkaliśmy i która jest równie ważna, jak wszystko wymienione wcześniej: miłość do punk rocka. Nie rezygnujemy z niej mimo prób zawłaszczenia naszej muzyki przez fanów Lenina, Stalina, Hitlera czy Che Guevary. Istotą punk rocka zawsze było łamanie zasad i prowokowanie do myślenia, nie zaś tworzenie schematów i politycznej poprawności.

Do rozmów zapraszamy wszystkich, którzy podzielają nasze poglądy, a także tych, którzy nie podzielając ich, potrafią czytać ze zrozumieniem i rozmawiać z użyciem bardziej skomplikowanych argumentów od przekleństw. Wirtualnym napinaczom i konfidentom dziękujemy. Resztę zapraszamy do rozmów o muzyce, polityce i wszystkim, co okaże się warte zainteresowania.

Rzeczywistość, jak zawsze, trochę rozminęła się z tą wizją, jednak przez kilka lat Tajna Kwatera stanowiła centrum forumowego życia wśród polskich punkowców, po czym zabił ją po trochu Facebook, gdzie zaczęły przenosić się rozmowy, po trochu zaś zniechęcenie „ojców założycieli". Jak to bowiem w życiu bywa, liczba piszących, która przez długi czas nas cieszyła, nie przeszła w jakość. Owszem, udało nam się wkurzyć kilka osób, uderzyć w scenową polityczną poprawność i ostatecznie jakoś tam w świadomości ludzi zaistnieć, jednak nie wygenerowało to większego fermentu intelektualnego. Powstały więzi towarzyskie, kilka razy wybraliśmy się razem pod dom generała Jaruzelskiego (frakcja śląska – pod kopalnię Wujek), raz odebraliśmy show Zielonym, chcącym ogłosić kandydaturę Marka Raczkowskiego na prezydenta Warszawy, na stronie zebraliśmy mnóstwo materiałów o polskim punku lat 80... A potem, jak zwykle, nasze drogi zaczęły się rozchodzić. Kilku początkowo kluczowych użytkowników straciło serce do całej sprawy, choć przecież ani poglądów, ani słuchanej

muzyki nie zmienili. Na forum pojawiło się sporo osób, gadających przede wszystkim o sprawach mało istotnych, wielu konserwatyzm znów zaczął mylić się z rasizmem lub zaczęli go sprowadzać do mało wyrafinowanych żartów. Zresztą, jak zawsze w przypadku konserwatyzmu wymieszanego z punk rockiem, nie zawsze wszystko było tak, jak wyobrażali sobie niektórzy przypadkowi goście strony. Ot, istniał sobie dział poświęcony sprawom seksu, erotyki, ba – branży pornograficznej, w którym konserwatyzm sprowadzał się do tego, by nie było chłopa z chłopem. Baba sama, z chłopem lub inną babą była już wystarczająco konserwatywna i nie dla każdego było to do przyjęcia.

Na pewno przez kilka lat była to dobra zabawa. Powstało z niej sporo znajomości i przyjaźni, trwających do dziś. Sam jestem pewnie jednym z większych wygranych tej prowadzonej nie całkiem na poważnie bitwy: to na tym forum wypatrzyła mnie moja dzisiejsza żona, to ono zmotywowało mnie też do zajęcia się na poważniej pisaniem o polityce, robiąc ze mnie najpierw blogera, a później, tfu, publicystę. A że tam akurat najchętniej grano w czołgi lub pisano o problemach godnych Ewy Drzyzgi, jeśli zaś już zebrałem się do napisania czegoś o polityce, okazywało się, że już to za mnie napisał ktoś z kolegów, to jakoś tak przestało być w tym wszystkim ważne. Pamiętając o tym, jaką rolę CP/DP odegrało w moim życiu, niespecjalnie już chciałem konfrontować pierwotne wyobrażenie z późniejszą rzeczywistością, nie dzieliłem też zbytnio wizji świata z dużą częścią jego nowszych użytkowników.

Zrobić z tego ruch?

Forum jednak trwało kolejne lata, generując ruch i wciąż budząc kontrowersje. Jako autor credo, a przy tym jednak, choćby przez zespół, człowiek związany ze sceną punkrockową, bywałem na tę okoliczność odpytywany w zinach. Cóż, punkowiec konserwatysta, kojarzony z poparciem dla PiS i katolicyzmem, to temat prawie tak ciekawy jak krowa z dwiema głowami lub kosmita typujący wyniki totolotka. Tłumaczyłem więc, że ludzie mieli dosyć jednomyślności, bo ta zawsze na koniec z punk rockiem się pokłóci. A konserwatyzm wcale nie musi, bo niby czemu. Czy w *Tangu* Mrożka konserwatysta nie był największym buntownikiem? *Swobodny i wolny styl życia wcale z konserwatyzmem nie musi się kłócić, osoba nieschematyczna jest w stanie pogodzić wiele rzeczy, co trudno*








panowi [tak jest w druku, zgaduję, że miało być „pankowi" – K.K.] *szablonikowi zrozumieć* – pisał Robert w swoim drugim liście do „Pasażera", a po latach okazało się, że faktycznie sporej grupie się to połączenie udało. Nie tak dawno, jakoś pod koniec 2014 roku, forum przestało działać, czym zresztą powtórzyło drogę naszych amerykańskich kolegów. Został więc Facebook, ale czy na pewno tylko Facebook? Wydaje mi się, że nie. Pojawiły się choćby nowe zespoły, które w tekstach zaczęły przedstawiać patriotyczne i konserwatywne spojrzenie na wybrane sprawy, a przy tym bynajmniej nieokreślające się, jakby to było jeszcze kilkanaście lat wcześniej, w opozycji do punk rocka. Wręcz przeciwnie – to zespoły punkrockowe, które potrafią połączyć tę latami narzucaną sprzeczność. Co więcej, niektórych z nich nawet da się słuchać. „Konserwy" zaistniały w punkowej świadomości i choć dla wielu to wciąż rzecz bardzo abstrakcyjna, trudno już sprowadzić ją do kilku przefarbowanych skinów, jak to bywało w pierwszych latach naszej netowej pisaniny. Sporo osób mogło sobie pewne sprawy przemyśleć i uporządkować, a kilka mitów choć częściowo zostało odczarowanych. A że nie powstał z tego, jakby sobie niektórzy życzyli, żaden ruch? Cóż, po latach myślę, że to całkiem naturalne. Skoro konserwatyzm części punkowców wziął się ze sprzeciwu wobec prób sprzedawania w pakiecie z muzyką, piwem i zabawą jedynie słusznej wizji świata, to przecież nie po to, by wpaść w te same koleiny, tylko by ruszyć nimi w odwrotnym kierunku. Kluczowy okazał się indywidualizm. Gdy już udało się zaznaczyć dystans wobec jednomyślnej grupy, nikt nie miał potrzeby stworzenia nowego kółka wzajemnej adoracji. Katolicy, ateiści, czasem sympatycy różnych form pogaństwa, punkowcy nielubiący skinów, przeciwnicy wszelkich totalitaryzmów i goście wciskający na forum reklamy zespołów, których nazistowskie ciągoty widać bez uważnej lektury „Nigdy Więcej", wyborcy PiS, zwolennicy UPR, prorynkowi anarchiści, niechodzący na żadne wybory… – dobre towarzystwo, żeby rozmawiać, kłócić się czy spotkać się na piwo lub koncert, a i to nie z każdym, są w ojczyźnie rachunki krzywd. Zrobić z tego ruch? Chyba powietrza w coraz bardziej dusznym pomieszczeniu. **Ω**





PUNK JEST PROTOEWANGELIĄ

Z UWAGI NA PROMOWANĄ WOLNOŚĆ ORAZ POSTAWĘ POSZUKIWANIA PUNK ROCK JEST CZĘSTO OSTATNIĄ PROSTĄ NA DRODZE DO BOGA. PUNKOWCY RZADKO POSTRZEGAJĄ NEGATYWNIE CHRYSTUSA, A TEKSTY PUNKOWYCH KAPEL MÓWIĄ WIĘCEJ O POSZUKIWANIU BOGA NIŻ NATCHNIONE HYMNY – MÓWI „FRONDZIE LUX" AUTOR KSIĄŻKI *KREW BOGA. O CHRYSTUSIE NA SCENIE HC/PUNK* ADAM SOKÓŁ

W czerwcu ukaże się twoja książka *Krew Boga* opowiadająca o Chrystusie w kulturze HC/punk oraz o nawróceniach w tej kulturze. Skąd wziął się taki pomysł?

– Och, przymierzałem się do tej książki około siedmiu lat. Długo o niej myślałem i cierpliwie zbierałem materiały. Jest odbiciem dwóch wewnętrznych rewolucji, które wydarzyły się w moim życiu. Pierwszą z nich było spotkanie z kulturą punkową pod koniec lat 80. Pamiętam wszystkie te punkowe winyle, które przywoził mój starszy brat z Jarocina, audycje Rozgłośni Harcerskiej, no i totalnie eksplodującą scenę DIY początków lat 90. Cały ten hardcore punk zahibernował mnie na dekadę. Jeździłem na mnóstwo koncertów, wydawałem fanzina, organizowałem koncerty. Pod koniec 1999 roku podczas czytania małego, kieszonkowego wydania Biblii przeżyłem coś, co ludzie potocznie – a niektórzy pogardliwie – zwą nawróceniem. Było to moje osobiste spotkanie z Jezusem Chrystusem. Trudno mi o tym opowiadać, bo to jest poza percepcją tego, co widzimy. Jak opisać doświadczenie spoza tego świata? Jakich słów użyć?

Wiesz, ja chyba odkąd pamiętam, byłem osobą poszukującą duchowości. Chodziłem na spotkania Hare Kryszna, kumplowałem się ze świadkami Jehowy, znałem magię indiańską, runy, otarłem się o tarota. Poza tym wcześnie miałem do czynienia ze światem nadprzyrodzonym, ponieważ jako dziecko dwukrotnie brałem udział w kadzeniach – pogańskich rytuałach, w które wierzyła moja matka. Jednak nic nie wpłynęło na mnie w sposób tak dogłębny jak osoba Chrystusa. To był wstrząs, na który zabrakłoby skali Richtera. Moje poszukiwania duchowe zostały zakończone. Wiem już, że nigdy np. nie stanę się wyznawcą hinduizmu. Po prostu znalazłem to coś.

Do tej pory nic nie wpłynęło na moje życie tak jak hardcore punk, a potem Ewangelia Jezusa Chrystusa.

Krew Boga to z kolei tytuł jednego z utworów Kultu, którego, co ciekawe, jakimś wielkim fanem nie jestem. Tekst do niego został napisany przez Kazika

Staszewskiego, który dużo czytał Biblię i miał kontakt ze świadkami Jehowy. Przyznaję, że jednak zarówno ten tekst, jak i cały utwór są porażające. W sam raz na tytuł punkowej książki.

Do napisania własnej książki zainspirowały mnie również książki innych wierzących ludzi zanurzonych niegdyś w scenę HC/punk – szczególnie *Simplicity* Marka Salomona, wokalisty amerykańskiej kapeli crossoverowej Crucified, oraz *10 Things i Hate in Christianity* Jasona Bergena, amerykańskiego pastora i wczesnego wokalisty legendarnej hardcore'owej kapeli Strongarm. Znałem, rzecz jasna, książkę, którą wydał w Polsce Marcin Jakimowicz, *Radykalni*. Wiem, że wzbudziła ona mnóstwo kontrowersji, choć przeczytałem ją chyba rok przed nawróceniem i dla mnie była dosyć interesująca. Wspomnę jednakże, że od zawsze byłem punkowcem uważającym punk religijny za dużą wartość i formę ciekawie wzbogacającą główny, antysystemowy i antyreligijny przekaz. Jednak chciałem podjąć temat inaczej niż Jakimowicz. Chciałem, żeby książka powstała na bazie wywiadów przeprowadzonych z ludźmi, którzy tworzą scenę HC/punk, z ludźmi każdego sortu – niewierzącymi, agnostykami i wierzącymi.

Zawsze ciekawiło mnie, co niektórzy z przedstawicieli sceny punk (np. Ex Pert z Inkwizycji, Zygzak z TZN Xenna etc.) naprawdę myślą o Chrystusie. Bo dla mnie esencją chrześcijaństwa nie jest Kościół, ale Osoba Jezusa Chrystusa. Nie mówię, że Kościół, wspólnota nie są ważne, ale pamiętajmy, że chrześcijaństwo wywodzi się od osoby Chrystusa, nie od chrztu.

Oczywiście były jednostki – zarówno z Kościoła, jak i ze sceny punkowej – które odmówiły mi udzielenia wywiadów, nie mówiąc o tym, że w ogóle mi nie odpisały na e-maile. Niektóre osoby związane z Kościołem odniosły się do książki jednoznacznie negatywnie. Zarzucano mi „kompromis" i „przyjaźń ze światem". Sugerowano, bym „odwrócił się od tej diabelskiej kultury". To nawet było zabawne. Ze strony punkowej kilka osób napisało mi wprost, że nie są zainteresowane wzięciem udziału w takiej książce, zapewne „religijnym gniocie". Cóż, szanuję decyzje jednych i drugich.

Jakie wnioski płyną z tych wywiadów?

– Nie jest tak, że punkowcy nienawidzą Chrystusa. Oczywiście jest On różnie postrzegany – mało kiedy jako Syn Boży, jako Bóg czy też jako Stwórca… Bardzo często postrzegany jest jako filozof, dobry człowiek, który zginął za swoje zasady. Często postrzegany jest też jako nauczyciel. Z wywiadów wynika jasno, że Chrystus nie jest dla punkowców postacią negatywną (chociaż oczywiście niektórzy z nich twierdzą,

CAŁY TEN HARDCORE PUNK ZAHIBERNOWAŁ MNIE NA DEKADĘ

że nie był On postacią historyczną i nigdy nie istniał). W książce poruszam też temat hipokryzji sceny punkowej, która w niczym się nie różni od hipokryzji znanej ze środowiska kościelnego. Wielu punkowców z jednej strony przeklina Kościół, a z drugiej bierze śluby kościelne i chrzci dzieci (niektórzy także przyjmują księży po kolędzie). W swojej książce opisałem socjologiczny fenomen nawróceń w kulturze, która z samych tylko założeń jest raczej antychrześcijańska. Jest takie słynne hasło: *No gods, no leaders, no masters* (poznański zespół Apatia miał nawet taki nadruk na T-shirtach), które jest niepisanym przykazaniem sceny punkowej. Dlatego też zawsze ciekawiło mnie, w jaki sposób teksty piosenek zespołów podprowadzają słuchaczy do Chrystusa. Na przykład niektórzy ludzie powiedzieli mi, że teksty zespołu Dezerter skłoniły ich do tego, aby otworzyć Biblię. Jak rozmawiałem o tym z Krzyśkiem Grabowskim [perkusista i twórca tekstów w zespole Dezerter – przyp. red.], to zdziwił się, jak to w ogóle jest możliwe, że jego teksty skłaniają do sięgnięcia po Biblię.

Dlaczego te teksty skłaniają do sięgnięcia po Biblię?

– Myślę, że przez to, że hardcore punk jest tak samo nurtem filozoficzno-poszukiwawczym, jak i muzycznym. Oczywiście w tej muzyce są również ludzie okopani na swoich pozycjach, tak samo jak to ma miejsce w wypadku nowoczesnej lewicy czy prawicy. Są ludzie zamknięci na dyskusje, „bez kija nie podchodź" i w ogóle „nie będę z tobą rozmawiał tylko dlatego, że jesteś z »Frondy« czy »Gościa Niedzielnego«". Więc już z założenia musisz być debilem. Ale mimo wszystko wciąż we współczesnym hardcore punku oprócz takiego okopywania się jest sporo poszukiwania tego czegoś. Z wieloma osobami rozmawiałem o Chrystusie. Wiele razy byłem zaskoczony, bo np. ktoś, kto ze sceny krzyczy antychrześcijańskie hasła, czasami otwiera Biblię i szuka inspiracji. Ludzie gdzieś tam mają głód Boga, którego często nie rozumieją albo nienawidzą. Pustkę zapełniają zazwyczaj jakąś ideologią. To nawet działa przez jakiś czas. W swojej książce opisuję m.in. niesamowity zespół La Afera. I to jest ciekawa historia, bo zespół zorientowany bardzo mocno anarcho-eko-lewicowo zaczyna się inspirować tekstami Dostojewskiego, Czechowa i... Ewangeliami. Jeden z utworów tego zespołu to *Akt pominięty*. Leci on mniej więcej tak: *...jak brudny parszywy jest ten świat, bez Boga, bez nadziei, bez miłości, ja tylko trzęsę się cały i nie wiem, nie wiem, nic nie wiem*. I to jest cały tekst piosenki. Tekst ten robi ogromne wrażenie, zwłaszcza że jest otoczony brudną, transową, szorstką i odpychająca muzyką. I wiesz, dla mnie

taki tekst piosenki, krzyczany przez poszukujących czegoś ludzi (gitarzysta zespołu, Piotrek, w końcu został chrześcijaninem), mówi więcej o potrzebie Boga niż natchnione hymny – z całym szacunkiem – zespołu, dajmy na to, 2Tm2,3. Tekst mówi dla mnie dużo, dużo więcej niż te songi, w których śpiewa się, że *Jezus jest Panem*. OK. Ty i ja jesteśmy chrześcijanami świadomymi tego, w co wierzymy. Dla nas Jezus jest Bogiem. Ale co to znaczy dla gościa, który wyznaje anarchopunkową ideologię? Nie mogę sobie wyobrazić, żebym taki tekst zapodał np. Expertowi z Inkwizycji, którego bardzo lubię i szanuję, choć nie zgadzam się z jego wieloma tekstami. Nie mogę oczekiwać, że Expert pokiwa głową ze zrozumieniem. Raczej mogę oczekiwać, że pokiwa głową, ale z politowaniem (śmiech). Dla niego jest to kompletnie niezrozumiałe. Powiedzenie, że *Jezus jest Panem*, nie jest wcale dla mnie radykalne. To jest tylko powtórzenie sloganu, z którym zostają ludzie i nie wiedzą, co z nim zrobić. Polskie tłumaczenie tego dostojnego stwierdzenia jest spłycone. W tym tekście chodzi o Chrystusa, który panuje nad całym światem, jest Bogiem, Stwórcą, a nie „panem Kowalskim". Jak odczyta zatem ten tekst ktoś, kto przechodząc obok wysprayowanego muru, widzi napis *Legia pany*?

Wracają do tekstów, które mówią o poszukiwaniu czegoś. Jest wiele takich tekstów w kulturze punkowej. Zespół Eksmisja z Gliwic śpiewał w utworze *Religie*, że – parafrazując – *pominęliśmy najważniejsze rzeczy, mnożąc i mamrocząc formuły, których nikt nie zrozumiał.* W muzyce punkowej znajduję bardzo dużo słów, które wskazują na doświadczenie Boga, na potrzebę spotkania z Bogiem.

Oczywiście są też teksty, kapele i osoby, które przeklinają Boga. Znałem nawet osobiście wielu punkowców, którzy otwarcie i totalnie plugawym językiem przeklinali Boga, i aż mnie ciary przechodzą, jak pomyślę, w jakich okolicznościach niektórzy z nich zmarli.

No i... punkowy satanizm. Ale to jest raczej walka z instytucją Kościoła, a nie paraokultystyczny kult szatana. Zresztą scena punkowa to nie tylko chrześcijaństwo. Jest wiele zespołów, które posługują się symboliką pogańską, choćby Oi Polloi, Scatha czy uwielbiany przeze mnie zespół Neurosis. Są także zespoły Hare Kriszna (Shelter, 108, Purusam, Abhinanda, Kashmir, Gaga/Zielone Żabki). Są nawet islamskie zespoły punkowe. Jest taki nurt, nazywa się *takwacore*. Pewnie słyszałeś…

Niestety, nie słyszałem. Oni atakują islam czy przeciwnie?

– To są zespoły misyjne *sensu stricto*. Na takiej samej zasadzie, jak działał Nusrat Ali Khan – kojarzysz takiego

gościa? To był taki pakistański mistyk, sufista, który islam traktował bardzo misyjnie, zgodnie z myślą współczesnego islamu. Cieszył się ogromnym szacunkiem muzyków, nawet tych bardzo znanych. To, że nagrał płytę z Peterem Gabrielem, to chyba wystarczająca rekomendacja. *Takwacore* jest tak samo misyjny – ma na celu propagowanie Koranu i islamu na scenie i poza nią.

Wspomniałeś wcześniej, że u punków widać potrzebę poszukiwania Boga...

– Tak. Ja to tak nazwałem, ale żaden poszukujący punkowiec pewnie tak by tego nie nazwał. Punkrockowiec pewnie nazwie to potrzebą poszukiwania czegoś, co jest nieokreślone. Gdybym wspomniał o Bogu, pewnie wielu by się na mnie obraziło. Ale w wielu przypadkach widoczna potrzeba zapełnienia tej pustki zdaje się niemal wrzeszczeć.

Skąd się bierze ta pustka? I to właśnie u ludzi, którzy są w tej, a nie innej subkulturze?

– Wielu punków powiedziałoby ci, że to jest kwestia religijnego wychowania. Że może mieć to związek z tym, iż od małego prowadzano ich do kościoła, w związku z czym nasiąkli religią. Ale jest wielu muzyków, którzy wcale nie wychowywali się w takich rodzinach, a mimo to nawrócili się. Chociażby słynny przypadek Maleo, który przyszedł na świat w raczej ateistycznej rodzinie. Nie wiem jednak, skąd taka potrzeba, tak do końca. Myślę, że każdy człowiek rodzi się z takim „Bożym oczkiem" w sobie, nawet jeśli się do tego nie przyznaje. Poza tym ta pustka, ta wewnętrzna tęsknota za czymś, co trudno sprecyzować, to rzecz daleko pozasubkulturowa. To samo, moim zdaniem, czuje operator taczek na budowie, sekretarka w korpo, ochroniarz w Tesco, nastolatek w gimnazjalnym piekiełku czy emeryt.

A może nawrócenia wynikają z samego fenomenu postaci Chrystusa, którego czasami nazywa się pierwszym punkiem i buntownikiem? Co ty o tym myślisz?

– Czy Chrystus był buntownikiem? Na bank. Ale bałbym się spłycania Chrystusa tylko do postawy buntownika. Było przecież wielu buntowników przed nim i po nim. Jezus miałby być w tym samym szeregu ze Spartakusem? Jamesem Deanem? Johnnym Cashem? Nie znoszę popkulturowego Chrystusa, który ma przyjść w adidasach czy glanach. Znam ludzi wierzących, którzy też tak właśnie uważają. Robią to, żeby ocieplić Jego wizerunek. Dla mnie to trywializowanie postaci Chrystusa.

Jezus nie przyszedł, żeby TYLKO się buntować, ale ten niezwykły GOŚĆ za-

szczycił ziemię tym, że zwyciężył i przełamał śmierć. Był jednym z nas, mieszkał tu, poznał potrzeby i ograniczenia fizjologiczne. Miał rodziców, a takim bardzo pokornym dzieckiem wszak nie był. Nie żył w przepychu jak gwiazda rocka albo celebryta. Żył skromnie, wykonał to, co miał do wykonania, zstąpił do piekieł. Powstał z martwych i zostawił nam na lodówkach naklejkę:

CHŁOPAKI, WRACAJCIE DO DOMU, CZEKAM NA WAS...

Dla mnie Jezus jest Kimś, kto totalnie przemeblował moje życie. Dzięki Niemu wygrzebałem się z długoletniej depresji. Przestałem znieczulać egzystencjalny ból środkami chemicznymi, kraść, przestałem być egocentrykiem. Zacząłem łamać chleb z potrzebującymi. Nauczyłem się od Niego mówić „dziękuję", ale też „proszę", „przepraszam". Nauczyłem się dawać, nie tylko brać... Niepunkowe, co?

Osobiście nie czuję się jakoś bardzo punkiem, w sensie takim 100%, *stricte* scenowym. To dla mnie pojęcie za wąskie, ja się w nim po prostu nie mieszczę. A już w ogóle nie utożsamiam się z tzw. chrześcijańskim punkiem.

Czy subkultury same w sobie mają coś z religii?

– Niektóry wierzą w to, że punk rock jest religią. Punk ma wiele wspólnego z Kościołem. Jest jakiś kod ubierania się, podążania za modnym kaznodzieją, za pasterzem, za modnym zespołem, fanzinem... Poziom pogardy w skrajnych środowiskach obu instytucji jest bardzo porównywalny. Wiele środowisk kościelnych cechuje się czasem nawet znacznie niższym poziomem pogardy, niż to ma miejsce w zespołach punkowych. A może jest tak, że kościoły to bardziej ukrywają? Nie wiem. Jeśli dzisiejszy punk nie jest religią, to na pewno jest pewnym zbiorem zasad – pisanych i niepisanych, które mówią, co punkowiec może, a czego nie może robić. Oczywiście znów zapewne wielu punkrockowców się z tym nie zgodzi. Jednak lektura forów internetowych tak właśnie wygląda. A niestety z tych forów przenosi się to na real.

Wydaje się, że jest jeszcze jeden punkt wspólny chrześcijaństwa i dzisiejszego punka – jest to znajdowanie się w opozycji do świata. W dzisiejszych czasach tak samo ciężko być praktykującym punkiem, jak i praktykującym chrześcijaninem.

– No tak. Tylko ten „świat" jest w obu kulturach całkiem inaczej odbierany

i rozumiany. W kulturze chrześcijańskiej „świat" jest systemem wartości wrogich Ewangelii, natomiast dla punków wroga – przeważnie – jest sama Ewangelia, a nie świat. To są dwa nurty niemieszalne jak ogień i woda. Ja mam tak, że żyję w dwóch światach – w świecie Kościoła oraz w świecie wartości przeciwnych Ewangelii. Umiem się w obu tych światach doskonale odnaleźć. Mało tego, myślę, że z oboma światami potrafię się komunikować. Mam przyjaciół w obu. Nie budzi to we mnie wewnętrznej sprzeczności czy poczucia kompromisu. Bezproblemowo czerpię z obu światów to, co mają w sobie najlepsze. Mam na myśli muzykę, kinematografię, sport, literaturę, podróże etc. Ale wiem, że nie wszyscy tak mają. Może potrafię się odnaleźć, bo po prostu jestem świadomy tego, w co wierzę, ale też tego, w co nie wierzę? Oczywiście nie znaczy to, że wiem wszystko.

W zapowiedzi swojej książki stawiasz pytanie: czy zaangażowany społecznie hardcore punk jest protoewangelią? Co masz przez to na myśli i jaka jest odpowiedź na to pytanie?

– Zapewne znasz takich ludzi, którzy zupełnie bezinteresownie pomagają innym. Dają im pieniądze, pomagają wychowywać dzieci, jeśli masz jakiś problem, to pomogą ci o każdej porze dnia i nocy. Tych ludzi jednak nie jest zbyt wielu. Wydaje mi się, że to właśnie o takich ludziach Jezus mówi, że są *niedalecy Królestwa Bożego*. To jest ta historia z bogatym młodzieńcem, który przychodzi i próbuje zaimponować Jezusowi, że szanuje ojca i matkę, że nie kradnie, nie cudzołoży, nie używa wulgaryzmów itd. Myśli, że zrobi wrażenie na Jezusie. A Jezus mówi mu: *Wiesz co? Fajnie, cacy, jeszcze tylko sprzedaj wszystko, co masz, i pójdź za mną*. I młodzieniec odchodzi z kwitkiem, bo miał dużo majętności. Jezus go nie skrytykował (spojrzał na niego z miłością! Mk 10, 21), ale powiedział mu, że daleka jeszcze droga do doskonałości. W innej historii Jezus mówi uczonemu w Piśmie: *Niedaleki jesteś Królestwa Bożego. Ale wciąż w nim nie jesteś*. Dobrzy ludzie ocierają się o Ewangelię i Boże Królestwo, ale notabene wielu z nich w nim nie jest i nie będzie. Protoewangelia sceny punkowej polega na tym, moim zdaniem, że wielu ludzi jest niedaleko Królestwa Bożego, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Nasycenie altruistami w kulturze punkowej jest (było?) bardzo wysokie. Altruizm w pewnym momencie już jednak nie wystarcza. Ludzie kopią i kopią głębiej i w ten sposób docierają do Chrystusa. I tu właśnie następuje nałożenie się Ewangelii i protoewangelii.

Czyli tych ludzi można nazwać nadzwyczajnymi katechumenami?

– Nie powiedziałbym tak. Ale coś w tym pewnie jest.

Punk sam w sobie otwiera ludzi na duchowość?

– Myślę, że tak. Tak samo zresztą jak metal. Bo ani w metalu, ani w punku nie ma czarno-białego świata. Jest wiele szarych stref. W ostatnim numerze „Noise Magazine" był wywiad z Ghost, takim parasatanistycznym zespołem, w którym oni mówią, że zwracają uwagę na duchowość, która olewa wielu ludzi związanych z metalem. Logicznie rzecz biorąc, jeżeli istnieje szatan, to istnieje też Bóg, i w tym sensie mógłbym się z Ghost zgodzić. Choć role Boga i szatana w muzyce metalowej są najczęściej odwrócone. Syndrom Prometeusza to niestety atrakcyjny kit o diable. Myślę, że tak też jest w punku. Nawet jak krytykujesz Kościół, to jest to jakaś tam aktywność parareligijna. Jest to stawianie pytań brutalnie, w ordynarny sposób. Ale często to nie jest krytyka dla krytyki, lecz poszukiwanie. *Bo jeśli chrześcijanie postępują tak, a nie inaczej – to kim, kur…a, jest Chrystus?* – myśli przeciętny punkowiec, obserwując działalność ludzi, którzy nazywają siebie naśladowca-



mi Jezusa. W punku ludzie cały czas poszukują. Czasami np. wyznawcy *straight edge* zostają wyznawcami ruchu Hare Kriszna (miało to miejsce we wczesnych latach 90.).

Czy nawrócenia, o których piszesz, są do siebie podobne? Występują tam jakieś prawidłowości?

– Bardzo często te nawrócenia dzieją się w kontekście alkoholu i narkotyków, czy ogólnie złamanego życia. Niektórzy złośliwie mówią, że ludziom przewala się pod deklem, a jeden nałóg zastępują innym – np. heroinę religią. Może związane jest to z tym, o czym mówił Jezus, że *nie potrzebują lekarza zdrowi, ale ci, którzy źle się mają*?

Czy te nawrócenia zmieniają człowieka całkowicie? Mamy do czynienia z nowym człowiekiem i z definitywnym zerwaniem z poprzednim życiem?

– Wiesz, ja myślę, że to trudne pytanie. Często ludzie postrzegają nawrócenie pod kątem jednorazowym, a nie jako ciąg wydarzeń czy proces, który trwa całe życie. Często jest tak, że w takim neofickim zapale można narobić wiele gnoju i zrazić do siebie i do wiary wielu ludzi. Znam to z autopsji. Przez pierwsze dwa lata po nawróceniu latałem wszędzie z Biblią w dłoni, krzyczałem na ulicach, śpiewałem z gitarą piosenki chrześcijańskie itd. Moje siostry po latach zgodnie twierdzą, że wyglądałem wtedy jak nawiedzony i byłem nie do wytrzymania. Narobiłem w ten sposób mnóstwo głupot. Dziś mija 15 lat od mojego nawrócenia, a moje serce wciąż jest jeszcze dalekie od pełni Ewangelii i dużo jest jeszcze do zmiany w moim życiu, choć nie stoję z gitarą na winklach ani nie terroryzuję moich znajomych Jezusem (śmiech).

Wielu ludzi, którzy się nawracają, dalej hołduje źle rozumianej ideologii punkowej. Wielu pozostaje takimi niebieskimi ptakami. Nawracają się, ale się nie zmieniają. Ja uważam, że nawrócenie powinno być stopniowe, świadome, całkowite i człowiek powinien zmieniać nieustannie w swoim życiu wszystko, oczywiście na lepsze. Tak jak w Księdze Rodzaju – na początku był chaos, a potem porządek, a potem kreatywność i tak powinno pozostać.

Zdarzały się takie przypadki, że jeśli ktoś się nawrócił, to zostawiał muzykę i cały swój dotychczasowy świat za sobą?

– Jak najbardziej. Jeśli ktoś np. grzał heroinę, grzał amfetaminę, to często sama muzyka przypomina mu o tym. To jest kwestia terapeutyczna. Ludzie, którzy nie mają wiedzy o nałogach, nie rozumieją, że ktoś chodził na koncerty, a tu nagle przestał pić i przestaje

chodzić na te koncerty. Nie rozumieją tego, że takie koncerty mogą być „wyzwalaczami" nawrotów. Znam pewnego bardzo fajnego faceta, warszawskiego muzyka punkowego, który jest trzeźwiejącym alkoholikiem. I cały czas zastanawiam się, na ile muzyka mu pomaga, a na ile przeszkadza w trzeźwości.

Znam też takich, którzy nagle doszli do wniosku, że wszystko jest od diabła, stara muzyka, kumple i znajomi. Jest mi smutno, kiedy widzę coś takiego, bo ja nigdy nie zerwałem kontaktu z moimi przyjaciółmi i dziękuję Bogu, że kochałem ich wystarczająco mocno, żeby nie zrywać kontaktu. Choć



przyznaję, nie warto trzymać kontaktu z ludźmi za wszelką cenę. Często niestety zdarza się, że kierownicy wspólnot, do których trafiają nawróceni punkowcy, uważają muzykę punkową za coś złego. Po prostu nie rozumieją tej kultury, muzyka im się nie podoba, więc skreślają to od razu. A jednocześnie np. sami chodzą na mecze, a wulgaryzmy i cała ta w wielu przypadkach zła otoczka kibicowska w ogóle im nie przeszkadzają. Często jest tak, że otoczka uświęceniowa powoduje, że ludzie odchodzą od punka, a sami punkowcy uważają, że chrześcijaństwo to jakieś gówno, skoro zabiera im fajnych, cennych znajomych. Ja postrzegam nawrócenie przez pryzmat tego, że jestem zły i dlatego właśnie potrzebuję Chrystusa. Niestety wiele osób trafia do wspólnot, gdzie wmawia im się, że są święci i wspólnota jest święta, a cały świat wokół jest zły. Tak właśnie rozumiem tę nieszczęsną teologię uświęceniową. Gdybym był święty już teraz, tutaj, rozgłosiłbym publicznie, że już nie potrzebuję Jezusa. Ale na moje szczęście/nieszczęście znam dobrze swoje serce, wiem, co w nim jest. Więc wciąż potrzebuję Chrystusa.

Zdarzają się przypadki, kiedy punk łączy się z konserwatywnymi wartościami. Mieliśmy w Polsce do czynienia ze sceną conservative punk movement. Co ty o tym sądzisz?

– Szczerze? Ja tego za bardzo nie śledzę. Chyba nie powiedziałbym o sobie, że jestem konserwatystą w rozumieniu takim politycznym (PESD *Politikarepoizonekurvae*) czy kulturowym. Nie powiedziałbym o sobie również, że jestem konserwatywnym punkiem, nawet jeśli moje poglądy obyczajowe są dosyć konserwatywne. Pod konserwatywny punk, albo raczej to, co znam jako conservative punk w Polsce, czasami niestety podpina się bardzo niefajna ekipa. Dla mnie jest dziwne, kiedy widzę, że na jednym z portali internetowych ukazują się z jednej strony recenzje płyt anarchopunkowych, a z drugiej pisze się tam recenzję płyty zespołu otwarcie nawiązującego do estetyki nazistowskiej – Konkwisty 88. Na pewno conservative punk nie jest pozytywnie postrzegany przez 95% sceny. Prawicowe przekonania członków zespołów to chyba nic nowego. Znam osobiście takie osoby i nie jest to dla mnie jakieś dziwne kuriozum. Nie uważam prawicy za straszliwe zło, uważam za zło skrajną prawicę, podobnie jak skrajną lewicę spod znaku choćby Baader-Meinhof. Osobiście bardzo szanuję „Budynia" [Krzysztof Karnkowski – przyp. red.]. Wiesz, co mi się w „Budyniu" podoba? To, że ma swoje poglądy, że nie powtarza jakichś haseł, które gdzieś tam usłyszał od jakiegoś tam punkowego guru z UK. Ma swoje poglądy i się ich trzyma. Wbrew tendencji takiej, a nie innej. I dla mnie właśnie to jest punk rock! Że staje w poprzek. Scena mówi tak, a ja tak. Nie chodzi nawet o Budyniową przekorę, on po prostu w to wierzy. Ja się osobiście nie czuję częścią sceny konserwatywnej (zakładając, że jest taka). Moje poglądy wynikają z przekonań duchowych, a nie z mojego poglądu politycznego. To jest dla mnie duża różnica. Mam poglądy takie, a nie inne, dlatego że jestem chrześcijaninem, a nie sympatykiem jakiejś muzyki czy partii politycznej. Dla mnie jest zupełnie niezrozumiałe, jak chrześcijanin może być rasistą, homofobem (w sensie nienawiści do homoseksualistów), tak samo jak bezdusznym kapitalistą wykorzystującym swoich pracowników. Czy chrześcijanin powinien mieć swoje poglądy polityczne? Jak najbardziej, ale nie sądzę, że to powinno być ważniejsze niż wartości Ewangelii. **Ω**

Rozmawiał MATEUSZ K. DZIÓB

Krew Boga – książka opisująca fenomen nawróceń na scenie HC/punk. Powstała na bazie wywiadów przeprowadzonych z ludźmi związanymi z polską sceną DIY lat 90. Wypowiadają się w niej m.in. czynni i byli uczestnicy sceny niezależnej w Polsce, Niemczech, USA, UK i RPA. Są to członkowie zespołów punkowych, twórcy fanzinów, organizatorzy koncertów, właściciele wytwórni płytowych, a także księża, zakonnicy i pastorzy związani z tą sceną. Książka ukaże się na początku lata 2015 roku nakładem wydawnictwa Jirafa Roja.

MAX CAVA

ANARCHOKONSERWATYST

Czy można pogodzić pasję do najmocniejszych odmian metalu z wiarą w Boga? Max Cavalera pokazuje, że tak. Choć od czasu jego nawrócenia minęło już sporo czasu, to jednak nigdy nie stał się grzecznym chłopcem. Z alkoholizmu wyszedł niedawno, a w swoich megaciężkich utworach nie stroni od wulgaryzmów. W takim języku śpiewa o Bogu, rodzinie, cierpieniu i tym, co widzi dokoła

Biografia Maxa Cavalery to standardowa opowieść o życiu rockmana. Buntownicza młodość, zdobywanie szczytów popularności, alkohol, dragi, stopniowe nawrócenie i skupienie się na życiu rodzinnym – to słyszeliśmy już wiele razy. Co więc odróżnia Maxa od jego – jakby to powiedzieć – kolegów po fachu? Mimo że przeszedł na jasną stronę mocy, nijak ma się do wizerunku „kościółkowego chłopaka”. Nie cechuje go w żaden sposób zapał neofity, nie zwolnił również muzycznego tempa i mimo że zbliża się już do pięćdziesiątki, to kolejne nagrywane przez niego albumy są coraz mocniejsze.

PIERDOL WSZYSTKICH I... UWIERZ W BOGA

Poczuj swą duszę i pozwól jej przemierzyć świat / to pielgrzymka, a nie cel, jak wydaje się nam – wydziera się Max Cavalera w utwo-

LERA.

A W DREDACH

rze *Living Sacrifice* (*Żywa ofiara*). Na tym samym albumie kilka utworów dalej, w kawałku *I believe* odkrywa kolejne karty: *wierzę w Boga / tak być musi / wierzę w nieśmiertelność*. Z kolei w pochodzącym z płyty *3~* numerze *Enterfaith* (*Utwierdź wiarę*) zwraca się do słuchacza następująco: *Utwierdź wiarę / głębiej i głębiej na każdym kroku / utwierdź wiarę / otwórz raz jeszcze swoje rany / utwierdź wiarę / głębiej i głębiej każdego dnia* / (…) *to nie jest to, co widzisz, to to, co czujesz / nie możesz tego wyjaśnić, ale to prawda* / (…) *podążaj za sercem, nigdy nie udawaj / ostatni będą pierwszymi, jak zostało powiedziane*. Cavalera głęboko wierzy w aniołów stróżów – sięgnijmy do tekstu *Wings (Skrzydła*): *skrzydła są ponad nami / patrzą na nas z góry / chronią nas przed tym światem* / (…) *opatrują nas, gdy jesteśmy ranni / prowadzą nas, gdy jesteśmy zagubieni / nawet mimo wszelkich przeciwności /* (…) *kiedy umrę, przybądźcie i weźcie mnie ze sobą / zanieście mnie do mojego domu / bym mógł spotkać króla na jego tronie.* Warto wspomnieć, że na płycie *Dark Ages* zespołu Soulfly Max umieścił utwór *Salmo-91*, który jest melorecytacją… Psalmu 91!

Cavalera głęboko wierzy w aniołów stróżów

Cavalera nie wstydzi się swojej wiary i wszystkie albumy założonego przez niego zespołu Soulfly dedykuje Bogu. Wiele osób z jego (bądź co bądź antychrześcijańskiego) środowiska poczuło się tym zgorszonych, jednak Max nijak się tym nie przejmuje:

foto: www.flickr.com/photos/krudboy

Bóg pomógł mi przebrnąć przez trudny okres życia (…). *To szczery wyraz wdzięczności wobec wyższych mocy, które otaczają mnie opieką. Negatywne opinie innych ludzi mam głęboko w dupie* – pisze w swojej autobiografii *Moje krwawe korzenie*. Ta wypowiedź jest typowa dla Maxa. Nie stroni on od wulgaryzmów w zasadzie w ogóle. *Dla mnie krótkie słowo „fuck" ma swój sens i swoją wymowę, to dla mnie naprawdę ważne słowo* – powiedział w jednym z wywiadów. *W chwili gdy je wypowiadam, czuję, że to coś normalnego, naturalnego. Nie bawię się w upiększanie, bo jeśli coś jest gównem, to śmierdzi i nic tego nie zmieni.* Na albumie *Primitive* jeden z utworów zatytułowany jest *Jumpdafuckup* (*Skacz do kurwy*), a w tytułowym numerze z tej płyty śpiewa: *powróć do pierwotności / pierdol wszystkich swoich polityków / mamy swoje życie, aby je przeżyć / na sposób, jaki chcemy /* (…) *a Bóg poprowadzi mnie* (…) */ powróć do pierwotności / pierdol całe swoje gówno /* (…) *pierdol swoje widzimisię* (…). Co ciekawe, w teledysku do tego utworu pojawiają się postaci Jezusa, Matki Boskiej, Michała Archanioła i rozmaitych świętych. Z kolei w utworze *Flyhigh* (*Wzleć wysoko*) modli się: *proszę Boga, by przejął kontrolę, / prowadź mnie przez ten zjebany świat /* (…) *dziękujcie Bogu i chwalcie Go / po prostu pozwól mej duszy odlecieć wolno / i niech będę tym, kim Bóg chce, bym był.*

Dobrze dogadał się z wodzem egzotycznego plemienia Indian Xavante

Max w swoich utworach zachęca zawsze, by być sobą i nie bać się tego okazywać. Sam nosi dredy i jest wytatuowany na całym ciele. *Wyryty wewnątrz / wyryty na zewnątrz / krzyczę do niebios, / wiecznie walcząc /* (…) *zatrać siebie, / by odnaleźć siebie* – to *Carved inside* (*Wyryty wewnątrz*) na płycie *Dark Ages.* W tym samym utworze śpiewa: *moje życie jest moje / moje prawo jest moje.* Max ma własny kodeks i nie przejmuje się tym, co inni mówią na jego temat. Max cały czas mocno identyfikuje się z metalową subkulturą, której członków uważa za obcych społeczeństwu. To dlatego tak dobrze dogadał się z wodzem egzotycznego plemienia Indian Xavante, Cipasse, kiedy jeszcze za czasów Sepultury nagrał z tym plemieniem jeden utwór: *Cipasse powiedział mi, że pomiędzy jego plemieniem a nami nawiązała się więź, rodzaj pokrewieństwa, ponieważ byliśmy tacy jak oni: wyrzutkami odseparowanymi od reszty brazylijskiego społeczeństwa* – wspomina w swojej auto-

biografii. Przesłanie Maxa jest na wskroś antysystemowe. Jeden z utworów nazywa się *Born again anarchist* (czyli odrodzony anarchista), a w tekstach często pojawia się postać Zumbiego z Palmares, czyli legendarnego przywódcy państwa zbiegłych brazylijskich niewolników (Quilombo).

NAJWAŻNIEJSZE JEST PLEMIĘ

Co jest najwyższą po Bogu wartością dla tego buntownika? *Co mnie uszczęśliwia?* – pyta we wspomnianych już *Moich krwawych korzeniach* i odpowiada: *rodzina.* (…) *Moim zadaniem było i nadal jest udowodnić, że można grać szybko, ciężki i brutalny thrash metal i być jednocześnie dobrym ojcem*. (…) *Niektórzy metalowi muzycy ukrywają fakt posiadania dzieci, ponieważ sądzą, że wypadają wtedy na mniejszych twardzieli. Zawsze uważałem, że to idiotyzm. Zawsze też opowiadam wszystkim o swoich dzieciach, bo jestem najszczęśliwszym tatą na świecie* (…), *w centrum plemienia jest rodzina, zaś plemię rozciąga się na wszystkich, którzy czują więź z Soulfly – tak to postrzegam. Wliczam w to fanów, muzyków, naszych przyjaciół.* Do swojej ojczyzny (w której jednak już nie mieszka) również czuje się mocno przywiązany: *pokazywanie światu Brazylii, co uważam za wielki zaszczyt, to dziś zadanie Soulfly* – mówi w *Moich krwawych korzeniach*. Często na scenie występuje w żółto-zielonej koszulce reprezentacji Brazylii (mimo że od kilkunastu lat mieszka w USA), w swoich utworach posługuje się rodzimymi, brazylijskimi brzmieniami, śpiewając, używa portugalskich słów, a na jego gitarze wymalowana jest brazylijska flaga. Patriotyzm Maxa widoczny jest również w praktykowanej przez niego religii – mimo że został on ochrzczony przez katolickich hierarchów w watykańskich katakumbach, bliżej mu do synkretycznej i tradycyjnie brazylijskiej religii *candomblé* niż do katolicyzmu. Ta religia łączy w sobie animistyczny spirytualizm z dorobkiem chrześcijaństwa. W Brazylii krąży nawet dowcip, że 90% ludności tego kraju to katolicy, a 110% to *candomblé*.

Cavalera rodzinie poświęca dużo miejsca w swoich utworach. Szczególnie pisze o cierpieniu związanym z utratą swojego ukochanego pasierba, Dany „D-Low" Wellsa. *Skurwysynu, nigdy nie zrozumiesz całego mojego bólu, całej nienawiści* – zwraca się do

jego domniemanych zabójców (Dana zginął w wypadku samochodowym, ale wszystko wskazuje na to, że nie była to przypadkowa tragedia) w wspomnianym już wcześniej *Jumpdafuckup*. *Co czynisz, wróci do ciebie / nigdy więcej kłamstw / zabijasz życie, zabijasz życie / dlaczego, dlaczego /* (...) *skurwysynu* – to z kolei *Bleed*, do którego nakręcono teledysk. Najbardziej jednak Cavalera odkrywa się przed słuchaczem w *Tree of pain* (*Drzewo krzyża*): *dotykam Twego grobu / całuję Twoją twarz / ten ból jest większy, niż mogę znieść / uderzam w Twój grób / wzywam Twego imienia / ten ból jest większy, niż mogę znieść / dla D-Low / każdego dnia modlę się / dlaczego oni odebrali mu życie / to cierpienie, tak bardzo mnie boli / te wszystkie dni, których nigdy nie zaznałem / wszystko, co mam, mój Boże / jest drzewem krzyża.* Mimo cierpienia ufa wciąż Bogu, w *Staystrong* (*Trzymaj się mocno*), który dedykuje również swojemu zmarłemu wnukowi, Mosesowi, śpiewa*: nie zdobędą mnie rzeczy doczesne / doczesność nie znaczy nic dla mnie* (...) *te wszystkie bolesne lata / te wszystkie wylane łzy / nie wrócą mi Cię / wiem że pewnego dnia zobaczę Cię / wiem, że to nie będzie koniec / wiem, że czekasz tam na mnie.* Jako ciekawostkę warto również wspomnieć, że Cavalera ma wytatuowane na ciele imiona swoich dzieci, a w 2000 roku nagrał wraz synem Johna Lennona, Seanem, piosenkę *Son song* (*Pieśń syna*). Zadedykował ją swojemu ojcu, który zmarł w młodym wieku i którego bardzo mocno kochał.

Po wielu latach Max pogodził się ze swoim bratem Iggorem. Nie odzywali się do siebie ponad dziesięć lat. Wcześniej obaj założyli zespół Sepultura, który wyniósł ich na szczyty popularności. *To, co sprawiło nam tyle cierpienia, wreszcie odeszło* – pisał w autobiografii. *Bez brata nigdy nie czułem się do końca szczęśliwy, teraz z kolei moje życie nabrało pełnych kształtów.* Pogodzeni Cavalerowie założyli kolejny wspólny zespół w swoim życiu – Cavalera Conspiracy. Bez ogródek stwierdzę, że od tego czasu wszystkie najlepsze pomysły muzyczne Max realizuje właśnie w tym zespole, po macoszemu traktując Soulfly, który z roku na rok wydaje coraz słabsze (i mniej już osobiste) płyty. W Cavalera Conspiracy nie brak również nawiązań do wiary, np. w *Killing inside* (*Zabicie wewnątrz*) słyszymy wersety z Psalmu 23: *gdybym nawet kroczył ciemną doliną śmierci / zła się nie ulęknę*; a w tytułowym kawałku z ostat-

niej płyty *Babylonian Pandemonium* znajduje się obszerny ustęp z Księgi Jeremiasza (Jr 51, 58): *To mówi Pan Zastępów / Obszerny mur Babilonu / zwali się doszczętnie / Wysokie jego bramy / spłoną w ogniu. / Na próżno więc trudzą się narody, / i z powodu ognia wysilają się ludy*[1]. Ale Iggor Cavalera to niejedyny perkusista z tego brazylijskiego rodu – od 2012 roku w Soulfly gra Zyon Cavalera, czyli urodzony w 1993 roku syn Maxa.

ZAWSZE BYĆ SOBĄ

Max Cavalera jest postacią niestandardową. Mimo swojego nawrócenia na wiarę w Boga i tego, że przylgnęła w zasadzie do niego łatka „dyżurnego ewangelizatora metalu", nie stracił szacunku swojej metalowej braci i cały czas cieszy się jej poważaniem. W udzielanych wywiadach mówi o wszystkim, a nie tylko o Jezusie, jak czynią to niektórzy (znani choćby z naszego polskiego podwórka) zapaleni neofici. Jest legendą metalu, mimo że podczas sesji zdjęciowych nie robi w ogóle groźnych min i nie kopie krzyży, a co więcej, do wzięcia tych krzyży zachęca swoich słuchaczy. Najbardziej osobiste płyty, te, na których śpiewa głównie o swojej wierze w Boga, nagrał, kiedy był mocno uzależniony od alkoholu. Szacunek, którym się cieszy, wynika z tego, że zawsze jest sobą i ma w głębokim poważaniu to, co myślą o nim inni (widać to choćby po tworzonej przez niego muzyce – kto inny łączy metal z muzyką ludową, rapem, reggae, popem i cygańskimi rytmami jednocześnie?). Cavalera nie wstydzi się mówić o swoich uczuciach. Czy jest przez to mniej męski? Wprost przeciwnie. *Gdy moje życie dobiegnie końca, okaże się, że obranie przeze mnie trudniejszej drogi pełnej wybojów opłaciło się – bo to po prostu lepsze* – kończy swoją autobiografię. *Pozostałem uczciwy wobec siebie i za to chciałbym zostać zapamiętany.* Ω

1 Tłumaczenie za Biblią Tysiąclecia.

Maciej Kalbarczyk

Budzy zdaje sobie sprawę z ludzkiej niedoskonałości i z tego, że przez całe życie nikt nigdy nie będzie pewny, co może się wydarzyć po śmierci – stąd owo „być może” pojawiające się pod koniec utworu

Błądzę wzrokiem po półce z płytami w poszukiwaniu albumu na ciemne zimowe popołudnie. Szukam czegoś progresywnego i z przekazem, bez jazzowego nadęcia i tych trochę sztucznych rock’n’rollowych fajerwerków. Nie, nie dzisiaj. Chcę czegoś szczerego, czegoś z duszą.

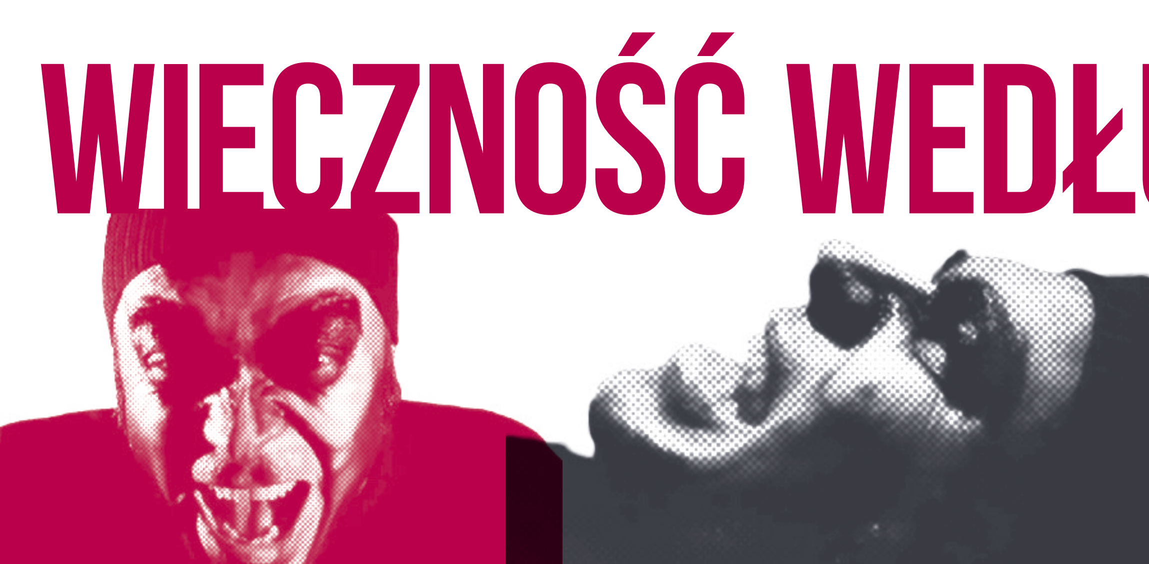
Chcę dostać obuchem w łeb i przypomnieć sobie, co jest w życiu najważniejsze oprócz tzw. robienia sobie dobrze, o którym nieustannie przypominają mi AC/DC, Guns N’ Roses i niezliczona ilość hipisowskich kapel, które brzmią naprawdę nieźle, ale ich wizja świata jakoś nie sprawdza się w rzeczywistości. Dość zagłuszaczy, czas zatrzymać się chociaż na chwilę. Upragniony spokój daje mi co prawda od jakiegoś czasu muzyka instrumentalna, ale szybko wraca głód na dobry tekst...

Przemykam obok Floydów – mój punkt odniesienia: przestrzeń i gitarowe pasaże, solidne, progresywne granie, zwłaszcza pierwsze płyty, ale ten przekaz jakiś miałki, a Waters od nowej interpretacji *The Wall* podczas ostatniej trasy koncertowej zrobił się strasznie lewacki, a może już wcześniej taki był, tylko jakoś nie chciałem zauważyć – wystarczała mi sama muzyka.

WYBIERAM *LUNĘ*

To może Porcupine Tree? Ci dają nieźle, ambientowo i momentami ciężko, w tekstach surrealizm i narkotyczny odjazd... Czyli trochę jak u hippisów, tylko bardziej „artystycznie” – nie, nie dzisiaj. W końcu docieram do „naszych”, jak zwykł niegdyś mawiać mój

WIECZNOŚĆ WEDŁ



ojciec, proponując mi na dobry początek mojej muzycznej edukacji płyty Armii, 2TM2,3 i Houka. Zdaje się, że nie słuchałem tego od ładnych paru lat – czas wrócić do korzeni.

Wybieram *Lunę*, solową płytę Tomasza Budzyńskiego – malarza, poety i muzyka, szerzej znanego przede wszystkim z zespołów rockowych Armia i Siekiera. Album wydany w 2008 roku to zbiór piosenek, które zupełnie nie przypominają punkrockowych kawałków, z którymi Budzyński jest kojarzony. Płyta nawiązuje swoim charakterem raczej do bajkowego klimatu twórczości Tolkiena, z którą utożsamia się sam artysta – jest tajemniczo, progresywnie i apokaliptycznie. Ten tekst nie będzie jednak recenzją owego świetnego skądinąd albumu, który został nagrany już ponad siedem lat temu. Dokonam tutaj próby interpretacji utworu otwierającego *Lunę* – barwne metafory zawsze najbardziej ciekawiły mnie w twórczości Budzyńskiego.

Tomasz Budzyński *Halo, halo* z albumu *Luna*:

Jak droga, po której nikt nie chodzi
Jak cyrk, co nikogo już nie śmieszy
Jak stary słoń na pastwie nieludzkiej

Jak dym, co ściele się po ziemi
Modlitwa, która się nie wznosi
Daleki głos, zupełne nic

Jak sen, po którym się nic nie chce
Jak dzień, co skończył się nad ranem
Dziewczyna stąd, słuchawka odłożona

Jak głupiec, który został królem
Poeta, co wolał być śmieciarzem
Muzyka sfer, początek i koniec

Jak niebo nad dachami wioski
Jak ziemia pod stopami dziecka
Tygrysi skok, Natalia konwalia



Jak pies, co liże twoje rany
Jak obraz, przy którym czujesz się kochany
Jak wody łyk, zupełne nic
Halo, halo
To wszystko jest po drugiej stronie
To wszystko jest już tam
To wszystko jest po drugiej stronie
To wszystko jest już tam
To wszystko jest po drugiej stornie
Być może jest już tam
To wszystko jest po drugiej stronie
Być może jest już tam

Spróbujmy odszyfrować, co autor miał na myśli, ale z jednym zastrzeżeniem: to tylko próba interpretacji, snucie domysłów, a całą prawdę zna tylko sam Budzyński. Wydaje się jednak wielce prawdopodobne, że w przypadku utworu *Halo, halo* odbiorca ma do czynienia z tekstem opisującym wyobrażenia człowieka o życiu po śmierci. Dlaczego? Poniżej spróbuję odpowiedzieć na to pytanie.

Powszechnie wiadomo, że autor jest osobą, dla której sprawy duchowe są najważniejsze – niejednokrotnie dawał temu wyraz w swojej twórczości: zarówno w tekstach utworów muzycznych, jak i w malarstwie. W *Halo, halo* Budzyński poprzez porównania do znanych ludzkiemu umysłowi miejsc, przedmiotów i osób, próbuje opisać rzeczywistość, która wymyka się naszej percepcji. Autor tekstu zdaje sobie sprawę z ludzkiej niedoskonałości i z tego, że przez całe życie nikt nigdy nie będzie pewny, co może się wydarzyć po śmierci – stąd owo „być może" pojawiające się pod koniec utworu.

Pierwszą część tekstu można potraktować jako próbę zobrazowania miejsca, do którego po śmierci nikt nie chce trafić. Można być pewnym, że chodzi o piekło – Budzyński myśli bowiem w kategoriach dwóch skrajności proponowanych przez chrześcijaństwo. Warto zwrócić uwagę, że owo miejsce wymyka się jednak utrwalonym w kulturze czy też w sztuce sakralnej wyobrażeniom – w gruncie rzeczy jest bardziej smutne niż straszne. Ani słowa o piekielnym ogniu i niewyobrażalnych torturach, które spotkają nas w królestwie Lucyfera. Zamiast tego cyrk, który nikogo nie śmieszy, miejsce, w którym modlitwa już do nikogo nie dociera. Jednym słowem: samotność, od której nie ma ucieczki. Wyliczanie kolejnych porównań i jednostajny rytm wiersza (bo tym w gruncie rzeczy jest tekst) sprawiają, że odbiorca wyobraża sobie kreowany przez autora obraz rzeczywistości, na który składają się pojedyncze migawki, fragmenty kliszy z opisywanymi przez Budzyńskiego miejscami, osobami, zdarzeniami. Między innymi właśnie na tym polega wyjątkowość liryki wokalisty Armii – opisuje świat za pomocą obrazów, w końcu nie bez powodu uważa sam siebie przede wszystkim za malarza.

WSPANIAŁE JAK ŻONA

Analogicznie druga część utworu jest próbą opisu rzeczywistości przeciwstawnej piekłu: w niebie nie ma smutku i samotności. Życie wieczne jest wspaniałe jak żona autora (*Natalia konwalia*), daje ukojenie jak pies liżący rany człowieka i wreszcie jest jak obraz, przy którym istota ludzka czuje się kochana. Jednocześnie niebo jest jak *zupełnie nic* – w tym miejscu Budzyński po raz pierwszy z pokorą przyznaje, że tak naprawdę nie jest w stanie opisać rzeczywistości, której nigdy nie widział. Jednocześnie można tutaj zauważyć zaznaczenie wspaniałości tego miejsca – jest tak piękne, że aż brakuje słów.

Natężenie powtórzeń na samym końcu utworu wzmaga poczucie niepewności podmiotu mówiącego. Przyznanie się do niewiedzy i do umiejętności posługiwania się „tylko" ludzkim językiem jest uznaniem własnej słabości i poczucia małości wobec dzieła stworzenia. Język w utworze pełni bardzo ciekawą funkcję – to właśnie za jego pomocą autor pokazuje jego ograniczenie i brak umiejętności pokonania pewnych barier. Za pomocą ludzkiego języka nie da się opisać tego, co znajduje się po owej magicznej, wspomnianej przez Budzyńskiego drugiej stronie, która pozostaje dla człowieka nieodgadniona – wymyka się jakimkolwiek próbom opisu.

W operowaniu językiem można dojść do perfekcji, ale granicą zawsze będzie to, co widoczne dla oczu – cała reszta jest jedną wielką niewiadomą i nawet najpiękniejsze metafory nie pomogą człowiekowi znaleźć odpowiedzi na najbardziej nurtujące pytania. Czy w związku z tym utwór Budzyńskiego w ogóle pomaga człowiekowi dowiedzieć się, jak będzie w miejscach, w których może znaleźć się po śmierci? Wydaje się, że artysta skłania się ku indywidualnej interpretacji i sposobu przeżywania pobytu w królestwach Boga i Lucyfera. Każdy z nas ma dobre i złe wspomnienia – przywoływanie ich podczas życia na ziemi daje nam namiastkę tego, co możemy poczuć po śmierci, ale ostatecznie i tak przecież wiemy *zupełnie nic*...

I takie teksty lubię – niepewność, chwila refleksji nad życiem wiecznym i stymulowanie mózgu do zmierzenia się z tematem życia pozagrobowego, a nie jakieś sex, drugs & rock'n'roll. Czasami warto odtworzyć piosenkę Budzego i przypomnieć sobie, po co my tak naprawdę jesteśmy chrześcijanami, a nie tylko po prostu dobrymi, kierującymi się moralnością ludźmi. Nasza ojczyzna jest w niebie (tak mawia na koncertach Budzy), a życie może być jak *stairway to heaven* lub jak *highway to hell*. **Ω**

SKŁOŃ

MIĘDZY ANARCHIĄ A NIEBEM?

Krzysztof Wołodźko

Na placu Bastylii stał słoń. Słoń z dykty. Miał być ze spiżu, ale Napoleon przegrał wojnę z Rosją i stanęło na pośledniejszym materiale, którego z pewnością nie chciałby opiewać Horacy. Słusznej wielkości był to słoń. Miał podobno 24 metry wysokości. Napoleon nie nacieszył się długo ani nim, ani Francją. Umarł na odległej wyspie, na której nie było miejsca dla słonia i podbojów

Francję po imperatorze przygarnęli monarchiści i burżuje, a słonia – kloszardzi. Ściślej mówiąc – nieletni kloszardzi zamieszkali we wnętrzu słonia. Był wśród nich Gavroche. Tak to przynajmniej przedstawia Victor Hugo na kartach *Nędzników*. Najkrótsza charakterystyka Gavroche'a pióra pisarza, która przeszła też do rodzimego punka, brzmi: *cała anarchia mieści się w uliczniku*. A ulicznik mieści się w słoniu. I oswaja go. Z symbolu posiadania, władzy i podboju czyni swoje schronienie.

Być może słoń z placu Bastylii jest pierwszym przekazanym nam w literaturze pięknej obrazem skłotu.

Jest jeszcze jeden związany z tym zwierzęciem literacki trop, który rzuca pewne światło na sprawę: słoń a sprawa skłotów. To znane opowiadanie Mrożka. Rzecz dzieje się w Polsce Ludowej. W prowincjonalnym zoo, którego *dyrektor okazał się karierowiczem*, ustawiono gumowego słonia, gdyż prawdziwy byłby *wielkim ciężarem na barkach polskiego górnika i hutnika*. Gumowego słonia pokazano uczniom. Nauczyciel poinformował, że zwierzę waży kilka tysięcy kilogramów. Wtedy słoń uniósł się w powietrze – na oczach zgromadzonej przyszłości narodu. Co było dalej? *Uczniowie, którzy wtedy byli w ogrodzie zoologicznym, opuścili się w nauce i stali się chuliganami. Podobno piją wódkę i tłuką szyby. W słonie nie wierzą w ogóle*.

Jest jeszcze jeden trop, daleko wykraczający poza wszystko, co może udźwignąć literatura. Zapisany został w *Dziejach Apostolskich*, u zarania chrześcijaństwa i naszego świata: *Jeden duch i jedno serce ożywiały wszystkich wierzących. Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne. Apostołowie z wielką mocą świadczyli o zmar-*

twychwstaniu Pana Jezusa, a wszyscy oni mieli wielką łaskę. Nikt z nich nie cierpiał niedostatku, bo właściciele pól albo domów sprzedawali je i przynosili pieniądze [uzyskane] ze sprzedaży, i składali je u stóp Apostołów. Każdemu też rozdzielano według potrzeby.

To najbardziej w tym kontekście kontrowersyjny trop. Jego treść i nawiązania do niej są na stałe wpisane w dzieje chrześcijaństwa. Nie tylko w historię katolickiego monastycyzmu, także średniowiecznych i protestanckich heterodoksyjnych społeczności Starego i Nowego Świata. Tych kilka zdań brzmi echem w „chrześcijańskim komunizmie" niemieckiego szewca Wilhelma Weitlinga, utopijnym socjalizmie Charles'a Fouriera, w wielu nurtach świeckiego anarchizmu, odwołujących się niekiedy – ze znaczną dowolnością – do powyższej opowieści z *Dziejów Apostolskich*.

Przyjrzyjmy się bliżej słoniowi. Reprezentuje władzę, instytucje, uporządkowane normami społeczeństwo. Słoń jest czyjąś własnością, którą dla jakichś przyczyn pozostawiono własnemu losowi, nad którą osłabła straż. Słoń z dykty był pustostanem, w którym schronili się ulicznicy. Skłot jest pustostanem, który zajmują outsiderzy, żyjący na marginesie świata pełnego najszacowniejszych praw, pilnowanych przez policjantów i ideologów. Niekiedy bywa tak, że prawa te są mniej lub bardziej bezprawne.

Czym jest słoń z mrożkowego ogrodu zoologicznego? Jest fałszem, próbą manipulacji ze strony uprzywilejowanego członka lokalnej społeczności. Jest nieprawdą władzy, która pragnie mieć rację. Jest przyczyną utraty czyichś złudzeń względem instytucjonalnego świata, jego ładu i hierarchii. Nie wierzmy plotkom: młodzi ludzie niekoniecznie musieli się stać chuliganami, a przynajmniej nie w taki sposób, jaki zwyczajowo kojarzy się z chuligaństwem. Nie sugerujmy się zbytnio kontekstem historycznym: gumowe słonie i dziś unoszą się wysoko pod niebo – choć państwo utraciło monopol na wypuszczanie ich w powietrze. Rzekłbym nawet, że obecnie istnieje wcale prężny rynek „gumowych słoni", z solidnymi popytem i podażą. Rynek na tyle znaczny i technologicznie wyrafinowany, że młodzież i starzy nie odróżniają już dmuchanej zabawki od żywego zwierzęcia.

Strażnicy porządku nie lubią skłotów i skłotersów. Bardzo różni strażnicy. W ubiegłym roku, po Marszu Niepodległości, w trakcie którego wzmożeni narodowo miłośnicy tradycyjnych wartości zaatakowali warszawski skłot Przychodnia, Łukasz Warzecha opublikował na łamach „Faktu" tekst *Skłoty w oparach absurdu i zioła*. Artykuł bardzo dobry, jeśli czytać go jako szkoleniowy: jak zmieścić maksimum uproszczeń w minimum zdań. Mieszało się tam wszystko: lewactwo,



trawka, „Krytyka Polityczna", „Gazeta Wyborcza", Che Guevara i Sasnal. Ironia red. Warzechy była dyskretna jak urok nowej polskiej burżuazji. Chodziło o jedno: obronę świętej własności, którą bezkarnie zajęła hałastra.

Zwracam uwagę na ten tekst, bo prezentował on pewną mądrość, na ogół kojarzoną z tzw. prawicowym światopoglądem, dość dobrze sprzedającą się na łamach prasy brukowej. A ta nie od dziś potrafi połączyć szacunek do porządku publicznego właściwego dla folwarku z cudami Jana Pawła II, zdjęciem „gołej baby" i tajemną wiedzą wróżki.

Interesującej odpowiedzi na artykuł red. Warzechy udzielił na portalu Rebelya.pl Jakub Biernat, dziennikarz telewizji Biełsat. W tekście *Anarchistów i skłotersów czas już traktować poważniej* stwierdzał: *Miałem okazję kilkakrotnie zetknąć się ze skłotersami, ich organizacją, stylem życia i przedsięwzięciami. I trzeba przyznać, że to, co robią, ich wspólnota jest jak na polskie warunki imponująca. Może to utopia, jednak działająca i zapewniająca swoim członkom wsparcie i bezpieczeństwo. I jest to działanie w pełni dojrzałe ideologicznie. (…) Warszawscy skłotersi, jak np. ci zamieszkujący jeden z budynków w centrum miasta: wydają posiłki potrzebującym, zajmują się zaniedbanymi dziećmi z sąsiedztwa, razem z „moherowymi" babciami organizują ruch lokatorski, prowadzą zajęcia dokształcające, kooperatywę żywnościową, warsztaty rzemieślnicze i artystyczne. (…) Wszystko w swoim zakresie bez pomocy z zewnątrz. Ta samodzielność jest zresztą ich obsesją – z pasją uczą się wszelkich praktycznych zajęć, takich jak remonty, gotowanie, naprawa urządzeń, poligrafia itp.*

Czym zatem są/bywają skłoty? Uderzeniem w ład publiczny czy formą samopomocy i samoorganizacji społecznej? Kto żyje wewnątrz wielkiego zwierzęcia z placu Bastylii, starając się negować logikę świata imperatorów i burżuazji, świata pełnego „nadmuchiwanych słoni"? Ulicznicy. Kim jest ulicznik? Człowiekiem, który – z różnych przyczyn – nie chce lub nie może zamieszkać w kamienicy, nie kryje się za ciężkimi firankami mieszczańskich domów, za murami strzeżonych osiedli, za logiką władzy, pieniędzy i wartości, gwarantujących zachowanie społeczno-ekonomicznego status quo. Skłot jest podważeniem ładu społecznego w imię wspólnoty, która nie tylko chce zachować autonomię, ale też stanowi formę czynnego oporu wobec pewnych przejawów zła, na które pozostają na ogół obojętni „dobrzy mieszczanie" lub któremu chcieliby zapobiegać tylko w pewien akceptowalny przez siebie sposób.

Fundamentalny spór dotyczy oczywiście własności, nawet „własności osłabionej", której dość typową formą dla wielkomiejskich cywilizacji zachod-

nich jest pustostan. Tu znów można powróć do porywającej opowieści z *Dziejów Apostolskich*, ale – z czego z rzadka zdają sobie sprawę polscy katolicy – kontrowersje dotyczące „prawa własności" i prawa do jej użytkowania istnieją w Kościele od zarania. W jego łonie formułowano poglądy, od których niejeden dobry mieszczanin zatrząsłby się ze złości.

Św. Ambroży, biskup Mediolanu, tak twierdził w IV wieku po Chrystusie: *Nie z twego własnego dobra dajesz biednemu, ale oddajesz mu to, co do niego należy. Albowiem przywłaszczasz sobie to, co jest dane jako wspólne, na użytek wszystkich. Ziemia dana jest wszystkim, a nie tylko bogatym*. Jego następca na biskupstwie, św. Augustyn, mówił z kolei, że dobra zbyteczne bogatych stanowią dobra konieczne ubogich. Z całą klarownością do kwestii własności (i jej zaboru) odniósł się dobrych kilka wieków później św. Tomasz z Akwinu, kontynuując tradycyjną myśl Kościoła: *Jeśliby jednak ktoś znajdował się w koniecznej potrzebie tak nagłej i oczywistej, że nie ulegałoby wątpliwości, iż należy mu natychmiast pomóc tymi środkami, które są dostępne, np. gdy jakiejś osobie zagraża niebezpieczeństwo i nie można inaczej jej dopomóc, wówczas wolno jej zaradzić tej koniecznej potrzebie przez jawne lub potajemne zabranie rzeczy cudzej. W takim wypadku nie będzie to właściwie ani kradzież, ani rabunek*. Każdy z wymienionych tutaj pochodził z rodów/rodzin wysoko umiejscowionych w hierarchii społecznej. Wiara oczyściła ich ze stanowych przesądów. Na tym polegała rewolucja chrześcijaństwa, która pewnie już się na tym świecie nie powtórzy.

Niezależnie od tego, jak warunkowo katolicka nauka społeczna traktuje prawo własności, nie ulega wątpliwości, że właściciel pustostanu – w świetle współczesnych przepisów – ma prawo (i możliwości), by domagać się opuszczenia przez skłotersów dobra pozostającego w jego posiadaniu. Dlatego skłot nie jest domem, nie jest źródłem familiarności z jej dobrymi i złymi cechami, wszelkimi konsekwencjami społecznymi. Wszak familiarność znajduje spełnienie w spokoju domowego ogniska i brudnym kapitale społecznym. Skłot jest zbyt kruchy, by stać się domem, funkcjonuje na granicy prawa lub poza jego granicą, nie znajduje zabezpieczenia w instytucjach publicznych, choć może cieszyć się pewną pobłażliwością ze strony samych społeczności, w których obrębie się znajduje. Skłot to schronienie outsiderów, którzy nie są nihilistami – sięgają po inne sposoby i uzasadnienia dla bycia razem niż te, które mają na ogół do zaoferowania „uporządkowane społeczeństwo", państwo, rynek czy religie.

A co z niebem?

W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Ω





Tomasz Rowiński

CZY JEST JESZCZE MOŻLIWA POEZJA KATOLICKA?

Poezja religijna znajduje się w martwym punkcje, jest wyczerpana – ani nie jest sakralna, ani nie jest świecka i nie reprezentuje świata zbudowanego na Logosie

Przed rozpoczęciem pisania tego tekstu przeczytałem recenzję książki Wojciecha Kudyby *W końcu świat*, którą w „Odrze" opublikował Przemysław Witkowski. Mam też ochotę ją podsumować w stylu jej autora: *Strasznie nie lubię takich nadętych recenzji, męczy mnie pyszałkowatość, która przystoi studentom, a nie autorom poważnych pism, nuży mnie to nieustanne narzekanie na religijność etc.* Poza tym z chęcią dodam, że z licznymi zarzutami Witkowskiego się zgodzę. Szczególnie tam, gdzie demaskuje on kalki poezji religijnej, nazywanej przez niego *klasyczną polską poezją katolicką*, które to określenie nie jest dla mnie już tak oczywiste. Zapewne Witkowski styka się z polską poezją religijną – i do tego współczesną – w wykonaniu autorów katolickich, stąd takie utożsamienie. Pozwolę sobie na razie na niewielkie zastrzeżenie – nie każda religijna poezja pisana przez katolików jest moim zdaniem katolicka.

Niestety jest też coś prawdziwego w zarzutach Witkowskiego, jeśli chodzi o wiersze Kudyby. Szczególnie gdy zarzuca autorowi rodzaj manieryczności, w której *mieszają się Biblia, dzieciństwo, akty religijne, wycieczki w góry, a wszystko to pozwala dotrzeć do Pana i zachwycić się Bożymi dziełami jak parujący czajnik, książki Tomasza z Akwinu czy Połonina Wetlińska*. Do tego dochodzą obowiązkowe anioły i duch panteizmu, nużący nieco. To ciekawe swoją drogą – czy poezja katolicka może być panteistyczna? Trudno oczywiście nie uśmiechnąć się na ten zabawny anachronizm Witkowskiego – wątpię, by ktokolwiek, kto miał do czynienia z pismami Doktora Anielskiego, materialnie poznając je z książek, pomyślał o nich jako o „książkach Tomasza z Akwinu". Zostawmy jednak te żarty z recenzenta.

Tyle jest mojej zgody z Witkowskim, którego krytyka książki Kudyby sprowadza się do tak czy inaczej wyrażonego znudzenia, a to akurat jest żaden szczególny argument, ponieważ ogranicza się do romantycznej i subiektywnej nieokreśloności. Witkowski pisze na koniec: *Poezję tego typu piszą przede wszystkim księża i znajduje ona sympatyczny odzew w ich parafiach. Gdzie jednak znajduje się parafia Kudyby, nie mam pojęcia. Trzeba natomiast pochwalić stronę edytorską: dobry papier i światło. Dużo miejsca do robienia notatek. Szkoda tylko, że krytycznych*. Bardzo jestem ciekaw tych licznych krytycznych uwag i tego, czy nie sprowadzają się one – mówiąc w skrócie – do opisów ziewania, jakie u licznych autorów wywołuje już sama myśl

o nawiązaniach religijnych w sztuce. Jednak moim zdaniem nie chodzi o to, czy ta poezja jest nudna, tylko jaka właściwie jest i czy naprawdę potrzebujemy takiej poezji religijnej. To, co pisze Kudyba, jest dla mnie czymś innym niż poezja, która mogłaby być wyrazem katolickiej liryki, a zatem istniejącego w świecie napięcia pomiędzy natura i łaską.

Zanim jednak rozwinę ten wątek, podzielę się swoimi wrażeniami z lektury książki *W końcu świat*, które poprzedziły zapoznanie się z jej recenzją. Na słuch najlepsze wydały mi się wiersze, w których nie otrzymywaliśmy wyskakujących – nomen omen – *Deus ex machina* postaci Boga czy toposu Kościoła. Po prostu wydawało się to sztuczne, doklejone jak certyfikat bogobojności. Być może podobne wrażenie miał Witkowski, gdy podsumowywał strukturę liryków zawartych w książce Kudyby w taki oto sposób: *schemat utworu składający się z nieoczywistego, kluczącego i zwodzącego czytelnika wprowadzenia/opisu, prowadzącego do „zaskakującego" zakończenia, wspólny jest wielu wierszom Kudyby z tego tomu*. Te zaskoczenia przeważnie zgrzytały i pachniały dydaktycznie.

Pozwolę sobie na „wysokie" – skoro komentujemy „poezję katolicką" – zestawienie tych wierszy z dwiema formami rzymskiej liturgii – msza trydencka niewiele przekazuje słowami wprost skierowanymi do wiernych, co więcej, wiele się nie rozumie w lot albo nawet w ogóle, ponieważ są to słowa wypowiadane po łacinie, nie chwyta się też emocji celebransa, który zwrócony jest *versus Deum*. To, co oddziałuje, to przede wszystkim liczne elementy antropologicznie naturalne, jak rytuał, piękno, harmonia i porządek – elementy dydaktyczne są minimalne. Nowa liturgia mszy według mszału Pawła VI często wręcz zamienia się w potok słów. Jeden z liturgistów dominikańskich swego czasu napisał wprost, że katolicka liturgia po Soborze Watykańskim jest przegadana. Gadulstwo jest charakterystyczne dla dydaktyzmu, który opiera się na przekonaniu, że to wypowiadane i usłyszane słowo ma największe znaczenie dla duszy odbiorcy. W parze z dydaktyzmem często idzie niechęć do formy, której nie traktuje się jako narzędzia formacji duchowej, ale jako ekspresję, sterowanie emocjami, a nie utrwalanie ładu zawartego w pięknie. Kudyba stara się unikać tej drugiej pułapki, jednak pewnego rodzaju religijny „romantyzm", który punktuje Witkowski, wydaje się dominować.

Z wierszami Kudyby mam trochę podobny problem jak z muzyką współczesną (zarówno poważną, jak i rozrywkową), którą lubię. Szerzej, jest to problem z doświadczeniem kultury europejskiej, jakim był przełom romantyczny. Muzyka jako obraz świata, czerpiąca z jego matematyczności,

z porządku sfer, którego źródłem jest Bóg, zostaje odrzucona na rzecz indywidualistycznego wyrazu. W obszarze twórczości religijnej mamy wobec tego do czynienia z pogłębianiem się podejścia nominalistycznego. Dobrze rozpoznajemy ten rodzaj twórczości, który wykorzystywał choćby formę mszy, by połączyć ją z dźwiękami nadającymi się jedynie do sali koncertowej. Dziś w dużo niższym stylu dotyczy to tzw. muzyki chrześcijańskiej, którym to mianem określa się jakąkolwiek muzykę (jeśli chodzi o gatunek) opatrzoną religijnym tekstem. Ignoruje się, że to same dźwięki, harmonie, struktury osadzają się w ludzkiej duszy, skłaniając ją ku Bogu lub od niego odwracając.

Poezja Kudyby traci przede wszystkim, gdy staje się właśnie dydaktyczna i manieryczna w opisach, gdy narzuca ową nominalną katolickość. Nie jest to jednak właściwie jakiś szczególny zarzut w stosunku do poety, ale raczej do świata, w którym żyjemy, który oczekuje od nas nominalnych tożsamości. Tymczasem poezja katolicka nie musi być (co nie znaczy, że nie może) w ogóle poezją religijną w takim sensie, jak ją rozumie choćby Witkowski. Problem polega na tym, że złączone ze sobą tożsamość i nominalizm odpowiadają obrazowi świata, którego opowieść została rozbita, który zagubił klasyczne formuły opisujące to, co naturalne i, owszem, też to, co nadprzyrodzone. Z drugiej jednak strony sztuka katolicka może powstawać zupełnie poza nominalnymi tożsamościami chrześcijaństwa, kiedy sama odnajduje elementy normalnego świata – przykładem może być jedność przednowoczesnej muzyki sakralnej i świeckiej, ale też rozmaite współczesne obrazy filmowe twórców niekoniecznie katolickich, o czym pisał choćby Piotr Kaznowski w „Christianitas", przychylnie recenzując bardzo ostro krytykowany z pozycji nominalizmu chrześcijańskiego film *Noe* (*Noe, czyli kino katolickie*, „Christianitas" 56–57/2014, zob. także na Christianitas.org).

Poezja religijna znajduje się w martwym punkcie, jest wyczerpana – ani nie jest sakralna, ani nie jest świecka i nie reprezentuje świata zbudowanego na Logosie, a wydaje się przenikniętą fideistycznym westchnieniem. Zagubiona, jeśli chodzi o źródła, poezja sakralna służy modlitwie, poezja świecka uciesze, pamięci, mądrości. Czemu służy poezja, która niczemu nie służy, dosłownie, która niczemu i nikomu „nie posługuje"? Czy ktoś o tym pamięta, że poezja przychodzi spoza nas? Szukanie jej w sobie zawsze prowadzi do nudy, która skłania do poszukiwania coraz to nowych pociech (Przemysław Witkowski wydaje się dobrym reprezentantem takiej kultury). Tymczasem Bóg jest gdzie indziej. Nie tu. Ω



IMIĘ POZNANIA: DYSKRECJA

SŁOWO O WIERSZACH WOJCIECHA KUDYBY

Adrian Gleń

1. WOJCIECH KUDYBA A SPRAWA „POEZJI KATOLICKIEJ"

Korespondencyjny spór o poezję Wojciecha Kudyby, jaki rozegrał się na łamach dwóch numerów wrocławskiej „Odry", mógłby stać się zapewne jeszcze jedną odsłoną teoretycznoliterackiego dramatu pod nazwą „czym jest i jak istnieje polska poezja katolicka?". Prawdopodobne, iż znajdą się chętni, aby tak widzieć swoisty dialog pomiędzy redaktorem ósmego arkusza „Odry", Przemysławem Witkowskim, autorem zjadliwego pamfletu skierowanego wobec pisarstwa autora *Gorców Pana* (zatytułowanego nieco pretensjonalnie *O Bogu, przyrodzie i byciu Karolem Wojtyłą*, „Odra" 2014, nr 7/8), a Jackiem Łukasiewiczem, który (w numerze październikowym tegoż pisma) wziął w obronę twórczość nowosądeckiego poety. Nie będę szczegółowo relacjonować przebiegu owej „korespondencji", ograniczę się jedynie do zacytowania kardynalnej formuły, jaka pada w szkicu Witkowskiego: *Jest tu* [w tomie *W końcu świat*] *wszystko to, czego nie znoszę u poetów katolickich: anioły, nudne opisy wędrówek górskich i pielgrzymek, tani panteizm*, kilka zdań wcześniej zaś autor „prostodusznie" deklaruje również, że nie wyobraża sobie lektury tych wierszy odbywanej „dla przyjemności". Bynajmniej, nie chcę rozwodzić się nad ciasnym pojmowaniem recepcji poezji, epatowaniem egotycznymi predylekcjami i pospiesz-

Laickość sztuki wydaje się niepisaną zasadą



nym wartościowaniem – obecnymi w tekście Witkowskiego – zbyt łatwy to materiał na karykaturę, zbyt wątły zaś na polemikę. Interesuje mnie jednakowoż ujawniający się w tym dwugłosie pewien stale obecny w polskiej refleksji i chyba nierozwiązany dotychczas dylemat: jakiej poezji religijnej potrzebujemy? Do kogo poezja religijna jest skierowana?

Celowo zmieniam użyte wyżej sformułowanie „poezja katolicka" na „poezję religijną" – uważam bowiem, że to pierwsze, zastosowane do nazwania pisarstwa Kudyby (zwłaszcza w takim jak u Witkowskiego kontekście) nie jest imieniem wierszy, lecz stygmatem o, bynajmniej, niemistycznym znaczeniu. (Nie chcę – rzecz jasna, nie miejsce tu na to – wikłać się w chyba dość jałowe rozważania na temat statusu „poezji katolickiej", jak i samego tego pojęcia; w historii polskiej poezji na stałe znaleźli się Liebert, Wojtyła, Twardowski czy Pasierb, to prosty dowód na to, że terminem „poezja katolicka" nie warto szafować i żadna nonszalancja nie jest tutaj usprawiedliwiona).

Wydaje mi się, że można dzisiaj mówić – zaryzykujmy taką tezę – o marginalizacji w głównych nurtach krytycznych i historycznoliterackich opisów dzieł tych poetów, którzy mają odwagę ujawniać swój określony pogląd religijny czy otwarcie deklarują

religijną przynależność, włączając w obręb poetyckiego świata rekwizyty i emblematy związane z daną religijną symboliką czy prezentując wyrazistą postać świata sakralnego. Laickość sztuki wydaje się niepisaną zasadą wartościowania dzieł artystycznych, wyznacza – dyskursywnie zarysowany – horyzont społecznie wykształconego oczekiwania. (Szkic Witkowskiego wydaje się w tej mierze „idealnym" produktem istniejącego schematu percepcji, problem w tym właśnie, że sztanca to już i bardzo ograna, i samokarykaturująca się).

Będąc zdecydowanym przeciwnikiem apriorycznych modeli czy stylów odbioru (staram się, by w krytycznoliterackim pisaniu prowadziły mnie tylko dwie dewizy – butorowska: „tekst ma zawsze rację", i gutorowowska: „czekam, aż wiersz przemówi do mnie i powie mi: tego nie było w programie" – umożliwiające postawę głębszego nad wierszem namysłu i gotowość, aby ów mnie przemienił), oczekuję, że słowo poetyckie dotknie, poruszy ten obszar mojej religijnej wrażliwości, w którym skrywa się to, co we mnie utajone. Poezji religijnej nie można czytać, odrzucając z góry możliwość takiej przemiany (pisał o niej wszak Rilke, fenomen to podstawowy i absolutnie nic nie ma tutaj do rzeczy rzekoma „neutralność krytyka") oraz otwartość na transcendencję. Nie można jej czytać niepersonalistycznie, nie brać jej do siebie. O takiej poezji powinni milczeć ci, którzy chcą mierzyć ją jedynie cezurami swojej językowej kompetencji i predylekcji. Z wiersza religijnego bije głębokie wezwanie do mnie właśnie skierowane: już czas, każde słowo patrzy na ciebie, zdołasz mu odpowiedzieć?

Z wiersza religijnego bije głębokie wezwanie

Można by, najpewniej w innym miejscu, przepisać olbrzymią bibliografię dotyczącą teoretycznych rozważań na temat definicji (i definiowalności) poezji religijnej. Ale sądzę, że można też rzecz uprościć (z góry pragnę przeprosić przedstawicieli dwóch wielkich szkół badawczych, lubelskiej i krakowskiej, zajmujących się pojęciami sakralności literatury za tę swoistą eseistyczną nonszalancję). Jaki wiersz nazwalibyśmy wierszem religijnym? Być może po prostu taki właśnie, który zdolny jest ugodzić nas w samo serce naszego metafizycznego drżenia, naszej religijnej potencji (wierzę, że jest ona przyrodzona każdemu osobnikowi rodzaju *homo sapiens*, nawet jeśli ten deklaruje inaczej, któż bowiem, zapytywał

chyba najsugestywniej w *Domu ciszy* Orhan Pamuk, wytrzymuje owo „oko w oko z nicością”?), dyspozycji do poszukiwania, jak napisał ks. Józef Tischner w *Porządku zbawienia*, „indywidualnej teofanii”.

W drodze po złote runo zbawienia, w wyprawie po nieosłonięte dobro, po nieutuloną zgodę – zawsze jesteśmy wprzódy prawdziwie samotni: wplątani w przedziwną egzystencję własną, w obrębie której zawiązujemy, zawsze przecież nietrwałe, sojusze i wspólnoty. Aby coś zrozumieć, na chwilę, mgnienie ledwie. Aby podjąć zobowiązanie. Nie trwać na rozdrożu do (i bez) końca, ruszyć w stronę Miasta. Być może właśnie w takim miejscu znajduje się dzisiaj duża część naszego społeczeństwa: wątli, rozdwojeni w sobie, na styku kultur, tradycji i historii, bardziej niż kiedykolwiek potrzebujący poetyckiego zewu i przewodnictwa.

Kiedy zapytałem niedawno moich studentów, którego z XX-wiecznych polskich poetów uważają za najbardziej religijnego, padła odpowiedź wychodząca naprzeciw tej prostej diagnozie: Tadeusz Różewicz. Któż inny – tak otwarcie, tak głęboko, tak autentycznie – nie zdawał sobie sprawy z dotkliwości odchodzenia Boga, opuszczenia Boga przez człowieka? Któż potrafił sugestywniej wskazywać na pokłady religijnej wrażliwości i języka, które nie uległy erozji mimo totalnej katastrofy Historii, Człowieka, Umysłu? Któż wreszcie – w tym wstrząsającym swoją prostotą wierszu – nie wstawiał czytelnika mocniej w przestrzeń decyzji? Któż był bardziej przekonującym piewcą wyboru Chrystusa w sytuacji, gdy „Wszystko Dzisiaj” umiejscawia prawdę gdzie indziej (proszę przeczytać jeszcze raz np. wiersz rozpoczynający się od incipitu **** Dostojewski mówił…* z tomu *Wyjście*)?

Ruszyć w stronę Miasta

Dlaczego tyle miejsca o Różewiczu? Chcę bowiem postawić tezę niezwykle przewrotną, która zrazu wydać się może historycznoliterackim szaleństwem: moim zdaniem poezja Wojciecha Kudyby realizuje pewien model poezji religijnej bliski różewiczowskiemu, model, który nazwę tutaj: **modelem religijności ewokowanej** (teoria ewokacji Stefana Sawickiego, zdradzał to Wojciech Kudyba kilkakrotnie w swoich głębokich esejach i poematach, jest mu bardzo bliska), w obrębie której wiersz staje się dyskretnym napomnieniem, sekretnym śladem obecności Boga w świecie,

dokonanym jakby na przekór owemu „Wszystko Dzisiaj", czułym **zaproszeniem w gościnę poetyckiego poszukiwania Boga**, zaproszeniem – użyjmy teraz tego kluczowego dla mnie słowa – dyskretnym.

Dyskretnym – jak dyskretna jest zawsze rozmowa z upadającym, niewiernym, poszukującym, buntownikiem… – jak trudna jest, i subtelna zarazem, praca ewangelisty, który pochylić się musi wprzódy nad całą „biedą" człowieka, o jakiej pisali Buber i Levinas, aby dotrzeć z Bogiem w owo sekretne miejsce, gdzie spoczywa utajone w człowieku pragnienie Boga.

Dyskrecja jako rewers pewności, która rodzi jedynie hałas i chaos (*discretio* wszak przeciwstawia się *discrepatio* – „nierównemu brzmieniu", „pierwotnej niezgodności"), otwierająca przestrzeń tego, co w wierszu nie poddaje się metodycznej eksplikacji, co pozostaje poza wewnętrznym językiem i systemem wartości krytyka, co – mówiąc krótko – przekracza nasz dotychczasowy obraz rzeczywistości. Ta dyskrecja jest dla mnie podstawowym imieniem wierszy Wojciecha Kudyby. Właśnie w to, co dyskretne w wierszu – ewokujące religijność – powinniśmy się wsłuchiwać najbaczniej, używając siły empatii, wyczulenia.

I odpowiadać.

2. *W KOŃCU ŚWIAT* – POEZJA DYSKRETNA

Dyskrecja jest dla mnie podstawowym imieniem wierszy Wojciecha Kudyby

We wstępie do zbioru swoich wierszy, sumującego niemal całą dotychczasową drogę nowosądeckiego poety, Wojciech Kudyba sygnalizuje swojemu czytelnikowi, jak ważną kategorią w jego myśleniu i pisaniu odgrywa „całość"[1]. Powiedzmy jednak od razu, iż nie jest to kategoria systemowa, żadna figura totalizująca, autorowi *Gorców Pana* nie idzie o to, aby budować świat wielkiej syntezy. Gest ułożenia w określonym porządku, przepracowania utworów powstających od prawie dekady nie jest również motywowany (zgoda, to nieróżewiczowskie) widzeniem literatury jako całości, którą należy nieustająco łamać, a wiersza jako tekstu, który jest nieledwie *work-in-progress* (choć z drugiej strony można by zapew-

1 W. Kudyba, *W końcu świat*, Biblioteka „Toposu", t. 94, Sopot 2014, s. 5 (cytaty z tego wydania oznaczam skrótem: WKŚ).

ne rzec, iż pisanie to „postępująca praca": nad sobą, nad językiem, nad wierszem, który z każdym trafniejszym słowem przybliża nas do głębszego poznania…).

Czym zatem podyktowana była decyzja ponownego wstąpienia do strumienia własnego pisarstwa, który, wydawało się, już dawno się przetoczył (*W końcu świat* skupia w sobie wiersze, które znamy z tomów: *Tyszowce i inne miasta*, 2005; *Gorce Pana*, 2008; *Ojciec się zmienia*, 2011)? Być może **pragnieniem nieustannego wykraczania ku**, u podstaw którego stoi („personalistyczne") przeświadczenie, że wiersza od Autora oderwać niepodobna, że wiersz jest organiczną częścią czucia rzeczywistości określonego człowieka, że wędruje poprzez czas tak samo, jak ów człowiek, z którym jest związany. Skoro wiersz jest świadectwem naszego rozwoju, doświadczeń, rozmów, tedy naturalną rzeczą jest także i to, że wraz z nami rośnie, dojrzewa i umiera…

W końcu świat nie jest przeto summą czy rekapitulacją (w tych ekonomicznych metaforach akcentujemy wszak wysiłek bilansowania zmierzający do powiększania zgromadzonego materialnego kapitału). Nie mam na gest Wojciecha Kudyby (rzadki w polskiej literaturze) jednego dobrego określenia: to raczej próba jednoczesnego zakreślenia kręgu i wyjścia zeń, ustalenia postaci siebie-z-wierszami – ale tak, aby można ją było porzucić, zostawić w Drodze ku Ostatecznemu („jedno życie to za mało…", WKŚ, 109). Wiersz bowiem jest jak „miejsce rozmowy" z Bogiem, „brzmi jak wezwanie – zupełnie osobne, skierowane / Tylko i wyłącznie do mnie" (*Miejsce*, WKŚ, 37). Trzeba przeto zarysować terytorium, w poprzek którego wiodą ścieżki, na których dało się Go odczuć. Temu trzeba sprostać, przejść – w takie oto koncentryczne kręgi wpisuje swoje wiersze Kudyba – inne góry, inne miasta, odnaleźć w naszym, niecodziennym porządku tego, kogo brak – tu i teraz. I podążać dalej.

Zostawić w Drodze ku Ostatecznemu

Co w takim razie dyskretnie podpowiada nam swoją poezją Wojciech Kudyba? Po pierwsze, co dobrze rozpoznał i przekonująco opisał Jacek Łukasiewicz, oryginalną, głęboko humanistyczną wizję powszechnego Kościoła, który budujemy w każdej chwili nie tylko swoimi decyzjami, lecz także za sprawą umiejętności empatycznego widzenia siebie w świecie innych (aby to dobrze poczuć,

wystarczy przeczytać np. wspaniały liryczny *Wóz siana*, WKŚ, 20). Po drugie, i na tym chciałbym się głównie skoncentrować, całą złożoność naszej percepcji Boga.

Czemu Cię nie ma, chociaż ciągle jesteś? – pyta bohater wiersza *Kopia Górka* (WKŚ, 70). W tym nieprzejrzystym, opartym na paradoksie pytaniu skupia się, jak to widzę, specyfika doznawania tego, co boskie w wierszach Kudyby. Bóg dyskretnie obecny jest – w świecie i świetle tej poezji – w swoim stworzeniu, jego poszukiwanie rozpoczyna się od epifanijnego zachwytu – zainicjowanego z nagła i jak gdyby poza ludzką wolą. Zrazu zjawia się jako *Inne, niepojęte. / To, co w nas tkwi – ta zadra / Wciąż dotyka, męczy /* […] */ Czuwa w kamieniach / Na skraju ogrodu /* […] *Coś, co jest ciszą / Coś, co głośno krzyczy* (WKŚ, *Kowaniec*, 45). Dopiero później przychodzi w postaci znaków (zob. np. *Plewienie marchwi*, WKŚ, 14), których jednak status jest zawsze problematyczny i skomplikowany, jakkolwiek zastać je możemy zawsze w tych samych miejscach (*Odnalezione*, WKŚ, 17). Z nich to buduje się – w kolejnych aktach-wierszach szukania – mapa przestrzeni boskiej obecności, w której obrębie specjalne miejsca przypadają Ogrodowi (a w nim szczególnie Bramie) i Miastu (zob. np. *Jamna*, WKŚ, 73; *„On będzie miasto”*, WKŚ, 29; *Ktoś, kto rozmawia*, WKŚ, 39).

Nie ma tremendum, *nie ma* majestas!

W tej teofanii nie ma *tremendum*, nie ma *majestas*! Zdecydowanie bliżej bohaterom wierszy Kudyby do doświadczania Boga podczas pełnego uniesienia zachwytu i radości, świątecznego *fascinans*; wówczas i Bóg przychodzi bliżej, jak w pięknym zimowym tańcu w *Sykstynie. Kulig* (WKŚ, 51), czy w urzekającej prostotą dziecięcej zabawie z *Widoku ze Sralówek do doliny ucichłej* (WKŚ, 48).

Był cały jak śnieg – czytamy w wierszu *Przyjście* (WKŚ, 98), moim zdaniem najpiękniejszym utworze w całym tomie. Owo *jak* wyznacza tutaj przestrzeń analogii „teologicznego widzenia” (takich poszukiwań jest w poezji Wojciecha Kudyby znacznie więcej, dla porównania – *Woda*, WKŚ, 78; *Ogień*, WKŚ, 79; *Wiatr*, WKŚ, 80; *Ziemia*, WKŚ, 81). Bóg jest poprzez swoje stworzenie, nie jest absolutnie transcendentny, nie jest samoswój, potrzebuje swojego dzieła, aby się objawić. Pan przybiera postać śniegu. Nie jest śniegiem, nie jest w śniegu. Jest *jak* śnieg. Przyjrzyjmy się tej Jego obecności. Sytuuje się ona, jeśli tak wolno napisać, pomiędzy

widzialnością i abstrakcją, pomiędzy czuciem i przeczuciem. Jest samą granicą, gdzie kończy się władza naszych zmysłów, a nie zaczyna jeszcze praca *ratio*. Efemeryczne „ciało śniegu" zmienia się przecież w kroplę, gdy tylko chcieć je pochwycić…

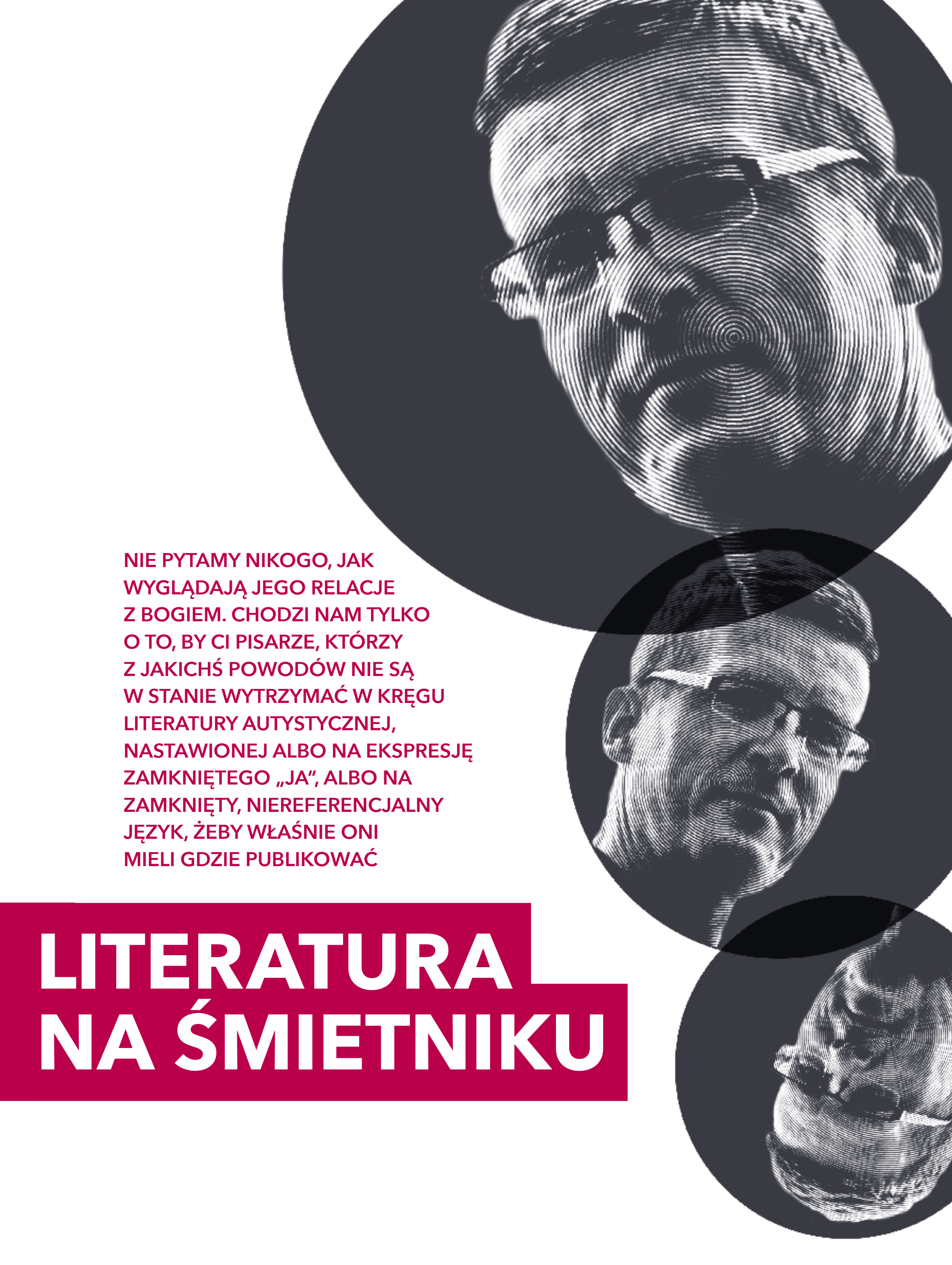
To nie jest bynajmniej, jak chciał nieuważny młody krytyk, wskazywanie Boga wciąż tak samo się objawiającego. Siła i znaczenie poetyckiego wyrazu polega tutaj na rysowaniu indywidualnej drogi w Jego Pobliże. Zresztą, zauważmy, nowosądecki autor akcentuje przede wszystkim **utajone bytowanie** Boga, jego **milczącą obecność** (zob. np. wiersz *Kraków*, w którym Bóg *milczy, rozmawiając – Kraków*, WKŚ, 31). Ale i tęsknotę za stworzeniem, w którym Bóg chciałby się, jako samotny, na powrót objawić, zbudować znów pełną Wspólnotę. Tak widzi to bohater tych wierszy i notuje: *Ktoś nam daje znaki /* […] */ Dlatego, że jest.* (*Ziemia święta*, 28); *Wciąż idzie ktoś, kto chce dziś spocząć* (*Noc*, WKŚ, 52).

Ten, który płynie, który wciąż przybywa (*Ktoś, kto rozmawia*, WKŚ, 39), udziela się w chwilach ekstatycznej radości, w szczerej, głębokiej rozmowie, podczas cichej i pokornej kontemplacji, która wiedzie jednak nie do uchwycenia boskiego bytu, stałego i niezmiennego, lecz przelotnego dotknięcia śladu Boga, co pozwala *odsunąć ciemność*, zobaczyć, na mgnienie oka, *wszystkie kolory rzeczy* (*Pogoda*, WKŚ, 22). Aby jednak ochronić w sobie (przed czasem wszelkiego „rozproszenia sensu") ową dyspozycję do wymiany dotyku z tym, co boskie, trzeba koniecznie pozostawać w gotowości do przemiany. Jakżeż pragniemy tej chwili, kiedy wreszcie zdolni będziemy do *czułego milczenia*, stawania się *stolicą Pana* (*Stolica*, WKŚ, 42). Ale to wciąż i dopiero przed nami, w sferze owego ku.

Bogata, złożona i niejednoznaczna to poezja, poezja, dodajmy, w której doskonałość stylistyczna i formalna nie jest głównym celem. Wiersz Wojciecha Kudyby, jak przenikliwie napisał Jacek Łukasiewicz, stanowi (wizualną i akustyczną) osłonę dla kruchego piękna doświadczanej z rzadka teofanii. A ja dodam jeszcze tylko – jest lekcją dyskrecji: dla naszej wrażliwości, wyobraźni, czucia i mowy.

A czyż nie tego właśnie dzisiaj najbardziej brakuje?! Ω





NIE PYTAMY NIKOGO, JAK WYGLĄDAJĄ JEGO RELACJE Z BOGIEM. CHODZI NAM TYLKO O TO, BY CI PISARZE, KTÓRZY Z JAKICHŚ POWODÓW NIE SĄ W STANIE WYTRZYMAĆ W KRĘGU LITERATURY AUTYSTYCZNEJ, NASTAWIONEJ ALBO NA EKSPRESJĘ ZAMKNIĘTEGO „JA", ALBO NA ZAMKNIĘTY, NIEREFERENCJALNY JĘZYK, ŻEBY WŁAŚNIE ONI MIELI GDZIE PUBLIKOWAĆ

LITERATURA NA ŚMIETNIKU

ADRIAN SINKOWSKI: Autor *mówi coś, co powie każdy mądry człowiek: pewien język komunikowania treści wiary przetarł się i ci, którzy próbują go jeszcze używać, wchodzą w stan śmieszności*. Domyślasz się, o kim mowa?

WOJCIECH KUDYBA: Obawiam się, że jeśli się przyznam, zapytasz, czy uczę się recenzji moich wierszy na pamięć.

A uczysz się?

– Żartujesz? Myślisz, że się nudzę? I to podwójnie, bo na dwóch etatach? Że prowadzę seminaria magisterskie i doktoranckie przez sen, na wykłady, konferencje i panele zawsze przychodzę nieprzygotowany, a teksty naukowe podpowiada mi daimonion? No dobra, akurat ten fragment zapamiętałem, bo trafia w samo sedno poważnego problemu, którym zajmowałem się przy doktoracie, a potem na łamach „Tygodnika Powszechnego" brałem udział w dużej debacie o relacjach pomiędzy językiem religijnym i potocznym. Od 2005 roku imperatyw odnowy języka religijnego zacząłem też mocno wpisywać we własną twórczość. Spośród recenzentów tylko Ewa Kiedio to wychwyciła – wagę tego problemu: że jeśli nie będziemy odnawiali języka naszych doświadczeń wiary, to one skostnieją w sztywnych formułach i nie zdołamy ich nikomu przekazać.

Krok naprzód i krok w tył – tylko w ten sposób, według Czesława Miłosza, daje się pisać poezję religijną.

– Chyba wiem, co chcesz powiedzieć. Oczywiście, heroldowie nowych czasów łykają niekiedy tak silne dawki arogancji, że chcą reformować nie tylko język, ale wręcz samego Boga, który jawi im się jako zbyt konserwatywny. Pewne odłamy zachodniego chrześcijaństwa rzeczywiście idą w tę stronę. Miłosz świetnie to rozumiał i w różny sposób od chrześcijańskich modernistów się dystansował. Stąd ten ciekawy paradoks kroków w tył i w przód – paradoks konserwatywnego postępu czy też postępowego konserwatyzmu. Chodziło mu – tak myślę – o to, że poeci religijni, chcąc być uczestnikami żywej kultury, muszą jednocześnie otworzyć się na zmiany i pytać o ich kierunek. Każdy pisarz odczuwa napięcie pomiędzy tradycją a innowacją. Ono ma charakter dialektyczny, bo chodzi ostatecznie o to, czy przemiany mowy, w których uczestniczymy, nie obracają się przeciwko nam samym. Chodzi o jakość literatury. Według Miłosza arcydzieła to takie utwory, które są niesłychanie innowacyjne, pozostając jednocześnie wierne korzeniom kulturowym wspólnoty, do której się zwracają. Tylko genialny twórca potrafi udźwignąć w języku to napięcie.

Zamiast narzekać, że poeci religijni dyskryminowani są przez „onych", byłoby zacnie działać na rzecz zmiany postawy wśród „naszych". Wiesz, kto jest autorem i adresatem tego zdania?

– Nie. Żałuję. Myślę podobnie, ale to nie przeszkadza mi narzekać.

Zaskoczę cię. Komentarz pochodzi z bloga Jerzego Sosnowskiego. Adresowany jest do nas obu. Sosnowski tymi słowami, na moje oko zbyt powierzchownie, podsumował zagrożenie odsunięcia przez duże media literatury religijnej na bok, na które zwracałeś uwagę pół roku temu, w trakcie dyskusji w Tarabuku.

– Krytyka mechanizmów poruszających naszym światem literackim jest potrzebna, by układ, jaki się wytworzył, nie skostniał i nie zmienił nas wszystkich w wapno. Jeśli – jak chce Przemysław Czapliński – rzeczywiście mamy do czynienia z „powrotem Centrali", to trzeba o tym głośno mówić. Bo centralne zarządzanie literaturą zawsze kończy się opresją wobec inaczej myślących i promocją ideowo słusznego beztalencia. Nie wiem, kogo Jerzy ma na myśli, mówiąc o „naszych". Jeśli pisarzy, to myślę, że bardzo ważne są dziś działania na rzecz najbardziej ambitnych książek. Wartościowa, elitarna literatura ma u nas coraz bardziej pod górę. Zapadamy się w literacką bylejakość. Nikt z nas nie wydobędzie się z tego śmietnika o własnych siłach, musimy się nawzajem wspierać. Naszą największą bronią są arcydzieła, ale one ani nie powstaną, ani nie przebiją się do szerszej świadomości bez naszego zaangażowania, bez wiary w to, że czasami dobra książka zmienia więcej umysłów niż najlepsza kampania polityczna. Sami jesteśmy winni tego, że 99% Polaków uważa, iż poezja ani nie ma żadnych odniesień do rzeczywistości, ani na nią nie wpływa. Jeśli tego nie zmienimy, zginiemy. Możemy zapytać Jerzego Sosnowskiego o jego własne wiersze…

Przemysław Dakowicz pisze w *Obcowaniu*, że interesuje go, co człowiekowi współczesnemu jest w stanie zaoferować literatura konfesyjna. To ścieżka, którą poeci zgromadzeni wokół „Toposu" wydeptują chyba od dawna.

– Nie za bardzo przepadam za określeniem „literatura konfesyjna". Kiedyś trochę się o nie z Przemysławem spierałem. Ono jest wygodne, ale czasem, niestety, służy do zamykania ludzi w getcie, a nawet w piwnicy. A ja od lat cierpię na klaustrofobię, dlatego go nie lubię. „Tygodnik Powszechny" ma podtytuł „katolickie pismo społeczno-kulturalne", więc ci, którzy mają problemy z katolicyzmem, słusz-

nie mogą się obawiać, że natrafią tam na literaturę konfesyjną. Ale podobne obawy wobec „Toposu" nie mają innych podstaw niż uprzedzenia. Pismo ma podtytuł „dwumiesięcznik literacki". Nie mam pojęcia, skąd biorą się pomysły, że jest jakoś zorientowane wyznaniowo. Bo chyba zgodzisz się, że to, czy autorzy piszący dla „Tygodnika" i piszący dla „Toposu" to osoby wierzące, to osobna sprawa. Nikt jakoś nie sprawdza, którzy z autorów „Odry" czy „Twórczości" nie chodzą do kościoła…

Masz rację, problem jednak w tym, że wśród kategorii, dzięki którym ocenia się wartość literatury, często pojawiają się pozaliterackie składniki. Innymi słowy, skoro w „Toposie" działają poeci, którzy nie kryją się z wiarą w Boga, wiele osób od razu pomyśli: oho, poeci religijni z Sopotu. Na pewno spotkałeś się z takim myśleniem.

– Tak, ale staram się je zwalczać. Bo ono właśnie nie jest myśleniem, tylko bezmyślnością, etykietyzacją. Stereotyp zabija wyobraźnię. A nam w „Toposie" chodzi o jej rozszerzenie. Czy to przypadek, że to w toposowym konkursie swe pierwsze laury zebrali m.in. Tomasz Różycki i Justyna Bargielska? Mówię „nam", bo w środowisku tego pisma ukształtowała się grupa literacka Topoi, która jest m.in. po to, by próbować w nowym języku formułować zasady literatury niezamkniętej na sferę sacrum. Zrozum, nie pytamy nikogo, jak wyglądają jego relacje z Bogiem. Chodzi nam tylko o to, by ci pisarze, którzy z jakichś powodów nie są w stanie wytrzymać w kręgu literatury autystycznej, nastawionej albo na ekspresję zamkniętego „ja", albo na zamknięty, niereferencjalny język, żeby właśnie oni mieli gdzie publikować. Stawiamy na wyobraźnię, która nie zacieśnia swego horyzontu do „tu i teraz".

Komuś, kto będzie nas czytał, może się wydać, po pierwsze: że poezja zamknięta na sferę sacrum jest z definicji poezją autystyczną. Po drugie: że autentyczność, a często wartość poezji są tym większe, im dalej wiersze te orientują się wobec „centrum".

– Skróty myślowe często generują różne nieporozumienia. Chodziło mi tylko o to, żeby podkreślić, że sopockie pismo i środowisko ani nie formułuje, ani nie stosuje kategorii klasyfikacyjnych nacechowanych wyznaniowo. Jego „program" sprowadza się wyłącz-

KRYTYKA MECHANIZMÓW PORUSZAJĄCYCH NASZYM ŚWIATEM LITERACKIM JEST POTRZEBNA, BY UKŁAD, JAKI SIĘ WYTWORZYŁ, NIE SKOSTNIAŁ I NIE ZMIENIŁ NAS WSZYSTKICH W WAPNO

nie do wyznaczenia pewnego nieakceptowanego ekstremum – poezji zamkniętej wobec świata (albo z powodu niekomunikatywnego języka, albo z powodu nadmiernej koncentracji na samolubnym „ja"). Gdybym miał to samo wyrazić w terminach pozytywnych, to powiedziałbym, że interesują nas wiersze otwarte na kategorię „ty" i na wspólnotę, w ogóle otwarte na pozajęzykową rzeczywistość. Jak wiesz, w „Toposie" jest miejsce na utwory utrzymane w różnych poetykach i estetykach – bliższe lub dalsze od tego, co nazywasz „centrum" – byleby osiągały pewien poziom artystyczny. Te wyśrubowane normy literackie dotyczą zwłaszcza utworów związanych ze sferą sacrum i właśnie dlatego tzw. wiersze religijne pojawiają się w piśmie bardzo rzadko. Wymagania wobec nich są dużo większe niż wobec innych tekstów.

Z czystym sercem mogę teraz zadać pytanie, którego spodziewałeś się od początku.

– A mianowicie?

Skoro zwracasz w wierszach uwagę na to, że pewien język komunikowania treści wiary przetarł się i ci, którzy próbują go jeszcze używać, wchodzą w stan śmieszności, będzie to znaczyło, że rozmawiam z poetą religijnym.

– Raczej tak, ale pomogłeś mi wyraźniej zobaczyć, że nasza religijność ma wiele warstw. Najbardziej zewnętrzna to chyba ta socjologiczna: jesteś członkiem wspólnoty religijnej, np. Kościoła katolickiego. Ale czy to, że czasem uczestniczysz w mszy św., oznacza, iż jesteś poetą religijnym? Druga dotyczy wiedzy i moralności. Polega chyba na tym, że to, co jest treścią obrzędów, doktryny i źródłem pewnego etosu, próbujesz przenosić do sfery twoich różnych prac. A że piszesz czasem wiersze, w związku z tym od czasu do czasu wkładasz trochę wysiłku w to, by wyjść naprzeciw zanikowi wyobraźni religijnej we współczesnej kulturze. Czy to uchroni cię jednak przed utknięciem w językowym lub myślowym banale? Jest jeszcze warstwa trzecia, duchowa – to bardzo osobista relacja z Bogiem. Bez niej dwie pierwsze przypominają trochę dom budowany na piasku – może i solidny, ale bez fundamentów. Ona jest bardzo trudna i trudno się też o niej mówi. To największa przygoda, jaka może nas spotkać w życiu. To właśnie ona – a nie dwie pierwsze – decyduje o tym, czy uda ci się przekroczyć ramy konwencji, przełamać językowe i mentalne nawyki, zaproponować coś interesującego także tym, którzy religię kojarzą wyłącznie ze schematem i nic nieznaczącą rutyną.

Tymczasem mnie interesuje coś odwrotnego: co człowiekowi mocno utożsamiającemu się z Kościołem

jest w stanie zaoferować kultura współczesna?

– Mam wrażenie, że chcesz mnie sprowokować, abym odpowiedział, że nic. A ja wcale nie mam ochoty tego powiedzieć, bo taki sąd wydaje mi się dowodem lenistwa. Jeśli mówimy o sferze obyczajów, mód, reguł życia, wzorów osobowych – rzeczywiście niewiele. Ale jeśli mówimy o sztuce, to sytuacja ma się zupełnie inaczej. Po prostu nie staramy się samodzielnie szukać rzeczy wartościowych i dlatego poddajemy się stereotypom, które niewiele mają wspólnego z barwną rzeczywistością. Zacznijmy od kultury wysokiej: muzyka Pendereckiego, Góreckiego, Lutosławskiego, Kilara – a sięgam tylko po nazwiska najbardziej znane – jest na wskroś przeniknięta odniesieniami do transcendencji. Malarstwo Rodzińskiego, Lebensteina, freski Świdra. À propos: widziałeś mozaiki Rupnika w krakowskim Centrum Jana Pawła II? Jeśli nie, to zajrzyj przy okazji, bo on jest w swoim fachu w tej chwili najlepszy na świecie. To geniusz. A skoro wyszliśmy poza granice rodzimych dokonań, to jest jeszcze Gudgi – genialny złotnik, który wykonuje też większe rzeczy – sarkofagi, ambony itp. Widziałeś nową bazylikę w San Giovanni Rotondo? Przecież to rewelacyjne dzieło nowoczesnej architektury. A kto projektował? Najwybitniejszy współczesny architekt, Renzo Piano. Chcesz o filmach? Proszę bardzo: cały Bergman, *Dekalog* Kieślowskiego, *Cristiada* – przecież to naprawdę arcydzieła stawiające nas w samym centrum pytań zadawanych przez chrześcijaństwo.

Wiesz, z jaką krytyką z „naszej" strony spotkał się Kieślowski za *Dekalog*? Aż do śmierci, niby żartując, twierdził, że bardzo się pilnuje, aby nikt go w pobliżu kościoła nie zobaczył. Dlatego w myśleniu o kulturze współczesnej pójście pod prąd stereotypom to krok pierwszy. Drugim jest wyzwanie, aby taki głos wzmacniać, pomóc mu się przebijać poza wąskie terytorium.

– Dotknąłeś bardzo ważnego i bolesnego problemu. Chrześcijaństwo od początku zmagało się z dylematem, jak zachowywać się wobec kultury, która jest pół-, ćwierćchrześcijańska lub niechrześcijańska. Zawsze istniały nurty stawiające na konfrontację: podejrzliwe, zaciekle poszukujące błędów, ochoczo sięgające po rozmaite formy przemocy (werbalne i niewerbalne). Były obecne także we „Frondzie". Tymczasem swą dynamikę i swą obecną postać chrześcijaństwo w dużej mierze zawdzięcza innym nurtom – dialogowym, takim, które próbowały dokonać takiej interpretacji otoczenia kulturowego, by z jednej strony to, co niechrześcijańskie, na-

zwać po imieniu, a z drugiej – odsłonić niesprzeczność niektórych elementów obcych kultur z duchem Ewangelii. Tylko dialog z innymi daje szansę, byśmy pełniej zrozumieli i przyjęli naszą własną tożsamość. Od pół wieku wciąż mówią o tym kolejni święci papieże. Konfrontacja upraszcza nie tylko obraz przeciwnika, ale też spłyca nas samych. Za mało mówimy o tym, że walka polityczna zasysa i prymitywizuje coraz szersze obszary kultury. Za mało o tym, że manipuluje się dziś pojęciami dialogu i postawy dialogowej, by promować takich fachowców, którzy naprawiają zegarki młotkiem. Kiedy dyskutowano o *Dekalogu*, byłem akurat w Niemczech i miałem dostęp do kilku teologicznych opracowań filmów Kieślowskiego. Waga analiz i argumentów, które w nich padają, wielokrotnie przekracza ciężar całej piany, którą ubito u nas. A tak na marginesie: ilu mamy teologów filmu w Polsce? Dwóch? Trzech? Czy ktoś ich pytał o zdanie w sprawie Kieślowskiego? Nie. W obszarze kultury dialogu cofnęliśmy się o wiele lat…

No dobrze: a literatura?

– W encyklopedycznym skrócie. Latem zwróciła się do mnie redakcja Encyclopedia of the Bible and its Reception w Berlinie, żebym napisał parę haseł o polskich autorach. Wiedzieli o wszystkich największych. Dla nich Miłosz, Różewicz, Herbert, nawet Szymborska, nawet Barańczak i Zagajewski, to osoby poruszające się w orbicie chrześcijaństwa. A przecież są jeszcze inni, mniej znani za granicą – o kolegach z kręgu „Toposu" może nie wypada, ale przecież Jan Polkowski, Roman Bąk, Jarosław Zalesiński…

Roman Bąk – kto to?

– A widzisz, więc naprawdę dochodzimy do sedna sprawy – do problemu promocji. Ktoś mnie ostatnio przekonywał, że polski Kościół wycofał się z roli mecenasa kultury. Tak chyba nie jest. Ale na pewno po pierwsze wyraźnie stawia raczej na popkulturę niż na kulturę wysoką, po drugie nie bierze pod uwagę tego, że rola mecenasa to przede wszystkim rola promotora. Ważna i niewymagająca żadnych nakładów finansowych. Jeden przykład: w którejś ze swych homilii papież Franciszek wymienił ostatnio nazwisko pisarza. A za dwa dni w „Le Figaro" pojawił się ogromny artykuł *Joseph Malègue ocalony przez papieża*, potem w innych mediach tytuły typu *Misterium zapomnienia. Joseph Malègue – katolicki Proust* itp. Jakie są konsekwencje? Ano takie, że wydawnictwo Cerf wznowiło właśnie *opus magnum* pisarza, znakomitą powieść *Augustin ou le Maitre est la* i ten ogromny tom sprzedaje się jak ciepłe bułeczki. Podaję tytuł w oryginale, bo rzecz nigdy

u nas nie była tłumaczona. A powinna i mam nadzieję, że będzie, gdyż w opinii krytyków francuskich to jedna z największych powieści dwudziestego stulecia. Można się zastanawiać, czemu zapomnieli o niej sami Francuzi i czemu w Polsce nic o niej nie wiemy. Ale można też skupić się na tym, jak przywrócić obecność takim pisarzom jak Malègue tu i teraz. Ja wolę oczywiście to drugie. Czasem mi się wydaje, że chwyciliśmy za cepy i młócimy zboże, a za stodołą jest piekarnia. Każemy głodnym ludziom oglądać naszą młockę, a moglibyśmy im powiedzieć: Słuchajcie, za rogiem dają świetny chleb, jedzcie, będziecie dzięki temu silniejsi. Jednym słowem: każdy wierzący znajdzie coś dla siebie, tylko musi wyjść z roli ciotki na kanapie, która siedzi i ma za złe. Nie mówię tu o dalekich i kosztownych podróżach. Dziś świetne wyprawy po bezcenne wartości umożliwia internet. Prawie wszystkie filmy z listy watykańskiej można obejrzeć w YouTube, odwiedzić dzięki tej platformie wiele galerii malarstwa, posłuchać koncertów księdza Vivaldiego, wejść do Kaplicy Sykstyńskiej. To naprawdę nie wymaga wielkiego wysiłku…

Skoro mowa o podróżach: Tomaszów Lubelski, Warszawa, Nowy Sącz, Lublin, Sopot, Tyszowce. Czy istnieje miejsce, w Polsce lub za granicą, o którym powiesz: jestem u siebie?

– Jest wiele takich miejsc, chyba nawet nie wymieniłeś wszystkich. Ktoś mnie niedawno zapytał o miejsce urodzenia i prawdę mówiąc, musiałem się chwilę zastanowić. Rozumiesz: jako organizm psychofizyczny rodzisz się raz. Ale jako osoba – w różnych społecznych rolach, z różnymi zakresami wiedzy i umiejętności – rodzisz się całe życie. Jakaś cząstka mnie samego urodziła się w tych wszystkich miejscach. Sopot zrobił ze mnie poetę, Lublin – naukowca, Nowy Sącz – męża i ojca, Warszawa – profesora. Pytasz o poczucie zadomowienia. Ono zależy przede wszystkim od tego, czy w danym miejscu jesteś w stanie nawiązać głębokie relacje z ludźmi. A to zależy wyłącznie od Twojego wnętrza, od Twojej otwartości; od tego, co jesteś w stanie dać innym. Jeśli masz problem sam ze sobą, to nie ma szans, żebyś w jakimkolwiek mieście czuł się u siebie. Dobre zamieszkanie we własnej duszy uwalnia od wielu złudzeń i przykrych emocji. Między innymi od nostalgicznych ucieczek w przeszłość.

Wiersze z tomu *Tyszowce i inne miasta* nie są odrobinę nostalgiczne?

– Oczywiście, że nie. I nawet nie chodzi mi o to, że tam jest sporo humoru czy groteski, ale przede wszystkim o to, że dzieciństwo – nie tracąc swego dosłownego charakteru – staje się w tym

zbiorku metaforą pewnego stanu ducha, niezależnego od kategorii wiekowych. Na drogę w stronę takiego stanu wchodzisz wtedy, kiedy mówisz sobie: no tak, jednak nie jestem Bogiem; mój projekt zarządzania samym sobą i światem legł w gruzach, zdaje mi się, że lepiej będzie, jeśli oddam ten projekt w ręce Kogoś, kto jest rzeczywiście wszechmocny, a przy tym naprawdę do końca nieegoistyczny. Ten ktoś kocha w sposób doskonały, tym kimś może być tylko Bóg, więc to Jemu powierzam swoje życie.

I to powierzenie się Bogu próbujesz pokazać w metaforze zamieszkania?

– Tak. Zamieszkać to wejść w relację z osobą. Powoli przekonujemy się, że żadna z ludzkich osób nie jest w stanie dać ci poczucia zamieszkania na zawsze i do końca – bo jest niedoskonała, bo umiera. Po latach poszukiwań odkrywasz, że prawdziwym miejscem zamieszkania może być tylko Bóg. To On jest naszym miastem, to On będzie naszym ostatnim adresem. To odkrycie przynosi wiersz *Kraków*, gdy piszę: *jesteś miejscem zamieszkania*. Naturalnie, jest tam też Kraków zwyczajny, zawsze są dwa plany, obydwa jednakowo ważne: dosłowny i symboliczny.

Mogę więc zapytać o Kraków dosłowny?

– To miejsce oznacza dla mnie różne relacje, naprawdę różne. Z pisarzami, z akademickimi polonistami, z córką, z bratanicą, z kilkoma lekarzami. Kiedyś z Wisławą Szymborską. Spotkałem się z nią dwa czy trzy razy, jeszcze przed Noblem. Uczyła mnie imion osiedlowych kotów. Każde było bardzo wyszukane. Może to dziwnie zabrzmi, ale w jakimś sensie pasowała mnie na poetę, pisząc dedykację w tomie *Ludzie na moście*.

Co napisała?

– Poczekaj, muszę sprawdzić. Mam: *Panu Wojciechowi Kudybie (Poeta!) – bardzo serdecznie – Wisława Szymborska. Kraków 1992*. Pamiętam też, że któregoś dnia dała mi na pamiątkę *Drogę Krzyżową* Tadeusza Żychiewicza. Dawne czasy…

Zapomniałbym o Kijowie. Kim jest Petro Majdan?

– Myślałem, że się uda o tym nie mówić, bo tam akurat nie byłem… Ale może będę? Kijów jest dla mnie coraz ważniejszy. Mam wśród przyjaciół wielu Ukraińców. Ostatnio zadedykowałem im moją debiutancką powieść *Nazywam się Majdan*, która ma się niebawem ukazać. Petro Majdan to jej główny bohater i narrator – człowiek wykształcony i na wskroś przesiąknięty okcydentalizmem, a zarazem na swój

sposób wierny pierwotnej kulturze agrarnej. Przy tym uwikłany w burzliwą historię lat ostatnich. Dzięki niemu – dzięki jego inteligencji i zmysłowi humoru – podejmuję próbę rozsadzenia różnego rodzaju stereotypów, które funkcjonują po obu stronach Bugu. Narracja jest trochę groteskowa, ale Petro opowiada w gruncie rzeczy o sprawach śmiertelnie poważnych, o środkowoeuropejskiej duszy – o tym, czym właściwie są dla nas tożsamość, godność, walka w obronie wartości, gotowość do poświęceń, aż po ofiarę z życia…

***Co począłbyś, gdybym Ci umarł?* – kim w tym zdaniu jest ten, który mówi, a kim ten, który słucha?**

– Zapytaj Rilkego.

Ależ odrobiłem pracę domową: *Was wirst du tun, Gott, wenn ich sterbe?*.

– Jednak raz po raz wyłazi ze mnie belfer… I jak tu wrócić teraz do poety… Powiem tak: zależało mi, żeby podkreślić, że nigdy nie umiera się w ogóle, ale zawsze umiera się komuś. Piszę cyklami, dla czytelnika to trochę kłopot – ta konieczność śledzenia, jak niektóre frazy przeglądają się w sobie, układają się w sieć zależności, odpowiedniości, niby w dziele muzycznym. Trzy wiersze wcześniej jest fraza z Rilkego *co zrobisz Boże, gdy odejdę* – przywołałeś ją w oryginale, który jest bardziej dosłowny, bo mówi o umieraniu. Potem rozpisuję ten temat. Przedstawiam rozmaite sceny, które mają być odpowiedzią na to pytanie – co robi Bóg, gdy odchodzi człowiek. Ale ostatnie słowo – tak jak w życiu – należy jednak do Boga. W wierszu zamykającym tom *W końcu świat* to On ma głos. Pobrzmiewa w nim trochę ironia. Bo Bóg przecież wie, że ogłosiliśmy Jego śmierć. I trochę się z tego śmieje, pytając: ciekawe, czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, co by się stało, gdybym Ci umarł naprawdę… **Ω**

WOJCIECH KUDYBA – polski poeta, krytyk, historyk literatury. Autor m. in. zbiorów poetyckich *Gorce Pana* (2007), *Ojciec się zmienia* (2011) i *W końcu świat* (2014) oraz publikacji naukowych. Niebawem ukaże się jego powieść *Ja jestem Majdan*. Doktor habilitowany, pracuje na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Katedrze Literatury Współczesnej Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Niebawem nakładem Wydawnictwa Więź ukaże się jego powieść *Ja jestem Majdan*.

Wojciech Kudyba

WSTĘPOWANIE

Wstępując do Tyszowiec – w pośpiechu, w widzenia
Zawsze tak, jakby się odwiedzało niewielką
Krainę Wszystkich Świętych, jeżdżenie na święta
Do Częstochowy, Grabarki, do Jerozolimy:
Najpierw Zamość, Tomaszów, smak dymu, chłód wody
Długie słuchanie wiatru, języka doliny
Potem tylko dukt drogi, stukot deszczu o dach
Pismo, które nie kłamie – podnosi się wieża
I słychać dawne dzwony, to jest: zaproszenie
Gdy wschodzi blask i ścieżką biegnie obietnica.

Jak zwykle o tej porze wszędzie pełno wron
Należy się spieszyć. Być może jest tylko to:
Niecierpliwa wędrówka do Świętego Miasta,
Śpiewanie, wstępowanie, długie, jasne bramy
Rozmowy z guślarzami, mroczny ogień wódki
Szeptanie modlitw, długie różańce pogrzebów
Żegnanie wodą, dymem, mozolna obecność.

Lecz potem także chodzenie na cmentarz – do tych
Którzy żyją. Zapalanie ognia. Co roku
Coraz ich więcej i więcej też dzikiej róży
Głogów, ostów, mniej gestów, lecz coraz wyraźniej
Oko w oko z ciemnością. Już późno. Za murami
W miejscu, gdzie była cerkiew zaczyna się wieczór.

A zatem zmierzch. Powolne odwiedzanie nocy.
Kadisz nad grobem cadyka – tam, gdzie dawno temu
Zrywaliśmy kwiaty lipy. Jeszcze tylko długie
Szukanie naszego domu na Średniej – trudne
Po omacku. O tej porze nie ma nikogo
Kto by wskazał drogę. Jedynie mała gwiazda.

Dom zawsze gdzie indziej.

Wojciech Kudyba

KRAKÓW

Przy krawężniku znalazłem muszelkę
i poczułem, że jestem
trawiony
MARCIN ŚWIETLICKI

Jesteś miastem: dalekim, bliskim miejscem zamieszkania
I szron na oknach, ślad kredy nad drzwiami w mieszkaniach
Są Twoim czułym znakiem;
Przejrzysty szyfr śniegu, pismo mchów, porostów
Wzory przebiśniegów – wszystko to zaklęcia: tak, tak; nie, nie
Język zakochanych i płyną ulicami miarowe sylaby
Złoty sygnał słońca wydobywa hejnał, pod bramą
Przystaje ktoś, kto się przeżegnał i samą
Dłonią, ramieniem ogłasza narodziny świata.
Wyłączam budzik, wstaję
Za pięć ósma tramwaj.

Lecz słowo raz powiedziane, musi brzmieć do końca
Więc, jak co dzień, przekupki spośród róż tysięcy
Wybierają jedną, by ją dać Maryi Pannie. Jest chłodno.
W chłodnym zamku duszy Syn Boży na sianie
Podnosi rękę dotykając serca i czuję dreszcz, krew
Krzepnie, świat nagle ciemnieje, tak, wiem: z tego miejsca

Z choroby, która ziębi, grzeje, oddala i zabija będę ocalony.
W chłodnym zamku duszy Boży Syn, skrwawiony, oczyszcza
Wodą, wypala ropiejące rany, kręte krzywoprzysięstwa
Nieczyste zamiary. Powoli wstaję
Trzymając się muru kościoła. Przede mną fasada:
Zimowa ściana dnia. Odchodzę, upadam.

A przecież jesteś tym miastem. Tak, mieszkamy w Tobie –
Od Piasku po Kobierzyn, Swoszowice, Dąbie
Spięte żebrami mostów dzielnice są jak Twoje Ciało
I Słowo, poprzez które wszystko, co się stało, trwa
I nie znika pośród śmieci, gnijących piszczeli – Święty
Święty świeci nad aureolą stacji paliw i burdeli, przenika
Wszystko, osiada na słupach ogłoszeń, w dziennikach, kładzie
Swą nowinę w ustach wysłannika, który nie wie, co mówi
Milczy, rozmawiając. Wśród obcych bogów
Tak, wśród nich mieszkamy w Tobie.
Jesteś wielką rybą i trawisz nas ogniem.

Łagiewniki, 17–18 kwietnia 2004

Wojciech Kudyba

HISTORIA

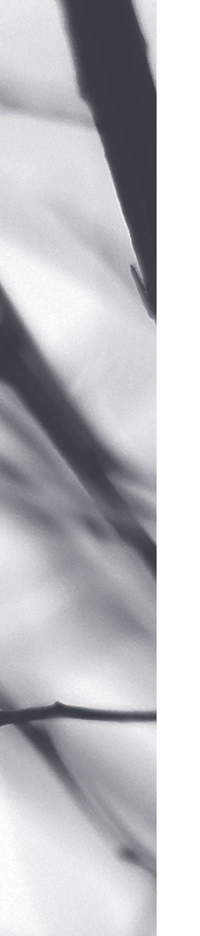
„Będziesz mnie szukał, będę Ci umierał
Kurczył się w śpiewach, w zawodzeniach
Niesiony, jakby mnie nie było
Za snopem kwiatów, za jedliną
Jakbym nie płynął w gładkim statku
Nie tańczył pośród gwiazd dwunastu
W ogrodzie, nocą, w lekkim ogniu
Dotkniesz Mnie światłem, wyrwiesz z grobu
Na łące z czarną wierzbą, złotymi chmurami
Święcił na rynku, wołał kadzidłami
Będziesz jadł mój chleb i pił moje wino
Co począłbyś, gdybym Ci zginął"?





POŻEGNANIE W GABINECIE LUSTER

Dzieje Witkacego, niejako wbrew jego woli, wpisują się we wspólną linię polskiego losu, jego życie i śmierć sytuują się w samym centrum doświadczenia zbiorowości



Przemysław Dakowicz

Na szyi miał małą rankę czerwoną wielkości wiśni – to krótkie zdanie ze wspomnień Czesławy Oknińskiej-Korzeniowskiej, jedynego świadka ostatnich chwil życia Stanisława Ignacego Witkiewicza, wywołuje z pamięci inne zdanie, zapisane przeszło sto lat wcześniej, fragment kwestii Kobiety z ostatniej sceny *Dziadów* drezdeńskich: *Jedną ranę miał na czole, / Jedną tylko i niewielką, / Zda się być czarną kropelką*. Na słowa Kobiety odpowiada Guślarz, razem z nią obserwujący sznur kibitek pędzących na północ: *Ta największe sprawia bole; / Jam ją widział, jam ją zbadał; / Tę ranę sam sobie zadał, / Śmierć z niej uleczyć nie może*.

Już samo zestawienie fragmentów o *rance czerwonej wielkości wiśni* i o *ranie* […] *na czole*, co *zda się być czarną kropelką* może się komuś wydać niestosowne. Będę bardziej bezczelny – sformułuję tu pytania, które nie dają mi spokoju: czy Witkacego, który 18 września 1939 roku, na wieść o wkroczeniu w granice Rzeczypospolitej wojsk sowieckich, popełnił samobójstwo, można by – z jakichkolwiek względów, pod jakimkolwiek pretekstem – nazwać Konradem XX wieku? Czy on, autor *Nienasycenia* i *Niemytych dusz*, ma coś wspólnego z bohaterem Mickiewiczowskiego arcydramatu?

DEFORMACJA JAKO SZANSA

Odpowiedź wydaje się prosta. Nie – Witkacy to pisarz, którego polski patriotyzm insurekcyjny mierzi, który całą swoją artystyczną aktywność koncentruje na problemie relacji między twórczą jednostką a współczesną cywilizacją, to katastrofista dostrzegający i trafnie diagnozujący mechanizmy schyłkowe obecne w kulturze europejskiej. Spojrzeniem swoim obejmuje perspektywę szerszą, daleko wykraczającą poza partykularne interesy Polski, poza geopolityczne uwarunkowania jej państwowego bytu. Słowem – marny to materiał na bohatera zbiorowej wyobraźni.

Mimo wszystko nie opuszcza mnie przekonanie (precyzyjniej: intuicja), że we wrześniowej ucieczce Witkacego i Czesławy Oknińskiej z Warszawy, w ich kilkunastodniowej tułaczce, a następnie w próbie samobójczej przez nich podjętej, zakończonej śmiercią autora *Pożegnania jesieni*, że we wszystkich tych wydarzeniach możemy się przejrzeć, że mogą się one stać dla nas niczym zwierciadła w gabinecie luster. Deformując rozmaite fragmenty obrazu, wydobywając na plan pierwszy szczegóły pozornie mniej istotne, zaburzając relacje między elementami – pozwalają nam one ujrzeć z odmiennej perspektywy klęskę 1939 roku, innych narzędzi użyć do jej opisania i zrozumienia.

Mechanizmy schyłkowe

Z drugiej strony – osobiste dzieje Witkacego, niejako wbrew jego woli, wpisują się we wspólną linię polskiego losu, jego życie i śmierć sytuują się w samym centrum doświadczenia zbiorowości. Jakby na potwierdzenie tezy, że w tej części Europy niemożliwa jest wolność od dziejowych przeznaczeń, że jednostka – choćby nie wiadomo jak konsekwentnie próbowała wyzwolić się od myślenia historycznego – na koniec zawsze zostanie złowiona w pułapkę historii, płacąc, jak inni, najwyższą cenę.

CZARNY GRZEBYK

W czerwcu 1939 roku Stanisław Ignacy Witkiewicz przebywał w Augustówku koło Grodna, w posiadłości Nadziei z Druckich i Maurycego O'Briena de Lacy. Został tam zaproszony przez żonę gospodarza, pisarkę i aktywną uczestniczkę życia kulturalnego II Rzeczypospolitej, chętnie goszczącą najważniejszych polskich

artystów. Na piętrze augustowieckiego dworku zorganizowano *dwa urocze pokoje gościnne o niskich drewnianych sufitach i podłużnych oknach, co czyniło je podobnymi do kabin okrętowych*. Jeden z nich zajmował w czerwcu 1939 roku Witkacy (przed nim bywali tu Witold Hulewicz, Irena Tuwim z mężem, dyrektor wileńskiej biblioteki Łysakowski i Jan Parandowski).

Muszę przyznać, że pobyt Witkacego w Augustówku był dla mnie ciężką próbą – pisała po latach Nadzieja Drucka. – *Uprzedzano mnie, że wizyta ta musi się skończyć kłótnią i zerwaniem stosunków. Ponieważ bardzo wysoko ceniłam Witkacego i dumna byłam z jego rzekomej przyjaźni, byłam cały czas w napięciu, uważałam, by niczym go nie dotknąć – z drugiej jednak strony, znając już wysokie walory jego umysłu, zżymałam się na jego „wygłupianie się" wobec licznego towarzystwa zgromadzonego u nas na wsi*. Wśród najbardziej ekstrawaganckich zachowań autora *Nienasycenia* wymienia Drucka powtarzającą się przy kolacji scenę z naśladowaniem Hitlera – Witkacy *zrywał się od stołu* […], *przykładał połówkę czarnego grzebyka nad górną wargę, podnosił rękę i zaczynał wrzeszczeć po niemiecku*.

W „wygłupach" tych dochodziła do głosu coraz większa obawa Witkiewicza o bieg wydarzeń politycznych w tej części Europy. Już 18 marca pisał do swego przyjaciela i mentora Hansa Corneliusa: *Katastrofa światowa przybliża się coraz bardziej. Czy się po niej jeszcze odnajdziemy – jest wątpliwe*. W Augustówku (wykorzystuję tu fragmenty relacji Irminy Bajer z książki Siedleckiej *Mahatma Witkac*) *wróżył* […] *z kart i pisma,* […] *widział wszystko na czarno. Przewidywał na przykład wojnę, zagładę Europy, pewnego świata, w tym właśnie i ziemiańskiego. Nie wierzył zupełnie, że „jesteśmy silni, zwarci i gotowi"*. Przed wyjazdem miał powiedzieć gospodyni, że jest u niej ostatni raz w życiu, a na pytanie, czy było mu tu źle, udzielił następującej odpowiedzi: *Było mi tu wyjątkowo dobrze, ale wiem to i czuję, że czekają nas złe czasy*.

Zgłasza się do Rejonowej Komendy Uzupełnień

WARSZAWA – ZAKOPANE – WARSZAWA

1 lipca Witkacy opuszcza Augustówek i wyjeżdża do Warszawy. Do Zakopanego wraca kilka dni później razem z Czesławą Oknińską-Korzeniowską. 22 lipca w liście do żony Jadwigi wyznaje: *Jestem trochę zdenerwowany polityką*.

W nocy z 22 na 23 sierpnia wykonuje pastelami (na bordowym papierze) swój ostatni autoportret *(Auto-Vitcatius)*, który przez część interpretatorów jego plastycznej twórczości uważany jest za świadome pożegnanie artysty z dotychczasowym życiem. Irena Jakimowicz pisze: *uderza nie intensyfikacją grozy, ale dziwnym spokojem. Piękna męska twarz* [...] *ma w sobie szczególną prostotę i monumentalność* [...]. *Oczy szeroko otwarte, patrzą już bez przerażenia w przyszłość. Chłodny błękit nieba mówi, być może, o wewnętrznej zgodzie na przejście w rejony wiecznego spokoju*. Na interpretację taką mógłbym przystać, gdyby nie fakt, że w spojrzeniu Witkacego utrwalonym na obrazie dostrzegam znacznie więcej niż „zgodę", wewnętrzny spokój i brak „przerażenia" – jest tu raczej rezygnacja wynikająca z przeczucia (lub nawet: świadomości) tego, co nadchodzi. Spojrzenie to niejako „łowi" odbiorcę w sieć sprzecznych treści, zmusza do reakcji i refleksji. Doszukujemy się w owym ostatnim autoportrecie ukrytego przekazu, znamy bowiem dalsze losy malarza, włączamy wiedzę o czasie i okolicznościach jego śmierci w naszą interpretacyjną perspektywę.

Kolejnego dnia, już po zakończeniu pracy nad obrazem, do Witkacego musiała dotrzeć informacja o podpisaniu przez III Rzeszę i Związek Sowiecki porozumienia o nieagresji. Podobnie jak pozostali Polacy, nie zdawał sobie sprawy z istnienia tajnego protokołu do paktu Ribbentrop–Mołotow, z pewnością rozumiał jednak powagę sytuacji. 24 sierpnia pisał do żony: *Jestem dość wytrącony z równowagi syt*[uacją] *og*[ólną] *i ogarnia mnie powoli wściekłość i szał bojowy*.

Brnie przez złoty polski wrzesień

Dwa dni później, mimo przepełnienia pociągów odjeżdżających z Zakopanego, jest już w Warszawie. Jako porucznik rezerwy Wojska Polskiego zgłasza się do Rejonowej Komendy Uzupełnień, ale nie zostaje wcielony do armii – przeszkodą okazują się jego wiek (54 lata) i stan zdrowia.

W NIEZNANE

Od 1 września całe dnie spędza *nad wielką mapą, którą specjalnie kupił*. Studiuje *przebieg działań, krytykując nasze posunięcia*.

Pracownicy Głównego Urzędu Statystycznego, w którym pracuje jego żona, otrzymują rozkaz przygotowania się do ewakuacji –

jej termin wyznaczono na noc z 3 na 4 września. Jadwiga próbuje skłonić Witkacego do wyjazdu, ale on odmawia. Pozostaje w bombardowanej Warszawie.

Rankiem piątego dnia wojny Witkacy telefonuje do swojej kochanki i długoletniej partnerki Czesławy Oknińskiej-Korzeniowskiej, która wciąż przebywa w stolicy. Prosi ją, by zabrała ze sobą torbę i dokumenty i zeszła na dół (czeka na nią w holu PKO, na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej, gdzie Czesława pracuje od niemal dwudziestu lat). Kobieta zapamięta go *z małą walizeczką w ręce i paltem przerzuconym przez ramię. Był tak zmieniony, że serce we mnie zamarło – takim widziałam go tylko po śmierci jego Matki, którą kochał ponad wszystko, po Berezie – po Brześciu. Na ulicy powiedział, że jedziemy do domu. Jechaliśmy nic prawie nie mówiąc do siebie, tylko mocno trzymał moją rękę – to była jego mowa. Dopiero w domu dowiedziałam się, że wyjeżdżamy – że Umiastowski wydał rozkaz opuszczenia zaraz Warszawy przez wszystkich mężczyzn i że pożegnał się już z żoną Niną, która też wyjeżdża ze swoją instytucją.* [...] *Dowiedziałam się również, że wyjeżdżamy bez dokładnie określonego kierunku*.

Widzicie ich? Maszerują warszawską ulicą. A może raczej: są niesieni przez ludzką falę. Na ich bladych twarzach na próżno by szukać oznak *zgody na przejście w rejony wiecznego spokoju*. Autor *Pożegnania jesieni* brnie przez złoty polski wrzesień, w jednej dłoni ściskając uchwyt walizeczki, w drugiej drobną, szczupłą dłoń Czesławy. W pewnym momencie przystaje i zadarłszy do góry głowę, długo patrzy w bezchmurne niebo. *Małą rankę czerwoną wielkości wiśni* na jego szyi dostrzegamy tylko my, którzy znamy zakończenie tej historii.

Zostawmy ich na chwilę. W tym tłumie, w pośpiechu, w pomieszaniu.

Dla nich rachunki jeszcze się nie domknęły. Dla nich przyszłość jest jeszcze otwarta.

II

Apokalipsa jeszcze się nie dopełniła

Przedział pociągu jadącego na wschód Polski. Oknińska opowiadała Janowi Brudnickiemu, że usiedli i zamilkli, *jakby zaskoczeni miejscem i swoją sytuacją ludzi już bez domu i nieświadomych celu, w czasie, w którym zacierały się granice zdarzeń, rozmów i spraw ludz-*

kich. Jej wspomnienia opublikowano w piśmie „Kierunki" trzydzieści siedem lat po upływie wydarzeń z września 1939 roku.

Próbuję zrozumieć treść przytoczonego zdania, w którym zawarta jest – tak mi się zdaje – jakaś fundamentalna prawda o ludzkim życiu. Osoby siedzące w przedziale wyrwane zostały przemocą ze swojej codzienności (jej fundamenty usunięto). Przerwaniu uległy związki łączące ludzi, miejsca i sytuacje, sprawiające, iż rzeczywistość jawi się jako uporządkowana i zrozumiała. W jakim kierunku się udać? Co czynić, by nie oszaleć? Jedyna metoda: trzymać się tych skrawków rzeczywistości, które nie uległy anihilacji, dotykać i doświadczać widzialnego świata, póki nie zniknie.

ODBICIE W SZYBIE

Tymczasem tkwią w przedziale pociągu do Brześcia (choć może lepiej byłoby rzec: donikąd). Za oknami mgła, lub jeśli wolicie – ciemność. Pociąg wjeżdża w nią, w tę mgłę, w tę ciemność, a ona oplata go, otacza szczelnym kokonem. To nic, że za oknami migają krajobrazy – pola i lasy. To nic, że płachta nieba rozciągnięta jest aż po horyzont. *Tego nie ma, to nie istnieje – myślą ludzie w przedziale. – Wszystko jest snem, z którego przebudzimy się z krzykiem. Otworzymy oczy, by spotkać ciemność. Wyciągniemy ręce, by dotknąć próżni*. Witkacy, wcześnie postarzały katastrofista (koszmar przezeń wymyślony spełnia się na nim samym), ściska rękę Czesławy, jakby się obawiał, że zdmuchnie go wiatr historii.

Apokalipsa jeszcze się nie dopełniła. Jeszcze mają prawo myśleć, że sprawy jakoś się ułożą – Niemcy zajmą nasze ziemie aż do Wisły, a za linią rzeki zorganizujemy jakiś opór, państwo kadłubowe? W naszej historii tak już bywało. Trwaliśmy mimo przeciwności. Urządzaliśmy się w ciasnocie, żyliśmy na przekór biegowi wydarzeń, przechowując i pielęgnując szczątki dawnego świata.

Witkacy patrzy w okno. Jego twarz odbija się w szybie, odbicie przenika się z tłem. Witkacy obserwuje swój profil. Przez głowę przelatują myśli – nieskładne, chaotyczne. Wspomnienia z odległej przeszłości nakładają się na obrazy z ewakuującego się Zakopanego, z bombardowanej Warszawy, z Augustówka, gdzie spędził dwa względnie spokojne letnie tygodnie. Witkacy poszukuje zasady organizującej. O obliczu świata – teraz przekonuje się o tym

dobitnie – decyduje tępa siła, masa, której najżywszym pragnieniem jest wchłonąć jednostkę, odebrać jej zdolność samodzielnego myślenia i decydowania o sobie.

KALECTWO ŚWIADOMOŚCI

Już raz uciekał przed masą, przed jej krwawym gniewem i bezrozumnym okrucieństwem, już kiedyś obserwował ją z bliska. Było to w Rosji, w latach 1917–1918.

Podczas wielkiej wojny pełnił funkcję oficera Lejbgwardii Pawłowskiego Pułku w Petersburgu. Walczył pod Stochodem, został ciężko ranny. Jednemu z przyjaciół opowiadał o *straszliwych, wprost niesamowitych paroksyzmach strachu, które przeżywał nieraz pod ogniem w pierwszej linii okopów, albo gdy na pół przytomny ze zdenerwowania, roztrzęsiony jak galareta, prowadził swych ludzi do ataku na niemieckie pozycje*. Po rekonwalescencji żołnierze wybrali go „do czwartej roty zapasowego batalionu" Pułku Pawłowskiego (badacze zastanawiają się, czy nie został po prostu komisarzem politycznym). Była to ta sama kompania, która rozpoczęła rewolucję lutową. W *Niemytych duszach* Witkacy pisał: *wiele dał mi do myślenia widok (inaczej nie mogę powiedzieć, bo niestety patrzyłem na to jak z loży, nie będąc w stanie przyjąć w tym żadnego udziału z powodu schizoidalnych zahamowań) Rewolucji Rosyjskiej, od lutego 1917 do czerwca 1918. Obserwowałem to niebywałe zdarzenie zupełnie z bliska*. I dodawał, że każdego, kto nie był bezpośrednim świadkiem rewolucyjnego terroru, uważa *wprost za nieszczęśliwego kalekę*.

Sytuacja na froncie jest fatalna

Na czym to kalectwo, ta dysfunkcja świadomości historyczno-politycznej miałyby polegać? Sądzę, że, po pierwsze – na niedocenianiu wagi zmian w strukturze społecznej, jakie zapoczątkowała rewolucja w Rosji, po drugie – na braku wiedzy, w jak gwałtowny sposób ujawnia się siła zrewoltowanych mas. Witkacy przeżył apokalipsę, a obrazy z tamtego czasu – choć zepchnięte głęboko w podświadomość – wciąż dawały o sobie znać. W rozmowach niechętnie powracał do rosyjskiego etapu swojej biografii. Niekiedy jednak dało się zeń wydobyć jakieś strzępy wspomnień. Jego kuzynka Aniela Ehrenfeucht zrelacjonowała Joannie Siedleckiej jedną z takich niespodziewanych Witkacowskich opowieści: *po wybuchu rewolucji i opuszczeniu pułku, jako*

były biały oficer, uciekał nieustannie przed aresztowaniem. I omal do tego nie doszło, ale bolszewicy dali mu spokój, puścili. Udał bowiem chorego umysłowo – uraczył porcją najstraszniejszych min oraz głosów, w czym był rzeczywiście mistrzem. I to go najprawdopodobniej uratowało, w Rosji bowiem chorych umysłowo – sumasszedszich, jurodiwych *uważano także za świętych. Budzili i strach, i podziw. Lepiej było zostawić ich w spokoju*.

Teraz, we wrześniu 1939 roku, w pociągu jadącym na wschód do świadomości byłego porucznika Lejbgwardii (a dziś porucznika rezerwy WP) dociera, że sytuacji z lat 1917–1918 nie da się powtórzyć. Jeśli wkroczą, nie będą zważać na *jurodiwych*, nie pomogą groteskowe miny i najdziksze głosy dobywające się z krtani. Przejadą jak walec po wioskach i miastach, wywracając dotychczasowy porządek do góry nogami, równając i uniformizując.

PÓŁ SZKLANKI MLEKA

Przystanki były częste, ludzie z okolic oczekiwali już na pociąg z koszami pieczywa, z mlekiem, herbatą. Zdanie ze wspomnień Czesławy Oknińskiej pozwala widzieć tę ucieczkę jako wędrówkę przez rozpadający się świat, którego mieszkańcy okazują sobie pomoc i solidarność. Zresztą, pod koniec pierwszego tygodnia działań wojennych wielu wierzy jeszcze w pozytywny obrót wydarzeń. Ludzie nie wiedzą, że w nocy z 6 na 7 września rząd Rzeczypospolitej ewakuował się ze stolicy, że sytuacja na froncie jest fatalna. Nikt nie podejrzewa – Witkacy jest tu zapewne wyjątkiem – że zbliża się zagrożenie ze strony drugiego z sąsiadów Polski, że za dziesięć dni czerwona fala zaleje wschodnie województwa, które po wojnie nie tylko nie znajdą się w granicach państwa, ale zostaną włączone do nowych republik radzieckich – litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej.

Kiedy pociąg zatrzymuje się na zrujnowanej stacji w Łukowie, Witkacy i Oknińska stoją w oknie, obserwując ludzi wysypujących się z pociągu w poszukiwaniu wody. Wśród osób oczekujących na strawionym przez pożar peronie Witkiewicz dostrzega Bolesława Micińskiego, autora *Podróży do piekieł*, oraz jego żonę Halinę (była wtedy w piątym miesiącu ciąży). We wspomnieniach tej ostatniej, zatytułowanych *Długi wdzięczności*, odnaleźć można opis owego

łukowskiego spotkania przyjaciół: [Bolek] *rzucił mu się na szyję i wykrzyknął: „Stasiu, nie martw się, wszystko będzie dobrze, ja będę ojcem". Witkacy odwrócił się na pięcie i zniknął w wagonie, po chwili jednak ukazał się znowu, ostrożnie przeciskając się przez tłum, niósł w ręce pół szklanki mleka, które podał mi bez słowa*.

Optymistyczne zapewnienie Micińskiego (*Stasiu, nie martw się, wszystko będzie dobrze*) na niewiele się zdało – zaklinanie rzeczywistości to na ogół czynność jałowa i bezskuteczna. Micińscy wybierali się do Baranowicz (usiłowali nakłonić autora *Szewców* do zmiany kierunku podróży), ostatecznie trafili do Wilna i Kowna, z Litwy samolotem dostali się do Szwecji, następnie zaś do Paryża. W stolicy Francji Halina Micińska urodziła córkę Annę, która po latach miała się stać jedną z najgorliwszych badaczek życia i twórczości Witkacego. Bolesław Miciński zmarł na gruźlicę w stolicy Francji w roku 1943. Witkiewicz i Oknińska dotrzeć mieli do wsi Jeziory na Polesiu w powiecie pińskim, gdzie udręczony ucieczką pisarz targnął się na własne życie.

Zatrzymajmy czas na jedno mgnienie. Spalony peron w Łukowie, tłumy przeciskają się do hydrantu (panuje okropny upał), Witkacy zeskakuje ze stopni wagonu i umiejętnie pracując łokciami, zbliża się do Haliny Micińskiej. W jego wyciągniętej ręce szklanka do połowy wypełniona białym płynem. Kiedy przekazuje naczynie kobiecie, ich palce stykają się na chwilę. Micińska zagląda mu w oczy, ale on ucieka spojrzeniem w bok. Słychać świst kolejowej gwizdawki, więc żegnają się prędko.

Tłok przy wejściu, pokrzykiwania, spory. Trzask zamykanych drzwi. Chwilę później twarze „Stasia" i Czesławy w uchylonym oknie. Coraz dalsze, coraz mniejsze, nierealne.

III

Na wrzesień 1939 roku przyjaciele Witkacego, Jan i Janina Leszczyńscy, zaplanowali chrzest swojego syna – Janka juniora. Pisarz zgodził się zostać ojcem chrzestnym. Przewidywano zaproszenie *wielu gości, kilkudniową zabawę oraz główną atrakcję, czyli loty awionetkami, które załatwiał* [...] *pułkownik Janusz de Beaurain*. Plany spełzły na niczym. Po wrześniowym niebie latały bombowce, nie awionetki.

Niedoszły ojciec chrzestny tkwił w pociągu do Brześcia. Podczas bombardowań jak inni pasażerowie chronił się *w kartofliskach, w bruzdach*. W każdym większym mieście poszukiwał komisji rekrutującej żołnierzy i zgłaszał gotowość wdziania munduru oficerskiego, ale *nie przyjmowano już nikogo – nie było broni i ubrań dla ochotników*. Czesława Oknińska, z której wspomnień czerpię informacje, twierdziła, że były to dla Witkacego doświadczenia szczególnie dotkliwe – *czuł się wykluczony z potrzebnej do obrony kraju społeczności*. Nie tracił jednak nadziei – nawet w Brześciu zgłosił się do Rejonowej Komendy Uzupełnień, gdzie usłyszał to samo, co słyszał już po wielekroć: umundurowania i broni brakuje nawet dla młodych, a tym bardziej dla ludzi takich jak on, dojrzałych i niecieszących się najlepszym zdrowiem.

NOGA ZA NOGĄ

W Brześciu spędzili jedną lub dwie doby (o dwóch dobach mowa jest w relacji spisanej przez profesora Mieczysława Choynowskiego, opublikowanej w paryskiej „Kulturze" w roku 1985). Miasto gwałtownie bombardowano, ogień pożarów rozświetlał nocny mrok. *Witkacy był bardzo zmęczony, dawały o sobie znać dolegliwości serca, nerek i bolały opuchnięte nogi. Gorzej słyszał* [...]. *Był załamany psychicznie*, po raz pierwszy ujawnił swoje samobójcze myśli.

Wieczorem następnego dnia ponownie w drodze. Czesława skorzystała z zaproszenia któregoś z uchodźców – jechała wozem. *Tłumy ludzi, płacz dzieci, porzucone walizki, opuszczone furki, zabite konie, uszkodzone samochody, wywrócone autobusy z grającą muzyką taneczną – koszmar. Nagle* [...] *konie spłoszyły się i poniosły – furka potoczyła się szybciej*. W chaosie nocnej marszruty łatwo mogli się zgubić. Czesława stanęła na wozie i zaczęła nawoływać, Witkacy także krzyczał. Na szczęście odnaleźli się. Od tej chwili szli, trzymając się za ręce.

Pod Kobryniem zaopiekował się nimi dróżnik, zaprosił ich do *jednoizbowej lepianki*. Zostali uraczeni mlekiem i chlebem, położyli się na słomie *w komórce nad żłobem konia* i zasnęli. Kolejnego dnia po raz pierwszy spotkali żołnierzy z oddziałów rozproszonych w walce – *szli pojedynczo i małymi grupkami* [...] *w rozpiętych mundurach, bez broni*. Wszystko to musiało utwierdzać Witkiewi-

cza w przekonaniu o definitywnym zamknięciu pewnego etapu historii. Oto własnymi oczyma oglądał klęskę, której spodziewał się i obawiał, nieunikniony krach świata w jego dotychczasowej postaci. *Od Brześcia natręctwo wizji przyszłości nie opuszczało Witkiewicza, złe wiadomości z Warszawy, zmęczenie – bolące nogi, niewygody – wszystko stwarzało warunki nie do wytrzymania, rozmowy stały się rozpaczliwe*.

JEZIORY

Gdzieś trzynastego czy czternastego chłopi przyprowadzili do nas jednego pana z panią – mówi w audycji radiowej poświęconej okolicznościom śmierci autora *Niemytych dusz* Włodzimierz Ziemlański (jego ojciec, Walenty, był znajomym Witkiewicza z czasu służby w Lejbgwardii Pawłowskiego Pułku w Petersburgu; kilka lat przed wojną zamieszkał z rodziną w Jeziorach). Przybysze zostali przyjęci z otwartymi ramionami.

Jeziory była to stosunkowo duża wieś na Polesiu, w pobliżu dwóch jezior, z których jedno nazywano Dużym, drugie Małym. W opublikowanym w roku 1981 artykule *Polesie i Witkacy* Włodzimierz Ziemlański tak przedstawiał warunki życia w latach trzydziestych XX wieku: *W okresie suszy leśnymi drogami z trudem można było przejechać furmanką do sąsiednich wsi i miasteczek, takich jak Wysock, Dąbrowica lub Stolin. Kiedy nadeszła jednak mokra wiosna lub dżdżysta jesień, woda rozmywała drogi i urywała się wtedy wszelka łączność ze światem, czasami na okres paru miesięcy. Jedynie Poleszuk urodzony na tej ziemi potrafił przedostać się przez owe mokradła i trzęsawiska, toteż często korzystano z jego usług. Woził on żywność, przenosił listy do miasteczek i przekazywał, jak umiał, nowiny ze świata. Szykując się w drogę brał po prostu kawałek chleba, słoninę i dwie pary zapasowych łapci plecionych z łozy (wierzby), własnego wyrobu, i po kilku dniach podróży wracał z odpowiedzią, lekarstwem, wiadomością itp.*

Przeglądam mapę okolic Jezior wykonaną w latach 1932–1933. Kilkanaście wsi i mniejszych osad (niekiedy z dwoma, trzema budynkami), rozsianych wśród mokradeł i lasów: Perebrody, Perechodzicze, Budymle, Grabuń, Drozdyń, Wieżyce, Łozowate, Szachy, Podmościszcze, Podtoczyszcze, Zakopań. Jeziora:

Krysickie, Wieżyckie, Duże i Małe. Błota: Zołotucha, Ciecieryno, Siczouki. I wszechobecne „uroczyska" (oznaczone na mapie skrótem „Ur."): Kramienno, Hrypla, Ostrownia, Hłubownia, Lesicze, Mościszcze, Pieszczany Bór, Wielkie Błoto, Ryże Hory, Talerze, Starucha, Kościanka, Lisiczyna i wiele, wiele innych. Nazwy z utraconego, nieistniejącego świata, z polskiej, poleskiej Atlantydy.

STRACH PRZED DZICZĄ

W Jeziorach Witkacy sprawiał wrażenie przybitego i jakby nieobecnego. Ziemlańscy próbowali go rozweselić, zachęcali do spacerów, raz nawet dał się namówić na wyprawę łódką – pływali z Czesławą po obu jeziorach. Jak mogły wyglądać ich rozmowy w tamtych dniach? Czego się spodziewali? Czy snuli jakieś plany na przyszłość? Z nielicznych i szczątkowych relacji z tamtych dni można wyciągnąć wniosek, że Witkacy przygotowywał się do odejścia.

Myśli samobójcze miewał od lat, przynajmniej od czasu tragicznej historii z Jadwigą Janczewską, jego narzeczoną, która odebrała sobie życie w lutym 1914 roku. Obwiniał się o tę śmierć. Z głębokiej depresji pomógł mu się wtedy wydobyć Bronisław Malinowski – zabrał go ze sobą na wyprawę naukową do Australii. Po wybuchu konfliktu zbrojnego w Europie Witkiewicz próbował dostać się do Galicji, ale okazało się to niemożliwe; pojechał więc do Petersburga, gdzie mieszkała część jego rodziny. Zgłosił gotowość wstąpienia do wojska, odbył kurs podoficerski i został wcielony do elitarnego Pułku Pawłowskiego. Dowodził oddziałem atakującym pozycje przeciwnika w bitwie nad Stochodem. Trauma wywołana wojennymi przeżyciami długo dawała o sobie znać – ponownie pogorszył się jego stan psychiczny.

Rewolucyjne wydarzenia w Rosji w latach 1917–1918 stanowiły kolejne graniczne doświadczenie w jego życiu. Konstanty Puzyna pisał, że objawiła mu się wtedy złowieszcza *twarz* XX *wieku*, Andrzej Mencwel dodawał: *Witkacy rodzi się Witkacym w Rosji czasów rewolucji – wszystko dalsze jest tylko kontynuacją*. To właśnie rewolucja rosyjska została przez początkującego pisarza uznana za ostateczne potwierdzenie słuszności jego intuicji i przekonań. Uzyskał niezbitą pewność, że cywilizacja w dotych-

czasowym kształcie kończy się, że nadchodzi nowy etap w rozwoju społeczeństw, w którym unieważnieniu i wyparciu ulegną dotychczasowe formy radzenia sobie przez człowieka z *tajemnicą Istnienia* – przede wszystkim religia i metafizycznie zorientowana sztuka. Uznawał nieuniknioność zmiany, ale nie widział dla siebie miejsca w tym *nowym wspaniałym świecie*.

Trudno jednak sądzić, że dramatyczna decyzja Witkacego o skróceniu własnego życia była uzasadniona jedynie takimi – historiozoficznymi – względami. W PRL-u skutecznie przemilczano napaść Sowietów na Polskę, nie do pomyślenia było więc także, by sytuować śmierć pisarza w kontekście rosyjskiej inwazji. Ze wspomnień Czesławy Oknińskiej usunięto na przykład fragment mówiący o tym, że Witkacy *był nieprzytomny wręcz ze strachu przed bolszewikami, przed dziczą, jak mówił*. […] *nie miał najmniejszych złudzeń, co go czeka. Gdy słyszał z daleka tętent koni, bał się, że już idą – będą mordować, katować, gwałcić, a on nie potrafi jej* [Czesławy] *obronić*. *Uważał więc samobójstwo za „jedyne wyjście" i chciał popełnić je najszybciej, „kiedy jeszcze jest Polska"*.

IV

Mgła. Tylko najbliższe drzewa. Jakby nie było lasu. Jakby kończyło się wszystko na jednym szeregu pni, konarów i gałęzi. A dalej? Powiedz, co jest dalej, za tą ostateczną czarną linią, no powiedz, co tam jest?

Jadwiga Witkiewiczowa: *Na drugi dzień, osiemnastego, poszedł z tą osobą do lasu, nad jezioro. Ona zażyła sporą dawkę Veronalu, a Staś podciął sobie żyły. Gdy dłuższy czas nie wracali,* […] *poszli ich szukać i znaleźli Stasia martwego, leżącego w kałuży krwi, a tę osobę czołgającą się w poszukiwaniu ratunku*. We wspomnieniach żony Witkacego Czesława Oknińska (która pod koniec życia przedstawiać się będzie i podpisywać jako „Witkacowa", a nawet „Witkacy") występuje nieodmiennie jako „ta osoba". Jadwiga nie może jej wybaczyć, że zgodziła się na samobójstwo, że nie próbowała odwieść desperata od szalonego zamiaru. Porównuje ją z Eunice, niewolnicą Petroniusza z Sienkiewiczowskiego *Quo vadis*. *Gdybym ja była ze Stasiem* – pisze – *na pewno nie dopuściłabym do tego, co się stało – niestety, nie byłam z nim* […].

KIERUNEK: SZACHY

Śniadanie od dawna było gotowe, a Witkacy i Oknińska nie pojawiali się w kuchni. Walenty Ziemlański stanął pod drzwiami ich pokoju i zastukał. Odpowiedziała mu cisza. Zastukał raz jeszcze, odczekał chwilę, aż wreszcie nacisnął klamkę i wszedł do wnętrza. Pokój był pusty, *pozostały tylko ich rzeczy, które przywieźli ze sobą. Wyglądało na to, że musieli opuścić mieszkanie jeszcze przed świtem*. Gimnazjalista Włodzimierz Ziemlański i jego brat zostali wysłani przez ojca na poszukiwanie. We wsi usłyszeli, że wczesnym rankiem ich goście maszerowali drogą wiodącą ku wsi Szachy.

Nie mam pewności, w którym punkcie Jezior stał dom przyjaciela Witkacego. Włodzimierz Ziemlański pisze: *wyszliśmy z bratem do wsi i pytaliśmy chłopów*. „Wieś” to chyba zespół budynków przy drodze wiodącej z południa na północ, na zachodnim brzegu Jeziora Dużego. Ziemlańscy mogli mieszkać właśnie tam, może w budynku szkoły (Walenty był jej kierownikiem). Możliwe jednak, że ich dom stał na północnym brzegu Dużego, wśród drzew. Jeśli tak, chłopcy najpierw skierowali się na zachód, potem skręcili w lewo, by prędko dotrzeć do pierwszych zabudowań wsi. Szachy leżą na północ od Jezior, kiedy więc dowiedzieli się, dokąd poszli goście ojca, ruszyli w kierunku przeciwnym niż początkowo. Szli wzdłuż brzegu jeziora, minęli dróżkę prowadzącą ku zabudowaniom po północnej stronie Dużego i już po chwili mieli po lewej Uroczysko Pohareckie, a po prawej, nieco dalej na północny zachód, Uroczysko Ozierśk. Doszli chyba aż tam, może i nieco dalej, do wysokości chutoru Świnica (na zachód od drogi), ale chyba nie do Uroczyska Dołhy Ostrów, bo to już tylko rzut kamieniem od wsi Szachy.

Uszliśmy może ze trzy kilometry – opowiadał Ziemlański – *lecz nigdzie ich nie spotkaliśmy. Wracając zboczyliśmy z drogi w kierunku lasu. W pewnym momencie jeden z towarzyszących nam chłopów krzyknął do nas, żebyśmy szybko przybiegli, bo w lesie leży zabity człowiek.*

TRISTAN I IZOLDA

Kiedy Oknińska wróciła do Warszawy (było to kilka tygodni po śmierci Witkacego), pojawił się u niej Mieczysław Choynowski, by



na gorąco spisać relację z wydarzeń w Jeziorach. Dokument, który wtedy sporządził, uchodzi wśród witkacologów za najbardziej wiarygodne świadectwo dotyczące ostatnich chwil pisarza.

17 września dotarła do Ziemlańskich informacja o agresji sowieckiej. Autor *Nienasycenia* przystąpił do palenia dokumentów, wciąż opowiadał o *okropnościach rewolucji bolszewickiej*. Oknińska próbowała dyskutować z jego argumentami, przekonywała, że *teraz jest co innego, że to nie rewolucja*. Odpowiedział, że ona nic nie wie, że nie przeżyła tego, co on, nie powinna więc zabierać głosu. *Wyobrażał sobie bolszewików strasznie – że będą bić i katować, że rzucą się na nią, a on nie będzie mógł jej bronić*. Choynowski zanotował: *Tej nocy decyzja dojrzała nieodwołalnie*.

18 września rano wstali wcześnie. *Witkacy powiedział „To dziś" – nic więcej, tylko te dwa słowa. „Czy się nie ogolisz" – zapytała […]. „Jak chcesz" – i ogolił się, ale już nie sprzątnął przyborów. Po śniadaniu* [to jeden ze szczegółów stojących w sprzeczności z opowieścią Włodzimierza Ziemlańskiego] *odezwał się „chodź, pójdziemy na spacer". Poszli, podobał mu się krajobraz – „Jak Litwa". Szukali jakiegoś lasu, trudno było znaleźć odpowiednie miejsce. Wyszli o ósmej, chodzili mniej więcej godzinę. Znaleźli wreszcie piękny, olbrzymi dąb. Była już jesień, lekka poranna mgła bez słońca – „Ja nie mogę, nie mogę czekać ostatniej chwili – muszę jeszcze teraz, póki jest Polska. I trzeba spokojnie, z honorem"*. Oknińska próbowała z nim dyskutować, odwodzić go od podjętej przezeń decyzji. Wreszcie zrezygnowana ucichła.

Opowiedział się we wrześniu 1939 roku po stronie tej niedoskonałej wspólnoty

W innej relacji (ujrzała światło dzienne dopiero po śmierci Czesławy – wydrukowano ją w piśmie „Kierunki") pojawia się kilka szczegółów, w które badacze twórczości i biografii Witkiewicza nie chcieli wierzyć (nie bardzo przepadali chyba za samą Oknińską; szczególnie nie lubiła jej Anna Micińska). Mnie jednak – nawet jeśli zostały zmyślone – bardzo się one podobają, przemieniają bowiem opowieść o ostatnich chwilach największego historiozoficznego pesymisty międzywojnia w jakąś hybrydę greckiej tragedii i miłosnej sielanki. Który z przedśmiertnych epizodów mam na myśli? Czesława Oknińska: *Przypomniał mi żartobliwe powiedzenie moje, że na ślub zgodzę się chyba pod chloroformem. Roześmiałam się. Wziął wtedy moją rękę, położył sobie na sercu i powiedział „Teraz daję nam ślub", i zacytował fragment modlitwy Matki swojej, ułożonej*

kiedyś dla małego Stasia, gdy był bardzo chory. Piękne proste słowa inwokacji do Ojca Wszechrzeczy połączyły nas, a na zakończenie odmówiliśmy modlitwę Ojcze Nasz, której obszerne fragmenty pamiętał [...]. *Ogarnął nas cudowny spokój i cicha radość miłości*.

Ciało Witkacego odnaleźli bracia Anatolij i Siergiej Gomułkowie – leżało zakrwawione u stóp dębu, głowa zmarłego opierała się o podnóże drzewa. Okninską dostrzegli nieco dalej, na błotach. Była nie całkiem przytomna, bełkotała. Poleszucy napoili ją wywarami ziół i zsiadłym mlekiem, dzięki czemu zwróciła całą zawartość żołądka – kilkadziesiąt tabletek luminalu i cybalginy rozpuszczonych przez Witkacego w kubku wody. Przeżyła. Pogrzeb autora *Jedynego wyjścia* odbył się nazajutrz, 19 września 1939 roku.

HISTORIA I TRUP

Około roku 1916 w Rosji została wykonana jedna z najsłynniejszych fotografii Witkacego. Ubrany w mundur lejbgwardzisty siedzi przy niewielkim blacie pośrodku kabiny fotograficznej, u zbiegu dwóch lustrzanych płaszczyzn. Odbijają one i zwielokrotniają twarz siedzącego, ale on sam jest odwrócony tyłem do osoby oglądającej zdjęcie – widoczne są jedynie jego plecy. Janusz Degler pisze, że *Portret wielokrotny kryje intrygującą tajemnicę. To bowiem, co w nim najistotniejsze, jest niedostępne. Widzimy bowiem cztery odbicia* [...], *ale* [...] *prawdziwa twarz pozostaje ukryta*.

Napisałem na wstępie niniejszych rozważań, że w śmierci Witkacego możemy się przejrzeć jak w gabinecie luster, bo mówi ona do nas poprzez deformacje, a klęskę wrześniową ukazuje nie przez pryzmat scen batalistycznych, lecz doświadczeń głęboko refleksyjnej jednostki – zagubionej w rzeczywistości, nieradzącej sobie z nią, a mimo to posiadającej umiejętność daleko posuniętej autoanalizy.

Jaki „portret wielokrotny" Witkiewicza wyłania się z opisu jego ostatnich dni? Odpowiedzi na tego rodzaju pytania próbowali udzielać liczni badacze twórczości autora *Nienasycenia*. Bodaj najciekawszą z nich przynosi artykuł Anny Micińskiej pt. *Jedyne wyjście Istnienia Poszczególnego. Samobójstwo S.I. Witkiewicza*. Autorka wyróżnia cztery perspektywy, w których należałoby rozpatrywać tamtą śmierć: psychologiczną, egzystencjalną, historiozoficzną

i artystyczną. Są to jak gdyby cztery odbicia pośmiertnej maski Witkacego. W moim krótkim rozpoznaniu nie mogę poświęcić należytej uwagi każdemu z owych odbić – interesuje mnie przede wszystkim zespół zagadnień historiozoficznych (nie znaczy to jednak, że pozostałe punkty widzenia nie są równie istotne; po prostu brak tu miejsca, by się nimi zająć). Wszystkie pytania, które chciałbym zadać, muszę zawrzeć w jednym zdaniu: Czego uczy nas śmierć Witkacego, jeśli zobaczyć ją na tle polskiej historii XX wieku?

MĄDROŚĆ PO SZKODZIE

Samobójstwo *wariata z Krupówek* można interpretować jako znak sprzeciwu wobec ostatecznego – jak sądził on sam – triumfu masy nad jednostką, cywilizacji stawiającej na pierwszym miejscu zagadnienie materialnego „szczęścia ludzkości" nad cywilizacją poszukującą rozwiązania metafizycznej tajemnicy człowieka. Gdzie tu miejsce na zagadnienie polskości? Witkacego, który pochodził z rodziny o głębokich tradycjach patriotycznych, problem polski zdawał się wszak interesować jedynie o tyle, o ile sprzęgnięty był ze zjawiskami społeczno-politycznymi dokonującymi się w szerszej skali – europejskiej lub globalnej. Naszą międzywojenną państwowość postrzegał jako tymczasową i skazaną na zagładę, bo niezdolną do rzeczywistej społeczno-politycznej autorefleksji i strukturalnej przemiany, tkwiącą po uszy w kulcie insurekcyjnej przeszłości, a przez to niewłaściwie reagującą na zagrożenie bolszewickie i hitlerowskie.

Nieuniknioność zmian objawiła się Witkiewiczowi z całą mocą podczas rosyjskiej rewolucji. Właśnie wtedy, gdy odradzała się Rzeczpospolita, doszło także do erupcji sił, które miały stać się w przyszłości przyczyną jej zagłady. Dostrzegając zagrożenie, na różne sposoby próbował Witkacy uświadamiać swoim czytelnikom, w jak węzłowym punkcie dziejów przyszło im żyć. Czynił to, sięgając po antyutopię, groteskę, grubą satyrę, a nawet dyskurs estetyczno-filozoficzny. W *Niemytych duszach* przemawiał wprost, językiem dosadnym, mogącym budzić sprzeciw odbiorcy: *„Mądry Polak po szkodzie" (byłoby jeszcze dobrze, ale on i po szkodzie bywał głupi, tzn. nie głupi – inteligencji u nas nie brakło – tylko lekkomyślny,*

to „jakoś to będzie", krótkodystansowość, aprenuledelużyzm, robienie wszystkiego „na łapu-capu" (piękne słówko, co?), ten, że tak powiem, „jebał-piesizm" […], *ten parszywy pseudoindywidualizm, dobry wtedy, gdy trzeba było bić, gardłować, pić i jeszcze co najwyżej nabijać kabzę, a nie myśleć – to były wady, które* […] *musiały dać w rezultacie zupełny upadek*. O II Rzeczypospolitej pisał: *Cylindry, przyjęcia, ordery, posunięcia, posunięcia i posunięcia – ale idei kierowniczej nie ma i przy tym składzie i rozkładzie sił działających być nawet nie może. Idei nie można szukać i sztucznie jej wytwarzać: ona musi być w masie narodu i trzeba ją tylko ogniskować albo trzeba ją ze swych najgłębszych bebechów spontanicznie w jakimś szale twórczym stworzyć*.

Słowa bolesne, diagnozy może nie całkiem sprawiedliwe, symplicystyczne – ale zrodzone z autentycznej troski o kształt zbiorowego bytu, z obawy o jego zdolność do stawienia czoła potężnym geopolitycznym zagrożeniom. Ostatecznie także on, Stanisław Ignacy Witkiewicz, opowiedział się we wrześniu 1939 roku po stronie tej niedoskonałej wspólnoty. Uczynił to, podejmując po wielekroć próbę zaciągnięcia się do polskiej armii, a potem – kiedy doszedł do (błędnego?) przekonania, że wszystko już stracone, że nie da się ocalić świata przed inwazją barbarzyńców – skracając własne życie czym prędzej, *póki jest Polska*, byle tylko nie słyszeć ryku bolszewickiej dziczy.

Czego zatem uczy nas śmierć Witkacego?

Przestrzega, byśmy nigdy nie doprowadzili się do takiego stanu, w którym zbiorowe samobójstwo jawi się jako „jedyne wyjście". Przekonuje: *Od każdego z was zależy, czym będziecie jako wspólnota*. Dowodzi, że u początku wszystkich dziejowych katastrof leżą: niechęć do autoanalizy, samozadowolenie, niedostatek świadomości. **Ω**

[pierwodruk w odcinkach w ramach cyklu
Afazja polska: „Gazeta Polska Codziennie"]



Jacek Podgórski

DROGI JANA POLKOWSKIEGO

Polkowski, przywołując ważne wydarzenia z historii kraju, ukazuje, że nie tylko my decydujemy o tym, kim jesteśmy. Wstydliwy to portret, o którym niewielu chce mówić

Aforyzmy cierpienia, palimpsesty zagłady. Fragmenty poezji, która – ufam głęboko – „nie przeminie, kiedy przeminą jej czasy" – tak w 1987 roku, na łamach czasopisma „Res Publica", kończył swój artykuł na temat twórczości Jana Polkowskiego Jan Błoński. Mówi się, że aby zaistnieć na polskiej scenie literackiej, wystarczy znaleźć się w kręgu zainteresowań któregoś z najbardziej poważanych krytyków. Mowa tu choćby o wspomnianym Janie Błońskim, ale także o takich postaciach jak Janusz Sławiński czy Jerzy Kwiatkowski. Nie da się ukryć, że kariery wielu współczesnych nabrały tempa w znacznej mierze dzięki przychylnym głosom krytyki. Nieco inaczej ma się jednak sytuacja z Janem Polkowskim.

Oczywiście aprobata wobec tej poezji ze strony Błońskiego stanowić mogła niemałą nobilitację dla zaledwie trzydziestoczteroletniego autora. Nie był to jednak w żadnej mierze bodziec decydujący. Debiut literacki autora *Głosów* przypada na rok 1978, czyli fazę kształtowania się drugoobiegowego „Zapisu". W roku 1980 ukazuje się pierwszy tom poetycki, czyli *To nie jest poezja*, w 1981 kolejny – *Oddychaj głęboko*, rok 1983 przynosi *Ogień. Z notatek 1982–1983*, potem kolejno *Wiatr i liście. Wiersze* (1984), *Wiersze. 1977–1984* (1986) i *Drzewa. Wiersze 1983–1987*. Dopiero wówczas ukazuje się *Język właściwie użyty*, czyli osławiony i kilkakrotnie przedrukowywany artykuł Jana Błońskiego. Polkowski był już wtedy poetą znanym i kojarzonym – niestety – jednoznacznie. W świadomości odbiorców literatury schyłkowej fazy Polski Ludowej był to autor polityczny, którego twórczość nastawiona była antyreżimowo, antyradziecko, a sam język poetycki autora *Katakumb* definiowany był w oparciu o te właśnie polityczne konotacje jako eliptyczny i skupiający sensy na prezentacji rzeczywistego konkretu – nie zatem na finezyjnej metaforze. Jest w tym sporo prawdy. Trudno jednak ograniczyć tak złożoną i skondensowaną poezję do jednego prymarnego kierunku, do rysu, który na dalszy plan spycha wartości stanowiące właściwy sens twórczych dociekań.

W świadomości odbiorców literatury schyłkowej fazy Polski Ludowej był to autor polityczny, którego twórczość nastawiona była antyreżimowo, antyradziecko

Wczesna poezja Polkowskiego, której mianem określam utwory wydane do roku 1987, daje pełen obraz funkcjonowania jednostki w tym, co śmiało nazwać możemy metaforą przestrzeni zamknię-

tej. Osaczenie, o którym mowa, nie ogranicza się wyłącznie do kwestii związanych z przestrzenią rzeczywistą, ale dotyka wszelkich form duchowości, także tej, która nierozerwalnie współwystępuje z pojęciem narodu. To właśnie jest sens walki, obrona pierwiastka, dla którego warto poświęcić wiele, ponieważ zapewnia on ciągłość. Na myśl przychodzi fragment *Raportu z oblężonego Miasta* Zbigniewa Herberta – *On będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania/ On będzie Miasto*. Przyjrzeć należy się zatem dokładniej nośnikowi, który pozwala na zachowanie rzeczonej ciągłości.

Dla naszych rozważań znamienna będzie zatem rola, którą w kształtowaniu tej twórczości odegrał język, a w zasadzie zaprzeczenie jego podstawowej funkcji, którą jest formułowanie prawdy o rzeczywistości. Język władzy nie jest tu słowem, ponieważ oderwany jest od tego, co ludzkie. Brak mu mocy kreacyjnej, czegoś, co pozwoliłoby stwarzać, a tylko tak rozumiany język może być elementem współtworzącym tożsamość. Mowa staje się tu czynnikiem definiującym polskość, która w tym przypadku stanowi wyznacznik wartości poezji zaangażowanej. Brak przywiązania do języka wiązać mógł się jednak z upadkiem jednego z najistotniejszych czynników przywiązania do symboliki narodowej. Zauważa to Jan Polkowski choćby w **** Rozumiem wszystko, słowo po słowie*. Na kartach tego wiersza dokonał autor bardzo wyraźnego splecenia losów języka z losami państwa i z sytuacją zastraszonych obywateli. Bardzo dobitny cytat z wykorzystaniem tekstu hymnu państwowego wskazuje też na konieczność ponownego przyswojenia sobie sensów słów, które w procesie indoktrynacji zmieniły swoje znaczenie. Świadome korzystanie z języka stało się na tyle trudne, że zaistniała konieczność przeprowadzenia redefinicji jego roli i znaczeń:

Mimo pozornej niezmienności brzmienia słów człowiek zatracił możliwość rozumienia ich sensów

Powiedz wolno jeszcze raz –
Jeszcze Polska nie zginęła –
słowo po słowie,
podejdź, okaleczony,
wesprzyj mnie
pustko.

Rzeczona pustka znaczeniowa ujawnia się już w pierwszych wersach cytowanego utworu, w których autor zauważa, że mimo pozornej niezmienności brzmienia słów człowiek zatracił możliwość rozumienia ich sensów. Wywołuje to w poecie poczucie lęku i pustki tak głęboko zakorzenione, że przedstawione jako coś niemalże pierwotnego, posługując się słowami autora – *jeszcze sprzed czasów jego narodzin*. Dodatkowo proces zawłaszczenia języka polskiego nacechowany jest w wierszu ogromną brutalnością i ukazany został jako akt dosłownego „wydarcia języka". Problemem wydaje się także permanentnie malejąca liczba osób chcących poznać prawdziwe sensy słów, które, jak zauważa autor, nie umarły, ale wymagają teraz więcej wysiłku od *ostatnich, którym nie wydarto języka*. Prześledźmy zatem, jak donośnie i przejmująco brzmią słowa tego ważnego w omawianym kontekście utworu:

Rozumiem wszystko, słowo po słowie,
ale to nie jest język, którym mówię
Jest tak jakby wszyscy byli niemi a ty mówisz do mnie
pełen lęku, że jesteś ostatnim, któremu nie wydarto języka
Jeśli go już słyszałem, to musiało to być przed moim
narodzeniem.

Wskazuje też na faktyczne pochodzenie języka liryki: martwe ciało, lwowską celę, Łubiankę, czyli to, co związane jest z prawdziwym życiem

Utrata poezji jest dotkliwa, ale ślepy byłby ten, kto nie dostrzegłby szaleństwa poezjowania w świecie pogrążonym we własnym szaleństwie – mówi Tomasz Nyczek, wskazując jednocześnie na niezmiernie celny kontekst wiersza pt. *Flaga łopoce na wietrze* dedykowanego Aleksandrowi Watowi. Polkowski pozornie wieszczy koniec poezji, stawiając tezę, że ta już nie wróci. Wskazuje też na faktyczne pochodzenie języka liryki: martwe ciało, lwowską celę, Łubiankę, czyli to, co związane jest z prawdziwym życiem. Końcowy cytat *Nie trzeba poezji/ poniechaj metafor* wskazuje nie tyle na odrzucenie sensu poezji, co na konieczność zmiany poszukiwania jej proweniencji. Autor *Tenebrae* zauważa słusznie, że nie bierze się ona z natchnienia, które jest *creatio ex nihilo*, ale z realnego życia i prawdziwych doświadczeń, wobec czego zawsze jest ona obecna w naszym życiu. Nawet jej pozorny brak w wierszu zdaje się cicho powtarzać uważnym słuchaczom Watowski cytat.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że poezja Jana Polkowskiego zżyła się trwale z pojęciem polskości. Nie należy zapominać jednak, że wartości patriotyczne nie funkcjonują tu samoistnie. Nie są oderwane od rzeczywistości, ale istnieją po to, by znaleźć swoją realizację w życiu jednostek, a co za tym idzie całego społeczeństwa. Dokładne studium psychologiczne, które daje nam w swoich pierwszych tomach autor *Oddychaj głęboko*, jest rodzajem swoistej kroniki, która z kolei buduje nieco zafałszowany obraz tej poezji.

W obiegowej opinii twórczość Jana Polkowskiego kojarzona jest, niemal bez wyjątków, wyłącznie ze stanem wojennym. Być może wiąże się to z jej silną obecnością w tym czasie, jednakże nie możemy zapominać, że to nie stan wojenny stworzył Jana Polkowskiego jako poetę. Nie da się ukryć, że historia, a w szczególności schyłkowa faza PRL-u, odcisnęła na biografii i poezji autora nieusuwalne piętno. Można zatem, bez chwili zawahania, mówić o uwikłaniu historycznym, pewnej ściśle określonej wizji tamtej Polski czy o elementach politycznych w poezji autora *Cienia*. Wszystkie wymienione elementy są niezmiernie istotne i, bez wątpienia, budują pewną wizję – tak – jednak wciąż są to wyłącznie elementy. Stawia to pod znakiem zapytania funkcjonowanie pojęcia, które w najnowszej historii literatury nie doczekało się swojej niepodważalnej konkretyzacji – mowa tu o poezji stanu wojennego. Kwestia ta wydaje się warta rozważenia właśnie w kontekście omawianej przez nas twórczości Jana Polkowskiego, który wymieniany jest jako jeden z głównych przedstawicieli tej „grupy". Wątpliwości wynikają przede wszystkim z braku wyznaczników formalnych, pozwalających nam stworzyć choćby zbliżoną, reprezentatywną grupę wartości tę poezję tworzących. Badacze posługują się w tej kwestii zazwyczaj kryterium temporalnym i związanymi z nim okolicznościami powstawania utworów. Trudno jest mówić jednym głosem o poezji Włodzimierza Boleckiego, Wiktora Woroszylskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Zbigniewa Herberta, Stanisława Barańczaka czy właśnie Jana Polkowskiego. Problematyczna jest także kwestia wplatania w ten porządek interpretacyjny antyreżimowej prozy choćby Marka Nowakowskiego czy Andrzeja Szczypiorskiego. Autorów można by mnożyć, jednak wciąż jedynym nadrzędnym czynnikiem łączącym tę twór-

Trudno jest mówić jednym głosem o poezji Włodzimierza Boleckiego, Wiktora Woroszylskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Zbigniewa Herberta, Stanisława Barańczaka czy właśnie Jana Polkowskiego

czość pozostaje temat reakcji na wydarzenia polityczne i, w kręgu przywołanych nazwisk, wyraźne nastawienie opozycyjne. Jeśli pod uwagę brać będziemy tylko te czynniki, wówczas owszem, w teoretycznoliterackich rozważaniach mówić będziemy o poezji stanu wojennego – wciąż jest to jednak zbyt niewiele, aby stworzyć rodzaj klarownego systemu, który niezbędny jest do mówienia o generacyjnym charakterze tej literatury. Nie należy wszakże poddawać krytyce prób uporządkowania trudnej sytuacji historycznoliterackiej – wręcz przeciwnie – rola, którą odegrały utwory publikowane w czasie stanu wojennego lub tuż po jego zakończeniu, pozostaje nie do przecenienia. Teksty te stanowią bowiem wykładnię wierności ojczyźnie, symbol nierównej walki z przerastającym społeczeństwa Europy komunistycznym walcem i dają świadectwo polskości jako wartości nadrzędnej.

Znaczenie poezji Jana Polkowskiego w omawianym czasie było niepodważalne, ale jednocześnie wplątało autora w pewien schematyczny sposób myślenia o literaturze tamtego okresu. Trudno stwierdzić cokolwiek na temat zmiany, która dokonała się w tej poezji wraz z wydaniem *Elegii z Tymowskich Gór i innych wierszy*. Trudno pominąć towarzyszący lekturze niepokój – nie on jest jednak głównym budulcem tych wierszy. Zmieniło się tworzywo tej twórczości, ewolucji uległ sam język poetycki, język, który nie stracił jednak nic ze swej roli. Krzysztof Myszkowski w artykule pt. *Biała tęcza słów*, który ukazał się w 1990 roku na łamach „Odry", mówi o poezji autora *Tenebrae* jako o nasyconej *białą magią, przezroczystą jak świetliste powietrze, w słowach bardziej dotykalnych niż drewno, mur, ciało – niewidoczne świadectwo raju*. To poetyckie i pozornie niezbyt konkretne sformułowanie odsłania jednak jeden z głównych rysów, które stanowić mają o sile tomu i wielu przyszłych wierszy Polkowskiego. Mowa tu o wielowymiarowej tajemnicy wynikającej z jednostkowej oraz kulturowej tożsamości. Nieodzowność metafizyki i odwoływania się do kategorii *sacrum* jest tu zdecydowanie wyraźniejsza, przez co zaczyna funkcjonować niejako samoistnie. Miłość nie musi być definiowana poprzez drut kolczasty, wolność przez mur, a ojczyzna przez skarlałego ptaka. Nie musi, bo Polkowski coraz więcej przestrzeni zostawia czytelniczej wyobraźni. Należy oddać słuszność Anecie

Miłość nie musi być definiowana poprzez drut kolczasty, wolność przez mur, a ojczyzna przez skarlałego ptaka

Mazur, która mówi, że wiersze Jana Polkowskiego są „jakby niedokończone". Poetyka elipsy, lecz także enigmatyczność budowana w oparciu o warstwę treści – już nie tylko za pomocą języka poetyckiego – pozwalają na stawianie ważnych pytań, na które autor nie daje jednoznacznych odpowiedzi. Ta zasada, służąca aktywizacji wyobraźni poetyckiej, stałą się jednym z głównych wyznaczników kolejnych tomów Polkowskiego, który długo kazał czekać na kolejne książki. Dopiero w 2009 roku, czyli w 19 lat po ukazaniu się *Elegii z Tymowskich Gór i innych wierszy*, ukazuje się tom *Cantus*, za który autor otrzymał Nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego. Powrót po latach zaowocował, poza nagrodą, kilkoma pozytywnymi recenzjami. Zasadniczy ton tej poezji, którego źródeł doszukiwać należy się raczej w *Elegiach*..., nie uległ znaczącym przeobrażeniom. Czysty język poetycki, nasycony rozważaniami o charakterze metafizycznym, przesiąknięty motywem wanitatywnym, ale i umiejętność dostojnej kontemplacji rzeczywistości potwierdziły ciągle znaczącą rolę Polkowskiego wśród poetów współczesnej Polski.

Nietrudno zauważyć, jak układała się droga poetycka Jana Polkowskiego. Od drugoobiegowego nurtu poezji zaangażowanej, powoli zmierzał Polkowski ku ujęciu klasycznemu. W tomach *Cantus*, *Cień*, *Elegie z Tymowskich Gór* nastąpił znaczący zwrot ku metafizyce, poszukiwaniu Boga czy powrotowi do dzieciństwa. Tym bardziej poruszające stało się opublikowanie w 2012 roku, w serii Biblioteka „Toposu", tomu *Głosy*, który swoją tematyką nawiązuje do okrucieństwa dwudziestowiecznej historii, tak żywej we wczesnych książkach poety. Jest to jednak ujęcie dotąd w poezji Polkowskiego nieznane, skoncentrowane na doświadczeniu jednostki i skupiające się na jednym tylko wydarzeniu historycznym, a w zasadzie jego rozlanych w czasie konsekwencjach. Mowa tu o wydarzeniach grudniowych roku 1970. Autor posłużył się w *Głosach* nową metodą, jak mogłoby się wydawać, naturalną dla poezji – oddał słowa osobom absolutnie anonimowym, tym jednak, które w masakrze na Wybrzeżu ucierpiały najbardziej. Metodę, o której mowa, Wojciech Ligęza nazwał poezją osobną. Poziom tomu został doceniony – w 2013 roku został on nominowany do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej.

Polkowski, przywołując ważne wydarzenia z historii kraju, ukazuje, że nie tylko my decydujemy o tym, kim jesteśmy

W tym samym roku okazało się, że Jan Polkowski równie sprawnie potrafi tworzyć utwory prozatorskie. Powieść *Ślady krwi* to książka trudna. Marek Nowakowski zauważył, że w historii Henryka Harsynowicza, głównego bohatera książki, zawiera się donośna lekcja najnowszej historii Polski. Rzeczywiście – *Ślady krwi* to utwór pokazujący, jak bardzo, niezależnie od naszych planów, uwikłani jesteśmy w historię pojmowaną szerzej niż jednostkowo. Moralne rozterki, z którymi boryka się bohater, a które wynikają z jego niezamierzonej komunistycznej przeszłości, każą spojrzeć przenikliwie na polską tożsamość jednostkową. Polkowski, przywołując ważne wydarzenia z historii kraju, ukazuje, że nie tylko my decydujemy o tym, kim jesteśmy. Wstydliwy to portret, o którym niewielu chce mówić. Nie ma tu waloryzacji pojęć winy i kary, niejasna jest kwestia motywów zaangażowania się w działalność którejkolwiek ze stron rozdzierających historię Polski w drugiej połowie XX wieku. Mimo jawnego potępienia ustroju trudno potępić autorowi niejednoznaczne postacie budujące świat powieści. Podobnie przedstawiona została współczesna Polska, która, w znacznej mierze, pozostała przecież w rękach tych samych ludzi. Gorzkie konstatacje płyną z kart tej powieści, jednak, niestety, nie możemy odmówić Polkowskiemu autentyczności, do której wielu nie chciałoby się przyznać.

Gdy przyjrzymy się ewolucji twórczości autora *Głosów*, łatwo zauważymy, że jej fundament, mimo pokaźnego już dorobku, nie uległ zmianie. Wierność wartościom określającym nasze człowieczeństwo każe ponownie przywołać twórczość największych. Pojęcie wierności jest tym, co zbliża Jana Polkowskiego – przy zachowaniu wszelkich różnic – choćby do Zbigniewa Herberta, co słusznie zauważała krytyka już od końca lat 80. Stwierdzenie to jest o tyle ważne, że każe rozpatrywać tę poezję w szerszym, aniżeli tylko politycznym, kontekście historycznoliterackim. Jej uwikłanie w trudne kwestie kulturowe, silny pierwiastek klasycyzujący, niejednoznaczność, językowa precyzja czy niesłabnąca przez lata wierność idei każą patrzeć szeroko i zmuszają do mówienia o Janie Polkowskim jako o poecie wymykającym klasyfikacjom. Należy tylko żywić nadzieję, aby, nawiązując do słów Jana Błońskiego, czasy pozwoliły przetrwać tej ważnej poezji. **Ω**

POEZJA, VERMEER, KRUCYFIKS I SEDES

NIE CHCĘ DEPRECJONOWAĆ SWOJEJ MŁODOŚCI, ALE PO LATACH CHYBA OBRAZ ŚWIATA ZYSKUJE NIECO NA GŁĘBI, STAJE SIĘ WIELOWARSTWOWY, TROCHĘ BARDZIEJ SKOMPLIKOWANY, ROZŚWIETLONY PRZEŻYTYM CZASEM I OCIENIONY ŚMIERCIĄ – WYZNAJE „FRONDZIE LUX" JAN POLKOWSKI

JACEK PODGÓRSKI: Debiutował pan w „Zapisie" w 1978 roku. Miał pan wówczas 25 lat i był początkującym poetą. W zasadzie od razu zaczęto mówić o tej poezji jako o twórczości zaangażowanej, silnie upolitycznionej.

JAN POLKOWSKI: Ma pan złe informacje. Mówiono o moich wierszach inaczej.

Nie ukrywam, że staram się nakłonić pana do przełamania pewnego stereotypu.

– Stereotyp jest późniejszy, pochodzi z czasów III Rzeczypospolitej. Gdy ukazał się tom *To nie jest poezja* (1980) i przez następne dziesięć lat nikt mnie nie wrzucał do politycznego worka poza nierozgarniętymi oportunistami i wiernymi wychowankami cenzury, a i ci musieli robić to prywatnie, bo pisać w oficjalnych czasopismach o drugim obiegu nie było wolno. Ludzie pogodzeni z reżimem lub mu służący mawiali wtedy, że pisarze publikujący poza zasięgiem cenzury wybrali nie tyle wolność, ile politykę, postawili na agitację, rezygnując ze świętej sztuki – w rezultacie nie tylko obniżyli artystyczne loty, ale w dodatku wpadali w czytelniczy niebyt – ich wydawana w podziemiu twórczość trafiała wyłącznie do wąskiego kręgu wtajemniczonych. To wszystko wierutne bzdury opowiadane przez starających się ukryć lub usprawiedliwić swoje wygodnictwo, flirt z komunistami, tchórzostwo lub miałkość własnej twórczości. Nakłady podziemnych książek, zwłaszcza poetyckich, były bowiem wyższe od wydawanych legalnie. Mówię to w oparciu o własne doświadczenie – od 1978 roku byłem podziemnym wydawcą, a prócz tego kolporterem warszawskich niezależnych oficyn. Owszem, wydawnictw

drugiego obiegu nie można było nabyć w księgarniach, na prowincji było o nie trudniej, ale krąg czytelników był szeroki – książki przechodziły z rąk do rąk, trafiały do ludzi spragnionych wolnego słowa, podnieconych zakazaną lekturą, więc czytających bardziej namiętnie. Z drugiej strony np. biblioteki uniwersyteckie starały się je zbierać. Fałszywym mitem jest także obowiązkowa polityczność podziemnych publikacji. Wielu pisarzy nie mogło publikować oficjalnie, bo liberałowie z PZPR często mścili się w ten sposób za działalność pozaliteracką (np. Stanisław Barańczak za przystąpienie do Komitetu Obrony Robotników). Oczywiście w podziemiu ukazywały się teksty zdjęte przez cenzurę z łamów legalnych czasopism, ale do czytelników drugiego obiegu docierały lektury teoretycznie cenzuralne, których autorzy zostali objęci przez „ludzi honoru" całkowitym zakazem druku, lub publikacje autorów takich jak ja, którzy nie mieli ochoty poddawać się cenzurze.

Wbrew temu, co pan mówi, miałem wielkie szczęście do mądrych krytyków, którzy rozumieli moje wiersze lepiej i głębiej niż ja sam, i ci pisali raczej o ich metafizyczności niż polityczności. Kiedy na rozkaz generałów udających Polaków siedziałem w więzieniu, Marian Stala napisał szkic pt. *List do Jana Polkowskiego* (nawiązując do *Listu do Jana Bugaja* Kazimierza Wyki) i jeśli dobrze pamiętam, nie wspominał w nim o poezji agitacyjnej.

Szufladkowanie, zamknięcie moich wierszy w określeniu „poeta stanu wojennego" (w stanie wojennym napisałem w więzieniu tylko jeden niewielki tomik *Ogień*) było dziełem na ogół niezbyt mądrych autorów podręczników i tych uczestników życia kulturalnego, których uwierał poeta nieoddający wierszy w łapska cenzorów, nawet gdy pisał o ptakach, drzewach i obłokach. Moja konsekwentna postawa obnażała wybory artystów, którzy rzekomo w imię sztuki łasili się do komunistów. Ot i cała tajemnica wpychania mnie do pudła z napisem „stan wojenny" – pisałem i publikowałem jako człowiek wolny, czego do dzisiaj wielu niewolników nie może mi wybaczyć. A we mnie tętniły polska historia i kultura, miażdżyła mnie upokarzająca rzeczywistość sowieckiej kolonii, tłamsiła nowomowa, rozśmieszały i rozwścieczały propaganda i kłamstwo i musiałbym być niebywale załgany, żeby to wszystko wyrwać z mojego wnętrza, myśli, języka, żeby to pominąć, zamknąć się w wieży z imitacji kości słoniowej i pisać o bólu zęba. Nie chciałem również dać się zamknąć w nędznym teraz, więc rozmawiałem z umarłymi poetami. Wolałem debatować z nimi niż ze zblazowanymi towarzyszami zesłanymi na odcinek kultury. Byłem w swoich wyborach wolny, nawet kiedy SB skuwała mnie w kajdanki i wrzucała do

celi. Gdybym wtedy się poddał i udawał kogoś innego oraz zaczął skamleć, by przyjęto mnie do oficjalnego życia literackiego, zmarnowałbym młodość i wstydziłbym się spojrzeć swoim dzieciom w oczy. I dzisiaj podobny konformizm i błędne rozumienie, czym jest kultura, prowadzi poetów do wyparcia się siebie, swoich korzeni oraz do poprawnego, izolowanego środowiskowego bełkotu.

Dzisiaj także się uważa, że poprawnościowy rytuał unieważniania piękna, kac i ból zęba są ważniejsze niż dialog wewnątrz tysiącletniej kultury, odkrywanie i pogłębianie tożsamości, mozaika indywidualnej i wspólnotowej pamięci oraz traktowane z powagą prawdy. Generalnie sądzę, że w XXI wieku podejście twórców do kultury powinno być konserwatywne. Ktoś może mieć skrajnie lewicowy pogląd w kwestii podatków, redystrybucji dochodu narodowego czy ochrony przyrody. Wolnoć Tomku w swoim podświadomku. Jednak w sytuacji gnicia cywilizacji, prób amputacji pamięci, kryzysu religii tylko żywa, lojalnie dialogująca z przeszłością kultura może utrzymać człowieka w pozycji pionowej, ocalić człowieczeństwo oparte na wspaniałej kulturze Europy. Kultura bez pamięci i bez zachowania żywotnej ciągłości obumiera. A kiedy kultura zdycha, człowiek staje się drapieżnikiem niebezpiecznym dla świata i dla samego siebie.

Być może właśnie dzięki temu sposobowi myślenia o świecie, który widoczny jest w pana twórczości, wzbudziła ona zainteresowanie wśród najprężniejszych umysłów polskiego literaturoznawstwa, krytyki literackiej. W 1987 roku na łamach czasopisma „Res Publica" ukazuje się artykuł Jana Błońskiego pt. *Język właściwie użyty*. Mówiono wówczas o panu jako o poecie genialnej elipsy, mówiono o poezji, która ma szansę przeżyć swoje czasy. Czy to rzeczywiście ma miejsce? Czuje pan, że ta poezja ma szansę przetrwać, że nie zostanie zapomniana?

– Błoński nie miał powodów, by prawić mi komplementy, widocznie tak myślał.

Przytoczę pewną anegdotę. Kupiłem kiedyś antologię poezji francuskiej i z wielką przykrością czytałem tę książkę. Były to w większości wiersze zupełnie zimne, zamknięte, całkowicie lekceważące czytelnika. Dla jasności dodam, że lubię wiersze ciemne, na przykład przeżywam mocno Paula Celana. Wiele jego wierszy działa na mnie pozaracjonalnie, siłą tajemnicy języka. We francuskiej antologii tlił się jednak głównie niekomunikatywny bezradny bełkot. Jedyny z poetów, który do mnie przemówił, chociaż publikował we Francji od kilkudziesięciu lat, nie mógł liczyć na żadną recenzję, nikt nawet nie wspominał o jego istnieniu. Dlaczego? Ano jego twórczość

zanurzona była w europejskiej tradycji, w chrześcijaństwie. Poeta widział wokół człowieka drugą przestrzeń, mierzył się z losem, ze śmiercią przenikającą świat. I został skreślony, zniknął z francuskiego życia literackiego. Został jedną z ofiar wojny kulturowej, która, podobnie do walki klasowej, stale się zaostrza. Wkraczam więc w los francuskiego poety, bo zajmują mnie sprawy niepopularne. Kluczowe w myśleniu o człowieku są dla mnie pamięć, nawarstwiona tożsamość i nieustający dialog z nieśmiertelnymi umarłymi. Traktuję Homera, Wergiliusza, Kochanowskiego, Mickiewicza, Miłosza, Herberta jak współczesnych, z którymi rozmawiam i spieram się, bo inaczej przestanę oddychać. Pamięć kultury, pamięć języka są fundamentem, treścią i ornamentem człowieczeństwa. Tymczasem okazało się, że to wszystko rzeczy naganne. Pamięć jest wrogiem, bożkiem jest hedonistycznie traktowana chwila i przyszłość, która bez przeszłości jest przecież zaledwie jednym z wcieleń nicości. W dodatku polska niechęć do pamięci, czy nienawiść wobec niej, jest wzmocniona przez obrzydliwy kontekst polityczny, przez to, że żyją w Polsce ludzie, którzy współtworzyli system totalitarny, współtworzyli sowiecką wersję polskiej kultury, budowali pałace i książki z kłamstwa i dzisiaj walczą, by pozostać nauczycielami narodu, mieszkać w służbowych mieszkaniach na Olimpie.

Chciałoby się powiedzieć, że „u szczytu schodów”…

– Tak… i nie chcą dopuścić do tego, żeby w sposób wyzwolony z nowomowy, wyzwolony z fałszywych kryteriów oceniania rzeczywistości, zmanipulowanych sposobów jej analizy, rozmawiać o przeszłości, o całym dziedzictwie, włączając w to wartościowanie – nie tylko kategorię piękna, ale kategorie prawdy, kłamstwa, dobra i zła. Ci oficerowie wojny kulturowej modlą się do cielca postępu, a kultura służy im tylko do utrzymywania doskonalszego niewolnictwa, do ogłupiania i łupienia ludu, a w końcu do unicestwiania człowieczeństwa. Za rewolucjonistami kulturalnymi stoi siła państwa, więc ludzie myślący o kulturze podobnie do mnie są i będą rugowani z procesu edukacji i obiegu dóbr kultury. Jednym z celów kłamstwa komunistycznego było zerwanie ciągłości pamięci społecznej, kulturowej, ideowej, moralnej. Dzisiaj cel jest identyczny. Ja zaś, skoro trzydzieści lat temu nie godziłem się z taką pierekowką dusz, to i dzisiaj nie mogę zachować się inaczej.

Pamięć kulturowa nie zmienia się w pana twórczości. Jest obecna i istnieje w pewien sposób w każdym tomie. Zmieniła się natomiast dykcja Jana Polkowskiego. Kiedy weźmiemy pod uwagę pierwsze tomy: *To nie jest poezja, Oddychaj*

***głęboko*, *Drzewa*, *Ogień*, i pomyślimy o roku 1990, kiedy wychodzą *Elegie z Tymowskich Gór i inne wiersze*, można odnieść wrażenie, jakoby ta poezja pisana była inną ręką. To zresztą potwierdzone zostało w tomie *Cantus*, a należy pamiętać, jak długi czas dzieli oba tomy. Zaczął pan operować zupełnie innym językiem poetyckim. Wcześniej – powiedzmy – był to konkret, za pomocą którego budowane były wiersze. Mówił pan bardzo wyraźnie *Nie trzeba poezji/ poniechaj metafor*, bo przecież poezja ich nie potrzebuje. Właśnie to, co namacalne, budowało pana wiersze. Później nastąpił zwrot. W stronę metafory? Jest to przecież inny język.**

– Byłoby nieciekawe, a jest niemożliwe, by na przestrzeni wielu lat pisać tak samo. To banał, ale oczy dwudziestolatka zauważają co innego, jego serce przeżywa świat inaczej niż ten sam człowiek czterdzieści lat później. Nie chcę deprecjonować swojej młodości, ale po latach chyba obraz świata zyskuje nieco na głębi, staje się wielowarstwowy, trochę bardziej skomplikowany, rozświetlony przeżytym czasem i ocieniony śmiercią. Wielość odgrywanych przez człowieka ról mocno wpływa na postrzeganie świata, na stosunek do ludzi, ocenę wydarzeń, atrakcyjność idei. Wiele zachowałem ze swoich młodzieńczych przekonań, np. nieufność do inżynierii dusz i niechęć do lewicowych utopii, ale zżywanie się z czasem i wędrowanie wraz z ludzkim losem musiało mnie doświadczać i zmieniać. Jednak czy moje wczesne wiersze różnią się zasadniczo od ostatnich? W jednych i drugich obecny jest dialog z przeszłością, pamięć indywidualna miesza się z losem wspólnoty i pamięcią kultury, a samotność z historiami, które krążą we krwi milionów Polaków. Nie mam też wątpliwości, że bardzo ważne są poszukiwanie sensu obecności we wspólnocie, analiza, jak ta wspólnota sama siebie rozumie, co zagraża jej i indywidualnej tożsamości, jak ta tożsamość się zmienia, dlaczego i w jaki sposób podawana jest w wątpliwość. To są pytania ważne niemal tak jak te o sens życia i istnienie Boga. Sądzę, że ktoś, kto składa się wyłącznie z teraźniejszości, z marzeń, a nie z twardego sensu kultury ożywiającej człowieka od tysięcy lat, nie może zadawać poważnych pytań. Ani sobie, ani światu, ani Bogu.

Po wydaniu *Elegii z Tymowskich Gór*… przestał pan jednak na jakiś czas publicznie zadawać pytania. To była pełnoletnia nieobecność na arenie literackiej.

– Pisanie wierszy było darem. Przypominam sobie często to, co powiedział Brodski podczas dialogu z sowieckim sędzią, że pisania wierszy nie da się na-

uczyć, bo dar bycia poetą pochodzi od Boga. Ten dar należy pielęgnować, ale kiedy znika, nic nie można na to poradzić. Nigdy nie powiedziałem sobie, że wiersze to atrybut młodości, dosyć gryzmolenia – teraz zająć się trzeba naprawdę poważnymi sprawami. Tak jak nie obudziłem się pewnego poranka, żeby powiedzieć: no dobrze, dwadzieścia lat przerwy w pisaniu wystarczy, machnij dzisiaj sonet, a jutro odę.

To nie zmienia faktu, że powrót był imponujący. *Cantus*, w mojej opinii, był niezwykle udanym tomem. Spotkał się zresztą z pozytywnym odbiorem krytyki. *Cień* i *Głosy* to też dobre zbiory wierszy, ale najbardziej zaskakujący był jednak debiut powieściopisarski. Nikt chyba nie spodziewałby się, że Jan Polkowski napiszę prozę. *Ślady krwi* są niezwykle głęboko zakorzenione w polskiej historii. Przyznam, że i ja nie podejrzewałem pana o zacięcie prozatorskie.

– Ponieważ go nie było. Zmieniło mnie zżywanie się z czasem, z ludzkim losem drugiej połowy XX wieku, przenikanie przez lektury losu tych, którzy zostawili swój mocny ślad, i przez uczucia oraz wyobraźnię treści życia tych, którzy swój testament zapisali jedynie w pyle powietrza. Gdyby pisarze pisali tylko o tym, co im samym się przydarzyło, byliby w większości strasznymi nudziarzami.

Nie uważam *Śladów krwi* za debiut, bo ta powieść jest fragmentem mojej twórczości, która trwa z przerwami od końca lat 70. i łatwo udowodnić, jak mocno proza spleciona jest z wierszami. Moje myślenie o kulturze, o tożsamości, o pamięci jest tam tak samo silnie obecne jak w wierszach. Nie można więc mówić o debiucie, o nowej jakości. Wiersz jest rodzajem iluminacji, krótkiego błysku światła wśród ciemnego chaosu. W opowiadaniu historii chodzi o inny rodzaj poznania – poprzez świadectwo, lojalność także wobec szczegółów, drobiazgów, których do wiersza przemycić się nie da. Proza musi opowiadać o losie człowieka wraz z didaskaliami, nic nieznaczącymi epizodami, błahymi zdarzeniami. Wierność wobec losu i czasu skleja opowieść z prawdą pokazaną pełniej. Z jej bogactwa i bólu nie można zrezygnować. Jeżeli omijamy prawdę i los, to w jakim celu piszemy?

„Los" to chyba słowo klucz, kiedy mówimy o przypadkach Henryka Harsynowicza. To, jak bardzo los właśnie określa tę postać, sprawia, że Harsynowicz staje się nieco bardziej przejrzysty, bardziej zrozumiały. Sama książka jednak może być dla współczesnego, unikającego wszelkich dociekań czytelnika po prostu trudna. Problematyczne stają się wówczas wszelkie próby zrozumienia bohatera.

– *Pani Bovary* zaczyna się od scen szkolnych w czasach znacznie bardziej odległych od rzeczywistości PRL, w dodatku dziejących się na francuskiej prowincji. Mój całkowity brak wiedzy na ten temat nie przeszkadza mi delektować się cudownymi zdaniami tego arcydzieła. Nie musimy wyczuwać i zrozumieć wszystkich kontekstów. Czytelnik, nawet pozbawiony szczegółowej wiedzy historycznej dotyczącej obyczaju, języka, kultury materialnej, zachowuje szanse na przeżywanie opowieści. Przywołałem pisarza, którego uważam za największego w historii literatury. Wydawnictwo Sic! wydało ostatnio najnowszą wersję tłumaczenia. Sądzę, że nie tylko mnie ucieszyła ta książka i nie tylko ja czytam ją po raz kolejny niezrażony nikłą wiedzą o francuskiej prowincji z połowy XIX wieku.

Nie da się ukryć, że *Ślady krwi* to książka, która stanowi rodzaj mostu między tym, co w życiu Henryka Harsynowicza działo się kiedyś, i tym, co działo się w jego współczesności. Jest to chyba taki utwór, o którym Marcin Świetlicki nie mógłby powiedzieć, że jest poezją niewolniczą, i nie mógłby wzruszyć wobec niego ramionami.

– Wzruszanie ramionami nie jest bardzo trudne. Z twórcami, którzy uważają, że dialog z przeszłością, czyli z treścią naszego życia, jest stratą czasu, można walnąć kielicha, ale nie dyskutować. Kiedyś debatowałem z grupą poetów na podobne tematy i pewien dżentelmen zapytał: a ileż razy można pisać o Vermeerze? Nie rozumiał, że żyjemy zatopieni w pięknie uchwyconym i utrwalonym przez Vermeera. Tylko dlatego jesteśmy jego uczestnikami. Nie pojmował, że utrata kontaktu z pięknem Vermeera (Michała Anioła czy Botticellego) zaprowadzi nas z powrotem do pozbawionych rysunków jaskiń. Przekonanie, że przeszłość jest martwa, że jest nudnym balastem, że Homer umarł, Mickiewicz milczy, a Rembrandt oślepł na wieki, jest dowodem na wewnętrzną martwotę, śpiewem śmierci. Kim jesteśmy bez Vermeera? Płótnem białym jak całun. Co ma unieść naszego ducha? Kozyra i jej sztuczny penis? Zwłaszcza że pożyczyła go Palikotowi.

Mnóstwo osób skłania się niestety właśnie ku takiemu modelowi kultury…

– Skłania się, ponieważ są sterroryzowane, ponieważ nie chcą uchodzić za staroświeckich przedstawicieli ciemnogrodu, ponieważ chcą uczestniczyć w salonowym awansie na nowoczesnych Europejczyków, chcą bankietować i wydawać publiczne pieniądze, chcą być akceptowane przez stado, pragną robić karierę jako część instalacji, performance'u czy choćby zintegrować się z tłumem klakierów dekonstrukcji.

Zastanawiam się nad tym, na ile jest to poza, na ile rzeczywisty pogląd. Świetlickiemu warsztatowo nie można niczego zarzucić, to świetny poeta, natomiast kiedy słyszy się, że, przepraszam, idąc do toalety, nie musi myśleć o Vermeerze, i kiedy chce o tym pobycie w toalecie napisać, Vermeer wciąż jest mu niepotrzebny, to zastanawiam się, jak niskie mogą być punkty odniesienia. Z jakiej tradycji takie osoby chcą czerpać, jeżeli nie z tej, która, trudno zaprzeczyć, jest pewną jakością, której budulcem są malarstwo Vermeera, twórczość Herberta, Michała Anioła czy Chopina? Chcą tworzyć kulturę od nowa?

– Na wielu, zwłaszcza młodych, ludzi działa zabobon mówiący, że sztuka rozwija się linearnie, przez zaprzeczenie tego wszystkiego, co poprzedzało ich debiut. Będziesz wielki, gdy zabijesz starych mistrzów, a przynajmniej tych z poprzedniego pokolenia. Wielu zagubionym wydaje się, że muszą być nowatorami, odrzucić stary język i odnaleźć nowy, prawdziwy. Odkryć współczesną wersję wolności i posunąć ludzkość do przodu. Nie zauważają, że to slogany, a oni dostosowują się do obowiązującej na salonach nowomowy. Już ponad sto lat temu ten linearny rozwój sztuki się załamał. Artyści już nie kroczą przez świat w taki sposób, że pomagają renesansowi zwyciężyć średniowiecze i linii barokowej zastąpić klasyczną. Nie mamy już do czynienia ze zwycięskimi estetykami, które po pewnym czasie degenerują się i odchodzą, nie ma już dominujących kierunków w sztuce. Liczy się wyłącznie indywidualność. Nie trzeba już przezwyciężać starej szkoły poezji czy malarstwa, bo takiej szkoły nie ma. Trzeba przezwyciężyć własne ograniczenia, naiwność, konformizm i lęk, dyskutując z twórcami dzieł wiecznych.

Kiedy patrzę na tych, którzy krzyczą, że przekraczają granice, widzę przewidywalny konformizm, zadekretowane nowatorstwo, ucieczkę od pamięci, lekceważenie piękna i prawdy, niewiedzę o gigantach ludzkości i marnotrawstwo publicznych pieniędzy. Wytworzył się system naczyń połączonych, sprawny zamknięty obieg nowoczesnej kultury, gdzie dotowani z publicznych pieniędzy są twórca, krytyk i widz. Wątpię, by nawet ateiści chcieli trzymać w domu dzieło składające się z sedesu i wrzuconego do środka krucyfiksu. W tym obiegu krążą nie dzieła, ale produkty oficerów wojny kulturowej, wojny, w której najpierw przegra sztuka, a potem polegną wszyscy ludzie. **Ω**



STANISŁAW LEM: TRADYCJONALISTA WŚRÓD GWIAZD



Lem zrzuca z siebie płaszcz fantastyki naukowej i ujawnia się czytelnikowi jako człowiek, którego myśli krążą blisko spraw codziennych. Dzięki temu okazuje się, że autor *Solaris* to człowiek mocno zakorzeniony w tradycji

Łukasz Kucharczyk

Gdy myślimy o Stanisławie Lemie, przed oczami staje nam obraz mędrca wpatrzonego w nieskończoną dal kosmosu, filozofa pochłoniętego rozważaniami o naturze i genezie świata, o granicach ludzkiego poznania, o zawiłych i przewrotnych drogach ewolucji. Zdawać by się mogło, iż Lem nie zaprzątał sobie głowy czymś tak, w porównaniu z bezkresnym Wszechświatem, „małym" jak Naród. Zawsze przecież interesowała go perspektywa globalna, najważniejszy był człowiek jako reprezentant jedynego inteligentnego gatunku na kuli ziemskiej. Bohaterowie jego prozy to przede wszystkim reprezentanci ludzkości, ich narodowość ma znaczenie marginalne. Podejmują oni próby poznania i zrozumienia tego, co Obce, usiłują wykroczyć poza wąskie ramy antropocentryzmu, by w końcu zrozumieć, że nawet na najbardziej odległej planecie człowiek przede wszystkim musi zmierzyć się sam ze sobą. Wszechświat stanowi olbrzymie zwierciadło, w którym przegląda się cały

Autor Solaris *to człowiek mocno zakorzeniony w tradycji*

nasz gatunek. Nie ma tu więc zbyt wiele miejsca na snucie refleksji o sprawach obyczajów, tradycji, polityki czy narodu. Przynajmniej nie w sposób, do jakiego przyzwyczaili nas Żeromski, Mackiewicz czy Odojewski. Zdawać by się więc mogło, iż Stanisław Lem to awangardowy wolnomyśliciel, zapatrzony jedynie w odległy błysk gwiazd. Warto jednak przyjrzeć się innej stronie Lemowskiej twórczości – eseistyce i publicystyce, gdzie Lem zrzuca z siebie płaszcz fantastyki naukowej i ujawnia się czytelnikowi jako człowiek, którego myśli krążą blisko spraw codziennych. Dzięki temu okazuje się, że autor *Solaris* to człowiek mocno zakorzeniony w tradycji, nie tylko tej literackiej.

W słynnym wywiadzie rzece Lem krytycznie ocenia współczesne partie polityczne. Jak mówi:

> *Pan mnie pyta o partię polityczną? A gdzie pan widział u nas jakieś partie? Nasi, pożal się Boże, politycy boją się słów jak ognia i żadna formacja nie chce się już nazywać partią. Są różne unie, sojusze, platformy, ligi i dupa Maryni, tylko nie ma partii. To jest niepoważne. [...] To nie są żadne partie, tylko koła swarliwych gospodyń wiejskich. Można powiedzieć: ile wart jest naród, tyle samo warta jest jego emanacja polityczna*[1].

Niezwykle ważna jest dla Lema postać Piłsudskiego – jest ona dla niego symbolem polityki służącej przede wszystkim narodowi. Zapytany przez Stanisława Beresia o to, czy kibicuje jakiemuś politykowi, odpowiada, iż jedynym wybitnym polskim politykiem był właśnie Józef Piłsudski[2]. Warto zwrócić uwagę na zbiór *Rasa drapieżców*, jest to ostatnia książka Lema, pisarz śledzi w niej sprawy świata z niesłabnącą, pomimo sędziwego wieku, uwagą i pasją. Także tu pojawia się postać Marszałka będącego według Lema postacią, dzięki której historia zmieniła swój bieg:

To nie są żadne partie, tylko koła swarliwych gospodyń wiejskich

> *Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia los społeczeństwa i narodu może zależeć od jednego człowieka – wtedy był nim*

1 S. Bereś, *Tako rzecze... Lem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003, s. 429.
2 *Ibidem*, s. 429.

właśnie Piłsudski. Ale nie tylko on. Patrzę na nazwiska ludzi, którzy budowali II *Rzeczpospolitą: to jednak była klasa. Dziś mamy znacznie gorszy skład drużyny politycznej*[3].

Kolejną ważną dla Lema postacią jest inny słynny Polak – papież Jan Paweł II. Pisarz na bieżąco monitorował doniesienia o stanie zdrowia papieża, co jak możemy przeczytać w *Rasie drapieżców*, mocno przeżywał:

Na wszystkim zaś kładzie się cieniem choroba Papieża, który postanowił heroicznie trwać do ostatniego tchnienia na swoim urzędzie. Mniemania na temat słuszności tej decyzji z punktu widzenia interesów Kościoła są, jak widzę w prasie światowej, rozszczepione. Jako obserwator zewnętrzny czuję się tu zupełnie niekompetentny; mogę tylko powiedzieć, że wieści z Watykanu czynią te święta dramatycznie smutnymi[4].

W artykule *Rwąca fala*, którego tytuł w metaforyczny sposób obrazuje medialną lawinę, jaka ruszyła po śmierci Papieża, Lem wyznaje, iż był on potężną osobowością. Czytelnika porusza zwłaszcza fragment, w którym autor *Głosu Pana* dostrzega analogię pomiędzy śmiercią Jana Pawła II a śmiercią Chrystusa:

Wieści z Watykanu czynią te święta dramatycznie smutnymi

[…] na mnie największe bodaj wrażenie zrobiła scena z ostatniej Niedzieli Wielkanocnej, kiedy Papież, ciężko już dotknięty chorobą, siedział przy oknie i szamotał się z własnym ciałem, bo bardzo chciał wygłosić słowa błogosławieństwa urbi et orbi, *ale już nie zdołał i tylko milcząco wszystkich pobłogosławił. Niektórym wydawało się to dość okrutnym novum – że nie umiera w samotności, w odosobnieniu, tylko na oczach wszystkich, ale przecież właśnie tak umierał Chrystus*[5].

3 S. Lem, *Rasa drapieżców*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006, s. 66.
4 *Ibidem*, s. 135.
5 *Ibidem*, s. 140.

Te kilka przykładów obrazuje, jak bliskie były sercu Lema sprawy i problemy wzburzające cały naród. Co więcej, wydaje się, iż autor *Szpitala Przemienienia* jest bardzo mocno przywiązany do tradycji, jakby zupełnie wbrew awangardowemu charakterowi swojej prozy. Warto przytoczyć słowa Wojciecha Kudyby z jego artykułu o Lemowskich felietonach:

> *Lem felietonista wyraźnie podkreśla także konieczność ocalania i upowszechniania kanonu kultury europejskiej, podtrzymania pewnych tradycji politycznych i pedagogicznych. W szczególności zaś rolę tradycji w dziedzinie moralności*[6].

Wydaje się, że swoje przywiązanie do tradycyjnych wartości, jak i krytykę postmodernistycznej „płynności", która skutkuje zerwaniem z uświęconymi przez czas obyczajami i kompletną demoralizacją, wyraził pisarz w *Powrocie z gwiazd*. Powieść opowiada o Ziemi przyszłości, na którą trafia Hal Bregg – główny bohater utworu. Powraca on na rodzinną planetę po latach kosmicznej żeglugi. Pisarz pokazuje w powieści konsekwencje paradoksu czasowego Einsteina – choć Bregg postarzał się zaledwie o kilka lat, na Ziemi upłynęło ich ponad sto dwadzieścia siedem. Przynosi to ciekawy eksperyment myślowy – rodzinna planeta staje się obcą planetą, a mieszkańcy Ziemi, choć są ludźmi, z perspektywy astronauty stają się Obcymi.

Sztuka prawie nie istnieje. Są tylko jej żałosne namiastki

Jak przedstawia się więc społeczeństwo Ziemi przyszłości? Jest egalitarne i mrowiskowe, sztuczne i nastawione wyłącznie na konsumpcję. Najważniejszy jest w nim powszechny i równy dobrobyt – skutkuje to jednak bezrefleksyjnym przeżywaniem życia, kompletnym odcięciem od metafizyki. Najwyższą wartością staje się hedonistyczne przeżywanie świata, sposobem na codzienność są silne emocje. Warto zwrócić uwagę na nieobecność sztuki w stworzonej przez Lema utopii, jak słusznie zauważa Andrzej Stoff:

6 W. Kudyba, *Lem – felietonista*, s. 426, [w:] *Stanisław Lem. Pisarz, myśliciel, człowiek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003.

Sztuka prawie nie istnieje. Są tylko jej żałosne namiastki, jarmarczne substytuty niebezpiecznych przygód (Pałac Merlina), kult gwiazd „Realu" i telewizyjna papka informacyjna. Brak wiadomości o literaturze pięknej, muzyce, teatrze dramatycznym. Nie jest to przeoczenie autora, lecz brak celowy, ukazujący istotny rys tej cywilizacji – płytkość doznań[7].

Zaprezentowany w *Powrocie z gwiazd* świat przesiąknięty jest estetyzacją – zjawiskiem, które polega na wyposażeniu całej przestrzeni, jak również człowieka, w elementy estetyczne, na nadaniu wszystkiemu estetycznego połysku[8]. Taki obraz Przyszłego Świata doskonale (a zarazem niepokojąco) koresponduje z teorią estetyzacji społeczeństwa XXI wieku, o której pisze Wolfgang Welsch, nazywając współczesną ludzkość „społeczeństwem wolnego czasu i przeżycia":

W estetyzacji powierzchownej dominuje jako pierwszoplanowa wartość estetyczna przyjemność, rozrywka, używanie bez konsekwencji. Ten ożywiający nurt wykracza dzisiaj znacznie poza estetyczne przekształcanie poszczególnych elementów codzienności – poza stylizację przedmiotów i bogatego w przeżycia otoczenia. Coraz bardziej określa formę naszej kultury jako całości. Przeżycie i rozrywka stały się w ostatnich latach wytycznymi dla kultury. Rozkwit kultury festiwalów i zabaw dostarcza przyjemności społeczeństwu czasu wolnego i przeżycia. Jeśli zbyt jaskrawe kwiaty estetyzacji i niektóre strategie upiększania rzeczywistości mogą wydać się śmieszne, rozprzestrzenianie się ich na całą kulturę odbiera ochotę do śmiechu[9].

Siwizna narratora budzi w nich lęk

W pozbawionym problemów materialnych społeczeństwie kryterium oceny drugiego człowieka wyznacza młodość, a w zasadzie

7 A. Stoff, *op. cit.*, s. 96.
8 Zob. W. Welsch, *Procesy estetyzacji. Zjawiska, rozróżnienia, perspektywy*, [w:] *Sztuka i estetyzacja. Studia teoretyczne*, red. M. Golka, K. Zamiara, Wydawnictwo Fundacji Humaniora, Poznań 1999.
9 *Ibidem*, s. 14.

pozór młodości. Ludzie, których napotyka Bregg, panicznie boją się starości, dlatego siwizna narratora budzi w nich lęk. Do ukrywania objawów starzenia się używane są odpowiednie preparaty, lekarstwa przywracające poprzedni kolor włosów oraz operacje hormonowe. Najwyższą wartością jest więc wygląd fizyczny. Pojęcie rodziny uległo całkowitej dewaluacji, Bregg dowiaduje się, iż w „epoce dobrobytu" miłość została sprowadzona do kwestii erotycznych, w doborze partnera najważniejszy jest wygląd. Doktor, który wyjaśnia kosmonaucie naturę tych czasów, porównuje starość do trądu: ludzie przyszłości boją się i nienawidzą jej. W ten kult ciała równie znakomicie wpisują się tezy Welscha:

> *Z każdej strony doświadczamy stylizacji ciała, duszy i ducha – i wszystkiego, co jeszcze mogą mieć (albo przypisywać sobie) nowi piękni ludzie. W gabinetach kosmetycznych i ośrodkach odnowy biologicznej udoskonalają estetycznie swoje ciała, na kursach medytacji i wykładach o erze wodnika uświetniają estetycznie swoje dusze. Przyszłe pokolenia będą miały już łatwiej: przyjdzie im z pomocą inżynieria genetyczna – nowa branża estetyzacji, która roztacza przed nami perspektywę nowego świata, pełnego doskonale wystylizowanych modeli pokazowych*[10].

Warto wspomnieć także o międzyludzkich relacjach, które w niczym nie przypominają tych znanych Breggowi. Nie istnieje już coś takiego jak wierność małżeńska, związek dwojga ludzi nie jest już czymś wzniosłym. Małżeństwa zawiera się na próbne okresy czasowe, zdrady ulegają po prostu formalizacji. Po raz trzeci niech wolno będzie oddać głos autorowi *Estetyki i anestetyki*:

> *Także kontakty międzyludzkie są coraz bardziej nacechowane estetycznie. Wydaje się, że w świecie zanikających norm moralnych najdłużej utrzymują się zasady zachowania przy stole i formy grzecznościowe [...]. Kompetencja estetyczna [...] ma rekompensować upadek norm moralnych*[11].

10 *Ibidem*, s. 18.
11 *Ibidem.*

Najbardziej osobliwym i niepokojącym zabiegiem Przyszłej Ziemi wydaje się betryzacja. Neologizm ten nie bez przyczyny kojarzony jest być może z kastracją. Proces ten sprawił, że ludzie zostali pozbawieni atawistycznych popędów i negatywnych emocji.

Bregg znajduje się więc w świecie pozbawionym agresji, nienawiści i zazdrości – pozornie wydaje się on doczesną Arkadią. Betryzacja wywiera wpływ także na wygląd przyszłych Ziemian – są dużo niżsi od Hala, mężczyźni są słabi i zniewieściali, niezdolni do jakiegokolwiek czynu, który wykraczałby poza z góry założony program zachowań. Zabronione są takie sporty, jak piłka nożna czy zapasy, ponieważ są zbyt niebezpieczne. Podróże kosmiczne są już tylko wspomnieniem, romantycznym mitem, który ze względu na ogólny dobrobyt nikogo nie interesuje. Niejaki Starck, którego książkę czyta Hal, udowadnia, iż loty międzygwiezdne są bezzasadną utopią – człowiek nie spotka w kosmosie niczego, czego nie ma na Ziemi.

Powrót z gwiazd zawiera w sobie więc posępne ostrzeżenie: pozbawiając człowieka jego „ciemnej strony", pozbawia się go także jego natury, staje się on w większym stopniu rzeczą niż żywą istotą. Prowadzi to do wniosku, iż zło jest jednym z fundamentów człowieczeństwa. Bez zła w naturalny sposób nie mogłoby istnieć dobro, co doprowadziłoby do sytuacji przedstawionej w powieści – człowiek stałby się czymś przypominającym bardziej manekina niż żywą, myślącą i czującą istotę. Co ciekawe, w związku z odpodmiotowie-

Ciastogłowi kwaśną swą fermentację wzięli za ducha

niem człowieka cech podmiotowości nabiera inny gatunek, są to mianowicie roboty. Warto przypomnieć scenę w składnicy złomu, gdzie astronauta natrafia na salę pełną uszkodzonych robotów. Oszołomiony człowiek przysłuchuje się kanonadzie mechanicznych głosów, niektóre z robotów odmawiają coś na wzór litanii, inne szydzą ze wszystkiego, co składa się na istotę ludzką:

> *[…] ciastogłowi kwaśną swą fermentację wzięli za ducha, mięs prucie za historię, środki rozkład odraczające – za cywilizację…*[12].

Mamy więc do czynienia z kolejnym nietypowym zjawiskiem: w sytuacji, gdy człowiek zatracił swe przyrodzone instynkty, a życie jest ogólnodostępną, pozbawioną wyzwań przyjemnością, maszyny, których początkowym celem było jedynie ułatwienie człowieczej egzystencji, przejmują cechy swych stwórców, stają się bardziej ludzkie od samego człowieka – wykazują wolę istnienia, boją się o własne życie oraz wyrażają pragnienie poczucia metafizyki.

Bardzo ważne jest także zwrócenie uwagi na próbę samobójczą Hala. Mężczyzna rozczarowany światem, który zastał po powrocie, i własnym niepowodzeniem miłosnym, chcąc zakończyć swoją tragiczną przygodę, rozpędza glider do granic możliwość. Od śmierci wybawia go Eri – jego współlokatorka i kochanka. Pomimo ograniczeń nałożonych przez manipulacje genetyczne kobieta okazuje się zdolna do miłości – ratuje życie Hala i obdarowuje go uczuciem, czyli czymś, co we współczesnym świecie zdaje się już nie istnieć. Jest to dowód na to, że chemia i biologia to zbyt mało, by pozbawić człowieka tego, na czym funduje się jego podmiotowość, mianowicie zdolności do wyższych uczuć[13].

W finalnej scenie Hal wędruje w góry, gdzie kontempluje przyrodę i podziwia krwisty wschód słońca. Ma rację Andrzej Stoff,

12 *Ibidem*, s. 149.

13 Zupełnie inaczej interpretuje ten fragment Mariusz Leś, który uważa, iż tego typu relacja Hala i Eri wynika z niekonsekwencji Lema w budowie fantastycznonaukowego świata i złamania jego wewnętrznych reguł. Zob. M. Leś, *Stanisław Lem wobec Utopii*, Wydawnictwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Białystok 1998, s. 93–94.

pisząc, iż jest to moment ostatecznego pojednania się z Ziemią, odrzucenie pokusy nowego lotu w kosmos, zjednoczenia się z tym, co najpierwotniejsze, poczucia siły płynącej z kontaktu z przyrodą i nieprzezwyciężalnej tęsknoty za domem[14]. Jest jednak w tej scenie coś jeszcze, Hal uświadamia sobie, iż nostalgia płynąca z wyrzucenia poza opowieść własnych czasów nigdy nie minie. Warto przypomnieć sobie, gdzie dokładnie trafia bohater:

> *To w tej dolinie spędziłem chłopięce lata – w starym, drewnianym schronisku na przeciwległym, trawiastym stoku Łowcy Chmur. Z rudery nie został pewno ani głaz podmurówki, ostatnie belki dawno obróciły się w próchno, a skalny grzbiet stał, niezmieniony, jak gdyby czekał na to spotkanie – może niejasna, nieuświadomiona pamięć przywiodła mnie nocą na to właśnie miejsce*[15]*?*

Hal powraca więc w strony, skąd pochodzą jego pierwsze wspomnienia. Dom lat chłopięcych narratora stanowi w takim wypadku nie metaforę instytucji domu w ogóle, lecz metaforę tęsknoty mężczyzny do życia, które mu zabrano. Jak słusznie zauważa doktor, Bregg wykazał się niezwykłym bohaterstwem: poświęcił gwiezdnej wyprawie nie tylko własne życie, lecz także żywoty wszystkich swoich bliskich. To, że powieść kończy się zejściem narratora powieści w stronę nowego domu, jest wyrazem pogodzenia się z czasem, który minął bezpowrotnie. Kosmonauta jest świadom tego, iż już zawsze będzie się czuł wyobcowany i będzie tęsknił za czasem, w którym powinno rozegrać się jego własne życie.

Ten „nowy, wspaniały świat", okazuje się ułudą, w której człowiekowi zabrane zostało… człowieczeństwo. Społeczeństwo, w którym zapomniano o tradycjach Ojców, gdzie pojęcie moralności przestało funkcjonować, jest społeczeństwem słabym, skazanym prędzej czy później na zagładę. I jest to naprawdę ważna lekcja, której uczy nas Stanisław Lem. **Ω**

14 A. Stoff, *op. cit.*, s. 99
15 S. Lem, *Powrót z gwiazd*, *op. cit.*, s. 267.



BERLIN ZAMOŻNEJ LALECZKI

NIE EMIGRANCI W POLSCE SĄ ZAGROŻENIEM, NIE, RACZEJ GŁUPKOWACI APOLOGECI UZNAWANIA WSZYSTKIEGO, CO NAPŁYWA, ZA ABSOLUTNIE LIGHTOWE I NIEPODLEGAJĄCE DYSKUSJI

DANIEL KOZIARSKI W ROZMOWIE Z DAWIDEM KORNAGĄ

Pojechałeś obserwować multikulturalny Berlin i swoje przemyślenia na jego temat zawarłeś w *Berlinawie.* Ale tych, którzy oczekiwali, że polscy czytelnicy dostaną jeszcze jedną lekcję „otwartości, tolerancji i europejskości" oraz wskazówki do „awansu cywilizacyjnego", nie da się ukryć, mocno zawiodłeś...

– Ludzkie namiętności, ludzka potrzeba przewartościowywania systemów, filozofii, wartości nigdy nie stała i nie stoi w miejscu. Wraz z odejściem długoletniego burmistrza Klausa Wowereita kończy się epoka Berlina tęczowego. Berlin tęczowy oczywiście nie zniknie, lecz będzie musiał się pogodzić, że nie wszyscy życzą sobie, by był on jedynie taki. Berlin, fakt, jest jednym z najbardziej tolerancyjnych miast na świecie. Pytanie, czy ci, którzy tam przybywają ze wszystkich kontynentów, zamierzają się do tego dostosować, uznać to i szanować. Niekoniecznie.

Z perspektywy polskiego gastarbeitera albo zamożnej laleczki, która ma tam mieszkanie i przeznacza wolny czas na nieokiełznaną zabawę, Berlin na pierwszy rzut oka sprawdza się jako idealna przestrzeń otwartości i bezpieczeństwa. Dobrze się tu żyje, jest gdzie pójść, realizować się seksualnie i kulturalnie, że tak się wyrażę. Jednak Berlin przekroczył już dawno temu poziom radosnego multikulti. Jest w nim coraz więcej wykluczonych, często też na własne żądanie. To niekiedy potomkowie emigrantów, którzy ani myślą uznać zachodniej demokracji, którym imponują brodaci salafici, którzy szukają swojej tożsamości w kraju pochodzenia, jednocześnie szprechając od małego. Kilkuset z nich zdążyło wyjechać w ostatnim roku i walczyć w szeregach kalifatu islamskiego. Walczyć – to mało powiedziane. Brodacze z IS ścinają niewiernych, gwałcą kobiety, reaktywują instytucję niewolnictwa. Mierzi ich nasze „wszystko wolno,

wszystko dozwolone”. Równocześnie sięgają po dorobek państwa socjalnego, nie protestują, kiedy na konto przychodzi im Hartz IV, zasiłek socjalny.

Ta pogarda dla zachodnich wartości siłą rzeczy zaczyna wzmacniać niemiecką i nie tylko niemiecką prawicę. Organizacje postfaszystowskie dostały wiatr w żagle, mówiąc: „A nie mówiliśmy! Im bardziej pozwolimy na krytykę naszego stylu, tym więcej wezmą dla siebie, pasożytując i szkodząc naszemu państwu”. Nie sposób zrzucić wszystko na Hitlera i przeszłość. Nowe ruchy powołują się na ochronę – o, paradoksie! – demokracji i wolności. I tak np. od kilku tygodni coraz więcej ludzi (teraz nawet 7 tys. osób dziennie) demonstruje regularnie w Dreźnie przeciwko, jak deklarują, religijnemu fanatyzmowi. Stoi za nimi związek PEGIDA, co oznacza Patriotische Europäer gegen die Islamisierung des Abendlandes, czyli Patriotyczni Europejczycy przeciwko Islamizacji Zachodu. Dla nas, Polaków, to jakaś fikcja literacka. Gdyby jednak np. na warszawskim Mokotowie pojawiły się bojówki młodych fanatyków, strasząc dziewczyny w krótkich spódnicach, wyzywając je od dziwek, cóż, nasze nastawienie, nie mówiąc o ułańskiej fantazji, nie pozwoliłoby nam pozostać biernymi.

Ale ten polski brak obojętności, który by się wówczas objawił, natychmiast przynajmniej część mediów głównego nurtu wytłumaczyłaby jako wyraz polskiej nietolerancji, rasizmu i innych uprzedzeń. Zaraz wyciągnięto by z szafy jakiegoś boksera czy inny autorytet moralno-intelektualny, który grzmiałby, że Polacy są strasznymi prostakami i odczuwają paniczny strach przed nieznanym.

– Ja bym powiedział, że to raczej nadmiar nieobojętności, kiedy sytuacja gorąca i stawiająca pod ścianą niczym pluton egzekucyjny.

W *Berlinawie* jest taka znamienna scena: brygada polskiej bojówki, powiedzmy, Combat 18, rozprawia się w tramwaju z grajkami cygańskimi. Na drugim tle, którego nie zdradzę, rozgrywa się dodatkowy dramat. Jeszcze straszliwszy niż ten pierwszy. Cisi, wycofani okazują się czasem najgorsi. Mumie, nie ludzie. Truchła bez współczucia.

Generalizując, czy tacy jesteśmy? Nie wierzę. Jesteśmy młodziutką demokracją z ultratrudnym językiem i mimo wszystko nadal niskim PKB, nie mówiąc o płacy minimalnej, a do tego jeszcze brak euro… Nie przyciągamy tak jak inne kraje Unii; czy to źle, nie wiem, wiem natomiast, że proces i tak jest nieuchronny, w końcu i my staniemy się magnesem, krainą pełną mleka, miodu i wódki, o którym marzą zastępy na brzegu Lampedusy.

„Nasi” cudzoziemcy pozostają w mniejszości, która właściwie staty-

stycznie nie ma najmniejszego znaczenia i, proszę, bez paniki. Szwecja, Holandia, Francja, Hiszpania – nawet ciężko porównać tamtejszą sytuację etniczną do naszej słowiańskiej homogeniczności. Inność, etniczna dywersyfikacja są nam wręcz estetycznie potrzebne i wskazane, bo różnorodność wpływa pozytywnie na ogólną kreatywność. Rzecz w tym, że tak czy owak nie możemy pozostać obojętni na ogólne trendy. Jeśli ktoś łyka bezkrytycznie pogląd, że wszelkie mniejszości, żyjąc w Europie, mają prawo do kultywowania swoich tzw. praw bez ingerencji europejskiego ustawodawstwa, to moim zdaniem chyba musiał upaść na mózg. Nic, ani religia, ani tradycja, nie usprawiedliwia deprecjacji mniejszości seksualnych czy kobiet. Ignorancja nie jest młodszą, lekko niedorozwiniętą siostrą tolerancji, jest jej haniebnym wypaczeniem i aktem kulturowego samobójstwa. Niektórzy, niestety, uważają ją za synonim otwartości. Tak najłatwiej. Do czasu pierwszego rozczarowania.

Do rasizmu, takiego w stylu Bractwa Aryjskiego z Teksasu, na szczęście nam daleko. To, że paru niedokształconych kiboli na meczu biadoli, ech, szkoda słów na pogłębione komentarze, biedni ludzie po prostu. Pretensje można mieć na pewno do histerycznie „poprawnych politycznie" dziennikarzy, pytanie, czy to jeszcze dziennikarze, czy jednak profesjonalni publicyści grający wyłącznie do swojej bramki obsesji, którzy szukają świata idealnego, znajdując ostatecznie wypaczenie i brak rozsądku w oszacowaniu rzeczywistych zagrożeń. Nie emigranci w Polsce są zagrożeniem, nie, raczej głupowaci apologeci uznawania wszystkiego, co napływa, za absolutnie lightowe i niepodlegające dyskusji.

A przecież nic nigdy nie powinno być nam obojętne. Ani plusy, ani minusy.

Rafał Ziemkiewicz powiedział coś takiego, że dla Polaków większym zagrożeniem niż Rosjanie są Niemcy, bo dla statystycznego Polaka zrównanie z Rosjaninem będzie co do zasady degradujące, natomiast wielu z nas Niemiec jawi się jako europejski punkt odniesienia czy właśnie drogowskaz do tego uprawnionego „awansu cywilizacyjnego". Stąd, na marginesie, niezdrowa fascynacja polskich mediów tym, co piszą o nas w niemieckiej prasie (mniejsza już o to, że w sporej części przypadków artykuły te piszą nie niemieccy, ale polscy dziennikarze). Bohaterom *Berlinawy* nie grozi chyba germanizacja dusz, serc i umysłów, ale podczas swoich pobytów w Berlinie spotkałeś na drodze polskość przetrąconą, ludzi, którzy w fascynacji tym, co niemieckie, zatracili jakiś umiar i rozsądek?

– Jak w każdym stadzie, również i tutaj pasą się czarne owce, choć ja bym raczej nazwał je biednymi, czarnymi owieczkami, które nie wiedzą, co czynią. Polskiemu emigrantowi łatwiej niejako rozpłynąć się w tłumie, czy to w Berlinie, czy w Paryżu, nie różni się ani mentalnie, ani etnicznie. Gdzie chce żyć, jego sprawa. Gorzej, kiedy faktycznie udaje, że zapomina polskiego, a wypowiadane słowa lakieruje obcym akcentem, no to jest deprecjonujące i sami Niemcy przecierają uszy, słysząc takich nowych mistrzów ich mowy. Spotkałem wielu Niemców i żaden z nich nie raził antypolskością, wręcz przeciwnie. A jeśli jeszcze dochodzi do tego polsko-niemiecka miłość, to zaczyna się wręcz fascynacja naszym krajem. Pewnie jakiś spasiony bauer z południa, potentat upraw truskawek patrzy z pogardą na pracujących u niego gastarbeiterów, ale on patrzy z pogardą na wszystkich mu podległych. Jeśli tylko dla pieniędzy i z tajonej niechęci do naszego nieuchronnego dążenia do owego awansu cywilizacyjnego zaczynamy udawać kogoś, kim nie jesteśmy, to żałość i smutek. Cóż, zawsze znajdą się tacy, co by godność wystawili na Allegro, jeśli dzięki temu mieliby dostać dodatkowe punkty za negację swojego pochodzenia. Szczęśliwie na przykład w Berlinie wielu Polaków przebywa przez jakiś czas, ucząc się języka, pracując czy realizując artystyczne projekty, dlatego nie czują się przytłoczeni, że powinni założyć maski. Zresztą nikt od nich tego nie wymaga, jeśli to robią, to sami sobie szyją jakieś urojenia, jacy być powinni. Każdy ma prawo mieszkać, gdzie mu się żywnie podoba, lecz kiedy bierze udział w castingu do teatrzyku „Jaki to ze mnie nowy Niemiec/Anglik/Holender”, to niech się nie dziwi, że potem zamiast oklasków dostanie w twarz paroma zgniłymi pomidorami.

Zawsze postrzegałem cię jako pisarza chadzającego swoimi drogami. Takiego, który niewątpliwie nigdy nie zostanie bohaterem prawicy, ale też takiego, którego nie złamie i nie przeformatuje pod kątem swoich potrzeb tzw. salon. I *Berlinawa* wzmacnia to przekonanie. Kreślisz portret polskich nacjonalistów – z jednej strony jest on gorzki i ironiczny, a bywa, że i przerażający, z drugiej nie brakuje w nim pewnego rodzaju paradoksalnej życzliwości czy wręcz pewnej dobrotliwej wyrozumiałości. Ja zarzuciłem ci w swojej recenzji, że wyciągasz przed nawias patriotyczno-niepodległościowych marszów pewną skrajną grupę. Czy spotkałeś się również z zarzutem, że polscy narodowcy w twojej powieści budzą zbyt dużą sympatię i straciłeś okazję, żeby się po nich mocniej przejechać literackim

walcem? A może z drugiej strony, czy środowiska bliskie tym, które przedstawiłeś, wyraziły już swoją dezaprobatę dla sposobu, w jaki je zaprezentowałeś w swojej książce?

– Być może *Berlinawa* jest pierwszą w polskiej prozie próbą pokazania środowisk naprawdę skrajnych – bez tego górnolotnego: *Już ja wiem, już ja im dowalę, obnażę i ośmieszę!*. Takie postaci byłyby zwyczajnie płaskie charakterologicznie. Próbuję zrozumieć, jako prozaik, motywacje Chrobrego, Uli czy berlińczyka Uwe z Podziemia Aryjskiego. Przyczyny ich wściekłości, niezgody na mainstream polityczny, istotną kwestię rasy. Źródła ich troski o wartości, które mają dla nich znaczenie, dla których potrafią się autentycznie poświęcić, nawet błądząc i krzywdząc. Fascynuje mnie wrażliwość jednostki jako takiej, z lewa, prawa, ze środka, to bez znaczenia – zawsze mamy do czynienia z człowiekiem, nagą, bo tylko ubraną w parę ciuchów, jednostką biologiczną, wrzuconą w życie, naród, język, uprzedzenia duże i małe. Nie ma nikogo, kto byłby ich pozbawiony; czasem pod najszerszym parasolem tolerancji ukrywa się ulewa najwstrętniejszej awersji, zalewając podstępnie od środka. Starałem się użyć całej mocy języka i stylu, by choć na chwilę dotknąć inności, poczuć tchnienie mentalnego Mordoru, a może zrealizować z całą konsekwencją eksplorację niespożytej siły, jaką potrafi stworzyć ideologia. *Berlinawa* rzuca delikatne światło na narodowców, główne jednak kierując na ludzi o znacznie bardziej intensywnych, bezkompromisowych poglądach. Nie pokazując ich jako istot z krwi i kości, stworzyłbym papierowe truchła, a tak już słyszę od niektórych krytyków, że sugestywność opisu zdarzeń oraz wiarygodność psychologiczna postaci długo nie pozwalają czytelnikowi zapomnieć o lekturze, że nawet potrafi coś zmienić w dotychczasowym postrzeganiu. Wiem, że jest to po części zasługa dosyć zaawansowanego researchu, który zrobiłem, jednak dla mnie najważniejsza była zdolność empatii podczas kreowania postaci. I chęć zachowania postawy obserwatora, który nie wyklucza nikogo i niczego. Jeśli ktoś, nawet wbrew sobie, poczuje sympatię, to plus dla tej prozy i tej opowieści. Bo nic na tym nie traci, nadal ostrzegając, a jeszcze zyskuje, gdyż otwiera się w niej kolejna płaszczyzna interpretacji. Dotąd nie dotarły do mnie głosy dezaprobaty od środowisk, które wspominasz. Może dlatego, że zwyczajnie nie przeczytały tej powieści…

Ale *Berlinawa* nie jest książką wyłącznie o narodowo-radykalnej tkance narodu. Stworzyłeś również postać Oli, która pod pretekstem zawodowo-edukacyjnym ucieka od ról, które napisało dla niej życie do

spółki ze społecznymi regułami – między innymi od roli matki Polki. Temat o nowej fali emigracji chyba już trochę wybrzmiał i się wyjałowił, ale może niesłusznie, bo właśnie mamy nową falę nowej fali emigracji...

– Właśnie, dochodzi też tkanka narodu liberalno-radykalna *(śmiech)*. Tak, *Berlinawa* to opowieść o dwóch postawach, diametralnie od siebie różnych i skonfrontowanych w tej historii. Tu łączą się sprzeczne namiętności w pewną rozedrganą całość, tak jak nazwy miast. Ola, w końcu młoda matka, ucieka również przed swoją seksualnością. Jej rozkwitający biseksualizm i coraz bardziej afirmowane przez nią poliamoryczne usposobienie, skazujące ją na permanentny niepokój, nie pozwalają cieszyć się tym, co ma. Jednak Ola nie jest emigrantką, ona, tłumaczka, pragnie się dokształcić. Także w tym, co nieodgadnione, lecz wyczuwalne. Znajdzie każdy pretekst, byle „olować". Pozwól, nie rozwinę tego istotnego wątku, rozbudowaną definicję „olowania" czytelnik odkryje w książce, i to prawdopodobnie już na pierwszych stronach, na których akcja rozgrywa się w legendarnej berlińskiej świątyni techno, klubie Berghain.

Ten wątek mnie jednak interesuje. Mimo propagandy sukcesu doprowadzonej do tak skrajnej postaci, że pojawiało się nawet publicznie sformułowane przekonanie, że mamy w Polsce najlepszą sytuację od złotych czasów Jagiellonów, bardzo wielu Polakom żyje się trudno i ekonomiczna desperacja pcha ich za granicę. Mam jednak wrażenie, że w motywacji wielu sporo jest chęci tego „olowania" z *Berlinawy*. Czy postawy, w której wygodny egoizm i chęć skonsumowania Zachodu lub dokształcenia się na Zachodzie, stają się ważniejsze niż próba zmieniania rzeczywistości wokół siebie, tej pracy organicznej, żeby uczynić tę Polskę bardziej znośną dla siebie i innych? Czyżby była to w jakimś sensie czkawka po traumie poprzednich pokoleń? A co gdyby historia znowu pchnęła Warszawę na powstańcze tory? Jak twoim zdaniem zachowaliby się młodzi Polacy *en masse*? Byliby gotowi przelać krew czy, mając taką możliwość, uciekliby do Berghain?

– Byłbym ostatnim ignorantem i uczniem z jedynką w dzienniczku, gdybym definitywnie odpowiedział, że tak, uciekliby. Jest nas za dużo, by pokusić się o jednostkowe wnioski. Najbardziej wygodną odpowiedzią byłoby zdanie: „Dziś już nikt krwi przelewać nie musi". Ale jakże to fałszywa konstatacja. Na rubieżach Ukrainy historia ponownie puka, ba, wali brutalnie do drzwi, domagając się uznania dla jej krwawych inklinacji. Donbas, pustko-

wie smoka Putina... Na pustyniach Syrii i Iraku nawiedzeni degeneraci prześcigają się w okrucieństwie i biciu rekordów w cięciu głów na minutę. Trzeba być mentalną ladacznicą, żeby udawać, że nic się nie dzieje, że wszystko w porządku, a jedyny nasz problem to nieuprzątnięte psie kupy na skwerku obok naszego bloku.

Powracając do berlinawowej Oli. Klasyk zwany Leninem pisał: *Wolność to bardzo niebezpieczna rzecz. Trzeba dawkować ją sobie ostrożnie*. Ten dialektyczny umysł dobrze prawił w tym kontekście. Ola nie zachłystuje się Zachodem jako takim. Ola zachłystuje się tym, czego sobie niepotrzebnie odmawiała. Emocji i doznań. Wniosek: gdziekolwiek żyjesz i cokolwiek robisz, człowieku, staraj się w miarę możliwości nie tłamsić swoich pragnień. Ponieważ a nuż ci się odwidzi i zaczniesz nadrabiać zaległości z autodestrukcyjną pasją. I o ile jedni robią to z gracją i bez konsekwencji, drudzy lądują w przepaściach bez wyjścia. Wyją do księżyca pokuty, zdzierając sobie palce na próbach wyjścia z tej matni. Dlatego, by nie zwariować, by nie oddać się obojętności na całego, miłujmy szczegóły. Pielęgnujmy pamięć powstań. Pielęgnujmy również ideę powstania przeciwko swoim zachowawczym postawom. Mając jedno jedyne życie, nie łudźmy się, że kiedyś będzie lepiej. Co masz zrobić teraz, rób teraz. Ktoś powie: „Dobra, dobra, bez takich łzawych pouczeń. Nie ustawiaj mnie tu, ja dobrze wiem, czego pragnę”. Odpowiem: „A proszę bardzo. Lecz nie krępuj mnie, że mam siedzieć cicho i kiwać się wedle tego, co rzekomo lepiej ustawieni społecznie ode mnie wymagają”.

Konsumujmy, unikając przeżarcia. To najlepsza dieta, by zachować jako taki zdrowy rozsądek.

Jestem patriotą, sprzątam po swoim psie. Ty nazwiesz głosiciela takich poglądów „mentalną ladacznicą”, a on odpowie ci, że dla niego patriotyzmem nie jest celebrowanie martyrologii i klęsk, ale afirmacja życia, choćby i w Starbuniu przy kawie ze znajomymi, oraz przykładne wykonywanie swoich codziennych obowiązków. Polski naród jest podzielony, coś w nim pękło. To chyba Wałęsa powiedział jakiś czas temu do węgierskich studentów: *Podzielcie się, żeby się zjednoczyć*. I wiesz co, nie jest to paradoksalnie takie głupie stwierdzenie. Gdzie zatem szukać płaszczyzny porozumienia, żeby zachować substancję?

– Sprzątanie po psie, płacenie podatków, zwracanie uwagi na dziury w jezdni – to nie jest patriotyzm, to jest nasz obowiązek! To jest przyzwoitość, a nie robienie łaski, jaki to ze mnie Polak, bo nieczystości Maxa ze ścieżki rowerowej grzecznie do woreczka zgarniam. Przestańmy stroić się w piórka panów

łaskawców i dobrodziejów. Również patriotyzmem nie nazwałbym codziennego wykonywania obowiązków. Może jeszcze zażądam upustów w sklepie za sam fakt, że żyję, chodzę sobie i nikogo nie krzywdzę? Patriotyzm… Patriotyzm jest maską w teatrze narodów, z widownią, która niekoniecznie kwapi się do oklasków dla obcej trupy. Wydaje mi się, że tę świadomość, skąd się pochodzi i co warto doceniać, zyskuje się zazwyczaj w sytuacji bycia poniżonym. Czy wyobcowanym wbrew intencjom. Kiedy będąc za granicą, nagle odkrywamy, że chcąc nie chcąc, jesteśmy tu obcy, że nie należymy do tutejszej wspólnoty. Że nie mamy wszystkich praw, jakimi cieszą się tubylcy. Wtedy coś za serce chwyta, że „a u mnie w kraju to jest inaczej, nikt się niczemu we mnie nie dziwi". Więc znów ból. Ból wpisany w relacje narodów, religii, niekiedy i samych ras, choć na szczęście coraz rzadziej. Za to jeśli już, to dobitniej. Nie mam jednak problemu z tym, że polski naród jest podzielony, że coś w nim pękło. Może pękło, a może co niektórym Skargom tylko tak się wydaje. A było kiedykolwiek całością? Jesteśmy zbytnimi indywidualistami i warto porzucić rojenia o wielkiej, zhomogenizowanej wspólnocie. Może finansowej, dobrze skomunikowanej, powiązanej digitalowo, bez krętactwa przy płaceniu rachunków i regulowaniu zobowiązań – taką Polskę wolę, taka jest mi bliska. Taka też jest możliwa do realizowania teraz, zaraz i już, a nie kiedyś, w świecie spokoju i pokoju – bo wojny były, są i będą, a naszym obowiązkiem jest minimalizowanie złych, ludzkich namiętności. Globalnie i lokalnie. Dlatego, świadom niedoskonałości i swojej, i świata, uważam, że jeśli już mamy hołubić patriotyzm, to niech to nie będzie słowo samo w sobie i minorowa *Rota* na dzień dobry, tylko konsekwentne dążenie do dobrobytu oraz bezpieczeństwa swojego i bliskich. Im więcej osób będzie tak myślało, tym większą energię będą kumulować, a więc i skuteczniej działać. Społeczność pożytecznych współzależności. Polska jako miejsce do godnego życia, a nie Polska rojeń o Polsce. **Ω**

OD REDAKCJI: Wywiad przeprowadzono przed masakrą w redakcji „Charlie Hebdo".

DAWID KORNAGA – autor powieści: *Poszukiwacze opowieści* (2003), *Gangrena* (2005), *Rzęsy na opak* (2007), *Znieczulenie miejscowe* (2008), *Single+* (2010), *Cięcia* (2011) oraz wydanej w zeszłym roku *Berlinawy*. Stypendysta programu literackiego Dagny (2011) i Goethe Institut (2012).

Jarosław Jakubowski

BOHATER NASZYCH CZASÓW

W teatrze i filmie obowiązuje niepisana zasada obrony postaci.
Reżyserzy i aktorzy szukają więc w najgorszych szujach
jakiegoś usprawiedliwienia, czegoś, co sprawi,
że postać stanie się niejednoznaczna, a przez to ciekawa.
Dobrze sprawdza się trudne dzieciństwo, tatuś pijak,
zaborcza matka, ksiądz pedofil.
Robi się wiele, żeby ocieplić wizerunek bohatera.
Dzieciobójczynię sadza się nago na koniu,
wielokrotnego mordercę umieszcza na uniwersytecie,
a zbrodniarza wojennego na koszulkach.
Dobrzy ludzie nie mają czego szukać w teatrze i filmie.
Może jeszcze ewentualnie w życiu,
ale jak wiadomo, sztuka już dawno przestała zajmować się życiem,
wybiła się na niepodległość i sama zaczęła dyktować warunki.
Po pierwsze nic tak nie męczy jak bohater pozytywny.
Po drugie publiczność chce się rozerwać, najlepiej wiązką granatów
w wypełnionym autobusie, metrze, samolocie.
Po trzecie i po każde następne – zawsze można powiedzieć,
że to reakcja na „zło tego świata".
Jestem pewien, moi przyjaciele, że właśnie teraz jeden z was,
a może więcej niż jeden, może już nawet cały legion,
pisze historię, której głównym bohaterem jest potwór
o niewyobrażalnie szerokim wachlarzu zbrodni, o niewyobrażalnie
głębokim stopniu zepsucia i o niewyobrażalnie
sympatycznym sposobie bycia.

Może to ojciec, który zatłukł synka, bo ten przeszkadzał mu w odpoczynku?
Albo nastolatek, który dla zabawy torturował, a w końcu zabił
przypadkowego przechodnia, by wszystko to sfilmować?
Wybaczcie, nie chcę mnożyć przykładów okropności,
sami wiecie najlepiej, na co jest dziś zapotrzebowanie.
Ale założę się, moi mili, nawet o wasze dusze,
że jeden z was, a może już cały legion, właśnie teraz
pracuje nad tym, by waszemu bohaterowi
dodać tajemnicę, a oskarżeniu – solidny znak zapytania.
W ten sposób miecz, który niechybnie spadłby na kark
złoczyńcy (gdyby nie wasza wytężona twórczość),
zatrzymuje się w pół drogi, i tak sobie wisi bardzo malowniczo.
W wyobraźni już widzę splendor, na który tak ciężko pracujecie.
I jakiś grób na jakimś cmentarzu.
Samotny.

Jarosław Jakubowski

TRAKTORY ZDOBYWAJĄ LATO

Jadą moją ulicą od świtu, jadą przez cały dzień i głęboką nocą,
traktor za traktorem, przyczepa za przyczepą; mężczyźni w kabinach
są znużeni słońcem, ale pewnie trzymają kierownice; dumni
wiozą zbiory przez miasto, dodają gazu, żeby każdy słyszał.

Ciemne rzepakowe ziarno wypełnia betonowy brzuch elewatora,
który jest jak wielki pomnik ludzkiej pracy, a ciągniki wciąż nadjeżdżają,
w powietrzu niesie się ich pomruk. Potrwa to jeszcze kilka dni,
potem ruszą transporty ze złotym zbożem, które właśnie dojrzewa.

Polskę trzeba kochać, mówią ciepłe lipcowe noce, tak właśnie,
kochać, bo jeśli nie kochasz kraju, który dał ci język, stajesz się podobny
do sporyszu w ziarnie, zaraźliwie samotny, więc gdy nikt nie słyszy,
szepcz jej najczulsze słowa, ćwicz. Nawet jeśli odpowie ci szyderczy śmiech.

21 lipca 2014

Jarosław Jakubowski

***

Wczoraj umarł Różewicz. Nic się nie zmieniło.
Pojechałem do pracy. Ten sam chodnik pod nogami
i może tylko liście w słońcu
zaskakująco świeże.

Ludzie płynęli ulicą, mozolnie pracując kończynami,
jakby chcieli uciec przed wodospadem.
Ale nie zmieniło się nic, poza upływem impulsów
w komórkach i bezdotykowych myjniach.

Po południu jak co dnia wsiadłem do autobusu
i wróciłem do domu. Było pięknie, ale
nie było już powrotu, bo wszystko się zmieniło.
Wczoraj umarł Różewicz.

25 kwietnia 2014

Nikołaj Trubieckoj

W SPRAWIE KWESTII UKRAIŃSKIEJ*

Ukraińcy uważali redakcję moskiewską kultury ruskiej za zepsutą z powodu kiepskiego wykształcenia moskwian, wytykali im brak szkół i chełpili się przed nimi stanem swojego szkolnictwa. Moskwianie zaś uważali ukraińską (zachodnio-ruską) redakcję za zepsutą z powodu heretyckiego łacińsko-polskiego wpływu

1

Reforma Piotra I stanowi ostrą cezurę między epokami w historii kultury rosyjskiej. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że za Piotra nastąpiło całkowite przerwanie tradycji i że kultura Rosji po Piotrze nie ma nic wspólnego z wcześniejszą, niczym nie jest z nią powiązana. Ale takie wrażenia zazwyczaj bywają błędne: tam, gdzie na pierwszy rzut oka istnieją takie ostre rozłamy w historii jakiegoś narodu, bliższa analiza ujawni fantomowość takiego rozłamu i obecność niezauważalnych na pierwszy rzut oka związków między epokami. Tak się rzecz ma ze stosunkiem kultury popiotrowej do przedpiotrowej. Jak wiadomo, historycy kultury rosyjskiej stale wskazują na wiele zjawisk wiążących popiotrowy okres kultury rosyjskiej z przedpiotrowym i pozwalających twierdzić, że reforma Piotra była przygotowana przez określone prądy kultury wcześniejszej. Jeśli ogarnąć spojrzeniem wszystkie te, odnajdywane przez historyków, wiążące nici między kulturami sprzed Piotra i po nim, to powstający obraz można opisać następująco: o gwałtownym i całkowitym zerwaniu tradycji można mówić tylko w tym wypadku, jeśli przez „kulturę rosyjską" będziemy rozumieć tylko jej wielkoruską odmianę: w kulturze zaś zachodnio-ruskiej (w szczególności ukraińskiej) za Piotra ostry rozłam nie nastąpił, a ponieważ ta kultura ukraińska i przed Piotrem zaczęła przenikać do Moskwy, generując tam określone współbrzmiące z nią prądy, to można sądzić, iż kulturalna reforma Piotra była przygotowana także w Wielkiej Rusi.

W ciągu XV, XVI wieku i pierwszej połowy XVII wieku kultura Zachodniej Rusi i Kultura Rusi Moskiewskiej rozwijały się na tyle różnymi drogami, że przed końcem pierwszej połowy XVII wieku różnica pomiędzy tymi kulturami była już bardzo głęboka. Ale jednocześnie żywa świadomość ruskiej jedności i wspólnoty bizantyjskiego dziedzictwa kulturalnego nie pozwalała rozpatrywać obydwu kultur jako całkowicie niezależnych od siebie i kazała patrzeć na te dwie kultury jako na dwie redakcje (różne indywiduacje) tej samej ogólnoruskiej kultury. Po przyłączeniu Ukrainy pojawił się z kolei problem zespolenia tych obydwu redakcji w jedną całość. Jednakże przy tym problem stawiano w formie dość krzywdzącej zarówno dla wielkoruskiej, jak i małoruskiej[1] narodowej miłości własnej: myślano nie tyle o zespoleniu obydwu redakcji, co o wyeliminowaniu jednej z nich jako redakcji „zepsutej” i zachowaniu drugiej jako jedynie „prawidłowej” i autentycznej. Ukraińcy uważali redakcję moskiewską kultury ruskiej za zepsutą z powodu kiepskiego wykształcenia moskwian, wytykali im brak szkół i chełpili się przed nimi stanem swojego szkolnictwa. Moskwianie uważali zaś ukraińską (zachodnio-ruską) redakcję za zepsutą z powodu heretyckiego łacińsko-polskiego wpływu. Być może rozsądni ludzie rozumieli, iż w tym sporze każda ze stron jednocześnie miała i nie miała racji, że na Wielkiej Rusi trzeba było zakładać szkoły, zaś na Ukrainie uwolnić się od wielu wpływów przejętych z Polski. Ale rozsądnych było niewielu, zaś większość z obydwu stron zajmowała nieprzejednane stanowisko. Dlatego problem praktycznie sprowadzał się do tego, którą z tych dwóch redakcji kultury ruskiej w całości przyjąć, a którą w całości odrzucić. Decydować o tym powinien był rząd, czyli w ostatecznym rachunku car. Rząd stanął po stronie Ukraińców, co z politycznego punktu widzenia było całkowicie słuszne: nieuniknione niezadowolenie Wielkorusów mogło najwyżej doprowadzić do buntów o charakterze czysto lokalnym, podczas gdy niezadowolenie Ukraińców mogło znacznie utrudnić i nawet uniemożliwić prawdziwe przyłączenie Ukrainy. Ale stanąwszy po stronie Ukraińców, rząd moskiewski uczynił w kierunku uznania „prawidłowości” rosyjskiej redakcji kultury ruskiej tylko pierwsze kroki. Co prawda były to najbardziej odpowiedzialne kroki – „poprawienie” ksiąg do nabożeństwa (czyli zastąpienie redakcji moskiewskiej tych ksiąg przez redakcję ukraińską) i cała reforma patriarchy Nikona. W tej dziedzinie przeprowadzono pełną unifikację, przy czym wielkoruskie zastąpiono ukraińskim. Ale w pozostałych dziedzinach kultury i życia przed Piotrem takiej unifikacji nie przeprowadzono: na Ukrainie panowała czysta kultura zachodnio-ruska bez żadnej wielko-

ruskiej domieszki, na Wielkiej Rusi – mieszanina kultury moskiewskiej i zachodnio-ruskiej, przy czym w tym dodawaniu elementów zachodnio-ruskich do kultury wielkoruskiej jedni przedstawiciele elity (ówcześni „okcydentaliści”) szli dosyć daleko, inni zaś (ówcześni moskiewscy nacjonaliści) – odwrotnie – starali się utrzymać czystość tradycji wielkoruskiej.

Car Piotr wyznaczył sobie jako cel europeizację kultury rosyjskiej. Jest jasne, że dla wykonania tego zadania mogła być przydatna tylko zachodnio-ruska, ukraińska redakcja kultury ruskiej, która już wchłonęła niektóre elementy kultury europejskiej (w polskiej redakcji tej ostatniej) i przejawiała tendencję do dalszej ewolucji w tym samym kierunku. I odwrotnie: wielkoruska redakcja kultury rosyjskiej dzięki swojej zaakcentowanej europofobii i tendencji do samowystarczalności była nie tylko nieprzydatna dla celów Piotra, ale wręcz przeszkadzała w realizacji tych celów. Dlatego Piotr tę wielkoruską redakcję kultury rosyjskiej postarał się całkiem wykorzenić i zniszczyć i jedyną redakcją kultury rosyjskiej, służącą za punkt wyjścia do dalszego rozwoju, uczynił redakcję ukraińską.

W ten sposób stara wielkoruska kultura moskiewska za Piotra umarła, ta zaś kultura, która od czasów Piotra żyje i rozwija się w Rosji, jest organiczną i bezpośrednią kontynuacją nie moskiewskiej, lecz kijowskiej ukraińskiej kultury. Można to prześledzić we wszystkich gałęziach kultury. Weźmy na przykład literaturę. Językiem literackim używanym w literaturze pięknej, religijnej i naukowej zarówno na Rusi Moskiewskiej, jak i Zachodniej, był język cerkiewnosłowiański. Ale redakcje tego języka w Kijowie i Moskwie do XVII wieku były nie całkiem jednakowe zarówno pod względem słownika, jak i składni oraz stylistyki. Już za czasów Nikona redakcja kijowska języka cerkiewnosłowiańskiego wyrugowała moskiewską w księgach liturgicznych. Później to samo wypieranie moskiewskiej redakcji przez redakcję kijowską obserwujemy również w innych rodzajach literatury, tak że tym językiem cerkiewnosłowiańskim, który posłużył za podstawę dla „słowiano-rosyjskiego” języka literackiego epoki Piotra i późniejszej, jest właśnie język cerkiewnosłowiański redakcji kijowskiej. Na Rusi Moskiewskiej istniała bogata tradycja poetycka (wierszotwórcza), ale tradycja ta była przeważnie ustna; pisemnych utworów poetyckich przetrwało do naszych czasów niewiele, ale na podstawie tych, które przetrwały (na przykład *Opowieść o Niedoli – Złym Losie*), możemy wyrobić sobie jasne wyobrażenie o osobliwościach tej tradycji poetyckiej: jej język był dość czystym językiem wielkoruskim z niewielkim dodatkiem elementu cerkiewnosłowiańskiego, przyozdobiony

pewną tradycyjną konwencją poetycką, wersyfikacja była nie sylabiczna i nie toniczna, lecz opierała się na tych samych zasadach, co wersyfikacja wielkoruskiej pieśni ludowej. Tymczasem na Rusi Zachodniej uformowała się inna, czysto książkowa tradycja poetycka, zbliżona do polskiej i dlatego ufundowana na wersyfikacji sylabicznej i na użyciu rymu. Pisano te „wiersze" na Rusi Zachodniej zarówno w tym rusko-polskim (ściślej: białorusko-polskim) żargonie, który na Rusi Zachodniej był językiem konwersacji i ekonomii klas wyższych ruskiej społeczności, jak i w języku cerkiewnosłowiańskim. Do Wielkiej Rosji takie zachodnio-ruskie wiersze (przy tym, ma się rozumieć, w języku cerkiewnosłowiańskim, czyli w ogólnoruskim języku literackim tamtych czasów) przenikały już przed Piotrem: były na przykład popularne podobne wiersze Symeona Połockiego. Pojawili się w Moskwie nawet miejscowi naśladowcy tego rodzaju poezji: przywołajmy chociażby znanego Sylwestra Miedwiediewa. Od czasów Piotra poezja rosyjska starego wielkoruskiego typu ostatecznie odeszła „do ludu": dla wyższych (pod względem kulturalnym) warstw społeczeństwa odtąd istniała tylko tradycja poetycka, wywodząca się z zachodnio-ruskich „wierszy", pisanych w języku cerkiewnosłowiańskim. Literatura narracyjna w prozie istniała zarówno na Rusi Moskiewskiej, jak i Zachodniej, ale w tej ostatniej przytłaczający wpływ polski nie pozwalał rozwinąć się twórczości oryginalnej i w rezultacie na całą literaturę narracyjną składały się prawie wyłącznie przekłady. Natomiast na Rusi Moskiewskiej istniała również swoja oryginalna tradycja prozatorskiej opowieści, która właśnie w XVII wieku zaczęła się szczególnie wzmacniać i tworzyć nadzieje na pomyślny dalszy jej rozwój (por. na przykład *Opowieść o Sawwie Grudcynie*). Jednocześnie w ciągu całego XVII wieku zachodnio-ruska przekładowa opowieść szerokim strumieniem wlewa się do Rusi Moskiewskiej. Rosyjska literatura narracyjna w prozie z okresu po Piotrze zbliża się właśnie ku tej zachodnio-ruskiej tradycji przekładowych opowieści: miejscowa moskiewska tradycja zaginęła, nie zdążywszy w pełni się rozwinąć. Sztuka oratorska prawdopodobnie istniała również na Rusi Moskiewskiej: styl utworów protopopa Awwakuma jest w pewnym sensie oratorski i pomimo swojego pozornego braku artyzmu zakłada starą ustną tradycję kaznodziejską. Ale tradycja ta nie ma nic wspólnego z tradycją scholastycznej retoryki, wprowadzoną na Ruś Zachodnią przez szkoły brackie i Akademię Mohylańską. Moskwa zapoznała się z tą ukraińską tradycją kaznodziejską na długo przed Piotrem. Natomiast za czasów Piotra słynni ukraińscy oratorzy, Teofan Prokopowicz i Stefan Jaworski, ostatecznie utrwalili tę trady-

cję. Cała późniejsza retoryka rosyjska, zarówno cerkiewna, jak i świecka, sięga korzeniami właśnie tej tradycji ukraińskiej, a nie moskiewskiej, która w końcu zanikła, nie pozostawiając po sobie żadnych świadectw oprócz nauk, wydobywanych z pism przywódców raskołu w rodzaju Awwakuma. Wreszcie literatura dramaturgiczna przed Piotrem istniała tylko na Rusi Zachodniej. W Moskwie własnej samodzielnej tradycji literatury dramaturgicznej nie było: na dworze wystawiano, i to bardzo rzadko, sztuki autorów ukraińskich (na przykład Symeona Połockiego). Rosyjska literatura dramaturgiczna z okresu po Piotrze genetycznie związana jest z ukraińskim szkolnym dramatem. W ten sposób widzimy, że we wszystkich swoich odgałęzieniach literatura rosyjska po Piotrze jest bezpośrednim przedłużeniem zachodnio-ruskiej, ukraińskiej tradycji literackiej.

Ten sam obraz widzimy również w innych rodzajach sztuk – w dziedzinie muzyki, zarówno wokalnej (głównie cerkiewnej), jak i instrumentalnej, w dziedzinie malarstwa (w której wielkoruska tradycja nadal była żywa tylko u starowierców, zaś całe popiotrowe malarstwo ikonowe i portretowe wywodzi się z tradycji zachodnio-ruskiej) i w dziedzinie architektury cerkiewnej (czyli w tym jedynym rodzaju architektury, w którym „ruskiemu stylowi" przyznawano pewne prawa[2]. Ale te wszystkie nawiązania do tradycji zachodnio-ruskich i odrzucanie tradycji moskiewskich obserwuje się nie tylko w sztukach, ale także we wszystkich innych stronach życia duchowego popiotrowej Rosji. Stosunek do religii i kierunek rozwoju myśli cerkiewnej i teologicznej naturalnie powinien był wskazywać właśnie na tradycję zachodnio-ruską, gdyż zachodnio-ruska tradycja liturgiczna już za czasów Nikona została uznana za jedynie prawidłową, Akademia Mohylańska stała się ogólnoruskim ogniskiem najwyższego duchowego oświecenia, a większość rosyjskich hierarchów przez długi czas była właśnie wychowankami tej Akademii. Z tej samej tradycji wywodziła się szkoła rosyjska po Piotrze, duch i treść nauczania. Znamienne wreszcie jest i to, że samo spojrzenie na starą kulturę wielkoruską, rozpowszechnione w epoce po Piotrze, genetycznie było zachodnio-ruskie: o kulturze Rusi Moskiewskiej sprzed Piotra zwykło się (można powiedzieć, że i teraz to się robi) wypowiadać te same opinie, które w XVII wieku wypowiadali „uczeni" Ukraińcy.

2

W ten sposób na przełomie XVII i XVIII wieku nastąpiła ukrainizacja wielkoruskiej kultury duchowej. Różnica między redakcją zachodnio-ruską i moskiewską została usunięta poprzez wykorzenienie redakcji moskiewskiej i tak oto kultura rosyjska stała się jednolita.

Ta jednolita kultura rosyjska po Piotrze była zachodnio-ruską, ukraińską z pochodzenia, ale państwowość rosyjska genetycznie była wielkoruską. Dlatego też centrum kultury powinno było przemieścić się z Ukrainy do Wielkiej Rusi. W rezultacie zdarzyło się to, że ta kultura nie stała się ani specyficznie wielkoruską, ani specyficznie ukraińską, lecz ogólnorosyjską. Cały dalszy rozwój tej kultury w znacznej mierze był określany właśnie przez to przejście od ograniczonego, lokalnego do wszechogarniającego, ogólnonarodowego. Zachodnio-ruska redakcja kultury rosyjskiej uformowała się w czasach, kiedy Ukraina była prowincją Polski. Polska zaś pod względem kulturalnym była prowincją (przy tym odległą prowincją) romańsko-germańskiej Europy. Ale od czasów Piotra ta zachodnio-ruska redakcja kultury rosyjskiej, zostawszy ogólnorosyjską, tym samym stała się dla Rosji stołeczną, sama zaś Rosja w tym czasie zaczęła pretendować do tego, by stać się jedną z ważniejszych części „Europy". W ten sposób kultura ukraińska jakby przeniosła się z podupadłego powiatowego miasteczka do stolicy. W związku z tym musiała ona zmienić swój poprzedni mocno prowincjalny wygląd zewnętrzny. Pragnie ona uwolnić się od tego wszystkiego, co jest specyficznie polskie, i zastąpić to wszystko odpowiednimi elementami rdzennych kultur romańsko-germańskich (niemieckiej, francuskiej itd.). W ten sposób ukrainizacja okazuje się mostem do europeizacji. Jednocześnie zmienia się językowa baza kultury. Przedtem na Rusi Zachodniej obok książkowego języka cerkiewnosłowiańskiego istniał szczególny żargon rusko-polski, służący za język potoczny i urzędowy wyższych klas społecznych. Ale potem, gdy ukraińska redakcja kultury rosyjskiej została ogólnorosyjską, ten rusko-polski żargon, symbolizujący polskie panowanie i prowincjonalizm, nie mógł dłużej istnieć. Panujący na Wielkiej Rusi, wypracowany w środowisku moskiewskich urzędników, wielkoruski ustny język urzędowy doświadczył niezwykle silnego oddziaływania tego rusko-polskiego żargonu – ale w końcu mimo wszystko zwyciężył i wyparł go, stając się jedynym językiem urzędowym i potocznym klas wyższych, przy tym nie tylko na Wielkiej Rusi, ale i na Ukrainie. Pomiędzy tym językiem i językiem cerkiewnosłowiańskim, odgrywającym nadal rolę języka literackiego, zawiązały się bliskie relacje jakby pewnej osmozy (wzajemnego przenikania się): ruski język potoczny klas wyższych uległ silnej „cerkiewnosłowianizacji", literacki język cerkiewnosłowiański mocno się „zrusyfikował" i w rezultacie oba zbiegły się w jednym współczesnym języku rosyjskim, który jednocześnie jest językiem literackim i urzędowo-potocznym wszystkich wykształconych Rosjan, czyli językową bazą kultury rosyjskiej.

W ten sposób kulturalna ukrainizacja Wielkiej Rusi i przekształcenie kultury ukraińskiej w kulturę ogólnorosyjską w pełni naturalnie doprowadziło do tego, że kultura ta utraciła swój specyficznie ukraiński charakter. Natomiast specyficznie wielkoruskiego charakteru ona nie mogła nabrać choćby z tego powodu, że, jak powiedzieliśmy wyżej, ciągłość specyficznie wielkoruskiej tradycji kulturalnej została ostatecznie i bezpowrotnie przecięta i może zachowała się jedynie w ciągłości języka kancelaryjnego skrybów moskiewskich. Stąd się bierze abstrakcyjnie ogólnorosyjski charakter całej popiotrowej „petersburskiej" kultury.

Ale podkreślanie abstrakcyjnie ogólnorosyjskiego prowadziło praktycznie do odrzucenia konkretnie rosyjskiego, czyli do narodowej autonegacji. A taka autonegacja naturalnie powinna była wywołać zwrotną reakcję zdrowego zmysłu narodowego.

Sytuacja, w której w imię wielkości Rosji praktycznie prześladowano i wykorzeniano wszystko, co rdzennie rosyjskie, była zbyt niedorzeczna, żeby nie wywołać protestu. Dlatego nie dziwi to, że w społeczeństwie rosyjskim pojawiły się nurty skierowane na utwierdzenie samoistności i ujawnienie rosyjskiego oblicza narodowego. Ale ponieważ nurty te były skierowane właśnie przeciwko abstrakcyjności kultury ogólnorosyjskiej i dążyły do zastąpienia jej konkretnością, nieuchronnie powinny one były przybrać w miarę regionalny charakter: przy każdej próbie nadania kulturze rosyjskiej bardziej konkretno-narodowego oblicza trzeba było zawsze wybierać jedną z indywiduacji narodu ruskiego – wielkoruską, małoruską lub białoruską, gdyż konkretnie istnieją Wielkorusy, Małorusy i Białorusy, zaś „ogólnorusy" są tylko produktem abstrakcji. I rzeczywiście, widzimy, że nurty występujące w obronie tego, co w kulturze rosyjskiej jest konkretnie narodowe, płyną w dwóch łożyskach – wielkoruskim i małoruskim[3]. Znamienny jest właśnie ścisły paralelizm tych dwóch łożysk. Paralelizm ten obserwujemy we wszystkich przejawach wspomnianego nurtu.
Tak oto w dziedzinie literatury widzimy, poczynając od końca XVIII wieku, wiele utworów celowo pospolitych pod względem języka i stylu; utwory te tworzą dwie ściśle paralelne linie ewolucji – wielkoruską i małoruską; w obydwu obserwuje się początkowo parodystyczno-humorystyczny kierunek (w wielkoruskiej – *Eliseusz* Wasilija Majkowa, w małoruskiej – *Eneida* Kotlarowskiego), który następnie zostaje zastąpiony przez romantyczno-sentymentalny z naciskiem na ludowo-pieśniową stylistykę (punkt kulminacyjny w wielkoruskiej – Kolcow, w małoruskiej – Szewczenko), a ten kierunek z kolei w połowie XIX wieku przechodzi w kierunek „bólu obywatelskiego" (będącego swoistym rosyjskim

wytworem „bólu świata") i demaskatorstwa. Romantyczna idealizacja dawnych dziejów sprzed Piotra, która znalazła wyraz w literaturze, historiografii, w archeologii i zrodzona przez tę samą potrzebę konkretno-narodowego, też jednocześnie i paralelnie występuje w tych samych dwóch głównych łożyskach, wielkoruskim i ukraińskim. To samo należy też powiedzieć o narodnictwie i różnych postaciach „chodzenia w lud". Każdy narodnik (ponieważ ukierunkowywał swoją świadomość na realny konkretny „lud") niechybnie stawał się do pewnego stopnia również „krajowcem" i żarliwym obrońcą określonych specyficznie wielkoruskich lub specyficznie ukraińskich[4] pospolitych cech lub form życia codziennego.

W ten sposób, mimo że pęd ku temu, co konkretno-narodowe, w okresie petersburskim przybierał formy regionalizmu lub orientacji na jakąś jedną określoną indywiduację plemienia ruskiego (wielkoruską, ukraińską itd.) – samo to zjawisko było ogólnorosyjskie. Ponieważ takie były przyczyny tego zjawiska – wyróżniające Rosję z okresu po Piotrze oderwanie rosyjskiej elity kulturalnej od konkretnego narodowego fundamentu i spowodowana tym specyficzna obcość między inteligencją i ludem oraz tęsknota za zjednoczeniem inteligencji z ludem. I dlatego problemem ogólnorosyjskim jest też problem reformy kultury lub wzniesienia nowego gmachu kultury, w którym górne piętra organicznie wyrastałyby z fundamentu narodowego. Problem ten stoi też teraz przed wszystkimi częściami plemienia ruskiego, przed Wielkorusami, Małorusami i Białorusami.

3

W związku z problemem reformy kultury rosyjskiej we wskazanym wyżej kierunku powstaje pytanie: czy ta nowa zreformowana kultura powinna być ogólnorosyjską czy też kultura ogólnorosyjska w ogóle nie powinna istnieć, lecz powinny być stworzone nowe zreformowane kultury dla każdej oddzielnej odmiany plemienia ruskiego?

Problem ten ze szczególną ostrością stoi właśnie przed Ukraińcami. Jest on dodatkowo skomplikowany poprzez ingerencję czynników i wyobrażeń politycznych i zazwyczaj łączy się z problemem, czy Ukraina powinna być całkowicie samodzielnym państwem, pełnoprawnym członkiem federacji rosyjskiej czy autonomiczną częścią Rosji? Jednakże związek między zagadnieniem politycznym i kulturalnym w danym wypadku nie jest konieczny. Wiemy, że istnieje kultura ogólnoniemiecka, mimo że wszystkie części plemienia niemieckiego nie są zjednoczone w jednym państwie, wiemy, z drugiej strony, że Hindusi mają swoją całkiem samodzielną kulturę, pomimo że od dawna są pozbawieni państwowej niezależności. Dlate-

go też zagadnienie kultury ukraińskiej i ogólnorosyjskiej można i powinno się rozwiązywać niezależnie od problemu charakteru politycznych i państwowoprawnych relacji wzajemnych między Ukrainą i Wielką Rosją.

Widzieliśmy już, iż kultura ogólnorosyjska okresu po Piotrze wykazywała spore niedostatki, które zrodziły potrzebę jej reformy w kierunku konkretno-narodowym. Niektórzy zwolennicy ukraińskiego separatyzmu kulturalnego starają się przedstawić sprawę w taki sposób, jakby kultura ta, która istniała w Rosji do tej pory, nie była w ogóle kulturą ogólnorosyjską, lecz tylko wielkoruską. Ale w rzeczywistości nie jest to słuszne: widzieliśmy już, że za początek utworzenia kultury ogólnorosyjskiej okresu po Piotrze posłużyła duchowa ukrainizacja Wielkiej Rusi, że ta ogólnorosyjska kultura genetycznie związana jest tylko z kulturą zachodnioruską, ukraińską okresu sprzed Piotra, a nie ze starą kulturą wielkoruską, której tradycja została zerwana w końcu XVII wieku. Nie sposób negować również tego, całkowicie oczywistego faktu, że nie tylko w stworzeniu, lecz także w rozwoju tej kultury ogólnorosyjskiej obok Wielkorusów brali aktywny udział także Ukraińcy, przy tym właśnie jako tacy, bez odrzucania swojej przynależności do plemienia ukraińskiego, lecz – odwrotnie – ugruntowując tę przynależność: nie można wyrzucić z literatury rosyjskiej Gogola, z historiografii rosyjskiej – Kostomarowa, z filologii rosyjskiej – Potiebni itd. Jednym słowem nie można negować tego, że kultura rosyjska okresu po Piotrze jest ogólnorosyjska i że dla Ukraińców nie jest ona obca, lecz swoja. W ten sposób, jeśli kultura ta była odbierana przez niektórych Ukraińców jako nie całkiem swoja i jeśli w zestawieniu jej z duchową i życiową strukturą prostego ludu ukraińskiego rzucały się w oczy nieodpowiedniości między elitą kulturalną i fundamentem ludowym, to dało się to obserwować nie tylko na Ukrainie, lecz także na Wielkiej Rusi, i zatem było spowodowane nie tym, że kultura była jakoby wielkoruska, lecz przez jakieś zupełnie inne przyczyny.

Każda kultura powinna między innymi posiadać dwie strony: jedną zwróconą w stronę konkretnego etnograficznego ludowego fundamentu, drugą – zwróconą w stronę szczytów życia duchowego i umysłowego. Dla trwałości i zdrowia kultury konieczne jest, po pierwsze, by między tymi stronami istniała organiczna więź i, po drugie, by każda z tych stron rzeczywiście odpowiadała swemu przeznaczeniu, czyli by strona zwrócona ku korzeniom ludowym odpowiadała indywidualnym cechom danego konkretnego etnograficznego fundamentu, zaś strona zwrócona w stronę wyżyn duchowych w swoim rozwoju odpowiadała potrzebom duchowym wybranych wybitnych przedstawicieli narodu.

W kulturze ogólnorosyjskiej epoki po Piotrze te dwie strony lub „piętra" kultury były rozwinięte niejednakowo. „Dolne piętro"[5] zwrócone ku korzeniom ludowym było słabo przystosowane do konkretnych cech rosyjskiego typu etnologicznego i dlatego źle spełniało swoje naznaczenie: wskutek tego człowiek „z ludu" mógł włączyć się do kultury pod warunkiem, że całkowicie (lub w najlepszym wypadku – prawie całkowicie) straci swoją tożsamość i stłumi pewne niektóre istotne właśnie dla „ludu" cechy. I odwrotnie – „górne piętro" kultury ogólnorosyjskiej zwrócone w stronę wyższego życia duchowego i umysłowego było na tyle rozwinięte, że w każdym wypadku całkowicie zaspokajało potrzeby duchowe inteligencji rosyjskiej.

Wyobraźmy sobie teraz, co powinno się było wydarzyć, jeśli tę ogólnorosyjską kulturę na terytorium Ukrainy zastąpić nowo stworzoną, specjalnie ukraińską kulturą, niemającą nic wspólnego z poprzednią ogólnorosyjską. Ludność Ukrainy będzie musiała „optować" za tą lub inną kulturą. Jeśli nowej kulturze uda się przystosować swoje dolne piętro do konkretnego fundamentu etnograficznego, to doły ludowe, ma się rozumieć, będą optować właśnie za tą nową kulturą ukraińską, gdyż – jak już powiedziano – w poprzedniej ogólnorosyjskiej kulturze ta zwrócona ku ludowym korzeniom strona była bardzo źle rozwinięta i była zupełnie nieprzystosowana do indywidualnych cech narodu. Ale po to, żeby za tą nową ukraińską kulturą optowały nie tylko doły ludowe, lecz także wykwalifikowane elity (czyli właśnie najbardziej wartościowa inteligencja), trzeba, żeby także górne piętro tej kultury odpowiadało wyższym potrzebom duchowym wykwalifikowanej inteligencji Ukrainy jeszcze w większym stopniu niż odpowiednia strona poprzedniej ogólnorosyjskiej kultury. W przeciwnym wypadku inteligencja (przy tym właśnie inteligencja jakościowa, wykwalifikowana, najcenniejsza z punktu widzenia twórczości kulturalnej) Ukrainy w swojej przytłaczającej większości będzie optować za kulturą ogólnorosyjską, zaś samodzielna kultura ukraińska, pozbawiona współpracy tej najwartościowszej części narodu ukraińskiego, będzie skazana na wynaturzenie i śmierć.

Oceniając na chłodno szanse, dochodzimy do wniosku, że o ile jest prawdopodobne i możliwe, iż nowa kultura ukraińska zadowalająco sprawdzi się w zadaniu przystosowania dolnego piętra gmachu kultury do korzeni ludowych, o tyle jest całkowicie nieprawdopodobne, żeby kultura ta zdołała sprawdzić się w drugim zadaniu – stworzenia nowego „górnego piętra" zdolnego do zaspokojenia wyższych potrzeb inteligencji w większym stopniu niż odpowiednie piętro poprzedniej kultury ogólnorosyjskiej. Nowa

kultura ukraińska nie będzie w stanie konkurować z kulturą ogólnorosyjską w zaspokajaniu wyższych potrzeb duchowych. Przede wszystkim nie będzie ona posiadać tej bogatej tradycji kulturalnej, którą posiada kultura ogólnorosyjska, a przynależność do takiej tradycji i opieranie się na niej znacznie ułatwia pracę twórców wyższych wartości duchowych – nawet w tym wypadku, kiedy mowa o tworzeniu całkowicie nowych wartości. Dalej, dla tworzenia wyższych wartości kulturalnych ogromne znaczenie posiada jakościowy dobór twórców. Dlatego dla pomyślnego rozwoju tej strony kultury niezbędne jest, żeby pojemność tej etnicznej całości, w której dana kultura rozwija się, była jak największa – im liczniejsi są nosiciele danej kultury, tym większa (przy zachowaniu innych warunków) będzie też absolutna liczba rodzących się wśród tych nosicieli kultury utalentowanych ludzi, a im więcej jest utalentowanych ludzi, tym – po pierwsze – intensywniej rozwija się „górne piętro" kultury i – po drugie – tym silniejsza jest konkurencja; konkurencja zaś podwyższa samą jakość budownictwa kulturalnego. W ten sposób, nawet zakładając inne warunki, „górne piętro" jednolitej kultury wielkiej jednostki etnologicznej będzie zawsze jakościowo doskonalsze i ilościowe bogatsze niż u tych kultur, które mogłyby wypracować oddzielne części tej samej jednostki etnologicznej, pracując w izolacji od innych części. Każdy nieuprzedzony przedstawiciel danej etnologicznej całości nie może z tego nie zdawać sobie sprawy i dlatego naturalnie w warunkach pełnej wolności wyboru będzie „optować" za kulturą etnologicznej całości (w naszym wypadku – za kulturą ogólnorosyjską), a nie za kulturą części tej całości (w naszym wypadku – za kulturą ukraińską). Optować za kulturą ukraińską może zatem tylko albo człowiek w jakiś sposób uprzedzony, albo człowiek, którego wolność wyboru jest ograniczona. Przy tym wszystko, co powiedziano wyżej, odnosi się zarówno do twórców wyższych wartości kulturalnych, jak i „konsumentów", czyli koneserów tych wartości: w samej swej istocie wszelki twórca wyższych wartości kulturalnych (pod warunkiem że jest on rzeczywiście utalentowany i świadom swojej siły) dąży do tego, żeby produkty jego twórczości mogły być dostępne i poddane ocenie przez możliwie dużą liczbę prawdziwych koneserów; a każdy prawdziwy koneser („użytkownik") takich wartości kulturalnych wyższego rzędu z kolei dąży do tego, żeby korzystać z wartości kulturalnych możliwie największej liczby twórców. Oznacza to, że obie strony są zainteresowane rozszerzeniem, a nie zawężeniem pola danej kultury. Ograniczenia tego pola być może pragną tylko z jednej strony twórcy pozbawieni talentu lub bardzo przeciętni, chcący chronić się przed

konkurencją (prawdziwy talent konkurencji się nie boi!), a z drugiej strony – wąscy i fanatyczni krajowi szowiniści, którzy nie dorośli do obiektywnej oceny wyższej kultury z uwagi na nią samą i oceniają dany produkt twórczości kulturalnej tylko pod kątem możliwości włączenia go do regionalnej odmiany kultury. Tacy właśnie ludzie będą optować przeważnie przeciwko kulturze ogólnorosyjskiej i za całkowicie samodzielną kulturą ukraińską. Staną się oni głównymi adeptami i przywódcami tej nowej kultury i odcisną na niej swoje piętno – piętno drobnej prowincjonalnej próżności, triumfującej przeciętności, szablonowości, ciemnoty i ponadto duch stałej podejrzliwości, wiecznego strachu przed konkurencją. Ci sami ludzie oczywiście postarają się na wszelkie sposoby ograniczyć lub nawet wyeliminować samą możliwość wolnego wyboru między ogólnorosyjską i samodzielną ukraińską kulturą: postarają się zakazać Ukraińcom znajomości rosyjskiego języka literackiego, czytania rosyjskich książek, kontaktu z kulturą rosyjską. Ale i to okaże się niewystarczające: trzeba będzie narzucić całej ludności Ukrainy ostrą i płomienną nienawiść ku wszystkiemu, co rosyjskie, i stale podsycać tę nienawiść wszelkimi środkami szkoły, prasy, literatury, sztuki, choćby za cenę fałszu, oszczerstwa, rezygnacji z własnej przeszłości historycznej i podeptania własnych świętości narodowych. Jeśli zaś Ukraińcy nie będą nienawidzić wszystkiego, co rosyjskie, to zawsze pozostanie możliwość optowania na korzyść kultury ogólnorosyjskiej. Jednakże nietrudno zrozumieć, że kultura ukraińska, tworzona w dopiero co opisanej sytuacji, będzie bardzo kiepska. Okaże się ona nie celem samym w sobie, lecz jedynie narzędziem polityki i przy tym złej, szowinistycznej i zaczepnie krzykliwej polityki. I głównymi motorami tej polityki będą nie autentyczni twórcy wartości kulturalnych, lecz maniakalni fanatycy, politykierzy, zahipnotyzowani obsesyjnymi ideami. Dlatego w tej kulturze wszystko – nauka, literatura, sztuka, filozofia itd. – nie będzie autoteliczne, lecz będzie tendencyjne. Otworzy to szeroką drogę beztalenciom zbierającym tanie laury dzięki podporządkowaniu się tendencyjnemu szablonowi, ale zamknie usta prawdziwym talentom, niemogącym ograniczać się do wąskich ram tych szablonów. Ale najważniejsze jest to, iż można bardzo wątpić w to, czy ta kultura będzie rzeczywiście narodowa. W sposób pełny mogą ucieleśniać ducha narodu w wartościach kultury tylko prawdziwe talenty, trudzące się bynajmniej nie dla jakichś pobocznych celów politycznych, lecz powodowane irracjonalnym wewnętrznym impulsem. Dla takich talentów w opisanej wyżej agresywnej szowinistycznej sytuacji nie będzie miejsca. Politykierzy głównie chcą jednego – jak najszybszego stworze-

nia swojej ukraińskiej kultury, obojętnie jakiej, byleby nie była podobna do rosyjskiej. Nieuchronnie spowoduje to gorączkową pracę naśladowczą: czy nie prościej wziąć gotowe z zagranicy (byleby nie z Rosji!), na chybcika wymyślając dla importowanych w ten sposób wartości kulturalnych ukraińskie nazwy, niż wszystko tworzyć od nowa! W rezultacie stworzona w takich warunkach „kultura ukraińska" nie będzie organicznym wyrazem indywidualnej natury ukraińskiej narodowej istoty i mało czym będzie się odróżniać od tych kultur, które w pośpiechu są tworzone przez różne „młode narody", statystów „Ligi Narodów". W tej kulturze demagogiczne podkreślanie niektórych oddzielnych, przypadkowo wybranych i w sumie mało istotnych elementów z życia ludu będzie łączyć się z praktyczną negacją najgłębszych podstaw tego życia, zaś mechanicznie przejęte i niezgrabnie stosowane „ostatnie słowa" cywilizacji europejskiej będą sąsiadować z oznakami najbardziej prowincjonalnych staroci i zacofania kulturalnego; i wszystko to w obecności wewnętrznej pustki duchowej, maskowanej buńczucznym samochwalstwem, krzykliwą reklamą, gromkimi frazesami o kulturze narodowej, samoistności i in. Słowem – będzie to nędzny surogat, nie kultura, lecz karykatura.

Takie są nieciekawe perspektywy, jakie czekają kulturę ukraińską, kiedy zapragnęłaby zastąpić ogólnorosyjską, wyprzeć ją, w ogóle jeśli wstąpi na drogę konkurencji z nią. Sytuacja, w której każdy oświecony Ukrainiec będzie musiał zadecydować, czy chce być Rosjaninem, czy Ukraińcem, pociągnie za sobą skrajnie niekorzystną z punktu widzenia rozwoju kultury ukraińskiej selekcję twórców kultury. Stawiając problem ukraińskiej i ogólnorosyjskiej kultury w formie dylematu (albo – albo), Ukraińcy skazują swoją przyszłą kulturę na tę niezbyt kuszącą egzystencję, którą zarysowaliśmy wyżej. Wynika z tego, że takie postawienie problemu dla Ukraińców jest po prostu niekorzystne. Dla uniknięcia wyżej zarysowanej marnej przyszłości kultura ukraińska powinna być urządzona tak, żeby nie konkurowała z ogólnorosyjską, lecz ją dopełniała. Innymi słowy, kultura ukraińska winna stać się indywiduacją kultury ogólnorosyjskiej.

Wyżej już wskazywaliśmy na to, że „dolne", czyli skierowane ku ludowemu fundamentowi, piętro gmachu kultury powinno być zbudowane od nowa i że w tym budowaniu kultura ukraińska zupełnie naturalnie może i powinna przejawić swoją indywidualność; z drugiej strony wskazywaliśmy również na to, że na górnym piętrze kultury, zawierającym najwyższe wartości kulturalne, kultura ukraińska nie jest w stanie konkurować z ogólnorosyjską. W ten sposób zarysowuje się pewne naturalne rozgraniczenie sfery kultury

ogólnorosyjskiej i ukraińskiej. Rozgraniczenie to oczywiście nie ogranicza się do tego, co zostało już powiedziane, ponieważ oprócz wspomnianego „dolnego" i „górnego" piętra kultura powinna posiadać także piętra „pośrednie", przejściowe. Ale mimo wszystko sama zasada rozgraniczenia została tu wskazana.

4

Te same zasady i wyobrażenia powinny lec u podstaw rozgraniczenia sfer kultury ogólnorosyjskiej od kultur regionalnych (białoruskiej, wielkoruskiej itd.). Przecież, jak powiedziano wyżej, niedostosowanie dolnego piętra gmachu kultury do konkretnego ludowego fundamentu było w kulturze rosyjskiej po Piotrze zjawiskiem powszechnym. W przyszłości należy wyeliminować ten niedostatek, uzgodnić z konkretną narodową indywidualnością ludu rosyjskiego tę stronę kultury rosyjskiej, która jest zwrócona ku korzeniom ludowym, innymi słowy – bliżej przysunąć kulturę do ludu i tym samym zagwarantować stały udział „ludzi z ludu" w budownictwie kulturalnym. Jest jasne, że ponieważ kultura w wymienionej wyżej stronie będzie dostosowywać się do konkretnych indywidualnych cech ludu ruskiego, to cała ta praca powinna być silnie zróżnicowana zgodnie z pojedynczymi krajowymi i plemiennymi regionami: przecież „rosyjski lud w ogóle" jest abstrakcją, gdyż konkretnie istnieje Wielkorus (ze swoimi odmianami – północny Wielkorus, południowy Wielkorus, Pomorzanin, Nadwołżanin, Sybirak, Kozak itd.), Białorus, Małorus-Ukrainiec (też ze swoimi odmianami) i dolne piętro kultury powinno dostosowywać się w każdym danym kraju właśnie do danej konkretnej indywidualnej odmiany narodu rosyjskiego (do danej krajowej indywiduacji rosyjskiej narodowej persony). Dzięki temu kultura rosyjska w przyszłości powinna zewnętrznie bardzo różnicować się ze względu na pojedyncze kraje i regiony i zamiast poprzedniej oderwanej zuniformizowanej i bezosobowej jednorodności powinna pojawić się tęcza wyraziście zamanifestowanych miejscowych odcieni.

Jednakże wielkim błędem byłoby dostrzeganie w rozwoju tych lokalnych odmian jedynego lub głównego celu pracy kulturalnej. Nie należy zapominać, iż oprócz strony zwróconej ku ludowym korzeniom każda kultura powinna posiadać również inną stronę – zwróconą ku szczytom ducha. I biada tej kulturze, w której ta strona jest niedostatecznie rozwinięta, wskutek czego elity kulturalne narodu muszą zaspokajać swoje wyższe potrzeby duchowe, sięgając po wartości nie ze swojej ojczystej, lecz z obcej kultury. Dlatego jednocześnie z opracowywaniem i rozwojem tych stron kultury, które są zwrócone ku korzeniom ludowym, powinna być prowadzona

intensywna praca w sferze „górnych" wartości kulturalnych. I jeśli praca nad „dolnym" piętrem gmachu kultury rosyjskiej, jak wskazywaliśmy, wymaga dyferencjacji w zastosowaniu do oddzielnych plemion i krajów ruskich, to – odwrotnie – praca nad „górnym piętrem" kultury znowuż ze swej natury wymaga współpracy wszystkich plemion ruskich. O ile w dziedzinie pracy nad „dolnym piętrem" krajowe przegródki są naturalne i konieczne dla osiągnięcia maksymalnego zbliżenia kultury do konkretnego materiału etnograficznego, o tyle w pracy nad „górnym piętrem" te przegródki są sztuczne, niepotrzebne i szkodliwe. Sama istota tej strony kultury wymaga maksymalnie szerokiego diapazonu i wszelkie ograniczenie tego diapazonu ramami krajowych przegródek będzie odbierane jako niepotrzebna przeszkoda zarówno przez twórców, jak i użytkowników wartości kulturalnych. Wzniesienia krajowych przegródek w tej dziedzinie kultury mogą pragnąć tylko przeciętni, obawiający się konkurencji, jak również maniakalnie fanatyczni krajowi szowiniści. Ale jeśli dla dogodzenia takim przeciętnym twórcom i niedorozwiniętym amatorom wartości kulturalnych krajowe przegródki będą ustawione nie tylko na dolnym, ale także na górnym piętrze gmachu kultury, to w oddzielnych częściach kraju powstanie taka duszna atmosfera prowincjonalnego zastoju i triumfującej drugorzędności, że wszyscy rzeczywiście uzdolnieni i duchowo uformowani ludzie będą uciekać z prowincji do stolicy, zaś na miejscach w końcu zabraknie także tych pracowników kulturalnych, którzy są niezbędni do wyżej wzmiankowanej pracy w dolnych piętrach gmachu kultury.

Tak więc krajowa i plemienna dyferencjacja kultury rosyjskiej bynajmniej nie powinna dotykać samego szczytu gmachu kultury, wartości wyższego rzędu. Na „górnym piętrze" przyszłej kultury rosyjskiej krajowe i plemienne przegródki nie powinny się pojawić: tym będzie się ono różnić od „dolnego piętra", na którym plemienne i krajowe przegródki powinny być mocno zaznaczone i jasno wyrażone. Ostrej granicy między tymi dwoma „piętrami" oczywiście nie powinno być: jedno powinno niezauważalnie przechodzić w drugie, w przeciwnym wypadku kultura nie będzie jednolitym systemem, czyli nie będzie kulturą w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Dlatego też krajowe przegródki, jaskrawo manifestowane w dolnej części gmachu kultury, będą stopniowo zacierać się, im wyżej i dalej od ludowego fundamentu, a na samym szczycie gmachu kultury te przegródki w ogóle nie będą zauważalne. Ważne jest, żeby pomiędzy szczytem i dołem gmachu kultury istniało stałe współdziałanie, żeby nowo tworzone wartości górnego

zasobu określały kierunek zróżnicowanej i zindywidualizowanej w krajowym wymiarze twórczości wartości dolnego zasobu, i odwrotnie, żeby kulturalne wytwory krajowych indywiduacji Rosji, sumując się, neutralizując wzajemnie specyficznie miejscowe, lokalne cechy i podkreślając wspólne, określały duch pracy kulturalnej górnego piętra. Ten wymóg stałego współdziałania pomiędzy górą i dołem gmachu kultury powinien warunkować rolę, formy i rozmiary krajowych przegródek: powinny one zabezpieczać prawidłową krajową indywidualizację kultury i bynajmniej nie powinny przeszkadzać współdziałaniu góry i dołu gmachu kultury. Jest jasne, że nie da się tego ściśle reglamentować: w jakiejś jednej cząstkowej kwestii dana krajowa przegródka będzie wyższa, a w innej – niższa; ważne jest tylko, żeby sens tych przegródek rozumiano prawidłowo i żeby nie przekształcono ich w cel sam w sobie.

Aby kultura rosyjska, pomimo krajowej i plemiennej dyferencjacji w dolnej swojej części, była jednolitym systemem, konieczny jest jeden podstawowy warunek: u podstaw zarówno jednego „górnego piętra", jak i wszystkich krajowych wariantów „dolnego piętra" gmachu kultury rosyjskiej powinna znajdować się jedna i ta sama zasada organizująca. Taką zasadą, jednakowo bliską dla każdej plemiennej indywiduacji narodu rosyjskiego, tkwiącą w głębi duszy narodu i jednocześnie mogącą stać się podstawą również dla wartości z górnej półki, obliczonych dla wykwalifikowanych nosicieli wyższej ogólnorosyjskiej kultury, jest Wiara Prawosławna. Niegdyś właśnie ta zasada była życiowym nerwem całej kultury rosyjskiej i właśnie dzięki niej zachodnio-ruska i moskiewska indywiduacja kultury rosyjskiej okazały się zdolne do ponownego zjednoczenia. Później charakterystyczna dla okresu po Piotrze ślepa fascynacja zsekularyzowaną, zlaicyzowaną i bezbożną, antychrześcijańską kulturą europejską[6] w znacznej mierze podkopała i zburzyła w elitach kulturalnych narodu rosyjskiego ten przekazany od przodków fundament życia rosyjskiego, nie dając niczego w zamian; światopogląd tej odrzucającej prawosławne podstawy inteligencji przeniknął do mas ludowych, powodując całkowite duchowe spustoszenie. Ale najlepsi przedstawiciele zarówno prostego ludu, jak i inteligencji boleśnie odczuwali tę duchową pustkę i dlatego poszukiwania religijne, często przyjmujące najbardziej paradoksalne formy, są charakterystyczną cechą życia ludu rosyjskiego i inteligencji całego okresu po Piotrze. Te poszukiwania religijne nie mogły się ziścić, dopóki kultura znajdowała się poza religią, zaś Cerkiew, podporządkowana państwu, była poza kulturą (w każdym razie poza podstawowym nurtem wyższej kultury ogólnorosyjskiej). Dlatego religijni poszukiwacze działali na oślep i tylko

przypadkowo niektórzy z nich w swoich poszukiwaniach „odkryli" prawosławie. Po przeżywanej przez nas obecnie epoce władztwa komunizmu, kiedy duchowe spustoszenie niereligijnej (i dlatego antyreligijnej) kultury objawiło się w obnażonej postaci i osiągnęło punkt kulminacyjny, niewątpliwie powinna (z nadzieją na pomoc Bożą) nastąpić zdecydowana reakcja. Przyszła kultura rosyjska powinna być w ideale ucerkwiona od góry do dołu. Prawosławie powinno przenikać nie tylko do życia ludu, ale też do wszystkich części gmachu kultury rosyjskiej, aż do najwyższych szczytów tego gmachu. Dopiero wtedy każdy pojedynczy Rosjanin będzie mógł znaleźć w kulturze rosyjskiej spokój wewnętrzny i zaspokojenie wszystkich najgłębszych potrzeb swojego ducha i dopiero wtedy kultura rosyjska będzie stanowić od góry do dołu jednolity system, pomimo swojego regionalnego i plemiennego zróżnicowania.

Obecnie jesteśmy świadkami zwiększenia krajowej dyferencjacji kultury rosyjskiej. W szczególności na Ukrainie otwarcie przeważają dążenia do pełnego kulturalnego separatyzmu. W znacznej mierze tłumaczy się to polityką władzy radzieckiej, wspierającej kulturalny separatyzm po to, aby w ten sposób rozbroić separatyzm polityczny, następnie – odsunięciem większości najbardziej kwalifikowanej inteligencji Ukrainy od decydującej roli w pracy kulturalnej, a z drugiej strony napływem inteligencji galicyjskiej, której świadomość narodowa jest całkowicie zniekształcona zarówno wielowiekową łącznością z duchem katolicyzmu, jak i polską niewolą i tą atmosferą prowincjonalno-separatystycznej walki narodowej (ściślej – językowej), która zawsze była tak charakterystyczna dla byłych Austro-Węgier. Co się tyczy ludności Ukrainy, to niektóre jej warstwy solidaryzują się nie tyle z tymi konkretnymi formami, jakie przybiera ukrainizacja, co z tym, że ruch ten zewnętrznie skierowany jest na oddzielenie się od Moskwy – od Moskwy komunistycznej: w ten sposób kulturalny separatyzm na Ukrainie żywi się antykomunistycznymi („drobnoburżuazyjnymi" według terminologii sowieckiej) nastrojami pewnych kręgów ludności; nastroje zaś same w sobie bynajmniej nie wiążą się logicznie z kulturalnym separatyzmem i na przykład przy starym reżimie służyły akurat za podporę centralizmu. Z tym wszystkim łączy się i ta okoliczność, że twórczość na „górnym piętrze" kultury, w którym jedność ogólnorosyjska może i powinna najmocniej się przejawiać, teraz jest utrudniona i sztucznie ograniczana dzięki komunizmowi, który nie pozwala innym tworzyć wartości kulturalnych i zarazem sam nie jest w stanie tworzyć takich wartości, odpowiadających choćby minimalnie rozwiniętym potrzebom duchowym.

Ale przede wszystkim fascynacja ukrainizacją tłumaczy się oczywiście urokiem nowości i tym, że ukrainomanom zmuszonym do pracy przez długi czas w podziemiu nagle dano pełną swobodę działań. Jakkolwiek by nie było, w tej dziedzinie obecnie niewątpliwie obserwuje się wiele wynaturzeń. Ukrainizacja przemienia się w jakiś cel sam w sobie i prowadzi do niegospodarnego marnotrawienia narodowych energii. W przyszłości życie, ma się rozumieć, wniesie swoje poprawki i oczyści ruch ukraiński z tego elementu karykaturalności, który wnieśli do niego maniakalni fanatycy kulturalnego separatyzmu. Wiele z tego, co zostało stworzone i tworzy się przez tych zagorzałych nacjonalistów, skazane jest na zagładę i zapomnienie. Ale sama prawomocność stworzenia odrębnej kultury ukraińskiej, niezbiegającej się z wielkoruską, nie jest już negowana, zaś prawidłowy rozwój samoświadomości narodowej wskaże przyszłym twórcom tej kultury zarówno jej naturalne granice, jak i jej prawdziwą istotę i prawdziwe zadanie – bycie ukraińską indywiduacją kultury ogólnorosyjskiej. Dopiero wówczas praca kulturalna nabierze takiego charakteru, który pozwoli na uczestnictwo w niej (przy tym nie ze strachu, lecz całkowicie szczerze) rzeczywiście najlepszym elementom narodu rosyjskiego.

Zdarzy się to wówczas, kiedy u podstaw życia narodowego Ukrainy (jak również innych regionów Rosji-Eurazji) umieści się nie tolerowanie egoistycznych instynktów i otwartej samoakceptacji biologicznego osobnika, lecz prymat kultury oraz osobistą i narodową samoświadomość. Do walki właśnie za te ideały eurazjanizm wzywa wszystkich Rosjan, tak Wielkorusów, jak i Białorusinów oraz Ukraińców. **Ω**

1 Mówimy „małoruski", „ukraiński", choć we wszystkich tych wypadkach słuszniej byłoby mówić „zachodnio-ruski"; w tamtej epoce w wyższych (pod względem kulturalnym) warstwach społeczeństwa zachodnio-ruskiego nie czyniono różnicy między mieszkańcami Małej i Białej Rusi.

2 O zachodnio-ruskiej tradycji w architekturze rosyjskiej, malarstwie i rzeźbie okresu po Piotrze zob. uwagi: P.N. Sawickiego w artykule *Wielikorossija i Ukraina w russkoj kulturie* w czasopiśmie „Rodnoje Słowo" 1926, nr 8).

3 Łożysko białoruskie też zawsze istniało, ale ono zawsze było słabiej rozwinięte.

4 Skrótowo mówiliśmy tylko o dwóch największych częściach plemienia ruskiego czy terytoriach. Ale analogiczne zjawiska pojawiały się (choć z mniejszą intensywnością) i w innych mniejszych częściach – na Białorusi, w różnych kozackich obwodach, na Syberii itd.

5 Dla uniknięcia nieporozumień pragniemy zastrzec, iż w wyrażeniach „dolny" i „górny" nie ma żadnego elementu oceniającego. Nie tylko nie chcemy rozwiązywać tutaj problemu, które z tych pięter jest „wartościowsze", ale nawet negujemy samą prawomocność postawienia takiego problemu. Obraz górnego i dolnego piętra przedstawiają tutaj nie różne stopnie doskonałości lub wartości kultury, lecz jedynie dwie różne funkcje kultury, wartość zaś i doskonałość zależy nie od tych funkcji, lecz od uzdolnień twórcy, całkowicie niezależnie od tego, czy pracuje on na „dolnym", czy na „górnym" piętrze kultury. Poezja Kolcowa este-

tycznie jest znacznie bardziej wartościowa niż poezja Bieniediktowa: jednocześnie Kolcow był na „dolnym", a Bieniediktow „górnym" piętrze kultury.

6 Chrześcijańska w swoim totum kultura europejska była (lub przynajmniej chciała być) jedynie w średniowieczu: od czasów tzw. odrodzenia zaczęła ona przeciwstawiać siebie chrześcijaństwu i właśnie ta jej forma, negatywnie skonfrontowana z Cerkwią, a w końcu z wszelką religią w ogóle, była właśnie przyswajana przez zeuropeizowaną Rosję po Piotrze.

przełożył BOGUSŁAW ŻYŁKO

* Podstawa przekładu: N.S. Trubieckoj, *K ukrainskoj problemie*, „Jewrazijskij Wriemiennik", 5, Pariż 1927.

NIKOŁAJ SIERGIEJEWICZ TRUBIECKOJ (1890–1938) – jeden z najwybitniejszych lingwistów XX w., twórca nowoczesnej fonologii. Syn filozofa religijnego, księcia Siergieja Nikołajewicza Trubieckoja. Od 1922 roku profesor slawistyki na uniwersytecie wiedeńskim. Oprócz filologii zajmował się historią kultury rosyjskiej, ujmując ją w szerszej perspektywie historiozoficznej i traktując jako rodzaj samopoznania narodowego. Podobnie jak inni przedstawiciele tzw. eurazjanizmu utrzymywał, iż kultury rosyjskiej nie można zrozumieć bez uwzględnienia jej ścisłych związków z azjatyckim Wschodem (a nie tylko z Bizancjum i Zachodem).

Temat eurazjanizmu ożył nieoczekiwanie w Rosji w ostatnich czasach, kiedy znów zaczęły się dyskusje o odrębnej „rosyjskiej cywilizacji" i niemieszczeniu się Rosji ani w Europie, ani w Azji. Sprzyjają temu polityczne akcje, jak forsowana przez prezydenta Rosji Władimira Putina „Unia Eurazjatycka" (niedawno została podpisana polityczna część tego projektu przez prezydentów Rosji, Kazachstanu i Białorusi) mająca być swoistą przeciwwagą dla Unii Europejskiej i pomostem ekonomiczno-politycznym pomiędzy Zachodem i Wschodem (głównie Chinami). Z tego też względu warto przypominać teksty głównych ideologów eurazjanizmu, którzy w dzisiejszej Rosji zaczynają odgrywać coraz większą rolę w jawnym i niejawnym życiu kulturalnym i politycznym.

Wydarzenia z ostatnich miesięcy (począwszy od kijowskiego Majdanu z jesieni 1913 roku) znowu postawiły na ostrzu noża problem wzajemnych relacji Ukrainy i Rosji. One też nadały nową aktualność artykułowi Trubieckoja o „kwestii ukraińskiej", napisanemu na emigracji niemal osiemdziesiąt lat temu. Autor reprezentuje ten punkt widzenia, który i dzisiaj ma wielu zwolenników w Rosji, pragnących utrzymać Ukrainę w granicach „rosyjskiej prawosławnej cywilizacji". Został on w artykule wyrażony jasno i podbudowany argumentacją historyczno-kulturową i również dlatego wart jest przypomnienia.

Zgodnie z nim Ukraina powinna pozostać jedną z najważniejszych części Eurazji (pokrywającej się z grubsza z granicami Imperium Rosyjskiego, z wyłączeniem Finlandii, krajów nadbałtyckich i Polski). Zatem dla powodzenia tego projektu kluczowe są relacje rosyjsko-ukraińskie. Trubieckoj rozważa „kwestię ukraińską" na płaszczyźnie kultury (przede wszystkim języka, wyznania, literatury i sztuki), budując na użytek tych rozważań swoją teorię kultury, składającej się z „dołu", fundamentu ludowego i „góry", twórczości adresowanej do elity społeczeństwa. W tym modelu kultury narodowe (w tym i ukraińska) przejawiają swoją specyfikę narodową (swoją identyczność, odrębność etniczną) na tym dolnym poziomie. Jeśli jednak chcą zaistnieć na tym „górnym" piętrze, muszą włączyć się w ten „ogólnorosyjski" system komunikacji kulturalnej, który genetycznie jest „zachodnio-ruski" (ukraiński), to jednak po przeniesieniu do centrum, do „stolicy" stał się ogólnorosyjski, wchłaniając odcięty przez reformy Piotra I substrat wielkoruski. Eurazja w ideale ma zapewnić swym mieszkańcom harmonijne połączenie identyczności każdego narodu z identycznością eurazjatycką.

Wyjaśnijmy to na przykładzie relacji językowych. Językoznawcy (w tym tacy wybitni znawcy

tematu jak Jan Rozwadowski czy Jan Baudouin de Courtenay) stawiali sprawę jasno: język ukraiński jest odrębnym samodzielnym językiem, należącym do wschodniosłowiańskiej (ruskiej) grupy języków, którym posługuje się *osobne plemię ukraińskie, osobny lud ukraiński, a także […] osobny naród ukraiński*. Te ostatnie słowa należą do Baudouina de Courtenay, znanego obrońcy praw mniejszości etnicznych i w ogóle społeczności skrzywdzonych przez historię. Z językoznawczego punktu widzenia te języki (rosyjski, ukraiński, białoruski i in.) są sobie równe. Ale w konkretnej rzeczywistości historycznej (społeczno-politycznej) sytuacja językowa na terytorium zamieszkałym przez różne narodowości, zwłaszcza kiedy za jedną z nich stoi władza państwowa, sytuacja nie wygląda tak idyllicznie. Zazwyczaj jeden z nich zyskuje uprzywilejowane miejsce, ograniczając pozycję i zakres używalności pozostałych.

Trubieckoj jako wybitny lingwista nie neguje samego istnienia języka ukraińskiego, co w wypowiedziach części Rosjan (traktują oni ukraiński jako narzecze rosyjskiego albo… polskiego) nie jest takie oczywiste, ale zgodnie ze swoim modelem wyznacza mu lokalne znaczenie. Taką sytuację językową określa się mianem dyglosji. Ma ona miejsce wtedy, kiedy jeden z dwóch języków używanych przez ludność zamieszkującą dane terytorium uzyskuje przewagę nad drugim pod względem funkcji, władzy i prestiżu. Tym językiem na poziomie kultury wysokiej („ogólnorosyjskiej” w terminologii Trubieckoja) byłby naturalnie język rosyjski (wzbogacony przez język cerkiewnosłowiański i wpływy zachodnie język wielkoruski), zaś ukraińskiemu, obsługującemu potrzeby „dołów ludowych”, przypadłaby podrzędna lokalna rola. Na historyczną wielojęzyczność Ukrainy zwracał w swoim czasie Michaił Bachtin (współistnienie języka cerkiewnosłowiańskiego, łaciny, języka polskiego, rosyjskiego, „prostej mowy”), wskazując jednocześnie, iż od XVIII wieku, czyli od włączenia większości ziem ukraińskich do Rosji, *do języka ukraińskiego w panującej klasie ustanawia się wyniośle pobłażliwy stosunek. Staje się on językiem niskim, nieoficjalnym*. Góra rusyfikuje się, mowa ukraińska żyje wśród ludu, drobnej szlachty, drobnych urzędników, mieszczaństwa. Można odnieść wrażenie, iż od takiego stosunku do języka ukraińskiego Rosjanie w swojej większości nie uwolnili się do dziś. Do takiego odbioru przyczyniła się także literatura, w tym twórczość pisarzy pochodzących z ukraińsko-rosyjskiego pogranicza, jak choćby Nikołaja Gogola.

Inaczej rzecz się ma z sytuacją bilingwizmu, czyli dwujęzyczności. Z tym zjawiskiem mamy do czynienia wówczas, gdy mieszkańcy danego terenu posługują się na co dzień dwoma języka o równorzędnym statusie społecznym. W odniesieniu do dzisiejszej ukraińskiej rzeczywistości wygląda na to, że takiego stanu pragną rosyjskojęzyczni mieszkańcy, podczas gdy władze w Kijowie wskazują na ukraiński jako na jedyny język państwowy, dopuszczając lokalne użycie języka rosyjskiego w życiu publicznym zgodnie ze standardami europejskimi.

Trubieckoj pisał swój artykuł w połowie lat dwudziestych, kiedy władza komunistyczna ze względów taktycznych rzeczywiście zainicjowała proces ukrainizacji, wyrażający się we wprowadzeniu języka rosyjskiego do administracji państwowej, zwiększeniu szkół z nauczaniem w języku ukraińskim, w rozwoju prasy i wydawnictw w tym języku. Ale nie trwało to zbyt długo, bo już w następnej dekadzie wraz z utrwalaniem się totalitarnego represyjnego systemu polityka ukrainizacji została zastąpiona polityką rusyfikacji, trwającą właściwie aż do rozpadu ZSRR.

Obecnie w Rosji dużą, może nawet przeważającą, część ludności (i tzw. klasy politycznej) ogarnęła nostalgia po Związku Radzieckim, czemu towarzyszą mniej lub bardziej głośne nawoływania do jego restytucji. Z ważną wszakże modyfikacją: miejsce ideologii komunistycznej powinno zająć prawosławie. Nowy eurazjanizm, budujący swoją identyczność na antyamerykanizmie (szerzej: antyzachodniości), staje się widocznym elementem rosyjskiej współczesności. Dla jej lepszego zrozumienia warto sięgnąć po teksty klasyków tego ruchu ideowo-intelektualnego, którego jednym z twórców był książę Nikołaj Trubieckoj.



UWAGI O POLSCE*

Wasilij Rozanow

Wyobrażenie, iż trzy sąsiednie mocarstwa podzieliły Polskę, że poćwiartowały żywy organizm i połknęły jego części, jest całkowicie niesłuszne. To wyobrażenie jest wyobrażeniem naszego czasu, kiedy widzimy Polskę z jej kwitnącymi miastami, ze wspaniałą literaturą, ze zdrową pracowitą ludnością, po stu latach odrodzeńczych wysiłków Rosji, ją wzmacniającą

1. O HISTORYCZNEJ EDUKACJI POLSKI

Książę Adam Czartoryski w swoich pamiętnikach, wydanych w Paryżu (najpierw w 1865, a potem z uzupełnieniami w 1887 roku), pośród wielu znakomitych charakterystyk pozostawił i tę, dotyczącą hrabiego Branickiego, organizatora konfederacji targowickiej:

> *Ubolewać należy, iż ten człowiek utracił wszelkie poważanie, przykładając rękę do upadku swojej ojczyzny. Stał się dworakiem, w złem pogrążony, ambitnym bez zasad, chciwym bogactw, a jednak czuł się Polakiem, pomimo spokrewnienia się z Rosyanami i byłby wolał zadawalniać ambitne swe widoki w tej Polsce, którą zgubił; żałował jej i cierpiał nad jej poniżeniem. Poznał Rosyan, więc ich znienawidził i mścił się za ich przewagę cichą pogardą i wyśmiewaniem błędów. Z drugiej strony zachował otwarte serce dla dawnych znajomych i chętnie się przed nimi wywnętrzniał. Żywy umysł pełen dowcipu, czynił rozmowę z nim wesołą i ciekawą, bo przeplatał ją anegdotami i żartami narodowymi, przy których zręcznie unikał zbliżania się do wspomnień o Targowicy. W małem kółku znajomych był wielkim panem, a tracił tę cechę jako dworak, czujący swoją nicość w obecności Katarzyny (...) nam jednak nie mógł być inaczej pomocnym jak radą, ograniczającą się na słowach: „Cierpliwości i powolności". (Czartoryski jeszcze młodzieńcem przyjechał z bratem do Petersburga prosić carycę o zwrot skonfiskowanych rodowych majątków ojca – W.R.) Objaśniał nas co do wydarzeń dworskich i zapraszał do siebie w dnie rezydencji, na długie nieraz godziny oczekiwania. U niego więc także oczekiwaliśmy w Carskim Siole w dniu*

Dwie praktyczne umiejętności – słuchać i rozkazywać – zostały całkowicie zatracone przez Polaków

przedstawienia, pilnie słuchając wskazówek o etykiecie, przyklękaniu itd. Na zapytanie moje co do ucałowania ręki odrzekł: „Całujcie, gdzie tylko zechce, byle wam skonfiskowany majątek oddała".

W tej subtelnej i złożonej charakterystyce, choć odnosi się ona do pojedynczej osoby, w zadziwiający sposób połączone są również wszystkie zbiorowe, typowe cechy społeczeństwa polskiego z okresu upadku politycznego. We krwi tego społeczeństwa, „staroszlacheckiej krwi", znikły wszelkie elementy twardości: jest złoto, wiele srebra, w ogóle szlachetnych części, ale zupełnie wyczerpało się życiotwórcze i wzmacniające żelazo. Dlatego można bez przesady powiedzieć, że gdyby Polska, chyląca się ku upadkowi, była pozostawiona samej sobie, swemu dalszemu wewnętrznemu, duchowemu rozkładowi – to znikłaby ona z powierzchni świata Bożego znacznie głębiej i straszniej, niż obserwujemy to teraz.

Wyobrażenie, iż trzy sąsiednie mocarstwa podzieliły Polskę, że poćwiartowały żywy organizm i połknęły jego części, jest całkowicie niesłuszne. To wyobrażenie jest wyobrażeniem naszego czasu, kiedy widzimy Polskę z jej kwitnącymi miastami, ze wspaniałą literaturą, ze zdrową pracowitą ludnością, po stu latach odrodzeńczych wysiłków Rosji, ją wzmacniającą. Przed końcem XVIII wieku, jeszcze przed rozbiorami, Polska przestała istnieć moralnie, chociaż nadal istniała politycznie. Zatraciła ona wewnętrznie nie jakieś, ale wszelkie prawo życia: król nie znaczył w niej więcej niż ostatni szlachcic, nie mógł nic zrobić ani senat, ani sejm. *Macie szable – brońcie się sami* – na sto lat przed rozbiorami powiedział król Władysław IV posłom kozackim, szukającym w Warszawie prawa i sprawiedliwości.

Dwie praktyczne umiejętności – słuchać i rozkazywać – zostały całkowicie zatracone przez Polaków tamtych czasów; dwie zdolności psychiczne – troszczyć się o kogokolwiek i bać się kogokolwiek – były przez nich całkowicie zagubione. Absolutnie nikt niczego nie mógł zrobić w ówczesnej Polsce zgodnie z prawem, dlatego że każdy mógł zrobić w niej wszystko, mając siłę. Stała się ona dzikim, zapuszczonym krajem, jednocześnie chełpiąc się i mając podstawy do chełpienia się wszystkim świe-

cidełkami kultury. Była ona wykształcona, wyrafinowana. Była egoistyczna w tym strasznym wewnętrznym sensie, że ponad ja każdego człowieka i każdej grupy ludności nie było żadnej hamującej normy; to ja wyraźnie nie miało żadnego moralnego ciążenia ku innym ja. W kraju powstały miriady odśrodkowych sił; każde ja, każda rodzina, wieś, miasto były taką siłą. I w ogóle nie było sił dośrodkowych.

Trzeba przeczytać w tych samych wspomnieniach Czartoryskiego o tym, z jakim smutkiem i strachem po przybyciu do Petersburga przejeżdżał ulicą Litiejną, gdzie w jednym z domów trzymano oddzielnie pod kluczem Potockiego, Zakrzewskiego, Mostowskiego, Sokolnickiego: *nasze serca* (jechał on z bratem – W.R.) *biły mocno, kiedyśmy patrzyli w okna w nadziei zobaczenia choćby przez chwilę ludzi, cierpiącym w okrutnym i niesprawiedliwym zamknięciu* – pisze on i dodaje: *było rzeczą niebezpieczną i trudną pytać o ich położenie*.

Są to zupełnie nowe uczucia: ks. Czartoryski, sam nie zauważając tego, staje się całkowicie nowym człowiekiem w swej historii; i wszystko, co znajdujemy w nim – ta trwałość uczuć, niezłomność w swoich zasadach, ten ogrom wewnętrznej hamującej dyscypliny – są to produkty nowej sytuacji, w jakiej się on znajduje. Stale się boi, umie już rozkazywać; jest upokorzony – i już nauczył się współczuć. Jest już w nim mnóstwo sił dośrodkowych.

Sam Polak stał się lepszy

Dla Polski nastąpiła epoka reedukacji, trwająca oto już całe stulecie. Wszyscy mówią i mówią często o przemysłowym i handlowym rozkwicie przywiślańskich guberni w XIX wieku; nikt nie chce zauważyć, że sam Polak stał się lepszy, że wyprostował się jego duch, okrzepła jego krew i obudziły się w nim uczucia, których dawno już nie przeżywał. Trzeba znać historię lokalnych polskich sejmików z końca XVIII wieku, żeby przerazić się na widok ruiny moralnej, jaką przedstawiał sobą Polak tamtych czasów: żadnych integrujących, jednoczących uczuć; nie ma ogólnej idei ojczyzny, nie ma idei swojej historii; niczego nie rozumie oprócz dzisiejszego dnia; nikogo oprócz siebie nie kocha; nikogo się nie boi oprócz silniejszego sąsiada, który jutro może go zniszczyć, zhańbić i nawet przy okazji zabić. Polepszenie się stanu zdrowia rasy po upadku politycznym od razu odbiło się w literaturze: wielki geniusz polski, Mickiewicz, to ge-

niusz nie wolnej Rzeczypospolitej, ale dobrze urządzonych północno-zachodnich guberni Rosji. Wspomnijmy również i Lelewela. Na wszystkich drogach życia, we wszystkich dziedzinach twórczości rasa polska wypuściła świeże, soczyste, nieoczekiwane kiełki. Jest to zupełnie nowy naród: nic podobnego nie potrafiło się rodzić nad brzegami Wisły, w lasach Litwy, stepach Ukrainy w ciągu trzech – czterech wieków poprzedzających „rozbiory".

Ludzi wychowuje, kształtuje nie tylko szkoła: najlepszą szkołą zawsze pozostanie życie, najlepszym systemem wychowawczym konieczność pracy, walki z nieszczęściami, znoszenia cierpienia, kiedy jest ono nieuchronne. Tej szkoły nie można było przejść w wewnętrznych warunkach polskiego bytu: mogła ona stanąć jedynie na zewnątrz, obok ginącej nacji – jak groźba, która się spełni, jak siła, która potrafi przymusić, jak kara, której się nie uniknie.

Widzieliśmy w osobie hrabiego Branickiego pierwszego ucznia tej nowej szkoły w momencie, gdy przekraczał jej progi; spójrzmy i na pierwszego nauczyciela według tych samych wspomnień Czartoryskiego. Pozostawił on portret Katarzyny II w chwili, gdy przyklęknąwszy, całował jej rękę; patrzył na nią ze śmiertelną nienawiścią, jak na morderczynię swojej ojczyzny: nie zrozumiał, że przed nim stoi jego nauczycielka. Ale spojrzawszy na jego postać, przepełnioną lękiem i zarazem gotową do współczucia, spojrzawszy na jego postać, trwającą potem w jednej myśli w przeciągu pięćdziesięciu lat, domyślamy się prawdy, mimo woli wołamy: *Polacy, czy poznajecie wy siebie i kto was takimi uczynił?*.

Naród polski został znarkotyzowany katolicyzmem

> *Cesarzowa była jeszcze w kaplicy, gdyśmy się zebrali wszyscy w sąsiednim salonie. Naprzód przedstawiono nas hrabiemu Szuwałowowi, wielkiemu szambelanowi, dawnemu faworytowi Elżbiety, wszechmocnemu za jej rządów i wsławionemu korespondencją z d'Alembertem, Diderotem i Wolterem (...). Ustawił nas rzędem przy drzwiach, któremi wejść miała cesarzowa. Po skończonych modłach, wyruszył orszak parami; podkomorzowie, szambelani i więksi dygnitarze, a za nim Katarzyna w otoczeniu książąt, księżniczek i dam dworu. Nie mieliśmy czasu spojrzeć na nią, bo trzeba było*

przyklęknąć do ucałowania ręki podczas gdy wymieniano nasze nazwiska, poczem stanęliśmy w koło i cesarzowa przybliżyła się do każdego, przemawiając krócej lub dłużej. (…) wszystko w niej było poważne i szlachetne, a jednak popędy jej zrywały wszystko. Twarz już pomarszczona, była wyrazista i świadczyła o jej wyższości i uczuciu władzy. Na ustach spoczywał ciągły uśmiech, lecz uprzytamniał każdemu znającemu jej czyny, jak pozorny spokój ukrywał gwałtowne namiętności i nieprzebłaganą wolę.

Oto jakie elementy muszą tkwić w wychowującym dla zadań tego wychowania.

2. O POLSKIM KATOLICYZMIE

Naród polski został znarkotyzowany katolicyzmem – oto jego największe nieszczęście i zarazem niebezpieczeństwo, wyobcowujące go z południowego i wschodniego świata słowiańskiego. Wspomniałem już o jego zewnętrznym wychowaniu, które rozpoczęło się od jego upadku: o wypracowywaniu charakteru, pracowitości, współczucia, umiejętności podporządkowywania się i w związku z tym – rozkazywania.

Ale są to jakości życiowe i polityczne, a tymczasem Polska potrzebuje jeszcze moralnego wyzdrowienia. Wszystko to, co mogłoby przywrócić jej spokój, ukojenie, jasną radość serca, twardość i jasność myślenia – to cechy charakterystyczne dla świata słowiańskiego. Wszystko, co osłabiałoby w niej katolicyzm – uzdrawiałoby ją i chroniło jako nację, język, ducha, geniusz.

Przywiązanie do katolicyzmu nie jest wcale takie głębokie i namiętne u Polaków, jak to się przyjęło sądzić; przywiązanie to zostało im nieco narzucone, sztucznie zaszczepione w historii. Ruch w stronę reformacji był w Polsce bardzo silny przed upadkiem, ale po upadku Polacy zaczynają wykazywać jakiś chorobliwy pociąg ku katolicyzmowi, nienormalną dla niego lepkość, upajanie się specyficznie katolickim światem idei i uczuć. Polska lgnie do tego, co przyniosło jej zgubę; kurczowo, w jakiejś konwulsji zacisnęła ona w rękach (i nie może jej się pozbyć) czarę, z której do dna wypiła trujący napój, i zginęła.

Polska lgnie do tego, co przyniosło jej zgubę

Katolicyzm, który się rozwinął na gruncie walki z upadającym Rzymem, nowymi barbarzyńskimi plemionami, władzą cesarską, niezależnością narodów, reformacją, oświeceniem, zawiera w sobie mnóstwo żywotnych, podtrzymujących, pobudzających do walki emocji. Jest to prawdziwa narkoza cierpienia z jednej strony, z drugiej zaś – gniewu i przemocy. Wszyscy – i ci, co upadli, i ci, co dopiero zwyciężyli – z tego powodu wchłaniają go, jednocząc się z nim głównym nerwem swojego bytu, znajdując w nim albo pocieszenie, albo pobudkę do mściwych prześladowań. I odwrotnie, dla wszystkiego, co jest zrównoważone, spokojne na ład epicki, katolicyzm jest obcy i nawet jakoś odpychający.

Ten ogólny związek wiary i sytuacji historycznej w przypadku Polski jest wzmocniony dodatkowo tym, że widzi ona w katolicyzmie jedyną pozostałą jej ojczyznę – odłamek historii, którego nie można jej odebrać, właściwość decydującą o jej indywidualności wśród prawosławnego słowiańskiego świata. Chwyta się ona jak najcenniejszej i niezniszczalnej resztki swojego rozbitego ja. Nie mówimy już o wspomnieniach, o poezji, obyczajach, tradycjach rodzinnych, które związane są z kościołem i księdzem, powiązane z odległym i tym bardziej pociągającym majestatycznym tronem w Rzymie. Jest zresztą charakterystyczne, że dwa ultrakatolickie kraje nie przylegają do Rzymu, ale znajdują się w punktach największego oddalenia od niego: jest to Hiszpania i Polska. Tutaj oczywiście dużą rolę odgrywa wyobraźnia.

Narodowość rosyjska jest prostsza, prawdziwsza i mocniejsza od polskiej

Walka z tym światem uczuć, którą musimy stoczyć w historii, nie jest oczywiście trudna i niebezpieczna z uwagi na wielką naszą przewagę; ale będzie bezowocna, nie przyniesie nigdy pełnego zwycięstwa z powodu wielkiej żywotności i oporu, stawianego nadal przez zwyciężonego.

Cośmy zrobili na tym polu?

Rusyfikujemy ludność za pomocą „urzędowego" języka i szkoły i próbujemy odseparować Kościół od tej skazanej, przytłumionej nacji (język rosyjski w uzupełniającej liturgii). Nie negujemy, że w ciągu półtora – dwóch wieków b e z p r z e r w y, b e z z m n i e j s z a n i a n a c i s k u ten środek może złamać upór polskiego narodu. Samnici byli jeszcze bardziej wrogo nastawieni wobec Rzymu niż Polska wobec nas, byli bez porównania silniejsi

w sensie etnograficznym od Polaków, byli potężnym plemieniem, a jednak w epoce Imperium Rzymskiego nikt już nie pamiętał o Samnitach, podobnie jak i o Etruskach. Nawet kamienie obtaczają się pod wpływem padających bez przerwy pod tym samym kątem kropli wody: i tym bardziej obtaczają się ludzie, wszyscy ludzie. Już teraz można, choć jeszcze rzadko, spotkać ludzi, których dziadkowie i babki byli Polakami i katolikami, a którzy stali się typowymi Rosjanami, namiętnymi Rosjanami. Trzeba zauważyć, iż narodowość rosyjska jest prostsza, prawdziwsza i mocniejsza od polskiej. Żyjąc pośród Rosjan, niedawny Polak, nawet obecny Polak zaczyna obserwować, doceniać i wreszcie milcząco zachwycać się nowymi dla niego cechami. Księciu Adamowi Czartoryskiemu, temu ultra-Polakowi, po przyjeździe do Petersburga wyrwało się takie wyznanie: *powoli ja i brat przekonaliśmy się, że ci Rosjanie, których instynktownie nienawidziliśmy i bez różnicy uważaliśmy za złych i żądnych krwi, od których stroniliśmy i z którymi samo spotkanie wzbudzało obrzydzenie, są takimi samymi ludźmi, jak i my… i że można czasami żywić do nich przyjaźń i wdzięczność*. Rozgoryczony wygnaniec Lelewel, gdy go w Brukseli odwiedził Pogodin, przedstawiając się jako *profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, który miał okazję polemizować z Panem na temat pochodzenia Ruryka*, usiłował zaprzeczać, ale urwał w pół słowa i *rzucił się obejmować go*, obejmować przybysza z kraju będącego przyczyną wszystkich jego nieszczęść, osobistych i narodowych. Miałem sposobność spotykania Polaków, byłych powstańców, a przedtem studentów Uniwersytetu Moskiewskiego, którzy siedzieli w twierdzy jako więźniowie. Wspominali Nachimowa (nazywając go po imieniu i otczestwu), inspektora studentów z lat czterdziestych: pokpiwali z jego wyskoków i jeszcze po czterdziestu latach lubili go.

Morze rosyjskiej dobroduszności, łagodności, cierpliwości zalewa

Morze rosyjskiej dobroduszności, łagodności, cierpliwości zalewa, wciąga w siebie wszelki opór. Jakby rosyjskie imię nie było nienawistne dla Polaków, to jednak wielkoduszność, dobrotliwość konkretnego Iwana, konkretnego Piotra w końcu zaczyna wzruszać, pojawia się cicha sympatia, na zewnątrz skrywana przed innymi, nawet negowana w sobie. Nie ulega jednak wątpliwości, że Polak, który dłuższy czas żył wśród Rosjan i który powrócił nad Wisłę, jest już nieco wyobcowany z miejscowej, czysto polskiej lud-

ności. Wita się serdecznie z mieszkańcem Tambowa, który trafił tam przypadkiem: bowiem najważniejsza więź, więź czysto ludzka już istnieje.

A jeśli jest tak, jeśli Polak nie jest pozbawiony cech ogólnoludzkich i rozumie piękno duszy rosyjskiej, to trzeba odsłonić mu źródło tego naszego szczególnego piękna – prawosławie. Trzeba kontynuować dzieło Cyryla i Metodego. Nam wcale nie jest potrzebny katolicyzm w języku rosyjskim: cóż osiągniemy – oprócz pustej zewnętrzności – z przyswojenia przez Polaków paru nowych słów kosztem większego rozdrażnienia serca? Ale oto głęboki, oto wewnętrzny żywioł integracji: nabożeństwa prawosławne w języku polskim i litewskim dla ludzi zjednoczonych już z nami. Tutaj nie ciemiężylibyśmy plemienia, nie prześladowalibyśmy języka, nawet nie nawoływalibyśmy do wiary: po prostu zaproponowalibyśmy spojrzeć i w n i k n ą ć. Bynajmniej nie *spiritus gentis polonica* jest dla nas niebezpieczny, wrogi nam, ale *spiritus Ecclessiae Romanae*, który został mu zaszczepiony. Temu węzłowi gniewnych, wrogich uczuć powinniśmy przeciwstawić z wiarą i miłością – jako przejaw najwyższego człowieczeństwa – pokój i zgodę, radość i ogrom apostolskiego prawosławia. *Oto czym zwyciężyliśmy was, oto czym zawsze będziecie zwyciężani; oto, z czym się zjednoczywszy, nie zginiecie jako plemię, jako język, jako geniusz, ale wzniesiecie się do najwyższych ideałów, napełniwszy się zdrowymi sokami* – powiedzielibyśmy im, powiedziałaby im cała nasza historia i wreszcie cała otaczająca oczywistość.

Wszyscy zauważyli, zwłaszcza w czasie niedawnego powstania, że nawet u polskiego duchowieństwa narodowy aspekt sprawy zawsze przesłaniał rzymsko-kościelny; nie wahali się oni wykraczać poza zasady religii, kiedy trzeba było być bohaterami narodu. Kiedy stanie się dla nich jasne, że zachowanie narodowości polskiej nie tyle jest związane z Rzymem (jak sądzono do tej pory), ale że – wprost przeciwnie – Rzym przeszkadza w zachowaniu tej narodowości, to wówczas zawahają się ich serca. Nie można wątpić, patrząc na całą historię, na czym zatrzyma się ich wybór. Szkoła, język niech będzie rosyjski wszędzie tam, gdzie istnieje łaciński katolicyzm, ale tam, gdzie się przyjęło prawosławie – nie tylko prawosławna liturgia niech będzie w języku polskim i żmudzkim,

Szkoła, język niech będzie rosyjski

ale niech te języki pozostaną w szkole niższej, średniej i nawet wyższej, i wreszcie w sądach i administracji, z całkowitym wyłączeniem jednak z tych narodowych dóbr katolików. Żeby nie mówiono o tymczasowości tych środków, niech będą one ujęte w uroczystych pisanych aktach; niech Polska i Litwa w swoich prawosławnych częściach (zależnie od tego, na ile będą one kultywować prawosławie) otrzymają swoistą narodową konstytucję, gwarancje dla wolności języka, obyczaju, szkoły.

Mickiewicz mimo wszystko jest im bliższy niż Innocenty III, *Pan Tadeusz* bardziej swojski niż wszystkie bulle i encykliki od Grzegorza VII po Leona XIII, które utraciły wiele ze swojej mocy i na Zachodzie. Powtórzmy, przywiązanie Polaków do katolicyzmu jest przejściową nerwicą, spowodowaną upadkiem narodowości. Jak tylko zauważą, że tej narodowości nic nie zagraża, uspokoją się i nie będą tak lgnąć do katolicyzmu. Tym bardziej że Polacy są rasą głęboko lokalną. Obce są im uniwersalne, specyficznie rzymskie idee; wykazują do nich niewielkie zdolności i pociąg. Jest to rasa przede wszystkim sposobu życia, obyczaju: *dziś tak jak wczoraj – jutro jak dziś*; rasa, której najbardziej charakterystycznym i najpiękniejszym tworem jest taniec. Jest wysoce prawdopodobne, że sam katolicyzm został sztucznie im zaszczepiony, że tę krew zmodyfikował zgodnie ze swoją naturą, ale zmodyfikował niezbyt silnie. Jest odwrotnie: tajemny związek tej krwi właśnie z prawosławiem. **Ω**

Pan Tadeusz *bardziej swojski niż wszystkie bulle i encykliki*

przełożył BOGUSŁAW ŻYŁKO

* Przekład oparto na tekście zamieszczonym w książce: W. Rozanow, *Litieraturnyje oczerki. Sbornik statiej*, Sankt-Pietierburg 1899.

WASILIJ ROZANOW (1856–1919) – filozof, pisarz, krytyk literacki i publicysta. Postać niezwykle kontrowersyjna, pełna wewnętrznych sprzeczności. Jako krytyk literacki swoim studium *Legenda o wielkim inkwizytorze Fiodora Dostojewskiego* (1901) zapoczątkował traktowanie Dostojewskiego jako myśliciela religijnego. Był interesującym pisarzem. Jego prozatorskie dzieło *Opadłe liście* (2 tomy, 1913–1915) w oczach wielu krytyków stanowi jedno z najważniejszych wydarzeń w historii powieści dwudziestowiecznej. W poglądach politycznych – konserwatysta, nie bez szowinistycznych akcentów. Sympatyzował z późnymi słowianofilami i teorią „gleby" Dostojewskiego. Był historiozoficznym pesymistą i katastrofistą.

KOSZMAR
CZYLI EUROMAJDAN W MOSKWIE

Wojciech Jakóbik

Imperialna Rosja nigdy nie obawiała się Rusi ukraińskiej ani żadnej innej. Ona zawsze zwalczała wolność Rusinów, która rodziła się w państwie Jagiellonów tuż przed jego upadkiem

Tekst rosyjskiego księcia Nikołaja Trubieckiego to wspaniały przyczynek do dyskusji o tożsamości Rusi oraz jej odniesieniu do Rosji. Warto przy tej okazji opisać przykłady rosyjskiego kulturkampfu przeciwko konkurencyjnemu wobec caratu projektowi kulturowemu, jakim była Rzeczpospolita łącząca w swoim łonie Polaków, Litwinów i Rusinów. Okazuje się, że imperialna Rosja nigdy nie obawiała się Rusi ukraińskiej ani żadnej innej. Ona zawsze zwalczała wolność Rusinów, która rodziła się w państwie Jagiellonów tuż przed jego upadkiem.

Rosyjski arystokrata pisał w 1927 roku o tożsamości Rusi. Dzielił ją na wielkoruskość krzewioną przez elity oraz regionalne wariacje jak ukraińskość czy białoruskość pielęgnowane przez pospólstwo, o czym więcej dalej. Z protekcjonalizmem charakterystycznym dla elit imperialnej Rosji, którego nie usunęła nawet rewolucja bolszewicka, postponuje projekt Rzeczypospolitej jako prowincjonalną odmianę kultury łacińskiej. Uważa, że ruskość ukraińska, powstała najpierw w ramach państwa Jagiellonów, a potem „oswobodzona" przez imperium carskie, przejęła umysły Rosjan. Punktem przełomowym miały być tutaj reformy cara Piotra I Wielkiego, który instrumentalnie okcydentalizował Rosję, aby uczynić imperium bardziej skutecznym w rywalizacji międzynarodowej. *Ta kultura ukraińska i przed Piotrem zaczęła przenikać do Moskwy, generując tam określone współbrzmiące z nią prądy, to można sądzić, iż kulturalna reforma Piotra była przygotowana także w Wielkiej Rusi* – pisze książę. Uznaje rosyjskość w wersji „małorosyjskiej" i „wielkorosyjskiej" za dwie odmiany tej samej kultury ruskiej. *Dwie redakcje (różne indywiduacje) tej samej ogólnoruskiej kultury. Po przyłączeniu*

Ukrainy pojawił się z kolei problem zespolenia tych obydwu redakcji w jedną całość. Polegała ona na budowaniu szkół na starych terenach imperium i usuwaniu *wielu wpływów, przejętych z Polski* na terenie wcielonej do Rosji Ukrainy. Zatem rosyjski arystokrata już na początku swojego toku myślenia rysuje fałszywą opozycję świata ruskiego do Polski, lekceważąc przy tym historyczną przynależność ziem ukraińskich do Księstwa Litewskiego, wchodzącego w skład zaawansowanego aparatu politycznego, jakim była Rzeczpospolita. Nie było to państwo narodowe, ale inkluzywna republika szlachecka. W założeniu miała się ona stać państwem wolności. Rzeczywistość zweryfikowała te nadzieje na niekorzyść projektu. Wydawałoby się zaś, że Rosjanin celowo pomija te fakty, aby nie psuły wewnętrznie spójnego przekazu jego tekstu. W pewnym momencie przyznaje, że *zachodnio-ruska redakcja kultury rosyjskiej uformowała się w czasach, kiedy Ukraina była prowincją Polski*, ale oczywiście utrzymuje, że formowała się ona w opozycji do polskości, uderzając w nacjonalistyczne tony.

Dlatego może potem pisać, że *na Ukrainie panowała czysta kultura zachodnio-ruska bez żadnej wielkoruskiej domieszki, na Wielkiej Rusi – mieszanina kultury moskiewskiej i zachodnio-ruskiej, przy czym w tym dodawaniu elementów zachodnio-ruskich do kultury wielkoruskiej jedni przedstawiciele elity* [ówcześni „okcydentaliści”] *szli dosyć daleko, inni zaś* [ówcześni moskiewscy nacjonaliści] – *odwrotnie – starali się utrzymać czystość tradycji wielkoruskiej*.

Reformy Piotra I miały według Trubieckiego uskutecznić funkcjonowanie Rosji, także w sferze kulturowej. *Wielkoruska redakcja kultury rosyjskiej dzięki swojej zaakcentowanej europofobii i tendencji do samowystarczalności była nie tylko nieprzydatna dla celów Piotra, ale wręcz przeszkadzała w realizacji tych celów* – pisze arystokrata, z którym zgodziłby się zapewne walczący z siłami odśrodkowymi Władimir Putin, a na pewno bolsze-

IMPERIUM,

wicy. *W ten sposób stara wielkoruska kultura moskiewska za Piotra umarła, ta zaś kultura, która od czasów Piotra żyje i rozwija się w Rosji, jest organiczną i bezpośrednią kontynuacją nie moskiewskiej, lecz kijowskiej ukraińskiej kultury* – pisze. Gdyby zlekceważyć wpływ „kultury" mongolskiej na Moskwę, ten fragment mógłby przejść próbę falsyfikacji. Niestety Ruś Kijowska nie realizowała się nigdy w imperium rosyjskim. Kwitła pod opieką państwa litewskiego, które nie mieszało się do spraw ruskich elit na swych ziemiach, a jedynie kolonizowało kolejne połacie ziem ruskich w celu powiększenia swych dochodów, jak pisze Paweł Jasienica[1]. Po Unii Lubelskiej także Korona włączyła się w ten proces, okcydentalizowała Kijów, jednakże w opozycji do wezwań Rzymu oraz Cesarstwa Niemieckiego nie katolicyzując Rusinów ogniem i mieczem. Projekt Rzeczypospolitej był inkluzywny i gdyby nie zmarnował swej szansy, zmieściłby w sobie wolną Ruś, czyli coś, czego rosyjskie elity miażdżone przez wieki jarzmem Chana najbardziej się boją. O tym, jak polskie elity zmarnowały szansę na powołanie Rzeczypospolitej Trojga Narodów, szerzej pisze Przemysław Żurawski vel Grajewski w jednym z rozdziałów ważnego dzieła pt. *Duch pyszny poprzedza upadek*[2]. Rzeczpospolita straciła Ukrainę, gdy odmówiła tamtejszym elitom praw do współrządzenia republiką.

Z kolei Rosja nigdy nie zyskała Ukrainy, najpierw niszcząc sicz, potem mordując Hołodomorem, a dziś wysyłając siły specjalne na Krym i do Donbasu. Piszący w 1927 roku książę Trubiecki nie zauważa tego problemu. *Jednolita kultura rosyjska po Piotrze była zachodnio-ruską, ukraińską z pochodzenia, ale państwowość rosyjska genetycznie była wielkoruską. Dlatego też centrum kultury powinno było przemieścić się z Ukrainy do Wielkiej Rusi* – pisze. Pokazuje, jak przedmioto-

1 Paweł Jasienica, *Polska Jagiellonów*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1990.

2 Przemysław Żurawski vel Grajewski, *Rok 1632 – jak nie powstała Rzeczpospolita Trojga Narodów* [w:] *Duch pyszny poprzedza upadek. Rozważania o naturze procesu rozpadu unii*, Ośrodek Myśli Politycznej, 2012.



wo została potraktowana ukraińskość, która przydała się na płaszczyźnie kulturowej, ale odmówiona jej została rola państwowotwórcza. Dla Trubieckiego mimo to włączenie Ukrainy do imperium było formą nobilitacji. *W ten sposób kultura ukraińska jakby przeniosła się z podupadłego powiatowego miasteczka do stolicy* – uznaje Rosjanin. Nie mógł nawet przypuszczać, że 90 lat później wpływ tego miasteczka odrodzi się w formie Euromajdanu, który – gdyby przeniósł się do Moskwy – mógłby zagrozić fundamentom systemu postsowieckiego imperium na Wschodzie. Prawdziwa prowincjonalność ujawnia się jednak w ocenie reform Piotra I przez Trubieckiego. Pisze on, że dzięki operacji wielkiego cara kultura ukraińska wyemancypowała się od polskiej. *Pragnie ona uwolnić się od tego wszystkiego, co jest specyficznie polskie, i zastąpić to wszystko odpowiednimi elementami rdzennych kultur romańsko-germańskich* – ocenia. Takie pudrowanie wielkorosyjskości zachodnimi wpływami to popadanie z jednej zależności kulturowej w drugą charakterystyczne dla peryferii, jakimi na tej płaszczyźnie były tereny Rusi carskiej. Polska była zatem wrogiem Rosji, ale nie Rusi przetrwałej w umysłach elit ukraińskich. Wrogi inkluzywny projekt został zastąpiony przez ekskluzywne imperium, w którym ukraińskość miała się stać jedynie elementem lokalnego folkloru.

Czy Ukraina powinna być całkowicie samodzielnym państwem, pełnoprawnym członkiem federacji rosyjskiej czy autonomiczną częścią Rosji? – zastanawia się książę. A może wypadało dopytać o możliwość jej wejścia w skład Rzeczypospolitej. Ta możliwość została potwierdzona historycznie i nie zaprzepaścił jej na zawsze rozkład pierwszej Republiki, czego życzyliby temu projektowi Rosjanie. Tekst Trubieckiego może jednak posłużyć także obecnie do niszczenia pamięci o tym, że Polacy, Ukraińcy i inne narody mogą funkcjonować w jednym organizmie państwowym, który byłby śmiertelnym wrogiem wschodniego imperium. Na liście alternatyw rosyjskiego arystokraty brakuje jednak tej możliwości. Uważa on, że ukraińskość może przetrwać w wielkiej Rusi jako „dolne piętro", czyli kultura przeznaczona dla pospólstwa, a więc mas. Elity miały być wielkorosyjskie. *Jeśli nowej kulturze uda się przystosować swoje dolne piętro do konkretnego fundamentu etnograficznego, to doły ludowe, ma się rozumieć, będą optować właśnie za tą nową kulturą ukraińską, gdyż – jak już powiedziano – w poprzedniej ogólnorosyjskiej kulturze ta zwrócona ku ludowym korzeniom strona była bardzo źle rozwinięta i była zupełnie nieprzystosowana do indywidualnych cech narodu. Ale po to, żeby za tą nową ukraińską kulturą optowały nie tylko doły ludowe, lecz także wykwalifikowane elity (czyli*

właśnie najbardziej wartościowa inteligencja), trzeba, żeby także górne piętro tej kultury odpowiadało wyższym potrzebom duchowym wykwalifikowanej inteligencji Ukrainy jeszcze w większym stopniu niż odpowiednia strona poprzedniej ogólnorosyjskiej kultury. W przeciwnym wypadku inteligencja (przy tym właśnie inteligencja jakościowa, wykwalifikowana, najcenniejsza z punktu widzenia twórczości kulturalnej) Ukrainy w swojej przytłaczającej większości będzie optować za kulturą ogólnorosyjską, zaś samodzielna kultura ukraińska, pozbawiona współpracy tej najwartościowszej części narodu ukraińskiego, będzie skazana na wynaturzenie i śmierć – uważa cytowany Rosjanin. Jego tezom kłam zadaje ponownie istnienie Rzeczypospolitej. W jej ramach ukraińskość rozwijała się swobodnie, w warunkach wolności osobistej, do smutnych czasów buntu Chmielnickiego i późniejszych.

Jak bardzo pomylił się cytowany książę, pokazała rewolucja bolszewicka. W Rosji istniało dolne piętro, w którym rósł nacjonalizm ukraiński i inne, dławione przez reżim carski, wokół którego wznosiło się „górne piętro" pozbawionych już wpływów polskich, ale zokcydentalizowanych arystokratów pokroju Lermontowa, Czajkowskiego i samego Trubieckiego. Jak pisze prof. Andrzej Nowak, *francuskich tańców, języka, nowych obyczajów uczyła się stopniowo ściągnięta przymusowo na dwór bojarska elita. Nieśpiesznie, jak wskazuje na to choćby poziom produkcji książek w ogromnym cesarstwie (np. między 1728 i 1735 rokiem ukazywało się w Rosji przeciętnie po 13 nowych tytułów rocznie, rekord padł pod koniec XVII wieku, kiedy ukaże się ich 366, czyli wciąż wielokrotnie mniej niż np. w ówczesnej Polsce). A jednak rosła ta zwrócona ku zachodowi elita. Ale wraz z nią rosła także przepaść, która dzielić ją będzie od ogromnej masy ludu, dla którego coraz bardziej wstrętne i obce będą nowe obyczaje ich panów, obcy język, którym będą mówili (…), wyobcowanie z religii, często przyjmowana postawa wolteriańska. To była nowa wielka schizma kulturowa w rosyjskim społeczeństwie, która trwać będzie aż do końca, aż do rewolucji, której była jednym z palnych materiałów*[3]. W tym kontekście narracja (tak jest!), którą próbuje nam sprzedać wygnany z własnego kraju na emigrację Nikołaj Trubiecki wypada wyjątkowo blado. Wielkoruskość zokcydentalizowana na potrzeby zwiększenia efektywności została odrzucona przez Rusinów, którzy woleli nihilistyczny projekt Włodzimierza Lenina, Rosjanina, kontynuowany przez Gruzina Józefa Stalina. Ukraińskość w Rosji nie rozwijała się. Ona próbowała przetrwać pod butem

3 Andrzej Nowak, *Dwa wieki imperium*, [w:] *Dzieje Rosjan*, Polityka, 2014.

kolejnych reżimów, które karały ją za dążenie do wolności.

Wolna Ruś funkcjonowała w historii tylko w ramach Rzeczypospolitej, która straciła szansę na jej utrzymanie w swych ramach. Odmówienie tej wolności rozumianej jako rola państwowotwórcza Kozakom rozpoczęło proces rozpadu rodzącej się dopiero Rzeczypospolitej Trojga Narodów. *Brak zgody sejmu konwokacyjnego na uznanie podmiotowości politycznej kozaczyzny to najgorsza decyzja w dziejach Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy* – pisze Żurawski vel Grajewski. Wzrost potęgi Zaporoża przypadł na koniec okresu Wielkiej Smuty w Rosji. Imperium wykorzystało pęknięcie Rzeczypospolitej, czego konsekwencje znamy z kart *Ogniem i mieczem*. Ten błąd pozwoli potem pisać Wasilijowi Rozanowowi, filozofowi rosyjskiemu, którego tekst zawiera niniejszy numer „Frondy Lux", że *przed końcem XVIII wieku, jeszcze przed rozbiorami, Polska przestała istnieć moralnie, chociaż nadal istniała politycznie. Zatraciła ona wewnętrznie nie jakieś, ale wszelkie prawo życia: król nie znaczył w niej więcej niż ostatni szlachcic, nie mógł nic zrobić ani senat, ani sejm*. Oczywiście Rosjanin pomija fakt, że w caracie najwyższy urzędnik miał do powiedzenia na dworze mniej niż najbiedniejszy szlachcic w czasach złotej wolności Rzeczypospolitej. Atakuje wręcz tę wolność, podobnie jak katolicyzm, co jest częstą cechą słowianofilów w historii, także zwolenników rządów silnej ręki Jego Ekscelencji Włodzimierza Putina w Europie, w tym w Polsce.

Jednak Rosja carska nie zaproponowała Ukrainie alternatywy. Caryca Katarzyna zlikwidowała sicz, zaczęła kolonizować obszary tzw. Noworosji (bytu sztucznego i czysto administracyjnego), usuwając niezależność kozaczyzny. Rzeczpospolita upadła, kiedy zakwestionowała fundamentalną dla siebie wartość wolności. Rosja carska zalała jej terytorium, miażdżąc wolność zamieszkujących ją ludów. Potem Polacy i Rusini pokazywali się nadal na kartach historii pisanej przez zwycięskie imperium. Grajewski przywołuje w tym kontekście sztandary ze Świętym Michałem Archaniołem, patronem Rusi, widziane podczas bojów Powstania Styczniowego. Można tu także przywołać zabiegi Semena Petlury o powołanie republiki ukraińskiej ramię w ramię z Józefem Piłsudskim. Spadkobiercami tych ruchów są Solidarność i Euromajdan. Odrodzeniem archetypów wolnej Polski i Rusi są Janek Wiśniewski niesiony ulicami Gdyni i „niebiańska sotnia", czyli setka ofiar walk w Kijowie z lutego 2014 roku. Rosja nigdy nie była opiekunem Polski ani Ukrainy. Rosja zawsze była wrogiem wolności. To ona funduje wielki projekt Rzeczypospolitej, który choć raz pogrzebany, może kiedyś wrócić, czego najbardziej boją się władcy

Rosji, w chwili gdy ich oferta traci na atrakcyjności, a rubel i ropa naftowa tanieją.

W chwili słabości państwa, które siłą utrzymuje jedność wielkiego organizmu rosyjskiego, Władimir Putin musi walczyć ogniem i mieczem oraz piórem z siłami odśrodkowymi. Nie może dopuścić do Euromajdanu w Moskwie. Wolna Ruś może przyciągnąć także masy rosyjskie, które mają jak na razie kontakt ze światem zachodnim. Przede wszystkim jednak jest atrakcyjna dla elit rosyjskich. W mediach europejskich pojawiła się w dobie kryzysu ukraińskiego informacja, że córka obecnego ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa nawet nie mówi po rosyjsku. Córka Putina mieszka w Holandii. Rosyjskie elity chcą zachodniego stylu życia. Dlatego awanturnicza polityka na Ukrainie może sprowokować przewrót pałacowy. Zapytany o ryzyko zamachu na jego reżim, prezydent Federacji Rosyjskiej odparł, że w Rosji nie ma mowy o przewrocie pałacowym, bo w tym kraju nie ma pałaców. Podczas corocznego wystąpienia dla mediów uspokajał Rosjan, że kryzys wywołany „czynnikami zewnętrznymi” (teoria spisku naftowego Saudów i Waszyngtonu oraz sankcje) potrwa najwyżej dwa lata. Zapewnił, że bank centralny podejmie wszelkie działania niezbędne do łagodzenia spadku wartości rubla. Dodał także, że ropa naftowa będzie w przyszłości ponownie drożeć. Oskarżył Zachód o to, że jego sankcje przeciwko Rosji w odpowiedzi na agresję na Ukrainie są niezgodne z zasadami Światowej Organizacji Handlu. To kłamstwo pokazuje, że Putin chce racjonalizować swoją działalność nad Dnieprem i siłą wtłoczyć ją w ramy dopuszczalne na arenie międzynarodowej. Tymczasem główny zarzut państw zachodnich jest taki, że Rosja złamała wszelkie standardy, atakując Ukrainę. Putin jest jednak przekonany, że w ten sposób tylko bronił interesów swojego kraju. Jakie imperium? My tylko sprzątamy bałagan – zdaje się mówić. Wszelkie usprawiedliwianie na Zachodzie czynów rosyjskiego prezydenta na Ukrainie to powtarzanie tej propagandy.

Na wszelki wypadek Władimir Putin ostrzegł, że *między opozycją a piątą kolumną jest bardzo cienka granica*, wysyłając w ten sposób klarowny sygnał ewentualnej opozycji. Przykład nacjonalizacji Basznieftu, którą można uznać za powtórzenie upaństwowienia Jukosu Michaiła Chodorkowskiego, zdyscyplinował już prezydenckich dworzan.

Wraz z Teresą Wójcik pisałem w analizie ekonomicznej, że *dwudziestu najbogatszych rosyjskich oligarchów w ciągu ostatnich trzech dni straciło łącznie ok. 10 mld dol. wskutek gwałtownych turbulencji na rosyjskim rynku finansowym. Wśród tej dwu-*

dziestki dziesięciu to bliscy współpracownicy i przyjaciele Putina, a do najliczniejszej grupy należą oligarchowie z branży paliwowo-energetycznej[4]. Dlatego *losy Gazpromu i Rosnieftu zależą obecnie od urzędniczej decyzji o przelaniu na ich konto środków z Funduszu Bogactwa Narodowego, gdzie spoczywają środki na emerytury Rosjan. Tylko Putin może wydać zgodę na rozbicie tej skarbonki. W ten sposób Igor Sieczin i Aleksiej Miller stają się zakładnikami polityki rosyjskiego przywódcy. Dworzanie muszą słuchać cara*.

Póki co Władimir Putin wystawia rachunek za swą awanturniczą politykę na Ukrainie kremlowskim dworzanom. Albo podporządkują się i pozwolą Kremlowi działać, albo będą tracić nadal, a władza ich nie uratuje. Mówiąc, że zamachu pałacowego nie będzie, wie, że w jego ręku znajdują się obecnie losy oligarchów uzależnionych od kontaktów biznesowych z Zachodem. W ten sposób konsoliduje obóz władzy, zyskując pole do dalszych działań w polityce zagranicznej – uznaliśmy w naszym tekście. Putin nie pozwoli na Euromajdan w Moskwie. Prokuratura zażyczyła sobie dla Aleksieja Nawalnego, publicysty i działacza opozycyjnego, dziesięciu lat więzienia. To jasny sygnał, że car nie pozwoli na ruchawki.

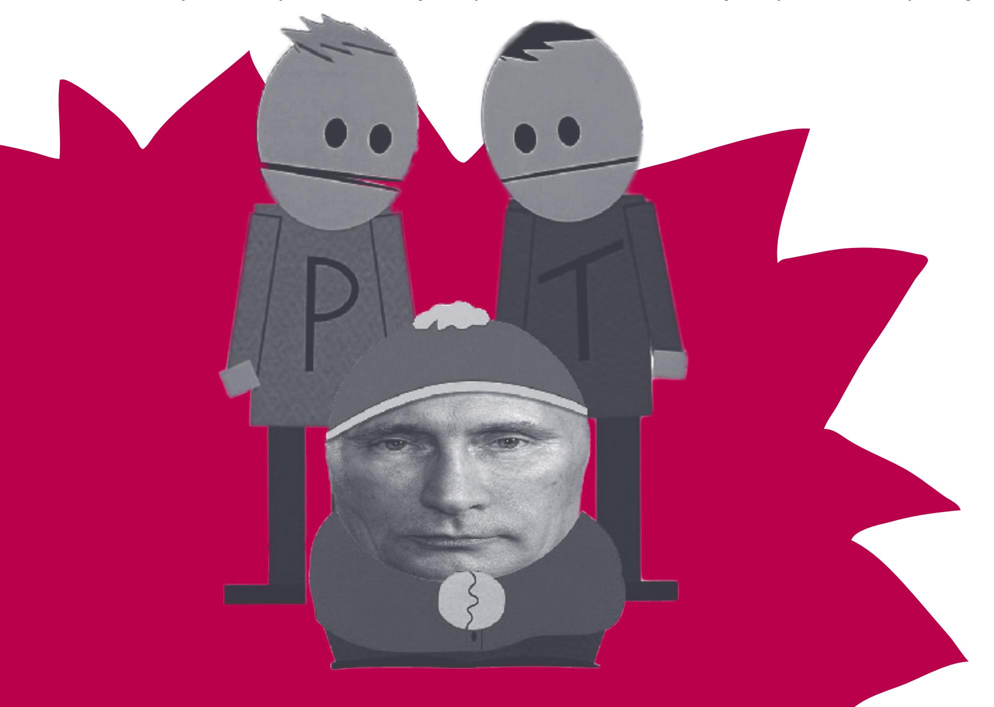
Dlatego oprócz ognia i miecza potrzebne jest pióro. Kłamliwe teksty, jak przytoczony materiał księcia Trubieckiego, stają się narzędziem współczesnego kulturkampfu rosyjskiego. To wojna o rząd dusz na Rusi. Rosja za wszelką cenę pragnie udowodnić, że jest jedynym tworem zdolnym przechować ją w sobie. Przekonuje przy tym, że nie jest już imperium oraz że Rosja to Ruś.

O dyskursie na temat rosyjskości pisze w swoim tomiku pt. *Przekleństwo imperium* Paweł Rojek, redaktor naczelny „Pressji"[5]. Próbuje wykoncypować z jego kształtu, jakie alternatywne scenariusze proponują Rosjanom twórcy pożywki intelektualnej ludu, jak Aleksander Dugin lub Dmitrij Trenin. Z analizy Rojka wynika, że mieszkańcy największego kraju na świecie mają w menu imperialny eurazjatyzm Dugina oraz okcydentalizm części rosyjskiej opozycji. Pierwszy zaprowadzi ich do nieuchronnej zguby, która czekałaby Rosję próbującą podporządkować swoje wielkie terytorium jednej nacji. Drugi ma się skończyć dezintegracją kraju wskutek bezkrytycznego przeniesienia zachodniego modelu do kraju Dostojewskiego. Jedyną alternatywą są zatem pragmatycy uosobieni w książce przez Dmitrija Trenina.

4 Teresa Wójcik, Wojciech Jakóbik, *W odpowiedzi na kryzys car dyscyplinuje dworzan*, www.BiznesAlert.pl [dostęp: 19.12.2014].

5 Paweł Rojek, *Przekleństwo imperium, źródło rosyjskiego zachowania*. Wydawnictwo M, 2014.

To obóz Władisława Surkowa – insularysty, który jest aideologiczny i do bólu praktyczny. To za jego podszeptem Kreml wprowadza suwerenną demokrację, która jest jedynym narzędziem równoważenia żywiołów wzbudzanych przez dwa ekstrema. Tworzy rosyjską wyjątkowość, która ma być bezalternatywna, jeżeli zależy nam na stabilizacji. Jako analityk stosunków międzynarodowych skromnie proponuję jednak przenieść się poziom wyżej i zastanowić, czy pragmatycy Putina nie suflują tego sporu tak samo, jak suflują różnorodność Dumy Rosyjskiej. Wszak wypozycjonowani w takim układzie są wspaniale. Książka Rojka nie tłumaczy, skąd pochodzi obecne zachowanie Rosjan na Ukrainie. To brakujący komponent ukraińskiej prawdziwej Rusi nie pozwala wytłumaczyć dziełku, w jaki sposób doszło do aneksji Krymu i dalszej inwazji rosyjskiej na terytorium Ukrainy. Fakt, że pierwsi Rusowie i założyciele większości tamtejszych dynastii byli wikingami, już zadaje kłam tezie o braku pierwiastka zachodniego w tamtejszej kulturze. To nie wszystko. Rojek nie wspomina niestety, że chrzest Rusi odbył się w Kijowie. To tam powstała Święta Ruś. Pierwszy gwałt na tym chrześcijańskim królestwie zadał syn ochrzczonego kniazia Włodzimierza – Świętopełk – mordując swoich braci Gleba i Borysa w czasie rywalizacji o władzę. Ten archetyp krwawego cara Rusi to tylko zapowiedź jego następców oraz mordu na prawdziwej, zniuansowanej i wielonurtowej Rusi, który rozpoczął się wraz z najazdem Złotej Ordy. Zarazem Gleb i Borys wyniesieni na ołtarze jako pierwsi ruscy święci



mogą być archetypem wolnej, nieugiętej, ale represjonowanej – prawdziwej Rusi. Jeżeli chcemy pisać o „przekleństwie imperium", należy szukać prawdziwych źródeł tego przekleństwa. Był nim gwałt na wolności fundujący imperium rosyjskie.

Piewcy wielkiej Rosji, depozytariuszki Rusi, zapominają o tym, że prawdziwa Ruś istniała tylko wtedy, gdy była wolna. Dlatego nigdy nie przetrwa, jeśli będą ją tworzyć oficerowie służb specjalnych palący cerkwie i synagogi w Donbasie. Wolna Ruś ginęła na Majdanie. Po raz kolejny potrzebuje wsparcia Polski pamiętającej o dziedzictwie prawdziwej Rzeczypospolitej – wolnej, katolickiej i tolerancyjnej, chlubnej karty naszych dziejów. Musimy bronić tego projektu jako nadziei regionu nadal zagrożonego rosyjskim imperializmem.

Nie możemy trwać w niesłusznie spokojnym śnie przekonani o schyłkowości imperium rosyjskiego. Tamtejszy reżim przetrwał Wielką Smutę, izolację pierwszych lat bolszewizmu i okres jelcynowskiego rozluźnienia. Po największych kryzysach podnosił się przy wsparciu zachodniego kapitału plwającego na los Europy Środkowo-Wschodniej. Topił jej ludy we krwi kolejnych powstań przeciwko carowi. Potem także mordował ich wolność od pól Warszawy w 1920 roku, przez czystki polskie i Hołodomor w latach trzydziestych, po sowieckie katownie dla elit II Rzeczypospolitej oraz pozostałych nacji ciemiężonych przez komunistyczne imperium. Dopiero dowiemy się, jaka jest skala zbrodni popełnianych w Donbasie. Jak na razie do mediów przedostają się skrawki informacji.

Projektu Rzeczypospolitej nie może podważyć kulturkampf, skazujący Ukrainę na łaskę Rosji i w sposób nieuzasadniony oddający ją w objęcia nowego cara. Elementami tej wojny w Polsce są teksty narodowców i fałszywych realistów, którzy ostatnio zyskali większe zainteresowanie mediów. Żerują oni na pluralizmie demokratycznym, lansując niedemokratyczne, uderzające w wolność idee skutecznego państwa pozbawionego wolności, pozbawiającego jej nacje wchodzące w jego skład. Wydaje się, że te stronnictwa pragną Rosji w Polsce. A może Polski w Rosji? W obliczu tej działalności tym ważniejsza jest uczciwa praca piórem. Fałszywy obiektywizm, szukanie złotego środka i wchodzenie w dyskusję z kłamstwem do niczego nas nie zaprowadzą. Polska osiągała wielkość, gdy stawała po stronie wolności, czyli antytezy systemu rosyjskiego. Wtedy ramię w ramię z nią stawali Ukraińcy, Gruzini i inne nacje, które nie godziły się na carską niewolę. Tę prawdę w dobie wojny informacyjnej należy przypominać po stokroć. To koszmar imperium, które boi się Euromajdanu w Moskwie. **Ω**



PAN ZARAZA W GABINECIE LUSTER

Janusz Cyran

Amerykański program broni biologicznej powstał w czasie drugiej wojny światowej. Jeśli w Google Maps odszukamy miasto Frederick w stanie Maryland, to na jego północnym skraju zobaczymy kompleks o nazwie Fort Detrick. Próba użycia funkcji Street View w tym obszarze zakończy się niepowodzeniem. To właśnie tutaj w 1943 roku wybudowano ośrodek, który miał rozwijać ofensywną i defensywną broń biologiczną

Pewnego słonecznego letniego dnia przystanąłem nad brzegiem rybnego stawu w głębi lasu. Wiał lekki wiatr i marszczył powierzchnię wody. Kilka metrów od brzegu tkwiła w wodzie drewniana tablica z napisem ogłaszającym, że kąpiel i łowienie ryb są zabronione. Światło odbijało się od tablicy i tworzyło jej obraz na wodzie, ale i obraz na powierzchni, pomarszczony drobnymi falami, odbijał się z powrotem w tablicy, i w ten sposób wiele kolejnych odbić tworzyło świetlisty wzór, z którym jakoś radził sobie mój mózg i wyświetlał go na ruchomej tablicy mojej świadomości.

Przypomniało mi to o książce *Gödel, Escher, Bach* Douglasa R. Hofstadtera. Jest to intrygująca interdyscyplinarna opowieść rozpięta pomiędzy twierdzeniem Gödla, muzyką Bacha, paradoksalnymi grafikami Eschera, teorią świadomości, rozważaniami o znaczeniu i dziwnych pętlach i zabawnymi opowiastkami filozoficznymi ilustrującymi ten imponujący zestaw idei i inspirujących sugestii. Jest w niej też zdjęcie obrazu powstającego na ekranie monitora, podłączonego do kamery wycelowanej w ten właśnie ekran, jako metafora systemów odzwierciedlających swoją własną zawartość, a więc również świadomości. Po powrocie z tej rowerowej wycieczki zerknąłem do internetu, żeby sprawdzić, jakie dalsze życie prowadzi książka (czytałem już ją bardzo dawno temu), i tak natknąłem się na inną niezwykłą książkę, *Bruce Ivins, the Anthrax Attacks, and America's Rush to War* Davida Willmana.

Postać szalonego naukowca jest bardzo popularna w filmie i literaturze fantastycznej. Jeśli ktoś jest ciekaw prawdziwej historii takiego naukowca, znajdzie ją w książce Willmana. Korzyści odniesione z jej lektury będą jednak znacznie większe. Wkrótce po zamachach 11 września 2001 roku Ameryką wstrząsnęło kolejne zdarzenie, ataki z użyciem bakterii wąglika. Po tych kilkunastu już latach pytałem swoich znajomych, czy wiedzą, kto dokonał tych ataków. Odpowiadali, że albo Arabowie, albo Ruscy. Mogłem być zadowolony, że w ogóle pamiętali o tym fakcie. Opowieść Willmana pokazuje, jak pierwsze supermocarstwo świata radziło sobie w sytuacji zamętu i zagrożenia, które pojawiło się nie wiadomo skąd. I wreszcie, pozna niepoślednią rolę, jaką odegrała inna książka, właśnie GEB, w jednym z najbardziej skomplikowanych, długotrwałych i kosztownych śledztw w historii FBI.

Mary trzymała dzieci żelazną ręką

Bruce Edwards Ivins urodził się 22 kwietnia 1946 roku w Lebanon, w stanie Ohio, jako trzeci syn Mary i Thomasa Randalla Ivinsa. T. Randall Ivins odziedziczył po ojcu, założycielu miejscowego klubu Rotary, aptekę, i prowadził ją najpierw ze wspólnikiem, następnie ze swoją żoną. Pani Ivins, z domu Johnson Knight, pochodziła z Brandon na Florydzie. Legenda rodzinna głosiła, że Knightowie znaleźli się wśród pierwszych osadników w Jamestown, a przetrwanie w tamtych okolicznościach dowodzi siły ich genów.

Rodzice nie planowali poczęcia Bruce'a i wiadomość o trzeciej ciąży wywołała u Mary atak wściekłości. Opowiadała później swojej szwagierce o tym, jak próbowała wywołać poronienie, wielokrotnie zjeżdżając z impetem na tyłku po schodach. Jednak Bruce przyszedł na świat zdrowy i wczesne zdjęcia pokazują go, jak tuli się do pluszowego misia. Ze swoimi pluszowymi zwierzakami bawił się trochę dziwnie – przewiązywał im oczy czarną opaską.

Mary trzymała dzieci żelazną ręką. Obowiązkowe lekcje gry na pianinie, niedzielne msze w kościele baptystów, po mszy obiad w oficjalnym rodzinnym salonie, a przy stole obowiązkowy strój – garnitur i krawat.

Bruce był niezgrabny i brzydki, koledzy ze szkoły wspominają go, jak maszerował zawsze wychylony do przodu, jakby nieustannie gdzieś się spieszył, nieświadomy wiszących mu u nosa kropelek śluzu. Niezręczny fizycznie, interesował się za to nauką. Fascynowała go chemia i prowadził doświadczenia z własnym zestawem chemicznym. Otrzymał też w prezencie od rodziców dobrej jakości mikroskop. Miał opinię inteligentnego i bardzo dbał o to, by wszyscy wokół byli tego świadomi.

NAJWIĘKSZYM PROBLEMEM BRACI IVINS, a także ich ojca, była pani Mary. Drobna, niewysoka kobieta tyranizowała rodzinę, nie znosiła sprzeciwu, a wybuchy furii przeradzały się często w akty fizycznej agresji. Pan Ivins nieraz przychodził do apteki ze śladami pobicia. Zdarzyło się nawet, że Mary zadzwoniła do znajomego lekarza o drugiej w nocy z prośbą o pomoc, twierdząc, że zabiła męża. Lekarz zjawił się u Ivinsów, ale drzwi otworzył mu sam Randall z głową zalaną krwią. Opatrzył go i przesłał rachunek za usługę.

Matka starała się ściśle kontrolować Bruce'a nawet wtedy, gdy ukończył szkołę średnią i rozpoczął studia na University of Cincinnati. Mimo to siłą rzeczy jej wpływ zmniejszył się i jego znajomi zauważyli w nim zmiany na lepsze. W roku 1970 Mary Ivins zmarła na raka wątroby. W swojej ostatniej woli nakazała, aby pochowano ją na Florydzie, nie chciała bowiem, by jej prochy spoczęły w ziemi Jankesów. Mąż spełnił tę prośbę, ale sam nie uczestniczył w ceremonii pogrzebowej. Rodzinny koszmar zakończył się, lecz

Przychodził do apteki ze śladami pobicia

pewne zdarzenie stało się dla Bruce'a początkiem trwającej do końca życia obsesji. Zainteresował się pewną młodą dziewczyną, ta jednak odrzuciła jego zaloty. Stwierdziwszy, że dziewczyna jest członkinią żeńskiego stowarzyszenia studenckiego Kappa Kappa Gamma, powziął pomysł, iż fakt ten miał wpływ na jego niepowodzenie. Od tej pory nie ustawał w swojej sekretnej i podstępnej wojnie z Kappa Kappa Gamma.

Tymczasem studiował z sukcesem chemię i bakteriologię, i dodatkowo psychologię. Jakby biorąc odwet na matce, przeszedł na katolicyzm i ożenił się z młodszą od siebie o osiem lat Mary Diane Betsch, studentką pielęgniarstwa o atletycznej budowie, pochodzącą z katolickiej rodziny niemieckiego pochodzenia. W 1975 roku Ivins ukończył pracę doktorską (*Binding, Uptake, and Expression of Diphtheria Toxin in Cultured Mammalian Cells*, czyli *Wiązanie, asymilacja i ekspresja toksyn dyfterytu w kulturach komórek ssaków*). W grudniu tego roku został zatrudniony jako pracownik badawczy na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Chapel Hill i przeniósł się tam razem z żoną, która rozpoczęła pracę jako wykwalifikowana pielęgniarka.

Bruce widywany był na kampusie, gdzie przyjeżdżał na rowerze z zestawem do żonglerki, ustawiał się w widocznym miejscu i dawał pokazy, podrzucając naraz pięć, sześć przedmiotów. Chętnie pomagał swoim współpracownikom i interesował się ich życiem do tego stopnia, że niektórzy odbierali to jako niestosowne wścibstwo. Jak później przyznał się swojemu psychiatrze, pewnego dnia włamał się do miejscowej siedziby Kappa Kappa Gamma i skradł szyfr razem z papierami opisującymi tajne rytuały stowarzyszenia. Pierwszą ofiarą jego obsesji została Nancy Haigwood, doktorantka pracująca w tym samym budynku uniwersytetu. Przyciągnęła jego uwagę, kiedy zobaczył ją w podkoszulku byłego członka stowarzyszenia, które tak go zajmowało. Ivins nie przestawał zadawać jej pytań związanych z Kappa Kappa Gamma, mimo że Haigwood wyraźnie stwierdziła, iż to przeszłość, o której nie ma zamiaru dyskutować. Narzucał się też ze swoją przyjaźnią i uskarżał, że nie jest przez nią akceptowana. Chociaż jesienią 1978 roku Ivinsowie przenieśli się do Bethseda, trzysta mil od Chapel Hill, gdzie Bruce dostał posadę na uniwersytecie medycznym Departamentu Obro-

Pewnego dnia laptop zniknął

ny Stanów Zjednoczonych, nie przestał myśleć o Haigwood. Fascynowała go jej niezależność i pewność siebie, w swoich fantazjach widział ją jako żonę albo odrzucającą go, wyśmiewającą matkę. Po przeprowadzce do Bethseda swoją ciężką depresję przypisywał rozstaniu z Haigwood i zwierzył się leczącemu go lekarzowi, że planował otrucie dziewczyny.

Tymczasem Haigwood przygotowywała się do ukończenia doktoratu. Wszystkie dane, szkice i notatki przechowywała w laptopie, który spoczywał w zamkniętym na klucz pomieszczeniu laboratorium. Pewnego dnia laptop zniknął. Po rozpaczliwych poszukiwaniach władze uniwersytetu zdecydowały się na wezwanie policji. Po kilku dniach Haigwood otrzymała anonimową wiadomość o tym, że laptop znajduje się w skrzynce pocztowej niedaleko kampusu. Policja otworzyła skrzynkę i odnalazła sprzęt. Sprawca nie został zidentyfikowany, ale Haigwood pomyślała, że zna tylko jednego człowieka tak przebiegłego, skupionego na osiągnięciu celu i dziwnego, iż mógłby dopuścić się tego czynu.

AMERYKAŃSKI PROGRAM BRONI BIOLOGICZNEJ powstał w czasie drugiej wojny światowej. Jeśli w Google Maps odszukamy miasto Frederick w stanie Maryland, to na jego północnym skraju zobaczymy kompleks o nazwie Fort Detrick. Próba użycia funkcji Street View w tym obszarze zakończy się niepowodzeniem. To właśnie tutaj w 1943 roku wybudowano ośrodek, który miał rozwijać ofensywną i defensywną broń biologiczną.

Próba użycia funkcji Street View

Podstawowym elementem amerykańskiego arsenału broni biologicznej stał się wąglik. Jest to choroba zakaźna wywoływana przez bakterię nazywaną laseczką wąglika. Wąglik występuje najczęściej u bydła. Bakteria wytwarza przetrwalniki, które w stanie uśpionym mogą przetrwać setki lat. Zakażenie następuje drogą pokarmową, przez kontakt ze skórą lub przez inhalację. Każdemu z tych rodzajów infekcji odpowiada u człowieka inny przebieg choroby, mianowicie postać jelitowa, skórna i płucna. Najbardziej niebezpieczna, chociaż jednocześnie w warunkach naturalnych występująca najrzadziej, jest infekcja płucna. Do zachorowania na nią konieczna jest inhalacja od pięciu do dziesięciu tysięcy przetrwalników bakterii wąglika. To dużo, jednak wystarcza jeden

głęboki oddech w skażonej atmosferze, by zachorować. Bez podjęcia szybkiego leczenia antybiotykami w większości przypadków człowiek taki po kilku dniach umiera. Tymczasem wczesne symptomy choroby, mianowicie kaszel, gorączka, bóle klatki piersiowej, są charakterystyczne także dla innych infekcji, i wąglik łatwo może być z nimi pomylony, co zwiększa jego skuteczność jako broni. W jakimś sensie bakteria wąglika tak użyta jest podobna do broni chemicznej. Żołnierze przeciwnika zaatakowani nią nie stają się sami źródłem zakażeń, bo choroba nie przenosi się z jednego człowieka na drugiego. Aerozol z przetrwalnikami względnie szybko osadza się na podłożu i przestaje być niebezpieczny. Bakterie wąglika w postaci przetrwalników są bardzo trwałe i łatwe w przechowywaniu.

Jednak prowadzone przez Amerykanów na szeroką skalę badania wykazały, że broń biologiczna nie jest tak łatwa w użyciu i niezawodna, jak choćby broń jądrowa. Na polu walki zbyt wiele niekontrolowanych czynników ma wpływ na jej zastosowanie. Biorąc to pod uwagę, 25 listopada 1969 roku prezydent Nixon ogłosił formalną rezygnację z programu ofensywnych broni biologicznych. Już w 1972 roku traktat zabraniający ich rozwijania i posiadania podpisał też Związek Sowiecki, a wkrótce setka innych państw. Równolegle z deklaracją o wyrzeczeniu się ofensywnej broni biologicznej Nixon powołał do życia wojskową placówkę, której celem było rozpoznawanie biologicznych zagrożeń i opracowywanie środków przeciwdziałania im, Medyczny Instytut Badawczy Chorób Zakaźnych Armii Stanów Zjednoczonych (United States Army Medical Research Institute of Infectious Diseases, USAMRIID). Siedzibą USAMRIID został Fort Detrick.

10 kilogramów przetrwalników laseczki wąglika

Na przełomie marca i kwietnia 1979 roku doszło w Swierdłowsku (który dzisiaj, tak jak i przed okresem sowieckim, nazywa się Jekaterynburg) do wypadku, który wzbudził niepokój służb wywiadowczych USA. W zakładzie o oficjalnej nazwie Instytut Problemów Techniki Wojskowej w Swierdłowsku doszło do uwolnienia do atmosfery około, jak się przypuszcza, 10 kilogramów przetrwalników laseczki wąglika. W wyniku tego zmarło kilkadziesiąt osób, a około tysiąca było hospitalizowanych. Sytuację pogorszyła decyzja I sekretarza Swierdłowskiego Komitetu Obwodowego

Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, Borysa Jelcyna, który nakazał spryskanie terenu wodą. Wiadomość o katastrofie została po raz pierwszy opublikowana kilka miesięcy później w rosyjskojęzycznej gazecie we Frankfurcie. Władze sowieckie zaprzeczyły, by taki wypadek miał miejsce, i rozpoczęły standardową akcję dezinformacyjną. Jednak wywiad amerykański nie miał wątpliwości, że wydarzenie świadczy o tym, iż Rosjanie w dalszym ciągu produkują i magazynują broń biologiczną. W odpowiedzi na to w USAMRIID zapadła decyzja o zatrudnieniu co najmniej jednego nowego mikrobiologa, który zajmowałby się testowaniem szczepionek przeciw wąglikowi.

W ten sposób 2 grudnia 1980 roku Bruce Ivins w wieku trzydziestu trzech lat został cywilnym pracownikiem Oddziału Bakteriologicznego USAMRIID, z pensją roczną 27 000 dolarów. Uzyskał certyfikat bezpieczeństwa pozwalający na dostęp do tajnych informacji, jednak armia nie interesowała się zupełnie jego życiem prywatnym. Żadna z zatrudniających go osób nie wiedziała, że od przeszło roku zajmuje się nim psychiatra, doktor Naomi B. Heller, której to właśnie zwierzył się z włamania do siedziby Kappa Kappa Gamma i myśli o zabójstwie Nancy Haigwood.

Był powszechnie lubiany

W ZWIĄZKU ZE ZMIANĄ PRACY Ivinsowie przeprowadzili się do Gaithersburga w stanie Maryland, w połowie drogi między Waszyngtonem a Fort Detrick. Bruce został przez kolegów w nowej pracy przyjęty bardzo dobrze. Jego zdolność do wczuwania się w oczekiwania rozmówcy sprawiała, że był powszechnie lubiany. Tuż po przeprowadzce odwiedził Bibliotekę Kongresu i odszukał adresy siedzib Kappa Kappa Gamma na Wschodnim Wybrzeżu. Wkrótce udał się samochodem w długą nocną podróż ze swojego domu w Gaithersburgu do siedziby KKG przy Uniwersytecie Zachodniej Wirginii. Podróż w obie strony zajęła mu sześć nocnych godzin, ale opłaciła się – po włamaniu się do siedziby stowarzyszenia znalazł zaszyfrowaną księgę z jego tajnymi rytuałami. Ponieważ już poprzednio skradł szyfry stowarzyszenia, zdobył teraz pełny wgląd w jego tajemnice.

Wkrótce Ivinsowie kupili dom przy ulicy tuż obok Fort Detrick. Zbiegiem okoliczności Nancy Haigwood i jej narzeczony Carl

Scandella zamieszkali na tej samej ulicy w Gaithersburgu, gdzie wcześniej mieszkał Ivins. Nie uszło to jego uwagi. Na płocie przy domu Haigwood, na chodniku i na szybie ich samochodu pojawił się pewnego ranka napis wykonany czerwonym sprejem – „KKG".

Bractwa studenckie w rodzaju Kappa Kappa Gamma („bractwa greckie") mają w Stanach Zjednoczonych długą i zawikłaną historię. Opinia na ich temat jest niejednoznaczna, na niektórych uczelniach są zabronione. W trakcie ich rytuałów inicjacyjnych zdarzały się przypadki śmierci, co ściągało na nie społeczne potępienie. Ivins w swojej wojnie przeciwko KKG świadomie rozgrywał tę okoliczność. Napisał list do lokalnej gazety w Frederick powtarzający różne oskarżenia wysuwane przeciwko „grekom", a następnie list w ich obronie, tym razem podpisując go nazwiskiem Haigwood. Nawiązał kontakt z matką jednego ze studentów zmarłych podczas takich brutalnych otrzęsin, prowadzącą w tej sprawie własną kampanię. Przesłał jej kserokopię listu napisanego rzekomo przez Haigwood. Kiedy Nancy dowiedziała się o tym, że pod tekstem broniącym bractw widnieje jej nazwisko, napisała do gazety sprostowanie i zadzwoniła do Ivinsa, oskarżając go o fałszerstwo. Jednak on z zimną krwią odrzucił oskarżenie. Zaczął zamieszczać ogłoszenia, w których oferował sprzedaż sekretów KKG. Pisał też kolejne listy do prasy i zaczął używać żeńskiej pochodnej od imienia narzeczonego Haigwood, odpisując się jako Carla Sander.

Utalentowany muzycznie Ivins zabawiał swoich kolegów naukowców komponowanymi przez siebie piosenkami. Udało mu się dostać zaproszenie na spotkanie KKG przy Uniwersytecie Tennessee w Knoxville, gdzie miał dać występ muzyczny. Kiedy zaczął śpiewać swoje kawałki z tekstem opartym na opisie sekretnych rytuałów stowarzyszenia, uczestnicy zabawy wezwali policję, która usunęła go z miejsca popisów.

Bruce nie może począć dziecka

W 1984 roku uzyskał drugą nagrodę razem z pięcioma kolegami na dorocznej Konferencji Naukowej Armii za ich pracę pod tytułem *A Molecular Approach Toward the Development of a Human Anthrax Vaccine*. Jego pozycja naukowa i płace rosły. Wydawało się, że stabilna sytuacja małżeństwa sprzyja powzięciu decyzji o powiększeniu rodziny, jednak okazało się, że Bruce nie może począć dziecka. Ivinsowie zdecydowali się na adopcję pary bliźniaków,

Amandy i Andy'ego. Jako rodzice Ivinsowie w jakimś stopniu odtwarzali sytuację, w jakiej wychowywał się Bruce – Diane utrzymywała dyscyplinę, Bruce nie przejmował się drobiazgami i zawsze potrafił rozbawić swoje dzieci.

2 SIERPNIA 1990 ROKU IRAK DOKONAŁ INWAZJI na Kuwejt. Dowódca USAMRIID, pułkownik Charles L. Bailey, został zaalarmowany informacjami analityków Pentagonu, którzy obawiali się, że Saddam Husajn jest w posiadaniu broni biologicznej – bakterii wąglika i jadu kiełbasianego. Szykujące się do odbicia Kuwejtu oddziały amerykańskie nie dysponowały tymczasem żadnymi sprawdzonymi środkami obrony przed tą bronią. Stara szczepionka przeciwko wąglikowi była przetestowana ostatnio w latach pięćdziesiątych i według dostępnych danych, aby uzyskać odporność, należało przeprowadzić co najmniej sześć szczepień w ciągu 18 miesięcy. Żaden środek przeciwdziałający zatruciu jadem kiełbasianym nie był dostępny.

W naradzie dowództwa USAMRIID na temat tego, co należy w związku z przewidywanym zagrożeniem uczynić, jako specjalista od wytwarzania przetrwalników laseczki wąglika brał też udział Bruce Ivins. Najwyraźniej sytuacja, w której mógł się wykazać swoimi umiejętnościami, ożywiła go nadzwyczajnie, w czasie dyskusji dosłownie podskakiwał z podniecenia.

Amerykańskie oddziały przygotowywały się do operacji odbicia Kuwejtu, a w tym czasie Fort Detrick pracował intensywnie nad przygotowaniem ich ochrony przed bronią biologiczną Husajna. Sam Ivins zajmował się hodowlą przetrwalników wąglika, przygotowywaniem aerozolu i zarażeniem nim laboratoryjnych gryzoni, królików i małp. Zwierzęta były następnie poddawane działaniu szczepionki i antybiotyków. Wśród testowanych antybiotyków znalazła się cyprofloksacyna, znana w Stanach Zjednoczonych pod nazwą handlową Cipro, lek już zarejestrowany, ale niestosowany nigdy w leczeniu wąglika. W efekcie tych przygotowań istniejąca szczepionka została podana w niepełnym cyklu członkom sił specjalnych, narażonych na pierwszy kontakt z wrogiem, natomiast cipro, które w testach okazało się efektywne w zwalczaniu bakterii wąglika, było gotowe do użycia w razie wystąpienia zakażeń.

Zajmował się hodowlą przetrwalników wąglika

W czasie krótkiej pierwszej wojny nad Zatoką broń biologiczna nie została użyta. Mimo to USAMRIID podjął kroki w celu stworzenia szczepionki nowej generacji, skuteczniejszej, działającej szybciej i niepowodującej skutków ubocznych. W pracach tych uczestniczył Ivins, który został w pierwszym wniosku patentowym dotyczącym szczepionki wymieniony jako jej współautor. W tym czasie jego pensja wzrosła do 59 000 dolarów rocznie.

Życie rodzinne nie satysfakcjonowało Ivinsa i całe swoje emocjonalne zaangażowanie skierował ku dwóm kobietom pracującym z nim w laboratorium, młodszej od niego o dwadzieścia dziewięć lat Marze Linscott i Patricii Fellows, młodszej o lat piętnaście. Skarżył się im na brak zrozumienia ze strony żony i czynił je jedynymi powiernicami swoich osobistych problemów. Podjął też działania, by je kontrolować. W czasie nieobecności Linscott wykonał kopię klucza do jej mieszkania. Obie kobiety były przyjaciółkami. Podejrzenia Ivinsa na temat tego, co o nim myślą i mówią, sprawiły, że wykradł hasło do komputera Fellows i śledził ich korespondencję. Linscott opuściła USAMRIID i rozpoczęła studia, co wprowadziło Ivinsa w stan depresji podobnej do tej, jaką przeżywał po rozstaniu z Haigwood. Uskarżał się obu kobietom na swoją samotność, ale nie mówił o wszystkim, na przykład o tym, iż korzystając ze swojej pracy, zaopatrzył się w cyjanek i azotan amonu, myśląc o otruciu Linscott lub sporządzeniu bomby, by zabić ją w zamachu. Ukrywał też przed wszystkimi swoje inne zainteresowania. Pod nazwiskiem Carla Scandelli zaprenumerował na jedną ze swoich wielu skrytek pocztowych magazyn „Bondage Life” ze zdjęciami kobiet skrępowanych lub z zawiązanymi oczami. Gromadził też wydania „Censored Shots”, „Panty and Stocking Digest” i „Hustlera”. Jednocześnie Bruce i jego żona prenumerowali czasopismo wydawane przez American Family Association, stowarzyszenie sprzeciwiające się aborcji i wzywające do kultywowania wartości chrześcijańskich. A Diane była aktywną uczestniczką antyaborcyjnych manifestacji.

Była aktywną uczestniczką antyaborcyjnych manifestacji

CHOCIAŻ LASECZKA WĄGLIKA NIE ZOSTAŁA UŻYTY W WOJNIE W ZATOCE PERSKIEJ, to zagrożenia związane z jej możliwym użyciem w przyszłych konfliktach stale zajmowały uwagę planistów

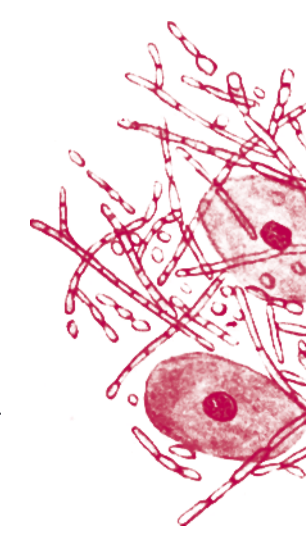
Pentagonu. Wiadomość o tym, że rosyjskim naukowcom udało się tak zmodyfikować bakterię, iż dotychczasowe szczepionki przestały być wobec niej skuteczne, zelektryzowała ich. Wysunięto plany zintensyfikowania badań nad nową szczepionką. Cały personel wojskowy miał zostać objęty programem szczepień przeciw wąglikowi. Tymczasem pojawiły się doniesienia o dotkliwych skutkach ubocznych szczepionki zastosowanej przy okazji wojny w Iraku. Co więcej, zespół chorobowy dotykający weteranów tej wojny, tzw. syndrom wojny w Zatoce, został przez niektórych powiązany z rzekomym nieautoryzowanym użyciem w szczepionce skwalenu, oleistej substancji mającej wzmacniać skuteczność szczepionki. Skwalen był rzeczywiście używany przez Ivinsa w jego testach na zwierzętach, nie potwierdzono jednak, że był aplikowany żołnierzom. Niemniej wysuwane oskarżenia uderzały bezpośrednio w Ivinsa, co wywoływało u niego frustrację i złość. Ponadto z czasem okazało się, że w rzeczywistości rząd nie przeznacza dostatecznie dużo pieniędzy na opracowanie nowej szczepionki i Ivinsowi brakowało środków nawet na zakup zwierząt doświadczalnych. Na domiar złego fabryka dotychczasowej szczepionki ze względu na zupełne techniczne zużycie musiała wstrzymać produkcję.

Obawiał się objawów schizofrenii lub psychozy

Wiosną roku 2000 Ivins zwierzył się Marze Linscott, z którą nieustannie utrzymywał ożywione kontakty przez internet, że jest głęboko zaniepokojony swoim stanem psychicznym. Nie chodziło tylko o depresję. Bardziej obawiał się objawów schizofrenii lub psychozy, był przerażony tym, że może stać się agresywny tak jak jego matka. Opisywał stany, które przypominały rozdwojenie jaźni. W Frederick Ivins kontynuował leczenie psychiatryczne u doktora Allana L. Levy'ego. Co tydzień odbywał rozmowy terapeutyczne w cztery oczy z doradcą z kliniki Levy'ego, Judith M. McLean. Przyznał się jej, że każde odrzucenie wywołuje w nim nieopanowaną agresję. Wspominał czasy szkolne, kiedy zdarzyło mu się wkroczyć do pustej klasy z bronią w ręku i strzelać do przedmiotów, utożsamiając je ze swoimi wrogami. Opisał też, jak pojechał obejrzeć mecz piłki nożnej, w którym Mary Linscott brała udział jako zawodniczka. Po meczu miał zamiar spotkać się z nią i poczęstować ją zatrutym winem, które zabrał ze sobą. Plany pokrzyżowała kontuzja, jakiej uległa w czasie rozgrywki.

Tego dla McLean było już za wiele. Ponieważ jej przełożony, dr Levy, był akurat nieobecny, skontaktowała się z kilkoma innymi psychiatrami, m.in. z byłym lekarzem Ivinsa. Ten ostatni przeprowadził rozmowę z Bruce'em. McLean zaczęła bać się o własne życie i zadzwoniła na policję. Jednak policjant stwierdził, że według niego nie doszło do popełnienia przestępstwa, i sprawa na tym się zakończyła. Po powrocie doktor Levy przepisał Ivinsowi lek antypsychotyczny Zyprexa używany w leczeniu schizofrenii i objawów zaburzenia afektywnego dwubiegunowego. Ivins przyjął dodatkowe konsultacje psychiatryczne ze spokojem, jednak w liście do Linscott wyraził swoją niechęć do McLean. Nie wspomniał przy tym o swoim nieudanym zamachu na życie Mary. Wkrótce Ivins zarzucił McLean nadużycie jego zaufania i zrezygnował z jej pomocy. Zaczął za to uczestniczyć w zbiorowych sesjach terapeutycznych. Wszystko to odbywało się całkowicie poza wiedzą władz USAMRIID, gdzie Ivins miał przez cały czas nieograniczony dostęp do jednego z najbardziej niebezpiecznych organizmów na ziemi.

Na wiosnę 2001 roku kierownictwo nad kompleksem badań związanych z bronią chemiczną i biologiczną objął generał Stephen Reeves. Jego poprzednik został zwolniony z powodu braku postępu w rozwiązaniu problemu szczepionki przeciw wąglikowi. Reeves był tego świadom, wiedział też, że zastępca sekretarza obrony, Paul Wolfowitz, kwestionował znaczenie szczepień ochronnych przeciwko wąglikowi i podkreślał polityczny koszt ryzyka wystąpienie skutków ubocznych. Obydwa przedsięwzięcia, w które był zaangażowany Ivins, a więc wznowienie produkcji w fabryce szczepionki, która w międzyczasie stała się własnością prywatnej firmy BioPort, a także produkcja nowej szczepionki, której współtwórcą był Ivins, utknęły na dobre w wyniku sprzecznych interesów i niezdecydowania administracji. Pojawiły się wręcz propozycje, aby personel Fort Detrick zajmujący się do tej pory wąglikiem został przesunięty do pracy w innych dziedzinach. Ivinsowi zaproponowano podjęcie badań nad bakterią nosaciziny. Uczony stanowczo odrzucił tę propozycję. *Jestem badaczem wąglika! To jest to, co robię*, powiedział przeprowadzającemu z nim rozmowę oficerowi.



IVINS MIAŁ PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ LAT. Najważniejszy projekt jego życia, nowoczesna szczepionka przeciw wąglikowi, był zagrożony, a on w każdej chwili mógł zostać przeniesiony do pracy w zupełnie innej specjalności.

Od połowy sierpnia 2001 roku aż do końca miesiąca Ivins zaczął przychodzić do pracy w laboratorium w późnych godzinach nocnych. Pracował sam, bez żadnej kontroli wchodził do szczelnych, zabezpieczonych pomieszczeń, gdzie jego poczynań nie śledziły żadne kamery. Miał nieograniczony niczym dostęp do laboratorium razem z jego wyposażeniem. Nie dokumentował swojej pracy, jedynym śladem były zapisy systemu kart magnetycznych rejestrujących wejścia do i wyjścia z laboratorium.

Ivins bardzo żywo reagował na każde spektakularne zdarzenie angażujące opinię publiczną Ameryki. Po zamachach w Oklahoma City i w czasie procesu O.J. Simpsona zasypywał redakcje swoimi listami. Koledzy w pracy przywykli do jego nadmiernie emocjonalnych reakcji. Jednak 11 września 2001 roku nie uznali ekscytacji Bruce'a za przesadzoną. Ivins bardzo osobiście przeżył zamach. Kiedy w domu oglądał w telewizji zdjęcia ludzi skaczących z wieżowców, zaczął płakać. Jego przybrana córka Amanda pierwszy raz widziała go w takim stanie i nie mogąc znieść tego widoku, wyszła z pokoju. W swoim e-mailu do Linscott Ivins wspominał o swoim gniewie i bólu. Napisał też, że opowiedział na spotkaniu swojej grupy terapeutycznej, iż od lat nosi ze sobą broń i odwiedza niebezpieczne dzielnice w nadziei na zaczepkę ze strony jakiegoś bandyty.

Nocne godziny nadliczbowe Ivinsa w laboratorium zakończyły się 11 września. Po kilku dniach, począwszy od 14 września, Ivins znów spędzał samotne noce w laboratorium. 17 września przyszedł do pracy w godzinach rannych, po popołudniowej sesji w grupie terapeutycznej wpadł do laboratorium na trzynaście minut. Zjawił się ponownie w pracy o godzinie 7.02 następnego dnia. To, co robił w międzyczasie, pozostało jego tajemnicą. Od dawna nie sypiał z żoną, która głośno chrapała, była poza tym przyzwyczajona do jego bezsenności i długich nocnych eskapad.

Pomiędzy piątą po południu 17 września a południem dnia następnego do skrzynki pocztowej w Princeton w stanie New

Jersey wrzucono dwa listy – jeden zaadresowany do Toma Brokawa, spikera NBC News, drugi do redaktora „New York Post”. Obydwa zawierały fotokopie odręcznie napisanego listu:

09-11-01

THIS IS NEXT

TAKE PENACILIN NOW

DEATH TO AMERICA

DEATH TO ISRAEL

ALLAH IS GREAT

Obydwa listy zawierały też szczyptę proszku w czarne, białe i brązowe kropki. Tym proszkiem były przetrwalniki laseczki wąglika.

21 września, kiedy nikt nie wiedział jeszcze o listach, Ivins odezwał się nagle do Nancy Haigwood, której losy ciągle śledził. W swoim e-mailu informował ją, że w USAMRIID panuje po zamachach stan napięcia i pełnej gotowości. Od 25 września do 5 aździernika Ivins spędził kolejne samotne nocne godziny w izolowanych pomieszczeniach laboratorium. W e-mailu do Mary Linscott przewidywał możliwość dalszych zamachów przy użyciu bakterii wąglika lub broni chemicznej.

Rozpoczynał się długi weekend związany z Dniem Kolumba, obchodzonym w USA w drugi poniedziałek każdego października. Pomiędzy trzecią po południu 6 października a południem 9 października do tej samej skrzynki pocztowej w Princeton wrzucono kolejne dwa listy zawierające taką samą śmiertelnie niebezpieczną zawartość.

3 października stwierdzono pierwszy przypadek zachorowania na wąglika. Sześćdziesięciotrzyletni Robert Stevens pracował jako redaktor fotograficzny dla American Media Inc., odbywając wiele rozmów telefonicznych i przyjmując pocztę z odbitkami. Poczuł się źle w czasie podróży, po powrocie do domu trafił

2 października o drugiej w nocy do centrum medycznego w Palm Beach. Już następnego dnia stanowe laboratorium potwierdziło, że chodzi o rzadką i niezwykle niebezpieczną chorobę, płucną odmianę wąglika. 4 października o wypadku powiadomiono prezydenta George'a W. Busha. Wiadomość została przekazana prasie w uspokajającym tonie, stwierdzono, że przypadki zachorowań na wąglika, choć bardzo rzadko, to jednak występują. Mimo to wszystkie media natychmiast skoncentrowały uwagę na tym zdarzeniu. Tego samego dnia o godzinie 9.57 Ivins skontaktował się ze znajomym z Centers for Disease Control, epidemiologiem Arnoldem F. Kaufmannem, wypytując o szczegóły i oferując swoją pomoc. Kauffman odniósł wrażenie, że Ivins jest w sprawę osobiście zaangażowany.

JUŻ 4 PAŹDZIERNIKA FBI ZWRÓCIŁO SIĘ DO WYBITNEGO GENETYKA Paula S. Keima z Uniwersytetu Północnej Arizony we Flagstaff z prośbą o pomoc w wyjaśnieniu przypadku.

Keim stworzył molekularną mapę genetyczną soi. Został zatrudniony w National Laboratory w Los Alamos w tajnym projekcie mającym na celu rozpoznanie zagrożenia ze strony krajów dysponujących laseczką wąglika. Zadaniem Keima było stworzenie możliwie pełnej bazy próbek wszystkich dostępnych szczepów i opracowanie metod odróżniania ich. Cel był prosty – odpowiedź na pytanie, kto ma jaki szczep bakterii i skąd on się wziął. Zadanie nie było jednak proste, bo bakteria wąglika jest genetycznie nadzwyczaj jednorodna. Keim podjął się tego wyzwania i osiągnął znakomite wyniki. Inspektorzy ONZ odnaleźli w fabryce Al-Hakim, czterdzieści mil na południowy zachód od Bagdadu, setki toreb z zagadkowym proszkiem. Francuscy naukowcy stwierdzili, że to laseczki wąglika. Keimowi udało się udowodnić, iż jest to pochodna *Bacillus thuringiensis*, bakterii używanej do zwalczania szkodników w rolnictwie. Jednak pochodna ta nie tylko nie zabijała ludzi, nie zabijała też szkodników. Mogła za to być używana w celach testowych jako substancja symulująca prawdziwą bakterię wąglika. Badaczy zainteresowało dodatkowo, że przetrwalniki zostały pokryte chemicznym dodatkiem, bentonitem, substancją osuszającą.

Innym osiągnięciem Keima było zidentyfikowanie bakterii wąglika użytego przez sektę Aum Shinrikyo podczas nieudanego ataku na przedmieściu Tokio w 1993 roku. Bakteria okazała się niegroźnym szczepem Sterne używanym do szczepienia zwierząt. Keim pracował też nad identyfikacją szczepów wąglika z próbek pobranych z mózgów i innych tkanek ofiar wypadku w Swierdłowsku, kiedy administracja Jelcyna dopuściła Amerykanów do badań w trakcie krótkiej odwilży.

Próbka płynu mózgowo-rdzeniowego Roberta Stevensa została przetransportowana samolotem do laboratorium Keima we Flagstaff i już rankiem następnego dnia okazało się, że badacze mają do czynienia ze szczepem Ames. Dla Keima i innych stało się oczywiste, że doszło do ataku terrorystycznego, bowiem szczep ten od 1981 roku był używany w laboratoriach do przeprowadzania testów. I jednocześnie nie stwierdzono jego wystąpienia w żadnych innych przypadkach, poza tym jedynym, kiedy pierwsza jego próbka, pochodząca z Teksasu od padłej krowy, została przesłana do Fort Detrick, który właśnie zgłosił zapotrzebowanie na jakąś nieznaną do tej pory odmianę. To właśnie wysokiej klasy specjalista Bruce Ivins na podstawie tej jednej próbki wyprodukował duże ilości przetrwalników wąglika doskonałej czystości. Od tego czasu szczep był używany w wielu laboratoriach w USA i za granicą. Także w laboratorium Keima.

Robert Stevens zmarł 5 października 2001 roku. FBI razem z pocztą utworzyły grupę zadaniową do zbadania sprawy, nazwano ją Amerithrax. Tymczasem wąglikiem zarażony został pracownik sortujący pocztę dla American Media, siedemdziesięciotrzyletni Ernesto Blanco. Na klawiaturze komputera Stevensa i w pokoju, gdzie trzymano pocztę, wykryto przetrwalniki wąglika. Jednak nigdy nie odnaleziono źródła skażenia.

25 września list adresowany do Brokawa otworzyła jego asystentka, Erin O’Connor. Tego samego dnia na jej szyi pojawiło się zaczerwienienie, a po kilku dniach na jej ramieniu utworzyła się rana o wielkości piłki do softballu. Dermatolog orzekł, że może to być skórna odmiana wąglika i O’Connor zaczęła przyjmować cipro. 29 września i 1 października w Nowym Jorku, w siedzibach sieci telewizyjnych ABC i CBS, stwierdzono jeszcze dwa przypadki wy-

stąpienia skórnego wąglika. W żadnym z przypadków nie zidentyfikowano źródła zakażenia.

9 października kolejne dwa listy wrzucone do skrytki pocztowej w Princeton, zaadresowane do lidera większości w Senacie Toma Daschle'a i do przewodniczącego Senackiej Komisji Sądowniczej Patricka Leahy'ego, zostały przewiezione do sortowni w Trenton. Trzy dni później, w piątek, list do Daschle'a znalazł się w biurze senatora w siedzibie Senatu w budynku Hart Building. Kopertę zaadresowano odręcznie, napis niezgrabnymi kulfonami głosił, że nadawcą jest czwarta klasa szkoły podstawowej w Greendale. Tego właśnie dnia odbywało się zebranie dotyczące zapewnienia bezpieczeństwa senatorom w związku z doniesieniami o zagrożeniu wąglikiem. Clara Kircher, kierownik biura senatora Leahy'ego, wzbudziła zdziwienie, oznajmiając, że biuro nie przyjmuje już żadnych listów. Po południu Grant Leslie, pracownica Daschle'a, podniosła alarm, kiedy otrzymała jako prezent od rdzennych mieszkańców Alaski skórę wołu piżmowego, w uznaniu zasług Daschle'a dla ochrony środowiska naturalnego. Leslie zapamiętała ze szkolenia, że skóry zwierząt mogą być źródłem zakażenia laseczką wąglika. Do poczty zabrała się dopiero w poniedziałek. List z Greendale leżał na wierzchu. Był zaklejony przeźroczystą taśmą. Kiedy zaczęła go rozcinać, ze środka wydostał się jasny proszek, który już po chwili wypełnił całe pomieszczenie błotnistym zapachem. Leslie zmartwiała. Wezwani oficerowie policji Kapitolu, zamiast zapakować list do szczelnego worka, nie mając na sobie żadnych strojów ochronnych, otworzyli kopertę do końca i odczytali zawartość, fotokopię odręcznego listu:

09-11-01

YOU CAN NOT STOP US.

WE HAVE THIS ANTHRAX.

YOU DIE NOW.

ARE YOU AFRAID?

DEATH TO AMERICA.

DEATH TO ISRAEL.

ALLAH IS GREAT.

Policja Kapitolu dysponowała ręcznymi detektorami laseczki wąglika. Wykazały obecność przetrwalników bakterii. Zanim w budynku wyłączono klimatyzację, niezwykle lotny proszek został zassany do kanałów wentylacyjnych budynku. W wieczornym wydaniu wiadomości Brokaw zakończył swój występ, parafrazując słynne zdanie: *Nasz niepokój i gniew nie ustają, jednak w cipro pokładamy nadzieję*.

List został natychmiast przesłany do USAMRIID, gdzie przejął go John Ezzell, jeden z głównych naukowców ośrodka. Już w 1997 roku przygotował razem z FBI specjalną procedurę na taki właśnie wypadek. Miała ona zapewnić właściwe obchodzenie się z uzyskanymi próbkami, tak aby wykluczyć możliwość zanieczyszczenia, by mogły się stać niepodważalnym dowodem w sprawie.

EZZELL, MAJĄCY DWUDZIESTOLETNIE DOŚWIADCZENIE w pracy z laseczką wąglika, przebadał już wcześniej tysiące próbek, które co do jednej okazały się fałszywym alarmem. Tym razem zamknięty w szczelnym pomieszczeniu naukowiec poczuł charakterystyczny kwaśny zapach. Odbył pełny cykl szczepień przeciw wąglikowi i nie musiał wkładać na siebie stroju ochronnego. Czystość pyłu zawierającego przetrwalniki zrobiła na nim wrażenie. Był on tak delikatny, że pracujący system wentylacji powodował jego unoszenie się nad powierzchnią stołu. Tego samego dnia Ezzell zwierzył się swoim przełożonym w USAMRIID: *To jest jak spojrzenie w twarz samemu szatanowi. To jest rzecz najbliższa bojowemu wąglikowi, jaką kiedykolwiek widziałem*.

List z Greendale leżał na wierzchu

Zapewne Ezzell później wielokrotnie żałował, że pozwolił sobie na taką emfazę. Można zrozumieć, co poczuł, kiedy po raz pierwszy, po tylu latach, zobaczył wreszcie wypatrywanego od dawna potwora. Ściśle rzecz biorąc, nie powiedział, że proszek zawiera bakterie wąglika bojowego, jednak jego stwierdzenie poszybowało błyskawicznie wzdłuż szczebli drabiny administracyjnej i dotarło aż do Condoleezzy Rice, przewodniczącej Narodowego Komitetu Bezpieczeństwa, i do Secret Service. Dla wszystkich wysokich rangą urzędników administracji Busha prących do wojny z Irakiem pojawienie się pojęcia „wąglik bojowy” było błogosławieństwem. Technicznie rzecz biorąc, przystosowane bojowo laseczki wąglika

to przetrwalniki bakterii pokryte w specjalnym procesie jakimś rodzajem substancji antystatycznej i zapobiegającej sklejaniu się substancji w grudki, po to by rozpylony proszek unosił się jak najdłużej w powietrzu. Również pracownicy USAMRIID z zadowoleniem przyjęli nieprawdziwą wieść o przetworzonych na cele militarne bakteriach wąglika, bowiem od dawna w ośrodku nie prowadzono prac w takim kierunku i wykluczało to ich macierzystą instytucję z kręgu podejrzanych. Nad Irakiem zaczęła gęstnieć chmura podejrzeń i insynuacji.

List do senatora Daschle'a przebywał w wyizolowanym i specjalnie do tego przeznaczonym pomieszczeniu, zgodnie z opracowanym wcześniej przez Ezzella i FBI schematem postępowania. Jednak cała procedura wzięła w łeb, kiedy w dość niejasnych okolicznościach inny zasłużony badacz USAMRIID, znany ze swojej pracy nad wirusem Ebola, Peter B. Jahrling, polecił Bruce'owi Ivinsowi zbadanie próbki. W ten sposób list znalazł się w laboratorium Ivinsa, gdzie co dzień odbywała się praca nad wąglikiem. Kiedy Ezzell dowiedział się o tym, wpadł we wściekłość. Znał bałagan w pracowni Ivinsa, sam nazywał ją chlewem.

Nad Irakiem zaczęła gęstnieć chmura

Ivins wydawał się zauroczony jakością bakterii wąglika, nie przestawał o nich mówić. Zapytany, czy sam potrafiłby przygotować materiał o takiej jakości, odpowiedział, że jest dobrym fachowcem, ale nie aż tak dobrym. Jahrling osobiście zbadał próbkę pod mikroskopem elektronowym i mimo że był specjalistą od wirusów, a nie bakterii, doszedł do wniosku, iż ma do czynienia z zaawansowanym materiałem zmodyfikowanym chemicznie. Sugerowało to zaangażowanie zagranicznego rządu. Powiadomił telefonicznie oficjeli, że tylko kilku ludzi na świecie jest zdolnych do wyprodukowania czegoś tak wyrafinowanego. Wkrótce Jahrling spotkał się w Pentagonie z Paulem Wolfowitzem i jego doradcami. Powtórzył swoją opinię o użytych do ataku bakteriach wąglika i podkreślał ich nadzwyczajną jakość. Posłużył się słowami Ivinsa – pod wpływem najlżejszego podmuchu proszek *unosi się jak dym*. Co więcej, zasugerował, że przetrwalniki są chemicznie spreparowane przez pokrycie ich bentonitem. Wyjaśnił Wolfowitzowi, iż bentonit to ilasta substancja, która została wykryta w podejrzanym materiale wąglikopodobnym odnalezionym w Iraku. Po za-

machu 11 września było jasne, że Ameryka ruszy na wojnę. Do tej chwili nie wiedziano jeszcze z kim, choć wielu chciało ostatecznie rozprawić się z Saddamem Husajnem. Jahrling narysował dla nich wielką czerwoną strzałkę wskazującą na Irak. Rewelacje te natychmiast przedostały się do mediów.

25 października Senat, pozostając pod wrażeniem ostatnich wydarzeń, uchwalił Patriotic Act, ustawę antyterrorystyczną rozszerzającą uprawnienia służb specjalnych. Następnego dnia podpisał ją prezydent.

PUŁKOWNIK ROBERT KADLEC, DORADCA PENTAGONU do spraw broni biologicznej (to on przed pierwszą wojną w Zatoce własnoręcznie szczepił przeciwko wąglikowi żołnierzy podległych Dowództwu Sił Specjalnych), skontaktował się z Jamesem Buransem, doświadczonym mikrobiologiem US Navy. Burans opracował szybkie testy na obecność laseczki wąglika do zastosowania na polu walki.

W latach dziewięćdziesiątych prowadził inspekcje w Iraku i potwierdził obecność bakterii wąglika w Al-Hakim. Irakijczycy zniszczyli tam swoje zapasy w postaci płynnej, paląc je z ropą. Jednak były to bakterie szczepu Vollum, te same, których używały Stany Zjednoczone, zanim Nixon zakończył prace nad ofensywną bronią B (ciekawe, że Willman nie rozwodzi się nad tym, jak się one tam dostały), gdy tymczasem wiadomo już było, iż zamachu dokonano z użyciem szczepu Ames. Jednocześnie Burans udokumentował późniejsze odkrycie w pobliżu Al-Hakim zapasów symulanta wąglika potraktowanego bentonitem. Jeśli zdjęcia Buransa pokazujące przetrwalniki pokryte bentonitem wykazałyby podobieństwo do zdjęć Jahrlinga, to wskazywałoby to na możliwą odpowiedzialność Iraku.

Zanim Kadlecowi udało się doprowadzić do konfrontacji Buransa z Jahrlingiem, media podchwyciły niepotwierdzone twierdzenia Jahrlinga i zaprezentowały bardzo sugestywne, choć całkowicie nieprawdziwe powiązanie: mordercza bakteria wąglika w listach pokryta bentonitem, a z drugiej strony jedyny kraj na świecie, który używa tej substancji do uczynienia wąglika bronią bardziej śmiercionośną. Wobec tych doniesień władze zachowywały się

bardzo dwuznacznie. Co prawda rzecznik prasowy Białego Domu Ari Fleischer zaprzeczył, by bentonit został odnaleziony w proszku z laseczką wąglika pochodzącym z listu do senatora Daschle'a, jednak już sekretarz obrony Donald Rumsfeld stwierdził, że poważni ludzie biorą taką możliwość pod uwagę, co było dostatecznie niejasne, by w razie czego móc się z wszystkiego wycofać, i jednocześnie wystarczające do podsycenia niemających oparcia w faktach spekulacji.

W czasie od 17 do 23 października Izba Reprezentantów wstrzymała pracę, a wszystkie budynki używane przez członków i ich personel zostały sprawdzone na obecność laseczki wąglika. Budynek Hart Building został całkowicie zamknięty. Narażonym na zakażenie pracownikom podano cipro. Przerwano także pracę Sądu Najwyższego. Zaprzestano doręczania poczty do Białego Domu. Nie podjęto jednak żadnych działań w sortowni poczty w Brentwood, przez którą przechodziła cała korespondencja do wszystkich biur Kongresu. W sortowni pracowały maszyny wykorzystujące wysokie ciśnienie do sortowania. 21 i 22 października zmarło dwóch pracowników poczty. U dwóch kolejnych wykryto zakażenie płucną odmianą wąglika i poddano ich hospitalizacji. Obydwaj przeżyli. Na koniec października 2001 roku sondaże opinii publicznej podawały, że 74% Amerykanów popiera rozszerzenie „wojny z terrorem" na Irak.

Zamachu dokonano z użyciem szczepu Ames

31 października 2001 roku zmarła na płucną odmianę wąglika Kathy Nguyen, pracownica magazynu szpitala w Nowym Jorku. Nie zdołano znaleźć śladu bakterii ani w szpitalu, ani w mieszkaniu Nguyen. 21 listopada 2001 roku zmarła z tego samego powodu dziewięćdziesięcioczteroletnia Ottilie Lundgren, mieszkanka Oxford w stanie Connecticut. Także w tym przypadku nie odnaleziono w domu ofiary śladów skażenia. Jednak ślady laseczki wąglika wykryto w maszynach jednej z sortowni w Connecticut.

W okolicach 1 listopada Kadlec i Burans przybyli do Fort Detrick, aby spotkać się z Jahrlingiem i Ezzellem i udostępnić im materiał porównawczy. Po obejrzeniu zdjęć Buransa pokazujących zbliżenia przetrwalników irackiego symulanta wąglika pokrytego bentonitem, Jahrling przyznał, że się mylił. Bakteria wąglika użyta w zamachu nie nosiła śladów bentonitu. Wyniki tego spo-

tkania nie przedostały się do mediów, nikt o nim publicznie nie wspomniał.

Wstępne analizy FBI wykazały, że przetrwalniki zawierają domieszkę krzemu. Przeprowadzenie dokładniejszych badań Biuro zleciło Sandia National Laboratories w Nowym Meksyku. 12 marca 2002 roku inżynierowie Sandii poinformowali FBI o wynikach badań przy użyciu precyzyjniejszych narzędzi. Okazało się, że rzeczywiście laseczka wąglika zawiera domieszkę krzemu, ale nie pokrywa on powierzchni przetrwalników, jest obecny pod powierzchnią i znalazł się tam najprawdopodobniej w czasie naturalnego wzrostu. Nie może być wobec tego traktowany jako czynnik zwiększający zdolności bojowe bakterii. Również i ten ważny rezultat nie przedostał się do mediów. Dyrektor laboratorium FBI Dwight Adams próbował przekazać te informacje urzędnikom administracji Busha, ale zostały one zlekceważone.

Tymczasem FBI rozpoczęło badanie, kto mógł wejść w posiadanie szczepu Ames. Wieść o tym dotarła do Ivinsa, który dzięki kolegom z USAMRIID na bieżąco mógł śledzić przebieg śledztwa. Ivins źle przyjął tę wiadomość i dzielił się opinią, że za zamachami stoi Saddam Husajn.

W naturalny sposób część naukowców USAMRIID, w tym i Ivins, została zaangażowana w śledztwo. Ponieważ FBI zdawało sobie sprawę z tego, że liczba osób pracujących z bakterią wąglik jest niewielka i wśród nich może się znaleźć zamachowiec, to wszystkie zostały poddane badaniu z użyciem wariografu. Przed samym badaniem Ivins wykazywał ogromne zdenerwowanie. Nie wzbudziło to jednak podejrzeń, wszyscy naukowcy byli podminowani.

21 i 22 października zmarło dwóch pracowników poczty

W styczniu 2002 roku współpracownica Johna Ezzella w USAMRIID, Terry Abshire, dokonała przez przypadek ważnego dla śledztwa odkrycia. Hodowała w szalkach Petriego kultury bakterii laseczki wąglika pochodzącego z listów. W normalnych okolicznościach powinna sprawdzić inkubator po dwudziestu godzinach, bo inkubacja przez dłuższy czas grozi rozpoczęciem tworzenia przez bakterie niebezpiecznych przetrwalników. Tym razem stało się inaczej i przez zapomnienie Abshire sprawdziła szalki po czterdziestu ośmiu godzinach. Większość kolonii miała

kształt regularny, ale niektóre wyraźnie różniły się od pozostałych, miały nieregularne kontury, były pomarszczone, miały szarożółty kolor i wyglądały jak mielone szkło. Szybko ustalono, że owe morfy występują w stałej proporcji i są charakterystyczne i dla wąglika z listu do „New York Post", i dla próbek z listu do Daschle'a. Nie pojawiały się jednak w przypadku wszystkich zarejestrowanych partii szczepu Ames. Oznaczało to, iż w samym szczepie Ames doszło do mutacji i na podstawie różnic między nimi można będzie zawęzić krąg podejrzanych.

31 STYCZNIA 2002 ROKU AGENCJA ŻYWNOŚCI I LEKÓW USTĄPIŁA POD NACISKIEM i zezwoliła na wznowienie starej szczepionki przeciw wąglikowi. Jednocześnie zdecydowano się na intensywne prace nad rozwojem nowej szczepionki, w której powstaniu uczestniczył już poprzednio Ivins.

FBI prowadziło tymczasem zakrojoną na wielką skalę akcję poszukiwania podejrzanych. Rozesłało listy do wszystkich trzydziestu tysięcy członków American Society for Microbiology, wskazując, że jest bardzo prawdopodobne, iż adresat zna zamachowca (lub zamachowców) osobiście. List otrzymała także Nancy Haigwood. Natychmiast pomyślała o Ivinsie i zadzwoniła na podany przez FBI numer telefonu. Jej zgłoszenie zostało przyjęte i zarchiwizowane.

Pomarszczone, miały szarożółty kolor

W lutym 2002 roku FBI przesłało wezwanie do wszystkich laboratoriów w Stanach Zjednoczonych pracujących nad szczepem Ames, by przesłały próbki używanych partii szczepu. Wezwanie zawierało szczegółowe wskazania co do sposobu ich zabezpieczenia i przesłania. 27 lutego Ivins przesłał swoją próbkę z partii wytworzonej przez niego osobiście i używanej w jego laboratorium, oznaczonej kodem RMR-1029. Nie dopełnił jednak zaleceń, przesyłając próbki w niewłaściwych probówkach, i nie zostały one zaakceptowane. Ivins nie dopełnił obowiązku aż do kwietnia 2002 roku.

Pod koniec roku 2001 Ivins odkrył skażenie żywymi endosporami wąglika pokoju nr 19, biura, które dzielił z innymi dwoma pracownikami instytutu. Pomieszczenie to było dostępne także dla osób postronnych, niezaszczepionych przeciw wąglikowi,

i teoretycznie powinno być całkowicie bezpieczne. Laboratoria z bakterią były bowiem oczywiście szczelnie izolowane od otoczenia, a wchodzący do nich i wychodzący z nich pracownicy musieli przestrzegać ścisłych zasad zapobiegających rozprzestrzenianiu się przetrwalników. Ivins przeprowadził odkażanie za pomocą domowego środka dezynfekującego i papierowych ręczników, nie powiadomił o tym jednak przełożonych aż do 8 kwietnia następnego roku, kiedy doszło do incydentu w laboratorium B3. Bakterie wąglika w postaci płynnej wylały się z jednej z kolb i wyschły, co rodziło podejrzenia, że w powietrzu mogły się znaleźć uwolnione endospory. Pracujący w laboratorium naukowcy otrzymali wzmacniające dawki szczepionki i podano im antybiotyk, na czym sprawa miała się zakończyć. Ivins wykorzystał jednak incydent do swoich celów. Na własną rękę przeprowadził badania pomieszczeń biurowych i odkrył wiele miejsc skażenia laseczką wąglika, co skrupulatnie udokumentował. Dopiero wtedy zawiadomił swoich przełożonych, i korzystając z zamętu, przyznał się też do wcześniejszego wykrycia skażenia w pokoju nr 19. Podniesiono alarm i wypadek stał się głośny. Powołano też komisję do zbadania sprawy. Skażenie potwierdzono w trzech miejscach poza obszarem izolowanym laboratoriów. Co ciekawsze, okazało się, że bakterie wąglika używane w laboratorium B3 zostały oznaczone markerem, który nie został wykryty w żadnym z tych przypadków. Zatem skażenie nie było z pewnością związane z incydentem z 8 kwietnia. Powołana do zbadania wojskowa komisja zobligowana do szybkiego rozstrzygnięcia zamknęła sprawę, zalecając dodatkowe szkolenia personelu i zaktualizowanie zasad bezpieczeństwa pracy. Wobec Ivinsa nie wyciągnięto żadnych konsekwencji. W kwietniu 2002 roku Ivins przesłał do FBI drugą próbkę swojej partii laseczki wąglika, tym razem we właściwej probówce.

Cała uwaga FBI skupiła się na innym podejrzanym, Stevenie J. Hatfillu. Hatfill po odbyciu służby wojskowej spędził dziesięć lat w południowej Afryce. Zdobył wykształcenie medyczne na Uniwersytecie Zimbabwe i chwalił się znajomym, że pracował dla wojska wcześniejszej Rodezji rządzonej przez białych. Twierdził też, że posiada doktorat z mikrobiologii, co nie było prawdą. Po powrocie do Stanów pracował od 1997 do 1999 w USAMRIID jako



wirusolog, gdzie prowadził badania nad leczeniem zakażeń wirusem Ebola, choroby marburskiej i ospy małpiej. Następnie zatrudnił się w Science Applications International Corp., firmie specjalizującej się w kontraktach dla agencji rządowych. SAIC przeprowadzała już w roku 2000 badania nad prawdopodobieństwem wystąpienia ataku biologicznego przy użyciu listów z zawartością wąglika. Hatfill przekazał wyniki badań do Centers for Disease Control, a sam prowadził odpowiednie szkolenia dla personelu wojskowego, straży pożarnej i wszystkich zainteresowanych procedurami postępowania w przypadku stwierdzenia zagrożenia biologicznymi patogenami. Hatfill lubił się przechwalać i nie stronił od przesady, twierdził na przykład, że mógłby przygotować bakterie wąglika gotowe do użytku jako broń. Był też autorem niewydanej nigdy powieści o ataku terrorystycznym z użyciem bakterii dżumy na Kongres. Co gorsza, badania na wariografie wskazały go jako osobę niewiarygodną. Cztery różne osoby przekazały też FBI swoje podejrzenia wobec niego. W 2001 roku, w czasie bliskim zamachów, przyjmował kilkakrotnie dawki cipro.

W CZERWCU 2002 ROKU FBI PRZESZUKAŁO MIESZKANIE HATFILLA, gdzie wykryto symulant wąglika i informacje o sposobach jego produkcji (Hatfill wyjaśniał, że materiały te służą mu do demonstracji w czasie prowadzonych przez niego szkoleń). Nastąpił przeciek i informacja o tym wzbudziła ogromne zainteresowanie prasy. Hatfill stał się głównym podejrzanym. Atmosferę wokół niego podgrzała uniwersytecka aktywistka, profesor Barbara Hatch Rosenberg, zaangażowana w walkę z proliferacją broni biologicznej. Twierdziła, że rząd amerykański wcale nie zaprzestał pracy nad ofensywną wersją tej broni i prowadzi dalej w ukryciu tajne badania. Zamachy z użyciem skażonych listów stały się dla niej okazją, by oskarżyć o ich dokonanie czynnik wewnętrzny. Zamachów miał według niej dokonać pracownik placówki rządowej, nad którym służby roztaczają teraz parasol ochronny, bo zamachowiec posiada sekretną wiedzę na temat prowadzonych tajnych projektów.

Z użyciem bakterii dżumy na Kongres

Wkrótce podejrzanym oskarżanym przez Rosenberg został Hatfill. W kampanii przynaglającej FBI do działania i wskazującej

jednoznacznie na Hatfilla jako głównego podejrzanego wsparł ją dziennikarz „New York Timesa", Nicholas D. Kristof. Kristof posunął się znacznie dalej. Ujawnił w swoim tekście nazwisko Hatfilla i zasugerował, że największa zanotowana w historii epidemia wąglika, jaka wystąpiła w Zimbabwe w latach 1978–80, została przez niego wywołana na zlecenie rządu białych, w ramach kampanii przeciw czarnym partyzantom. Malując intrygujący i mroczny obraz Hatfilla, Kristof przywołał także zdarzenie, do którego miało dojść w czasie pracy uczonego w USAMRIID, kiedy rzekomo został przyłapany na miłosnych igraszkach ze swoją partnerką w jednym z biobezpiecznych pomieszczeń. Twierdził też, że Hatfill miał dostęp do tajnego lokalu utrzymywanego przez służby i spotykał się tam z osobami, którym podawał cipro. Te rewelacje podnieciły Rosenberg. W e-mailu do Kristofa napisała: *To nawet lepiej, niż myślałam.* Była zaintrygowana w szczególności informacją o zakonspirowanym miejscu schadzek agentów i dopytywała o wiarygodność tego szczegółu. Kristof odpowiedział: *Barbaro, jestem na wakacjach w Oregonie i spoglądam na to wszystko z dystansu. Jeśli chodzi o tajny lokal, to jest to częściowo przypuszczenie.*

W czasie drugiego przeszukania mieszkania Hatfilla FBI sprowadziło psy tropiące, które miały wyczuwać zapach zbliżony do tego z listów z laseczką wąglika. Zachowanie psów według śledczych wskazywało na Hatfilla jako sprawcę. Cała aktywność FBI od tego momentu zogniskowała się na nim. Był obserwowany i filmowany dwadzieścia cztery godziny na dobę; jeden z śledzących go agentów najechał jego stopę, a policja badająca wypadek, kiedy wyjaśniono, że Hatfill jest inwigilowany w związku z podejrzeniem o zamach, ukarała go mandatem za poruszanie się w sposób zagrażający bezpieczeństwu.

Zamachy wąglikowe doprowadziły do śmierci pięciu osób. Siedemnaście innych zostało zarażonych, lecz przeżyło. Na Wzgórzu Kapitolińskim ślady bakterii wąglika znaleziono w siedmiu z dwudziestu sześciu zbadanych budynków. Zamknięto dwa duże centra pocztowe na czas ich kosztownego i żmudnego odkażania.

Ameryka maszerowała na wojnę z Irakiem. W wystąpieniu 18 i 19 września przed komisjami sił zbrojnych Izby Reprezentantów i Senatu, Donald Rumsfeld stwierdził, że Irak posiada wiel-

kie zapasy broni biologicznej, w tym wąglika, i że jego powiązania z terrorystami stwarzają zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. *Nie wiemy ciągle, kto jest odpowiedzialny za zeszłoroczne ataki wąglikowe. Natura ataków terrorystycznych jest taka, że jest często bardzo trudno zidentyfikować, kto jest ostatecznie odpowiedzialny**. 7 października 2002 roku prezydent Bush w wystąpieniu telewizyjnym poinformował Amerykanów, że Saddam, który już posiada zapasy bakterii wąglika i innych patogenów, szuka sposobów na pozyskanie broni nuklearnej. 11 października 2002 roku obie izby Kongresu uchwaliły rezolucję upoważniającą prezydenta do podjęcia działań zbrojnych przeciwko Irakowi. 5 lutego 2003 roku sekretarz stanu Colin Powell pojawił się w siedzibie ONZ, by przedstawić stanowisko rządu amerykańskiego. Trzymając malutką fiolkę z białym proszkiem, próbował przemówić do wyobraźni zgromadzonych. Taka ilość bakterii wąglika doprowadziła do zamknięcia siedziby Senatu, śmierci pięciu osób i intensywnego leczenia kilkuset innych osób. Tymczasem Irak, oświadczył Powell, przyznał się w latach dziewięćdziesiątych do posiadania 8500 litrów bakterii w postaci płynnej i nie udokumentował losu nawet drobnej części tych zapasów. Ponadto wywiad amerykański miał dostarczyć informacje o mobilnych, tajnych fabrykach broni chemicznej.

Nigdy nie odnaleziono żadnych zapasów tej broni w Iraku, doniesienia służb o tajnych fabrykach okazały się fałszywe. Co więcej, administracja Busha była już w tym czasie doskonale zorientowana w tym, że laseczki wąglika użyte w atakach to szczep Ames, którego obecności w Iraku nigdy nie potwierdzono.

BRUCE IVINS PRZEŻYWAŁ DNI CHWAŁY. 14 marca 2003 roku Departament Obrony przyznał mu wraz z trzema innymi kolegami z USAMRIID najwyższe odznaczenie dla personelu nieumundurowanego, Decoration for Exceptional Civilian Service. 19 marca prezydent Bush ogłosił rozpoczęcie wojny przeciwko Irakowi.

Wszystko to nie miało wpływu na losy Hatfilla, w dalszym ciągu tkwił na celowniku FBI, które za wszelką cenę usiłowało znaleźć przeciwko niemu dowody. Hatfill walczył o życie i powierzył swoją obronę byłemu prokuratorowi federalnemu, prowadzącemu teraz praktykę adwokacką, Thomasowi G. Conolly’emu.

W trakcie przeszukań w samochodzie Hatfilla FBI znalazło ręcznie naszkicowaną mapę lesistej okolicy Catoctin Mountain, z kilkoma płytkimi stawami, kilka mil od Fort Detrick. Wystarczyło to do rozpoczęcia intensywnych przeszukiwań terenu i stawów, z udziałem psów tropiących i dziewięciu ekip nurków. Poszukiwania kosztowały 250 000 dolarów i spełzły na niczym. Co ciekawe, w ekipie ochotników Czerwonego Krzyża, uczestniczących w akcji, znalazł się Bruce Ivins. Jeden z agentów FBI rozpoznał go i po przeszukaniu jego plecaka kazał mu odejść.

W tym czasie Ivins napisał list do Mary Linscott, w którym zamieścił swój wiersz odnoszący się do rozdwojenia jaźni, na które się uskarżał:

[…]
So now, please guess who
Is conversing with you.
Hickory dickory Doc!
Bruce and this other guy, sitting by some trees,
Exchanging personalities.
It's like having two in one.
Actually it's rather fun!

8 maja 2003 roku korespondent CBS Evening News donosił, że poszukiwania stawów w okolicy Catoctin Mountain nie przyniosły żadnych rezultatów, jednak śledczy są przekonani, iż mają już w ręku sprawcę zamachów. Jest nim Steven Hatfill. Chociaż nie udało się uzyskać na razie stuprocentowych dowodów, to być może, aby uniknąć ponownego zagrożenia, konieczne będzie aresztowanie go pod innym zarzutem, np. w związku z jakimiś nieprawidłowościami podatkowymi. Ostatecznie, konkludował korespondent, Al Capone został osądzony za unikanie podatków.

Śledztwo koncentrujące się na jednym człowieku pochłaniało ogromne środki i wyczerpywało zasoby ludzkie FBI. Nacisk z samej góry powodował, że odbywały się nieustanne posiedzenia, na których przełożeni domagali się szczegółowych danych o wynikach dochodzenia. Wśród szeregowych agentów zaczęła narastać frustracja i świadomość, że obrana strategia jest niewła-

ściwa. Z drugiej zaś strony, w sytuacji gdy jego klient znajdował się pod stałym nadzorem i presją FBI i mediów, Conolly postanowił przejść od obrony do ataku. Oskarżył FBI i Departament Sprawiedliwości o powtarzające się przecieki do mediów, naruszające prawa Hatfilla, a także o wymuszenie jego zwolnienia z pracy na uniwersytecie.

Ataki wąglikowe wpłynęły na opinię publiczną może bardziej niż zamachy z 11 września 2001 roku. Zagrożenie stało się bliskie i uświadamiał to sobie każdy, kto spoglądał na skrzynkę pocztową. Zmieniło też radykalnie postawę kongresmenów, pospiesznie uchwalających podsuwane przez administrację akty prawne. Prezydent Bush, sekretarz stanu Collin Powell i sekretarz obrony Donald Rumsfeld straszyli opinię publiczną wąglikiem, wskazywali na nieistniejące składy broni chemicznej w Iraku i pchali Amerykę do wojny.

W styczniu 2003 roku Bush ogłosił nową inicjatywę, Project BioShield, którego celem było zabezpieczenie kraju przed atakiem biologicznym. Na rozwój środków obrony przed wąglikiem, wirusem Ebola, jadem kiełbasianym, dżumą i innymi patogenami, przeznaczono sześć miliardów dolarów. Ponadto przewidziano półtora miliarda dolarów rocznie na budowę i rozwój ponad dwunastu nowych laboratoriów, gdzie miano zajmować się tymi patogenami i opracowywać oraz testować nowe szczepionki. Produkcję szczepionki nowej generacji przeciw wąglikowi, w której opracowaniu brał już udział Ivins, zlecono prywatnej firmie VaxGen. Od końca listopada 2003 roku VaxGen rozpoczął wypłacanie kwot patentowych twórcom szczepionki z USAMRIID, między innymi Bruce'owi Ivinsowi. 4 listopada 2004 roku rząd zawarł wart 877,5 miliona dolarów kontrakt z VaxGen na dostawę 75 milionów szczepionek.

Po przeszukaniu jego plecaka kazał mu odejść

Szef FBI Robert S. Mueller III i kolejny prowadzący śledztwo Amerithrax, Richard Lambert, przekonywali senatorów, że mają już pewność, iż dopadli odpowiedzialnego za zamachy i kontrolują każdy jego ruch. Jako najważniejszy i decydujący dowód podawali fakt, że psy tropiące wskazywały na Hatfilla i na należące do niego przedmioty. Tymczasem wielokrotnie wcześniej tego rodzaju dowody okazywały się fałszywe. Hatfill nie był też jedyną zbadaną

osobą, którą zainteresowały się psy. Wskazały również na Patricię Fellows, współpracownicę Ivinsa. Lambert wykluczył ją jednak z kręgu podejrzanych, jako że na jesieni 2001 roku pomagała agentom FBI przy skażonych listach.

Mueller kilka razy w tygodniu wzywał do siebie pracowników i żądał szczegółowych sprawozdań na temat przebiegu śledztwa. Ilość zbieranych informacji stawała się ważniejsza niż ich jakość, przesłuchiwano ogromną liczbę świadków i podejmowano powierzchownie bardzo wiele wątków, bez głębszej analizy faktów. Sam Mueller przygotowywał się w ten sposób do spotkań z Bushem i prokuratorem generalnym Johnem Ashcroftem, którzy wzywali go regularnie i wypytywali o postępy śledztwa i wszystkie szczegóły prowadzonych dochodzeń.

Prowadzący śledztwo Lambert usiłował zakończyć je jak najszybciej przez zdobycie za wszelką cenę dowodów przeciw Hatfillowi, o którego winie był przekonany. Doprowadziło to do konfliktów z naukowcami laboratorium FBI w Quantico. W jednym z takich przypadków Lambert zażądał poddania analizie mikroskopijnej drobiny ludzkiej skóry odnalezionej na kopercie listu przesłanego do senatora Leahy'ego. Dyrektor laboratorium, Dwight Adams, sprzeciwił się, wskazując, że skóra pochodzi najprawdopodobniej od kogoś innego niż sprawca, który zapewne używał rękawiczek. A jeśli tak, to w czasie przyszłego procesu sądowego dowód ten zostanie wykorzystany przez obronę, a nie przez oskarżenie. Lambert był jednak nieugięty i wymusił przeprowadzenie żmudnych i długotrwałych badań. Wykazały one najpierw, że skóra należy do kobiety. Nie zniechęciło to Lamberta, Hatfill miał przecież partnerkę, która mogła mu pomagać. Dalsze drobiazgowe badanie wskazało na technika laboratorium, kobietę zwolnioną już wcześniej za niedopełnianie procedur i fałszowanie wyników testów.

Agenci FBI żądali wielokrotnie od Hatfilla próbek odręcznego pisma, kazali mu przy tym używać prawej dłoni, lewej, pisania na stojąco i z założonymi grubymi kuchennymi rękawicami. Wszystko dlatego, że pierwsza pobrana próbka jego pisma nie odpowiadała według eksperta od pisma ręcznego charakterowi pisma autora listów wąglikowych.

W MIĘDZYCZASIE DWA ZESPOŁY NAUKOWCÓW PROWADZIŁY ZAAWANSOWANE BADANIA nad szczepami bakterii użytymi w ataku. Zespół Paula Keima z Uniwersytetu Północnej Arizony izolował DNA z próbek wąglika i przesyłał je do The Institute for Genomic Research (TIGR) w Maryland. Tam mikrobiolog Jacques Ravel poddawał otrzymane DNA sekwencjonowaniu, czyli ustalaniu kolejności par nukleotydowych w cząsteczce DNA. Pozwalało to na precyzyjne rozróżnienie pomiędzy poszczególnymi partiami bakterii. Keim i Ravel zbadali w ten sposób kultury bakterii pochodzące z pierwotnej próbki pobranej od krowy padłej w 1981 roku w Teksasie, „matki wszystkich szczepów Ames", oraz kultury bakterii, które zabiły pierwszą ofiarę zamachu, Stevensa. Niestety okazało się, że ich DNA jest identyczne, śledczy poruszali się w kręgu szczepu Ames używanego powszechnie w wielu laboratoriach.

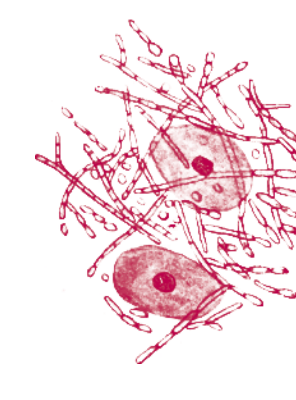
Skóra należy do kobiety

Jednak w USAMRIID dobra znajoma Bruce'a Ivinsa, mikrobiolog Patricia Worsham, na zlecenie FBI kontynuowała pracę nad morfami odkrytymi wcześniej przez Terry Abshire. Wyniki jej badań wskazały jednoznacznie, że morfy pojawiały się regularnie w koloniach wyhodowanych z próbek pochodzących z zakażonych listów. Nie pojawiły się natomiast ani razu w koloniach oryginalnego szczepu Ames. Koledzy z USAMRIID wiedzieli o jej pracy. Kiedyś na drzwiach jej biura pojawił się napis: „Szczur FBI". Morfy wyhodowane przez Worsham zostały przesłane zespołowi Keima i Ravel. Do badań włączono również inne laboratoria, które miały potwierdzić rezultaty pierwszego zespołu.

W styczniu 2004 roku do śledztwa dołączył agent Lawrence Alexander, były oficer marines, znany ze szczerego wypowiadania swoich opinii bez względu na nastawienie przełożonych. Alexander posiadał bogate doświadczenie w dochodzeniach kryminalnych i w posługiwaniu się dużymi bazami danych. W waszyngtońskim biurze FBI zajął się przeprowadzaniem przesłuchań i przeglądaniem ogromnej ilości zgromadzonych e-maili pracowników USAMRIID. Wkrótce doszedł do dwóch wniosków – Hatfill nie ma związku z zamachem. Natomiast człowiekiem wymagającym najwyższej uwagi jest Bruce Ivins, ekscentryczny naukowiec o wyraźnych problemach emocjonalnych, traktowany przez otoczenie z pobłażliwością i przychylnym zrozumieniem.

Na koniec roku 2004 doszło do innego przełomu. Naukowcy z zespołów Keima i Ravela ustalili związek ze szczególnym morfem odkrytym przez Absire i obecnym w listach oraz jedną z partii szczepu Ames używanego w laboratoriach. Badanie genetyczne wskazało jednoznacznie na partię pochodzącą z retorty oznaczonej etykietą RMR-1029, przygotowaną przez Bruce'a Ivinsa. Próbkę z tej partii uzyskali sami agenci FBI w połowie 2004 roku, po tym jak zorientowano się, że Ivins i inni naukowcy USAMRIID mogli nie przesłać, mimo wezwania, próbek wszystkich używanych partii wąglika. Po przeanalizowaniu próbek szczepu Ames ze wszystkich używających go piętnastu laboratoriów amerykańskich i trzech zagranicznych badacze doszli do wniosku, że pochodzący oryginalnie z retorty RMR-1029 unikalny genetycznie materiał używany jest wyłącznie w USAMRIID i w Battelle Memorial Institute, w Columbus w stanie Ohio. Zawężało to znacznie krąg podejrzanych.

Okazało się też, że próbka, którą Ivins przesłał FBI, nie pasowała genetycznie do laseczki wąglika użytej w zamachu, natomiast ta, którą pozyskali agenci, była identyczna z tą z listów. Trudno było od tego momentu nie podejrzewać, iż Ivins sfałszował przesłany materiał. Wykazał się przy tym dużą przezornością, bo przesłuchującym go już wcześniej, 13 sierpnia 2003 roku, agentom, zeznał, że najprawdopodobniej próbki nie przygotowywał on sam, ale któraś z jego laboratoryjnych asystentek.



LAWRENCE ALEXANDER NA ZEBRANIACH ZESPOŁU Amerithrax zaczął kwestionować podejście Lamberta i wskazywał, że bez rozproszenia wątpliwości gromadzących się wokół Ivinsa dalsze prowadzenie śledztwa w dotychczasowym kierunku jest niewłaściwe. Kiedy podsumował wszystkie poszlaki wskazujące na Ivinsa, Lambert nieoczekiwanie zdecydował, że chce go osobiście przesłuchać. 31 marca 2005 roku, wbrew stanowisku agentów uważających przesłuchanie za przedwczesne, doszło do spotkania Lamberta, agentki Ann Colbert i Bruce'a Ivinsa. Lambert, w dalszym ciągu przekonany o winie Hatfilla, dążył do wykazania, iż ten ostatni mógł w czasie pracy w USAMRIID uzyskać dostęp do materiału RMR-1029. W czasie spotkania Colbert pytała też o problemy

psychiczne Ivinsa, do których przyznawał się w korespondencji z Marą Linscott. Odpowiedział, że czuje się teraz lepiej, i zaprzestał używania leków antydepresyjnych.

Spotkanie utwierdziło Lamberta w dotychczasowym stanowisku, jednak Lawrence Alexander i uczestniczący w pracy zespołu Amerithrax z ramienia poczty amerykańskiej, starszy śledczy Thomas Dellafera, zdegustowani postępowaniem Lamberta, nie pozbyli się swoich podejrzeń wobec Ivinsa, który nie potrafił wiarygodnie wyjaśnić wielu nocy spędzonych w laboratorium przed atakami (tłumaczył je napiętą atmosferą w domu). Ivins, zaalarmowany przesłuchaniem, które dostarczyło mu zresztą dodatkowej wiedzy o postępach śledztwa, mógł teraz pozbyć się części dowodów i skuteczniej bronić się przed potencjalnymi zarzutami.

Mimo postawy Lamberta agenci skierowali swoją uwagę na inne wątki związane z Ivinsem. Robyn Powell natrafiła na raport sprzed trzech lat sporządzony po telefonie Nancy Haigwood. Sprawdziła informacje o fałszywych listach Ivinsa podszywającego się pod Haigwood w sprawie tajnych rytuałów stowarzyszeń greckich liter. Obsesja Ivinsa na punkcie Kappa Kappa Gamma nabrała nowego znaczenia i zelektryzowała Powell, kiedy po wpisaniu w wyszukiwarce Google'a słów „Princeton" i „Kappa Kappa Gamma" ukazał się adres siedziby stowarzyszenia w Princeton, przy Nassau Street 20. Pod przyległym adresem, Nassau Street 10, znajdowała się skrzynka pocztowa, do której wrzucono listy z bakterią wąglika.

Ivins wznowił kontakty ze swoim prawnikiem, informując go, że obawia się, iż działania FBI wobec niego mogą doprowadzić do upublicznienia jakichś kompromitujących faktów z jego życia osobistego. Po spotkaniu z Lambertem cytował też rzekome zwierzenia swojego kolegi Johna Ezzella, który miał się przyznawać do dokonania zamachów.

Ekscentryczny naukowiec o wyraźnych problemach emocjonalnych

Dotychczasowy podejrzany, Steven Hatfill, bezrobotny i opuszczony przez przyjaciół, popadał w pijaństwo i nocami wydzwaniał do dziennikarzy ze swoimi zarzutami. Jego adwokat Conolly, złożywszy pozew cywilny w imieniu swojego klienta, spodziewał się uzyskania możliwości przesłuchania pracowników FBI i admi-

nistracji. Przez długi czas rządowi udawało się zatrzymać to postępowanie, argumentując, że może zaszkodzić śledztwu. Jednak w końcu sędzia dystryktowy zezwolił na przesłuchanie pierwszego świadka, rzeczniczki FBI, Debry Weierman. Potwierdziła, że liczne publikacje obciążające Hatfilla opierały się na poufnych informacjach ze śledztwa. Publikacje te nie były dementowane przez FBI, podczas gdy inne, rzucające złe światło na działania agencji, zawsze znajdowały odpór.

W czerwcu 2006 roku do lokalnego biura FBI w Waszyngtonie wkroczyła dwustuosobowa ekipa oddziału kontrolnego agencji z zadaniem dokonania pełnego audytu dotychczasowego przebiegu śledztwa. Alexander i inni agenci znaleźli uważnych słuchaczy, przy których mogli wyrazić swoje wątpliwości. Wyniki kontroli pozostały tajne, jednak 25 sierpnia 2006 roku ogłoszono, że Lambert przestał prowadzić śledztwo i obejmuje stanowisko szefa biura FBI w Knoxville w stanie Tennessee.

Nadzór nad śledztwem objęło dwóch doświadczonych i zasłużonych agentów FBI, Edward Montooth i Vincent Lisi. Rozpoczęli od zebrania informacji od Lawrence'a Alexandra, który badał przeszłość Ivinsa w swoim wolnym czasie na własną rękę, śledczego z ramienia poczty Dellafera, znającego wszystkie szczegóły dotyczące przesyłek, i agenta Scotta Deckera, z doktoratem w dziedzinie genetyki, nadzorującego część naukową śledztwa. Po kilku tygodniach ich pracy Hatfill przestał być głównym podejrzanym. Montooth zakomunikował to Muellerowi. Zakończył też destrukcyjny dla śledztwa zwyczaj nieustannych briefingów. Raz w tygodniu sekretarka dyrektora FBI dzwoniła do Moontootha, pytając, czy ma coś ważnego do przekazania w sprawie śledztwa. Odpowiedź rzadko była pozytywna.

Popadał w pijaństwo i nocami wydzwaniał do dziennikarzy

PRACA AGENTÓW KONCENTROWAŁA SIĘ TERAZ na zacieśnieniu kręgu naukowców mających dostęp do RMR-1029. Rozpoczęły się nocne przeszukiwania w USAMRIID bez udziału pracowników. Ivins zakupił w tym czasie urządzenia do wykrywania podsłuchów oraz usługę internetową pozwalającą mu na stwierdzenie, kiedy jego e-mail został odczytany oraz do kogo mógł zostać przesłany. Zaalarmowało to agentów; powiadomili Nancy Haigwood

i innych istotnych korespondentów Ivinsa, by zachowali odpowiednią ostrożność.

Ivins zasypywał w tym czasie Haigwood lawiną miłych w zamyśle e-maili, jakby pragnąc się jej przypodobać. Z pewnością była osobą, która znała dobrze jego ciemną stronę. Haigwood przypuszczała, że w ten sposób Bruce pragnie powstrzymać ją od obciążających go zeznań.

27 lutego 2007 roku agenci Lawrence Alexander i Darin Steele przeprowadzili pierwsze przesłuchanie Ivinsa w biurze jego adwokata Richarda Brickena w Frederick. Ivins opisywał podczas przesłuchania niskie standardy bezpieczeństwa w USAMRIID, sugerując, że laseczki wąglika mogły wydostać się stamtąd na zewnątrz bez większych przeszkód i właściwie każdy był w stanie uzyskać do nich dostęp. Pięć dni po przesłuchaniu Ivins zmienił swój testament, przygotowując niemiłą niespodziankę dla swojej żony. Zadysponował, aby po śmierci jego zwłoki spopielono, a prochy rozsypano. Jeśliby to życzenie nie zostało spełnione, przeznaczał kwotę 50 000 dolarów na rzecz Planned Parenthood.

Mimo coraz groźniejszych dla niego okoliczności, Ivins nie porzucił intensywnego zainteresowania stowarzyszeniem Kappa Kappa Gamma. Każda wzmianka o głośnym wydarzeniu, w którym uczestniczyła członkini tego stowarzyszenia, wywoływała jego gorączkową aktywność w internecie. Przejawiała się też w próbach tworzenia i korygowania wpisów w Wikipedii. Próbował na przykład zamieścić informację o Haigwood jako o znanej osobie, która była członkinią KKG.

9 kwietnia 2007 roku Ivins otrzymał wezwanie do złożenia zeznań jako świadek w sądzie federalnym w Waszyngtonie. Zeznania trwały kilka godzin i przesłuchujący go prokurator Kenneth Kohl nie zdążył zadać wszystkich przygotowanych pytań. W szczególności był zainteresowany tym, dlaczego próbka Ivinsa okazała się różna od próbek pobranych przez agentów.

Dzięki analizie genetycznej przeprowadzonej przez zespół Ravela wiedziano, że dostęp do bakterii wąglika użytej w atakach mogli mieć naukowcy tylko w dwu laboratoriach. Laboratorium w Battelle Memorial Institute funkcjonowało na zasadach komercyjnych, każda minuta pracy naukowca była ściśle rejestrowa-

na i opłacana przez zlecających badania klientów, dzięki czemu po żmudnej analizie udało się wykluczyć z kręgu podejrzanych wszystkich jego pracowników. Pozostawał USAMRIID. A w nim postacią wybitnie się wyróżniającą był Ivins, choćby tylko ze względu na swoje samotne nocne godziny pracy poprzedzające wysłanie listów.

Wreszcie Montooth i Lisi zdecydowali się na przeprowadzenie przeszukania domu Ivinsa i jednoczesne przesłuchanie jego samego, jego żony i dwójki ich dzieci. 1 listopada 2007 roku agenci Lawrence Alexander i doktor Darin Steele pojawili się w gabinecie pułkownika George'a Korcha, ówczesnego dowódcy USAMRIID. Poprosili o dyskretne wezwanie Bruce'a Ivinsa. Kiedy Ivins pojawił się i zobaczył agentów, od razu zadał pytanie, czy jest mu potrzebny adwokat.

Przesłuchanie rozpoczęło się od pytania o próbkę bakterii wąglika przesłaną przez Ivinsa zgodnie z sądowym wezwaniem do FBI. Agenci zapytali go, dlaczego próbka wykazała inną charakterystykę, niż ta, którą później pobrało FBI. Alexander i Steele wiedzieli przy tym coś, o czym nie miał pojęcia Ivins. Otóż pierwsza wysłana przez niego próbka, ta, która została odrzucona ze względu na niespełnienie warunków formalnych, mimo to przez pomyłkę została wysłana do laboratorium Paula Keima, gdzie spoczywała bezpiecznie w zamknięciu aż do 2006 roku, kiedy została przez Keima zauważona i poddana badaniu. Próbka ta, w przeciwieństwie do próbki wysłanej 10 kwietnia 2002 roku, wykazała obecność trzech z czterech morfów charakterystycznych dla laseczki wąglika użytej w zamachach i identycznych genetycznie z partią RMR-1029. Agenci wiedzieli też doskonale, że Ivins, wysyłając pierwszą próbkę, był przekonany, iż rozróżnienie pomiędzy poszczególnymi partiami szczepu Ames jest niemożliwe. Pewność tę utracił na dwanaście dni przed wysyłką drugiej próbki, kiedy Patricia Worsham i agent Scott Stanley tłumaczyli naukowcom USAMRIID, w jaki sposób pobierać próbki, aby uwzględnić najnowszą wiedzę na temat szczepu i obecnych w nim mutacji.

PYTANIE AGENTÓW NIE ZBIŁO IVINSA Z TROPU, powtórzył, że prawdopodobnie próbkę przygotowała któraś z laborantek. Kiedy

wskazali, że etykieta na próbce i analiza godzin pracy wskazują jednoznacznie na niego, zasłonił się brakiem pamięci i jak automat wyrzucał z siebie kolejne wytłumaczenia. Agenci zmienili temat rozmowy i zapytali o osobę, pod którą się podszywał, używając skrytek pocztowych, o Carla Scandellę. Ivins odsunął się gwałtownie od stołu i odmówił odpowiedzi na dalsze pytania. Został powiadomiony, że w jego domu trwa przeszukanie, a jego żona i dzieci zostały czasowo zakwaterowane w hotelu, do którego on sam też zostanie teraz odwieziony.

W drodze towarzyszyli mu agent Scott Stanley, który wcześniej był stałym gościem w USAMRIID, oraz inspektor Dellafera. Ivins wspomniał o wypadku samochodowym, jaki wydarzył się Stanleyowi kilka miesięcy wcześniej, przytaczając szczegóły, o których nie mogła wiedzieć osoba postronna. Na pytanie, skąd je zna, odpowiedział milczeniem. Ivins wykazywał wyraźne oznaki zaniepokojenia. Wyjawił, że chowa w domu, razem z akcesoriami do żonglerki, materiały świadczące o uprawianiu crossdressingu. Obawia się też, iż zostanie okrzyknięty terrorystą i mordercą. W tym momencie Stanley rzucił w jego stronę koło ratunkowe. Stwierdził, że nie wierzy, by zamachowiec tak naprawdę chciał kogoś skrzywdzić. Koperty były szczelnie zamknięte, a wiadomości zawierały informację o grożącym niebezpieczeństwie i jego charakterze, a nawet wskazywały sposób leczenia. Ivins nie skorzystał z okazji i zamknął się w sobie.

W domu i samochodach Ivinsów nie odnaleziono śladów przetrwalnika wąglika. Zabezpieczono za to jego korespondencję, a także inne interesujące materiały, jak na przykład wydruk e-maila, który Ivins wysłał sam do siebie pod przybranym nazwiskiem, z listą informacji mających wskazywać na Marę Linscott i Patricię Fellows jako sprawczynie zamachu (tego samego dnia Ivins wysłał do Fellows trzy listy w zwykłym przyjaznym tonie.)

Po przesłuchaniu i przeszukaniu domu Ivins został pozbawiony prawa do dostępu w USAMRIID do jakichkolwiek niebezpiecznych materiałów.

7 listopada 2007 roku wieczorem grupa agentów FBI zajęła stanowiska obserwacyjne wokół domu Ivinsa. Była to kolejna z całonocnych obserwacji przeprowadzanych w dniach, kiedy w okolicy

śmieciarka Allied Waste Services podjeżdżała do domów i opróżniała ustawione przy krawężniku ulicy pojemniki na śmieci. Jednak była to pierwsza taka noc po przesłuchaniu sprzed tygodnia. I tylko tej nocy Ivins zachował się dziwnie. Przed przyjazdem śmieciarki, tuż po pierwszej w nocy, wyszedł z domu w bieliźnie i sprawdził pojemnik i swój, i sąsiada. Siedem minut po odjeździe śmieciarki pojawił się ponownie i znów sprawdził opróżnione już pojemniki.

W wyrzuconych odpadkach agenci odnaleźli dwa przedmioty, które całkowicie uszły ich uwagi w trakcie wcześniejszego przeszukania domu. Był to zaczytany egzemplarz książki Hofstadtera, *Gödel, Escher, Bach: An Eternal Golden Braid,* oraz artykuł naukowy Davida B. Searle'a *The Linguistics of* DNA.

Hofstedter zajmuje się w swojej książce między innymi wiadomościami zaszyfrowanymi wewnątrz innych wiadomości, a także ukazuje DNA jako środek przekazywania zakodowanej informacji. Artykuł Searla analizuje podobieństwa gramatycznej struktury DNA i języka angielskiego.

Na 404 stronie książki Hofstadtera znajdujemy taki oto spis nazwisk:

DE MORGAN
A**B**EL
BO**O**LE
BRO**U**WER
SIER**P**IŃSKI
WEIER**S**TRASS

Spis ten pojawia się w jednym z dialogów pomiędzy Achillesem i Żółwiem, dwiema postaciami, które służą Hofstedterowi do błyskotliwej i zabawnej ilustracji jego wywodów. Oto lista wygrawerowana jest na wieczku złotej skrzynki, która Achilles ofiarowuje Żółwiowi. Achilles zauważa, że wygląda to na kompletny spis wszystkich wielkich matematyków, Żółw odczytuje pod spodem wskazówkę: *Odejmij jeden od przekątnej, aby znaleźć Bacha w Lipsku*. Rzeczywiście, jeśli każdą z wytłuszczonych liter tworzących przekątną zastąpimy literą poprzedzającą ją w alfabecie, otrzymamy słowo „Cantor". Jest to piękny przykład zakodowanej informacji,

Poprosili o dyskretne wezwanie Bruce'a

bo Bach był przecież kantorem w kościele św. Tomasza w Lipsku. Jednak na tym nie koniec, bo Cantor to również nazwisko innego wielkiego matematyka, Georga Cantora. W ten sposób lista matematyków staje się pełniejsza. Co więcej, wpisane w ten sposób w listę nazwisko Cantora być może jest równocześnie aluzją do jego słynnego rozumowania przekątniowego, za pomocą którego wykazał, że zbiór liczb naturalnych nie jest równoliczny ze zbiorem liczb rzeczywistych.

Ivins wielokrotnie wspominał o książce Hofstedtera swoim znajomym i wyraźnie był nią oczarowany. Podarował nawet egzemplarz książki Patricii Fellows i był zagniewany, kiedy dowiedział się po czasie, że jej nie przeczytała.

Śledczy oczywiście zwrócili uwagę na wytłuszczone litery w liście z wąglikiem:

09-11-01

THIS IS NEXT

TAKE PENACILIN NOW

DEATH TO AMERICA

DEATH TO ISRAEL

ALLAH IS GREAT

Zakodowaną prawdopodobnie w liście informację odtworzył po raz pierwszy Darin Steele. Pogrupował wyróżnione litery w trzyliterowe łańcuchy: TTT, AAT, TAT. Nukleotydy, składające się na DNA, oznaczane są literami A, G, C i T, od nazw identyfikujących ich zasad azotowych, czyli adeniny, guaniny, cytozyny i tyminy. Jednocześnie łańcuch TTT oznacza aminokwas o nazwie fenyloalanina (ang. Phenylalanine), łańcuch AAT – asparaginę, a TAT – tyrozynę. Trzy kolejne pierwsze litery angielskich nazw tych aminokwasów tworzą wyraz PAT. Steele zauważył, że to zdrobnienie imienia Patricii Fellows, jednej z kobiet, z którymi łączył Ivinsa obsesyjny związek. Na koniec każdy z tych trzech aminokwasów posiada jednoliterowe desygnatory – F dla fenyloalaniny, N dla

asparaginy, i wreszcie Y dla tyrozyny. Tworzy to skrót FNY, a śledczy byli świadomi głębokiej niechęci Ivinsa do Nowego Jorku i jego mieszkańców. Chociaż nie można było wykluczyć, że te odszyfrowane znaczenia są przypadkowe, to zachowanie Ivinsa świadczyło o wielkiej wadze, jaką przypisywał dwóm tekstom wskazującym na możliwość takiego sposobu interpretacji wiadomości.

HISTORIA, OPISYWANA W DETALACH PRZEZ WILLMANA, jest tu już bliska zakończenia. Na tym przerwiemy jej śledzenie. Hatfillowi sąd przyzna milionowe odszkodowanie. Ivins popełni samobójstwo, a jego prochy zostaną rozsypane gdzieś w zachodniej części stanu Maryland. Zostawimy na boku krętactwa polityków kryjące ciemne interesy, kłamstwa mediów, łatwowierność opinii publicznej, wojnę i ludobójstwo.

Spojrzymy tylko jeszcze raz na ten dziwny obraz, którego bohaterami są sześćdziesięcioletni badacz bakterii wąglika o wąskiej ptasiej twarzy i niepokojących oczach oraz siedmiusetstronicowa, zużyta od ciągłego czytania książka. Obraz jak złożona parodia finału filmu *Dawno temu w Ameryce*, której scenariusz napisała sama rzeczywistość. Wiemy już wszystko, by umieć docenić urok owej niezwykłej sceny.

Materiały świadczące o uprawianiu crossdressingu

Ivins pojawia się w drzwiach swojego domu. Ma na sobie podkoszulek z długimi rękawami i kalesony. To przecież początek listopada. Rozgląda się, podchodzi na pojemników na śmieci, sprawdza ich zawartość i wraca do domu. Nadjeżdża wielka śmieciarka, mruga światłami, pracownicy AWS opróżniają pojemniki, a potem pojazd oddala się wolno na północ wzdłuż Military Road, mijając obszar Fortu Detrick. Ivins jeszcze raz wychodzi z domu, ubrany tak samo jak poprzednio. Sprawdza swój pojemnik i przeciąga go na podjazd domu. Wychodzi na ulicę. Kilka stóp od niego za pniem jodły kuli się agent James Griffin Junior, z rękoma przyklejonymi do tułowia próbuje pozostać niezauważony.

Ivins patrzy wzdłuż drogi osłoniętej od strony Fortu Detrick koronami zimozielonych drzew. Bada swoją niedługą już przyszłość. Poza zasięgiem jego wzroku inny agent FBI macha przed oczami załogi śmieciarki swoją odznaką i zatrzymuje pojazd. **Ω**



KATOLICKIE SAJGONKI W WARSZAWIE (CZ.I)

PO PASTERCE W KOŚCIELE NAJŚWIĘTSZEGO ZBAWICIELA WSZYSCY IDĄ DO POBLISKIEJ RESTAURACJI, GDZIE WSPÓLNIE RADUJĄ SIĘ ZE ŚWIĄT. ZASIADAJĄC DO SUTO ZASTAWIONEGO STOŁU, CZĘSTO NAPOMYKAJĄ, ŻE W POLSCE MOGĄ SOBIE POZWOLIĆ NA ŚWIĘTOWANIE W RESTAURACJI. W WIETNAMIE NIE ZAWSZE MOGLI NAJEŚĆ SIĘ DO SYTA

Z BYŁYM DUSZPASTERZEM WIETNAMCZYKÓW W POLSCE Z ZAKONU WERBISTÓW, KS. EDWARDEM OSIECKIM ROZMAWIA GABRIEL KAYZER SPOŁECZNOŚĆ WIETNAMSKA W POLSCE.

Dlaczego został ksiądz duszpasterzem Wietnamczyków w Polsce?

– Po powrocie w 1995 roku z Papui Nowej Gwinei znalazłem się w Warszawie, mieście różniącym się od tego, które opuściłem, wyjeżdżając na misje. Miasto stało się kolorowe z powodu różnorodnej mieszanki przybyszów z całego świata. Wśród nich Wietnamczycy wyraźnie rzucali się w oczy, gdyż w owym czasie przybywało ich do Polski coraz więcej. W Papui Nowej Gwinei i Australii przyzwyczaiłem się do życia w rasowej i kulturowej róż-

norodności. Opatrznościową okazją mojego wejścia w świat wietnamskiej diaspory było spotkanie z pewnym Wietnamczykiem, które miało miejsce w kościele na Kamionku podczas uroczystości Wniebowzięcia. Człowiek ten podszedł i trochę słowami, a bardziej na migi okazał mi, że chce się wyspowiadać. Jako misjonarz znam pewne sposoby pozwalające wyspowiadać cudzoziemca i jednocześnie zachować tajemnicę spowiedzi. Wyspowiadałem go na migi. W rozmowie po spowiedzi zapytałem go, jak wielu katolików znajduje się wśród wietnamskiej diaspory. Powiedział mi, że może mnie zapoznać z tymi, których on zna. Na początku było ich 40. Było to dla mnie prawdziwe objawienie. Dotąd Wietnam był nieco na uboczu moich zainteresowań. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tam żywy katolicyzm. Bardziej rzucały mi się w oczy Chiny, Wietnam zaś kojarzył mi się z buddyzmem, a tu okazało się, że nie wszyscy Wietnamczycy są buddystami. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie trzeba wyjeżdżać z Polski na misję, gdyż można ją prowadzić także w naszej ojczyźnie. Kiedyś bowiem wysyłaliśmy misjonarzy za granicę, dziś zaś u siebie mamy nowe pola misyjne. Zacząłem z pomocą poznanego Wietnamczyka nawiązywać kontakty z innymi katolikami. Nie od razu jednak Kraków zbudowano. Upłynęło kilka miesięcy, zanim się do mnie przekonali. Katolicy wietnamscy jeszcze przed przyjazdem do Polski zostali dobrze przygotowani na różne możliwe niebezpieczeństwa dla swojej wiary w nowym środowisku. Wietnamscy duszpasterze uprzedzili o możliwości uwiedzenia przez religijnych sekciarzy czy fałszywych proroków. Wietnamscy księża informowali ich nawet, jakie są znaki, po których można rozpoznać prawdziwego katolika i księdza. Byłem zaskoczony przemyślnością wietnamskich duchownych. Tak więc wietnamscy katolicy chętnie mnie przyjmowali i słuchali, ale nic z tego nie wynikało. Myślałem wtedy, że jest to ich taki rys folklorystyczny. Na pożegnanie np. przekazywali mi pozdrowienia dla żony. Tłumaczyłem im cierpliwie, że nie mam żony, bo ksiądz katolicki nie może mieć żony. To ich trochę uspokajało, ale nie na tyle, aby mi w pełni zaufać. Przekonałem ich do siebie dopiero wtedy, gdy przyniosłem im zdjęcia z Papui Nowej Gwinei, na których odprawiam mszę św. Prawdziwym strzałem w dziesiątkę były jednak zdjęcia z papieżem Janem Pawłem II. Oni go bowiem bardzo dobrze znali. Wtedy przełamane zostały lody i mogłem planować dalsze działania, a widziałem, że potrzebują swojego duszpasterza. Gdy lepiej zorientowałem się w sytuacji, zaprosiłem do Polski wietnamskich werbistów z Niemiec – kleryka Le Thanga i wietnamskiego werbistę z USA, ks. Nguyena Van Thanha. Chodziliśmy w trójkę na

Stadion Dziesięciolecia i tam w rozmowach dokonały się ustalenia organizacyjne. Pewną pomocą były dla mnie doświadczenia Kościoła polskiego w warunkach emigracji. Polscy kapłani towarzyszyli emigrantom i byli dla nich przewodnikami religijnymi i społecznikami. Stąd też idea, żeby zapewnić wietnamskim katolikom duszpasterską posługę ze strony ich rodzimych księży. Początkowa grupa 40 wietnamskich katolików z czasem powiększyła się do 450. Ze względu na to, że pomagałem im legalizować ich pobyt w Polsce, faktycznie pozostawałem w kontakcie z ponad 1200 osobami. Początkowo organizowaliśmy swoje życie religijne na poziomie parafialnym w porozumieniu z życzliwymi proboszczami. W miarę wzrostu liczby wiernych poprosiliśmy ks. bpa Kazimierza Romaniuka o kościelne uznanie. Ksiądz biskup 14 sierpnia 2001 roku dekretem powołał do życia duszpasterstwo katolików wietnamskich. Wspólnota obrała za swojego patrona bł. Andrzeja Phu Yen, wyniesionego na ołtarze przez Jana Pawła II.

Jaki stosunek mają wietnamscy katolicy do św. Jana Pawła II?

– Św. Jan Paweł II był dla nich postacią bardzo ważną. W 2001 roku przypadało 200-lecie sanktuarium Matki Bożej z La Vang. Uprzedzając to wydarzenie, w 2000 roku Jan Paweł II spotkał się z wietnamskimi biskupami i ustanowił Matkę Bożą La Vang patronką Kościoła w Wietnamie. Ojciec Święty był zawsze gorąco oczekiwany w Wietnamie. Jednak ku jego wielkiemu bólowi było to jedyne z większych państw w Azji, w którym papieska wizyta nie doszła do skutku. Wietnamczycy chcieli i nadal bardzo chcą być włączeni w główny nurt Kościoła. Toteż czują się skrzywdzeni faktem, że Jan Paweł II nie mógł ich odwiedzić. Chociaż wietnamscy biskupi nieraz zapraszali papieża do Wietnamu, to jednak komunistyczne władze nie wyrażały zgody na jego przyjazd. Jednym z głównych powodów odmowy było nominacja kardynalska dla arcybiskupa Franciszka Ksawerego Nguyena Van Thuâna, uwolnionego z komunistycznego więzienia ordynariusza Sajgonu. Jan Paweł II powierzył mu kierowanie Papieską Radą ds. Sprawiedliwości i Pokoju. Sylwetkę tego hierarchy można śmiało porównywać z postacią Prymasa Tysiąclecia. Drugim powodem niechęci władz reżimowych była kanonizacja 117 wietnamskich błogosławionych, która się dokonała 19 czerwca 1998 roku. Wśród nich 90 osób to byli rodowici Wietnamczycy, pozostali zaś byli europejskimi misjonarzami w Wietnamie. Ci kanonizowani święci reprezentowali jednak tylko skromną część wszystkich zamęczonych wietnamskich katolików. Prześladowania, podczas których katolików krzyżowa-

no, palono na stosie, ścinano oraz kuto włócznią, rozpoczęły się w 1797 roku i trwały z przerwami do 1860 roku. W ciągu tych lat spośród 300 tys. wietnamskich katolików ofiarą męczeńskiej śmierci padło ponad 130 tys. ludzi. Gdy premier i prezydent Wietnamu dowiedzieli się o kanonizacji, wezwali wietnamskich biskupów i potraktowali w tak obelżywy sposób, że, według relacji, arcybiskup Sajgonu miał prosić na kolanach, aby zaprzestano ich znieważać i upokarzać. Dla przeciętnego Wietnamczyka, niezależnie od tego, czy był to katolik, protestant, buddysta, czy kaodaista, kanonizacja była jednak ważnym wydarzeniem.

Toteż gdy w roku 2002 Jan Paweł II przyjechał do Krakowa, Wietnamczycy z Warszawy, wśród nich także buddyści, pojechali na spotkanie z nim pięcioma autokarami. Specjalnie na jego przyjazd sprowadzili do Polski obraz Matki Bożej z La Vang wykonany według technik azjatyckich z wyszlifowanych muszli, który wręczyli Janowi Pawłowi II. Ponadto ks. Józef Dinh Duc Dao, wietnamski duchowny pracujący w Międzynarodowym Centrum Animacji Misyjnej, odpowiedzialny za sprawy wietnamskie przy Watykanie, zorganizował na placu św. Piotra spotkanie Wietnamczyków z papieżem, które było również okazją do podziękowania mu za kanonizację. Zjechali się tam wietnamscy katolicy z Francji, ze Szwecji, z Niemiec i Czech. Najmniej przyjechało z Polski. Na przeszkodzie stały trudności wizowe. Wietnamczycy, którzy brali udział w tych uroczystościach, odwiedzając swoich krewnych w Polsce, opowiadali im o swoich przeżyciach podczas tego spotkania. Inną okazją narodowego wyrażenia wdzięczności za kanonizację były Światowe Dni Młodzieży w Paryżu z udziałem Jana Pawła II. Wtedy pokaźna grupa wietnamskiej młodzieży przejeżdżała przez Polskę. Z Paryża przywieźli ze sobą m.in. wizerunek Jana Pawła II i umieścili w sanktuarium Matki Bożej w La Vang.

Jak ksiądz już wspomniał, św. Jan Paweł II, przyjmując w 2000 roku biskupów z Wietnamu, powierzył Kościół w tym kraju opiece Matki

GDY PREMIER I PREZYDENT WIETNAMU DOWIEDZIELI SIĘ O KANONIZACJI, WEZWALI WIETNAMSKICH BISKUPÓW I POTRAKTOWALI W TAK OBELŻYWY SPOSÓB, ŻE, WEDŁUG RELACJI, ARCYBISKUP SAJGONU MIAŁ PROSIĆ NA KOLANACH, ABY ZAPRZESTANO ICH ZNIEWAŻAĆ I UPOKARZAĆ

Bożej w La Vang. Jak wygląda kult Matki Bożej wśród Wietnamczyków?

– Matka Boża z La Vang jest najbardziej interesującą częścią katolicyzmu w Wietnamie. Na przełomie XVIII i XIX wieku, a dokładnie w 1797 roku w Wietnamie wybuchły prześladowania katolików. W pierwszej fazie trwały ponad trzy lata. W tym czasie, aby ratować życie, ludność katolicka musiała schronić się wysoko w górach. Tam jednak doświadczyli bardzo surowego, zimnego górskiego klimatu, który znacząco różni się od klimatu na wybrzeżu. Oprócz prześladowań byli więc narażeni na choroby i głód. Wtedy to nastąpiły objawienia Matki Bożej. Przybrała ona postać wietnamskiej matrony, która z dzieckiem na ręku chodziła między ludźmi i pocieszała ich. Zachęcała ich do modlitwy i umacniała w bólu, ale była przy tym także wyjątkowo praktyczna. Na przeziębienia i choroby związane z górskim klimatem radziła im przygotowywać pokarmy przyprawione rośliną La Vang oraz robić z tego ziela napary. Najprawdopodobniej roślina ta wcześniej nie była znana. Jednak od tamtej chwili jest stosowana po dziś dzień. Mimo że Matka Boża wyglądała jak typowa Wietnamka, gdyż miała na sobie strój z charakterystycznym dla dostojnych wiejskich matron złotym półksiężycem wokół głowy, to ludzie rozpoznali w niej Matkę Jezusa. Maryja z La Vang miała na sobie ubiór, jaki nosiły wszystkie Wietnamki, zarówno katoliczki, jak i buddystki. Ci, którzy spotykali ją, nabierali otuchy, zdrowieli. Kiedy więc skończyły się prześladowania, w 1820 roku wzniesiono kaplicę w jednym z miejsc, w którym ją spotykali.

Czy kult Matki Bożej z La Vang można porównać do polskiego kultu Matki Boskiej Częstochowskiej? Jak mieszkający w Polsce wietnamscy katolicy odnoszą się do Matki Boskiej Częstochowskiej?

– Byłem z Wietnamczykami z Polski kilkoma autokarami na pielgrzymce w Częstochowie, a także w Licheniu. Po drodze nad morze zwiedziliśmy również wszystkie sanktuaria maryjne. Dla nich jest to jedna i ta sama Matka Boża. U nich słowo „me” oznacza „mama”. Do Maryi zwracają się z miłością „Me Ma-ria”. W mentalności Wietnamczyków – nie tylko katolików, ale także buddystów – postać Matki Bożej jest źródłem natchnienia. Można powiedzieć, że Wietnamczycy mają maryjność w sobie. Dlatego też ich szacunek wobec Matki Bożej z La Vang śmiało można porównać ze stosunkiem Polaków do Matki Boskiej Częstochowskiej. Począwszy od 1801 roku, miejsce, w którym objawiła się Matka Boża z La Vang, otaczane jest stale rosnącym kultem, podobnie jak ikona na Jasnej Górze. Wszystko, co dzieje

się w wietnamskim Kościele, dzieje się pod patronatem Matki Bożej z La Vang. Kaplicę, która stała się sanktuarium maryjnym, w 1885 roku zburzył fanatyczny przeciwnik Kościoła. Została ona jednak odbudowana. Sanktuarium w La Vang ustanowiono w 1959 roku. W 300. rocznicę obecności Kościoła w Wietnamie zostało ogłoszone oficjalnie narodowym sanktuarium. Przed rokiem 2000 wietnamski rząd planował zbudować w bezpośrednim sąsiedztwie sanktuarium dyskoteki i hotele. Wszystko było tak pomyślane, jak za komuny w Częstochowie, gdy próbowano przeciąć szlak pielgrzymi, przeprowadzając przez niego autostradę. Na szczęście władze wietnamskie wycofały się z tych dyskotekowych planów, a nawet zgadzają się na wybudowanie przy sanktuarium centrum pielgrzymkowego i rekolekcyjnego, które ma służyć formacji pielgrzymów i spotkaniom episkopatu.

Ważną postacią dla wietnamskiego Kościoła jest kardynał François Xavier Nguyễn Văn Thuận. Czy można go porównać z kard. Stefanem Wyszyńskim?

– Niewątpliwie postać kard. Văn Thuận przypomina kardynała Wyszyńskiego. Kardynał Văn Thuận był biskupem w diecezji Ciang, gdy kończyła się wojna wietnamsko-wietnamska, którą wygrali komuniści. W tym czasie, przed oficjalnym ogłoszeniem niepodległości Wietnamu, papież Paweł VI mianował go koadiutorem, czyli biskupem pomocniczym z prawem następstwa dla arcybiskupa Sajgonu, dawnej stolicy kraju. Prawie natychmiast wezwano go do pałacu prezydenckiego. Myślał, że nowe władze ucieszą się, że wraz z wolnością i niepodległością Wietnam będzie miał własnego kardynała, który jest symbolem duchowej niepodległości miejscowego Kościoła. Tymczasem Văn Thuận spędził bez procesu i wyroku sądowego 17 lat w więzieniu, w którym wiele się nacierpiał. Nie mógł się spotykać z rodziną. Zabroniono mu dostępu do książek. Nie mógł również odprawiać mszy św. Musiał nauczyć się, jak obejść wszystkie te restrykcje. Na skrawkach papieru z opakowań zapisywał swoje bardzo cenne myśli, które po wyjściu z więzienia opublikował. Dziś są one jednym z dokumentów w procesie jego beatyfikacji. Udało mu się także przechytrzyć strażników w innej ważnej dla niego kwestii. Do odprawiania mszy św. potrzebował chleba pszennego i wina. Zaprzyjaźnieni lekarze dostarczali mu na receptę lekarstwa, które bywały opakowane w pudełeczka z pszennego ciasta. Wino sam produkował z rodzynek. W ten sposób miał hostię i wino, a teksty mszalne znał na pamięć. Oczywiście musiał się z tym ukrywać. Jego świadectwo życia było tak silne, że władze więzienne co trzy miesiące

zmieniały mu strażników, gdyż każda obstawa, która pilnowała go dłużej, nawracała się.

Wietnamczycy pochodzą z Kościoła prześladowanego. Czy jest to widoczne w ich przeżywaniu wiary?

– Tak, jest to widoczne, przede wszystkim w ich silnym zmyśle oporu. Mimo że stanowią oni tylko 10% wietnamskiego społeczeństwa, to opierają się władzy przed zbytnią ingerencją w swoje sprawy. Po prześladowaniach, gdy w 1860 roku w Wietnamie zostało niecałe 200 tys. katolików, nikt nie przypuszczał, że na początku XXI wieku będzie ich w Wietnamie ok. 8,5 miliona. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że jest ich więcej, ale ze względu na wrażliwość władz komunistycznych nie chcą podbijać tej liczby. Jak po ludzku wyjaśnić ten wzrost? Naturalny przyrost absolutnie nie wyjaśnia tego, że z liczby 200 tysięcy liczba katolików w ciągu 150 lat (od prześladowań) wzrosła do ponad 8 milionów. To jest fizycznie niemożliwe. Liczba chrześcijan wzrastała dzięki ewangelizacji, która była bardzo owocna mimo prześladowań. Katolicy wietnamscy są więc silni i wierni chrześcijaństwu. Gdy zaś jest taka potrzeba, to w przeciwieństwie do buddystów, którzy przyklaskują władzy, chrześcijanie stawiają opór. Dwa lata temu w diecezji Vinh aresztowano księdza i kilku katolików. Wtedy to stało się w Wietnamie coś niespotykanego. Po raz pierwszy w historii pół miliona ludzi zgromadziło się w stolicy tej prowincji. Katolicy zalali całe miasto i protestowali pokojowo przeciwko zatrzymaniu braci. Pokazali wtedy swoją siłę. Tego pokojowego nieposłuszeństwa obywatelskiego mogli się nauczyć od Gandhiego z pobliskich Indii, ale widać także, że silny wpływ ma na nich chrześcijaństwo. Buddyści patrzą na katolików z podziwem. Prześladowania religijne sprawiają, że wierni i kapłani muszą trzymać się razem, co może zaowocować pewnym klerykalizmem. Pozycja księdza i wymagania, które stawia parafii, wykraczają bowiem często poza faktyczne potrzeby. Taka jest jednak pozycja duchownego w kościele, gdzie lokalny ksiądz jest punktem zakorzenienia. Nie można mu powiedzieć, że przyniósł obcą religię. Także wolność od więzów rodzinnych i małżeńskich sprawia, że śmielej może się upominać o prawa katolików. Należy podkreślić, że prześladowania katolików w Wietnamie wciąż trwają. Nie tak dawno władze dystryktu w Centralnym Płaskowyżu zmusiły mieszkańców jednej z wiosek do usunięcia z kaplicy obrazu Maryi i krzyża, a w ich miejsce powiesili dwa portrety „wujka” Ho Chi Minha. Kandydaci do kapłaństwa muszą mieć zgodę władz partyjnych na udzielenie święceń.

Wietnam wchodził kiedyś w skład francuskich Indochin. Czy

w wietnamskim katolicyzmie widać francuskie naleciałości?

– Widać francuskie wpływy, choć one maleją. Należy podkreślić, że Portugalczycy jako pierwsi zapisali język wietnamski za pomocą łacińskich znaków. Natomiast Francuzi zapisali język wietnamski przy użyciu znaków diakrytycznych. Oni uchwycili specyfikę języka wietnamskiego, który jest językiem tonalnym i ma sześć tonów do każdej samogłoski. Stąd też większość wyrazów wietnamskich to są wyrazy jednosylabowe, np. św. Józef to Giu-se. Gdyby to było napisane razem, nie potrafiliby tego wymówić. Francuskie wpływy są także widoczne w zwyczajach oraz w teologii, która ma rys francuski. Widoczne są także wpływy w architekturze. Kościoły w Wietnamie były budowane według wzorów katedry Notre Dame i innych francuskich kościołów. Do końca XIX wieku misjonarze europejscy uważali, że to, co najpiękniejsze, jest w Europie. Jest jednak jeden wyjątek, kościół w Phat Diem, który zbudowano według wzorów wietnamskich.

Czy istnieje w takim razie coś takiego jak wietnamska duchowość?

– Istnieje. Posiada ona specyficzne cechy charakterystyczne, gdyż kształtują ją zróżnicowane czynniki. Na przekonania wietnamskich katolików silny wpływ miały filozofia konfucjańska i buddyzm, które w Wietnamie kształtują środowisko społeczne, wytworzyły kulturowe sposoby życia społecznego, zwyczaje i kanony piękna. Katolicy w Wietnamie są zakorzenieni w tej rzeczywistości i kulturze buddyjsko-konfucjańskiej. Buddyzm oraz konfucjanizm nie są jednak religiami. Są przede wszystkim filozofiami życia. Buddyzm jest dodatkowo także rytuałem. Niektórzy katolicy ze względu na piękny rytuał chcieliby mieć po śmierci buddyjskie rytuały pogrzebowe. Wietnamscy katolicy zaś swoją pracowitość zawdzięczają inspiracji św. Pawła, który mówił, że kto nie pracuje, niech nie je. Podobne postawy wobec pracy głosi konfucjanizm. Poczucie odpowiedzialności katolików w Wietnamie za rodzinę jest częściowo ugruntowane również w konfucjanizmie, który przypomina ojcu rodziny o odpowiedzialności za dziecko, co polega nie tyle na przekazaniu wartości religijnych, ale na wychowaniu dziecka, aby ono było lepiej przygotowane do życia niż pokolenie rodziców.

Podobno w Wietnamie rodziny katolickie modlą się wspólnie rano i wieczorem. Podchodzą także bardzo poważnie do religii. Czy jest więcej podobnych przykładów życia duchowego wietnamskich katolików? Czego polscy katolicy mogliby się nauczyć od swoich wietnamskich braci?

– Gdyby Polak był w Wietnamie, to miałby się czego nauczyć, gdyż tam Wietnamczycy są sobą. Niestety, w Polsce i w Europie już nie. Zewnętrzne warunki wymuszają na nich istotne zmiany zachowania i bycia. Przyjechali tu za chlebem i to jest ich priorytet. Zadziwiające jest jednak, że w tak odmiennych okolicznościach zachowują sporo wietnamskiej kultury i religijności. Są pewne rzeczy, które moglibyśmy naśladować. W okresie Bożego Narodzenia spotykaliśmy się w Warszawie w grupach z różnych rejonów Wietnamu. Nie były to tylko towarzyskie spotkania rodaków. To były okazje do wyrażenia łączności z rodzinnymi stronami. Zazwyczaj zamawiali wtedy specjalną mszę św., a następnie spotykali się w restauracji na składkowym przyjęciu. Przy tej okazji zbierali wśród siebie pieniądze na rzecz swoich parafii w Wietnamie czy jakiegoś projektu w swoich miejscowościach. Każdy dawał co najmniej 200 zł, a to są dla nich duże pieniądze. Następnie te pieniądze przekazywali do Wietnamu, aby wesprzeć np. wakacyjny odpoczynek osieroconych dzieci, budowę jakiejś świetlicy bądź domów dla starców. Najbardziej mnie urzekało, że nikt ich nie przymuszał. Robili to z własnej woli i poczucia solidarności z krajem. Innym przykładem jest ich modlitwa. Podczas swojej posługi duszpasterskiej odwiedzałem w niedziele mieszkania, w których mieszkali sami mężczyźni, ojcowie rodzin i młodzieńcy, którzy przyjechali do Polski zarobić i wrócić z pieniędzmi do Wietnamu. W niektórych mieszkaniach było ich 9, a nawet 12. Po wspólnym posiłku przychodził moment, gdy wszyscy brali różaniec i razem głośno się modlili. To robiło na mnie ogromne wrażenie. Nie rozumiałem słów, ale rytm modlitwy zadziwiał swoją mocą. Słyszałem w tym górskie potoki Wietnamu. Tak się modlili na co dzień. Doskonale zgrane głosy świadczyły, że nie była to modlitwa na pokaz. Nie wstydzili się jej.

Innym razem przed Wielkanocą zgłosił się do mnie Wietnamczyk, który chciał się wyspowiadać. Jego determinacja, aby spełnić przykazanie spowiedzi wielkanocnej, była tak wielka, że spisał swoje winy po wietnamsku na kartce i przyszedł z innym Wietnamczykiem, znającym język polski. Ten z kolei przetłumaczył winy. Polacy mogliby od nich uczyć się tej determinacji i przywiązania do sakramentów. Wietnamscy katolicy przyciągają do siebie innych ludzi, gdyż są zdecydowani i wymagający. Tamtejszy Kościół nie zaniedbuje swoich podstawowych zadań. Konferencja Episkopatu Wietnamu ma w swoich strukturach specjalną komisję misyjną powołaną do apostolatu wśród innych Wietnamczyków. Wietnam, w którym katolicy stanowią ok. 10% społeczeństwa, jest krajem misyjnym. Działa tam bardzo aktywnie apostolat Caritasu, który daje autentyczne

świadectwo chrześcijańskiej pomocy. Diecezjalne oddziały tej organizacji otaczają opieką wszystkich Wietnamczyków, niezależnie od ich przynależności religijnej. Dla buddystów sprawa zaangażowania społecznego jest mniej popularna, ponieważ w buddyzmie panuje przekonanie, że istnieje karma, której nie powinno się przeciwstawiać. Każdy musi przejść wszystkie etapy swego samodoskonalenia. Toteż litość, współczucie i pomoc mogą zakłócić proces dążenia do nirwany. Wietnamscy buddyści dopiero od katolików uczą się miłosierdzia i pomocy drugiemu człowiekowi.

Jest też inna sprawa, w której katolicy i buddyści znajdują wzajemne zrozumienie i pole współpracy. Szacunek dla życia i zakaz zadawania cierpienia istotom żywym sprawiają, że katolicy i buddyści podzielają stanowisko w sprawach szacunku dla życia nienarodzonych.

W Wietnamie ponad połowa ludności to buddyści. Czy wśród Wietnamczyków mieszkających w Polsce jest podobnie?

– Trudno określić dokładne proporcje, ale przypuszczam, że tak. W Warszawie mieszka ok. 30 tys. Wietnamczyków. Wspólnota wietnamskich katolików w Warszawie liczy ok. 600 osób. Nie oznacza to jednak, że pozostali są tylko buddystami. Wiele osób przybyło i zostało w Polsce za zgodą i wiedzą reżimu komunistycznego. Przed 1989 rokiem przyjeżdżali do Polski partyjni towarzysze w nagrodę w ramach wspólnoty socjalistycznej. Przyjeżdżali też na studia synowie i córki bogatych bonzów partyjnych, którzy budowali w Polsce dla swoich dzieci bezpieczną przystań. W Wietnamie musieliby walczyć w armii. W Polsce natomiast przygotowywali się do pełnienia po powrocie ważnych funkcji politycznych i społecznych. Ta grupa rekrutowała się spośród zdeklarowanych ateistycznie. Dlatego też pewna część wietnamskiej diaspory w Warszawie nie wyznaje żadnej religii.

Czy wielu Wietnamczyków jest ateistami?

– Jest to spora grupa. Generalnie jednak są to ludzie o postawach oportunistycznych. Zmagania o byt, bariery językowe i inne życiowe problemy utrudniają im głębszą refleksje dotyczącą wiary i religii. Innymi słowy egzystencja zasłania im oczy. Rekrutują się oni głównie z kręgów buddyjskich. Zarówno konfucjanizm, jak i buddyzm należą w Wietnamie bardziej do folkloru i kultury niż do religii. W buddyzmie człowiek sam się doskonali. Jego celem jest nirwana, czyli całkowite zatopienie własnej indywidualności i samoświadomości w oceanie szczęścia. Dążenie do szczęścia powoduje, że przestaje

się istnieć. Buddyzm ma dwie warstwy. Jedna jest religijna i przeznaczona dla wybranych, czyli mnichów. Kiedy nastał komunizm, pozamykano wiele klasztorów buddyjskich, gdyż władza wietnamska nie akceptuje religii. W tych, które jeszcze istnieją, funkcję przełożonych pełnią wydelegowani funkcjonariusze partyjni. Druga warstwa to folklor, czyli warstwa obyczajowa i kulturowa przeznaczona dla wszystkich ludzi – obrzędy: pogrzeb czy odwiedzanie świątyni, żeby zapalić kadzidełko za zmarłych lub otrzymać błogosławieństwo w dniu urodzin Buddy. Gdy umrze ktoś z rodziny, to również komunista przyjdzie do świątyni, pokłoni się i zapali kadzidełko. Nie traktuje on jednak tej ceremonii jako wyrazu religijnej pobożności. Jest to dla niego wypełnienie rytuału. W ten sposób oddaje się cześć zmarłej matce, ojcu czy innym zmarłym przodkom. Niekoniecznie jest to znak religijności.

Jak wyglądają relacje między wietnamskimi buddystami a wietnamskimi katolikami mieszkającymi w Polsce? Czy są to odrębne środowiska?

– Te środowiska przenikają się nawzajem. My bardzo często nie uwzględniamy specyfiki społeczności azjatyckich, w których kwestia poglądów religijnych nie jest najważniejszym punktem porozumienia. W jednej rodzinie mogą być katolik oraz buddysta i ateista. Nie będzie to zarzewiem żadnego konfliktu, jak długo sprawy toczą się na gruncie rodzinnym. Więzy rodzinne i plemienne są dla nich ważniejsze od więzów religijnych czy światopoglądowych. Jest wśród nich wrodzona tolerancja dla poglądów drugiego człowieka. Zasadniczo unikają konfrontacji światopoglądowej czy ideologicznej. Są pewne różnice na polu kulturowym między wietnamskimi buddystami i katolikami. Wietnamskie przyjęcia weselne w Polsce odbywają się w restauracjach takich jak np. restauracja Que Huong na placu Zbawiciela. W takich restauracjach jest polska obsługa. Czasem słyszałem od kelnerów, że wolą pracować podczas katolickich wesel. Wtedy ponoć goście są grzeczniejsi, mniej pretensjonalni i mniej roszczeniowi.

Czy wśród Wietnamczyków mieszkających w Polsce dochodzi do konwersji na katolicyzm i jak jest to odbierane przez ich rodziny?

– Przy konwersji na katolicyzm buddyści nie spotykają się z negatywną reakcją rodziny. Najczęściej takie konwersje mają miejsce przy zawieraniu małżeństw, gdy jedna strona jest katolicka, a druga buddyjska. Wtedy to katolicy bardzo usilnie nalegają, żeby wyznawać jedną wiarę, gdyż tylko wtedy małżeństwo ma szanse na sukces. Albo

więc jedna strona przyjmuje chrześcijaństwo, ale zdarza się też, że druga strona przyjmuje buddyzm. Są jednak także małżeństwa mieszane zawierane w Kościele. Wtedy to za zgodą biskupa strona katolicka zobowiązuje się, że uczyni wszystko, co w jej mocy, aby wychować dziecko po katolicku. Strona niekatolicka zachowuje swoją religię i nie podejmuje żadnego zobowiązania do przestrzegania praktyk religijnych. Przyjmuje jedynie do wiadomości to, że współmałżonek złożył takie zobowiązanie.

Czy w Polsce istnieje wiele par wietnamsko-polskich?

– Jest ich sporo, ale większość stanowią małżeństwa wietnamskie. Dla Wietnamczyków mieszane małżeństwa nie stanowią problemu, ale rodziny w Wietnamie starają się raczej zniechęcić do takich związków. Dla nich ważne jest, że dzieci z takich rodzin nie będą mówiły po wietnamsku, dziadkowie nie zobaczą wnuków itp. Najczęściej to żona jest Wietnamką, a mąż Polakiem. Zdarzają się jednak także pary, gdzie jest na odwrót. Te pary, w których kobieta pochodzi z Wietnamu, sprawdzają się lepiej, o ile oczywiście mąż potrafi docenić, że ma żonę z Azji. Tamtejsze kobiety są bowiem bardzo oddane. Gdyby jednak mąż nie był dla nich dobry, to potrafią uprzykrzyć mu życie. Tam z kolei, gdzie żoną jest Polka, a mężem Wietnamczyk, jest więcej trudności. Polska kobieta jest wrażliwa na partnerstwo w małżeństwie, nie pozwala na przejawy dominacji ze strony męża. Toteż tam łatwiej o konflikt, bo azjatycki mąż jest kulturowo przyzwyczajony do roli lidera w rodzinie. Trudno jednak uogólniać. Znam wiele par, które muszą pokonać trudności, i dużo takich, które doskonale sobie radzą. Zresztą wszędzie małżeństwo jest skomplikowaną sprawą.

Jaka jest rola i pozycja kobiety w wietnamskiej rodzinie?

– W wietnamskich rodzinach panuje patriarchat. Kobieta jest strażniczką ogniska domowego. Zajmuje także pozycję osoby, która musi utrzymać rodzinę. Ten patriarchat nie jest jednak wcale opresyjny. Kobieta wietnamska ma wiele do powiedzenia. Bez żadnych oporów zabiera głos w grupie mężczyzn i jej głos się liczy. Wietnamki w dużej mierze zawdzięczają swoją

WIETNAMSKIE PRZYJĘCIA WESELNE W POLSCE ODBYWAJĄ SIĘ W RESTAURACJACH TAKICH JAK NP. RESTAURACJA QUE HUONG NA PLACU ZBAWICIELA

wysoką pozycję wojnie wietnamskiej, która je wyemancypowała. Gdy ginęli mężczyźni, to one musiały wkroczyć na rynek pracy i zarabiać na dzieci. Ponieważ jednak rolą wietnamskiej kobiety jest także opieka nad dziećmi, to jest ona bardziej uległa od mężczyzny.

Podobno Wietnamczycy mówią do siebie „bracie". Czy robią to na gruncie religijnym, czy też narodowym?

– Mówią tak do siebie ze względów społecznych. Struktura wietnamskiego społeczeństwa oparta jest bowiem na wzorach rodziny. Wzajemne relacje są opisywane przy pomocy terminów rodzinnych – ciocia, wujek, siostra, brat, córka, ojciec. To samo dotyczy także wietnamskiego komunizmu. Kiedy ludzie spotykają się po raz pierwszy, bacznie obserwują się, czy druga osoba jest starsza, dużo starsza, czy też młodsza. Czy mogłaby być ich bratem, wujkiem, czy też synem. Wtedy wybierają, jak mają się do siebie zwracać, czy mówić: bracie, synu czy też wujku. Na przykład ze względu na wiek i pozycję polityczną mówiło się o wujku Ho Chi Minh. Bratem jest każdy Wietnamczyk, który jest w moim wieku. Ze względu na mój wiek wielu z nich zwraca się do mnie „bo", czyli tato. Ja zaś mówię do nich często „synu" – „kontrai" (czyt. konczai) – lub „córko" – „kongai". Znam pewną Wietnamkę, która ma 35 lat, ale jak większość Wietnamczyków wygląda młodziej. Pomagała mi ona kiedyś w tłumaczeniu. Wietnamczyk, który wtedy przyszedł do biura, patrzył na nią i nie mógł się zdecydować, czy według ich kryteriów jest ona już jego ciocią, czy też jeszcze siostrą. Wziął mnie na bok i zapytał, czy wiem, ile ona ma lat. Nie chciał bowiem popełnić gafy. Gdyby powiedział do niej „ciociu", a ona byłaby od niego młodsza, to mógłby ją obrazić, gdyż ją postarzał. Jeżeli zaś powiedziałby do niej „siostro", a ona byłaby od niego starsza, okazałby jej w ten sposób brak szacunku. Takie właśnie dylematy występują często wśród Wietnamczyków.

Wietnamczycy uchodzą za osoby bardzo pracowite. Podobno przez to też zaniedbują uczestnictwo w mszach św.

– Wietnamscy katolicy w Polsce nie w każdą niedzielę chodzą do kościoła. Składa się na to jednak o wiele więcej powodów niż tylko ich pracowitość. Jednym z nich jest to, że w kościołach mówi się tylko po polsku i oni zwyczajnie nic nie rozumieją. Dodatkowo z powodu swojej karnacji skóry i oczu nie czują się komfortowo, gdy ktoś się im ciągle przygląda. Jest w Warszawie kościół przy ul. Ostrobramskiej, gdzie odprawiane są msze św. w języku wietnamskim. Tu także pojawiają się przeszkody. Nieraz bowiem na msze św.

muszą dojechać z drugiego krańca Warszawy. Wietnamczycy o nieuregulowanej sytuacji prawnej boją się podróżować komunikacją miejską, gdyż mogą trafić albo na policję, albo narkomanów, którzy będą chcieli wyciągnąć od nich pieniądze. Bezpiecznie czują się tylko w taksówce, a taksówka z Okęcia na Ostrobramską kosztuje minimum 40 zł. Czasami więc na wizytę w świątyni muszą przeznaczyć znaczną część swego zarobku. Nie można się dziwić, że pierwsza generacja Wietnamczyków nie uczęszcza do kościoła w Polsce tak gorliwie, jak robiliby to w Wietnamie. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że przynajmniej raz w miesiącu pokonują tę odległość i dojeżdżają na Ostrobramską. Warto o tym wiedzieć i docenić, że my w Polsce nie musimy płacić za możliwość uczestnictwa w mszy św. i możemy pójść spacerkiem do najbliższego kościoła.

Wspólnota Katolików Wietnamskich w Polsce, powstała w 1996 roku. Pierwsza wietnamska msza św. w Polsce odbyła się 8 lipca 2000 roku w Domu Misyjnym Ducha Świętego. Gdzie obecnie odbywają się msze dla Wietnamczyków? Czy wietnamscy katolicy chcieliby mieć własną parafię w Warszawie?

– Ojciec Joachim Võ Tánh Khanh i ojciec Józef Nguyen Huy Them – wietnamscy duchowni, którzy sprawują w Polsce razem duszpasterstwo wśród Wietnamczyków, odprawiają msze św. w wielu miejscach. Odkąd zamknięto Stadion Dziesięciolecia, wietnamskie życie w stolicy rozproszyło się i przesunęło do Wólki Kosowskiej, na Bakalarską i w stronę Białołęki, na Marywilską. Kościół na Ostrobramskiej stracił na znaczeniu, ale nadal pozostaje szczególnym miejscem dla wspólnoty. Nadal odbywają się tam największe uroczystości. To było miejsce, w którym Wietnamczycy czuli się u siebie. Proboszcz parafii ks. Zenon Majcher zawsze okazywał im życzliwość i gościnność. Parafianie również darzyli wietnamskich współwyznawców z sympatią. Ponadto służby mundurowe z taktem i zrozumieniem ograniczały swoje czynności do niezbędnych. Mieliśmy wtedy niepisaną umowę ze stróżami prawa, że nie będą utrudniali życia Wietnamczykom udającym się na mszę do kościoła na Ostrobramskiej. Katolicy wietnamscy otrzymywali ode mnie legitymację, w której znajdowała się deklaracja, że jej posiadacz jest katolikiem i w razie trudności prosi o moją posługę. Wspólnota katolików pielęgnuje wdzięczną pamięć o gościnności u Matki Bożej Ostrobramskiej. Marzyli jednak o bardziej centralnym miejscu do spotkań. Pojawiła się nawet możliwość, aby uzyskać cały kościół na wyłączne potrzeby wietnamskich katolików. Obiekt był jednak trochę na uboczu Warszawy. Warunki

komunikacyjne nie były zbyt atrakcyjne. Pomysł więc upadł. Wietnamczycy nadal chcieliby mieć własną parafię, ale 600 osób rozproszonych po całej Warszawie i przedmieściach na pewno to utrudnia. Teraz w kilku miejscach są różne pokoje modlitw, jak np. obok Centrum Hal Targowych przy Marywilskiej czy w Wólce Kosowskiej. Miejsca te mają podstawową zaletę, mianowicie znajdują się najbliżej miejsc zamieszkania. Dużo łatwiej dotrzeć tam na mszę św., prędzej można wrócić do domu. W dalszej pespektywie te miejsca modlitwy są tymczasowe, gdyż następne pokolenie, pokolenie dzieci wietnamskich urodzonych w Polsce, z biegiem czasu najprawdopodobniej pójdzie do polskich parafii ze względu na polskich kolegów i koleżanki. Bardzo ważne jest, aby uzmysłowić sobie, że wietnamscy katolicy w Polsce nie tylko potrzebują opieki polskiego Kościoła lokalnego, ale także ubogacają go swoją obecnością i wzmacniają silne poczucie powszechności całego Kościoła.

Wietnamscy katolicy dochowali się wietnamskich duszpasterzy. Czy wśród wietnamskich katolików w Polsce liczne są powołania do kapłaństwa?

– W Polsce nie ma jeszcze wietnamskich powołań. Powołania byłyby, ale istnieje zasadniczy problem. Kandydaci, którzy się zgłaszali, nie spełniali warunków formalnych, tzn. mieli niekompletne wykształcenie średnie, brakowało im znajomości języka polskiego, mieli pewne zobowiązania finansowe wobec bliskich. Aby zdobyć wykształcenie, musieliby zrezygnować z pracy i pójść do szkoły średniej. Nie mogliby wtedy pomagać swoim rodzicom. Miałem kilkanaście zgłoszeń, ale ich przyjęcie było niemożliwe. Należy zauważyć, że w wietnamskiej diasporze jest mało dzieci. Te, które rodzą się w Polsce, gdy mają dwa latka, często są wysyłane do dziadków do Wietnamu. Te z kolei, które zostają, doskonale mówią po polsku. W przyszłości być może właśnie z tego spolonizowanego pokolenia będą powołania do kapłaństwa. Jest to bardzo możliwe. Taką nadzieję umacnia fakt, że w Stanach Zjednoczonych aż 70% powołań wywodzi się ze środowiska wietnamskiego. W Australii ten procent jest jeszcze wyższy. Wietnamczycy biją na głowę nawet Filipińczyków i Polaków. Można się spodziewać, że w przyszłości również do polskich seminariów będą wstępowali Wietnamczycy z Warszawy.

Czy Wietnamczycy są otwarci na polską wersję katolicyzmu? Czy naśladują nas w przeżywaniu świąt?

– Najpierw trzeba zauważyć, że liturgia katolicka jest powszechnie znana i ce-

lebrowana. Toteż różnorodność odnosi się do spraw mniej istotnych, czyli języka, pieśni, obrzędowości... Wietnamscy katolicy w Polsce pewne elementy przyjmują z polskich zwyczajów, pewne zwyczaje wietnamskie podtrzymują, a niektóre tworzą od nowa, gdyż sytuacja w Polsce jest odmienna. Na przykład świętowanie Bożego Narodzenia czy Wielkanocy w Wietnamie po liturgii jest kontynuowane w domu, dokąd zaprasza się rodziny. W Polsce świętuje się z dala od domu, ale wśród rodaków. Wszyscy mieszkają rozproszeni po Warszawie. Toteż zamiast zapraszać się do domów, organizują świąteczne przyjęcia w restauracji. W Wietnamie takie świętowanie nie jest praktykowane, ale w Polsce jest to bardzo praktyczne rozwiązanie, dzięki któremu wspólnota się konsoliduje. Jest to przejaw nowej kultury religijnej.

Po pasterce w kościele Najświętszego Zbawiciela wszyscy idą do pobliskiej restauracji, gdzie wspólnie radują się ze świąt. Zasiadając do suto zastawionego stołu, często napomykają, że w Polsce mogą sobie pozwolić na świętowanie w restauracji. W Wietnamie nie zawsze mogli najeść się do syta ani też nie było wiele okazji do bycia w restauracji. Jedzenie poza domem było raczej wyjątkiem i luksusem.

Przejmują od nas także inne zwyczaje. W otoczce pierwszokomunijnej naśladują nas całkowicie. Jeśli chodzi zaś o wesela, wprowadzają wybiórczo poszczególne elementy. W zeszłym roku w Grudziądzu znajomi Wietnamczycy zaprosili na pierwszokomunijne przyjęcie, które urządzili w swojej restauracji, 20 gości. W Wietnamie tak by nie zrobili. Jeśli chodzi o wesela, to chociaż śpiewają prawie wyłącznie piosenki w języku wietnamskim, to jednak nie może zabraknąć polskiego „Sto lat". Bardzo im się podoba polski zwyczaj witania nowożeńców chlebem i solą. Na niektóre wesela młodzi Wietnamczycy zapraszają polskie zespoły muzyczne. Należy jednak zaznaczyć, że w przeciwieństwie do naszych wesel, wietnamskie wesela to ogromnie poważna uroczystość. Pan młody zazwyczaj jest ubrany tradycyjnie w czarny garnitur, pani młoda w piękną białą suknię. Państwo młodzi oraz drużbowie siedzą przy prezydialnym stole ustawionym osobno, na podwyższeniu. Są bardzo poważni, ledwie się uśmiechają przez całe wesele, bo nie wypada się śmiać. Goście i reszta rodziny siedzą zaś w innych częściach sali. Posiłek weselny trwa około dwóch – trzech godzin. W tym czasie się nie tańczy. Każde wesele ma swojego wodzireja, który zabawia towarzystwo, opowiadając dowcipy, organizuje gości, żeby we właściwym momencie składali życzenia nowożeńcom. Utalentowani goście składają życzenia śpiewająco, w stylu karaoke. Taki mają obyczaj. O godzinie 22 starsi goście rozchodzą się do swoich domów i wtedy mło-

dzież może rozpocząć tańce. Ten rys jest nowy. W Wietnamie nie tańczy się na weselach. W Polsce tańce bardzo przypadły im do gustu. Młodzi Wietnamczycy mówili mi nieraz: „Ojcze, my tylko w Polsce tak tańczymy. Niedobrze, żeby w Wietnamie ktoś się o tym dowiedział". Tańczą z pewnym poczuciem, że robią coś niewłaściwego.

Czym jeszcze różni się wietnamskie wesele od wesela polskiego?

– Gdy w Polsce odbywa się wietnamskie wesele, to mimo ogromnej odległości i różnicy czasu jednocześnie w Wietnamie aranżowane jest równoległe przyjęcie weselne dla rodziny, która nie mogła tu przyjechać. W momencie centralnych punktów wesela grzeją się telefony, bo rodzina bezpośrednio z Wietnamu składa życzenia. Na wietnamskie wesela zaprasza się jak najwięcej osób. Jest to bowiem dla nich nie tylko okazja do wspólnego świętowania, lecz także do wsparcia nowej rodziny na dalsze życie. Każdy gość przychodzi z prezentem w kopercie. Najczęściej jest to 200 dolarów. Dzięki temu młodzi mogą planować konkretne przedsięwzięcia. Podczas posiłków ich usta się nie zamykają, bo bez przerwy albo jedzą, albo rozmawiają. Rozmowa przy jedzeniu jest dla nich istotnym elementem życia towarzyskiego. Zanim jednak dojdzie do wesela, młoda para wraz z rodzicami i drużbami jedzie na sesję zdjęciową. Ulubionymi przez Wietnamczyków miejscami ślubnej sesji są pałac w Wilanowie, Zamek Królewski, Stare Miasto. W tym czasie robią sobie mnóstwo zdjęć. Nieraz żartowałem z nimi, że jak rodzi się Wietnamczyk, to najpierw pojawia się ręka z aparatem, aby zrobić zdjęcie główki, która ma się zaraz pokazać.

Wspomniał ksiądz o znajdującej się na stołecznym placu Zbawiciela wietnamskiej restauracji Que Huong. Jaką rolę odgrywa to miejsce wśród wietnamskiej diaspory w Warszawie?

– Restauracja Que Huong jest dla Wietnamczyków jednym z ważniejszych punktów w Warszawie. Jest wystarczająco duża. Wystrój jest azjatycki. Panuje w niej swojski klimat. Każda restauracja jest jak kawałek Wietnamu w Polsce. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, że żadna z większych inwestycji, takich jak Que Huong, nie mogłaby zaistnieć, gdyby nie było wsparcia wietnamskiej ambasady. Jest oczywiste, że takimi miejscami gromadzącymi Wietnamczyków interesują się wietnamskie służby. Ambasada chce przecież kontrolować nastroje obywateli. Toteż na różne sposoby stara się podporządkować sobie wszystkich niezależnych właścicieli biznesu. Robi to na przykład przez wietnamską klientelę. Duże wietnamskie restaura-

cje prosperują dzięki przyjęciom weselnym i innym. Wystarczy zniechęcić nowożeńców do organizowania swoich imprez w jakiejś restauracji, żeby spowodować kłopoty finansowe, bo każde wesele to poważny dochód.

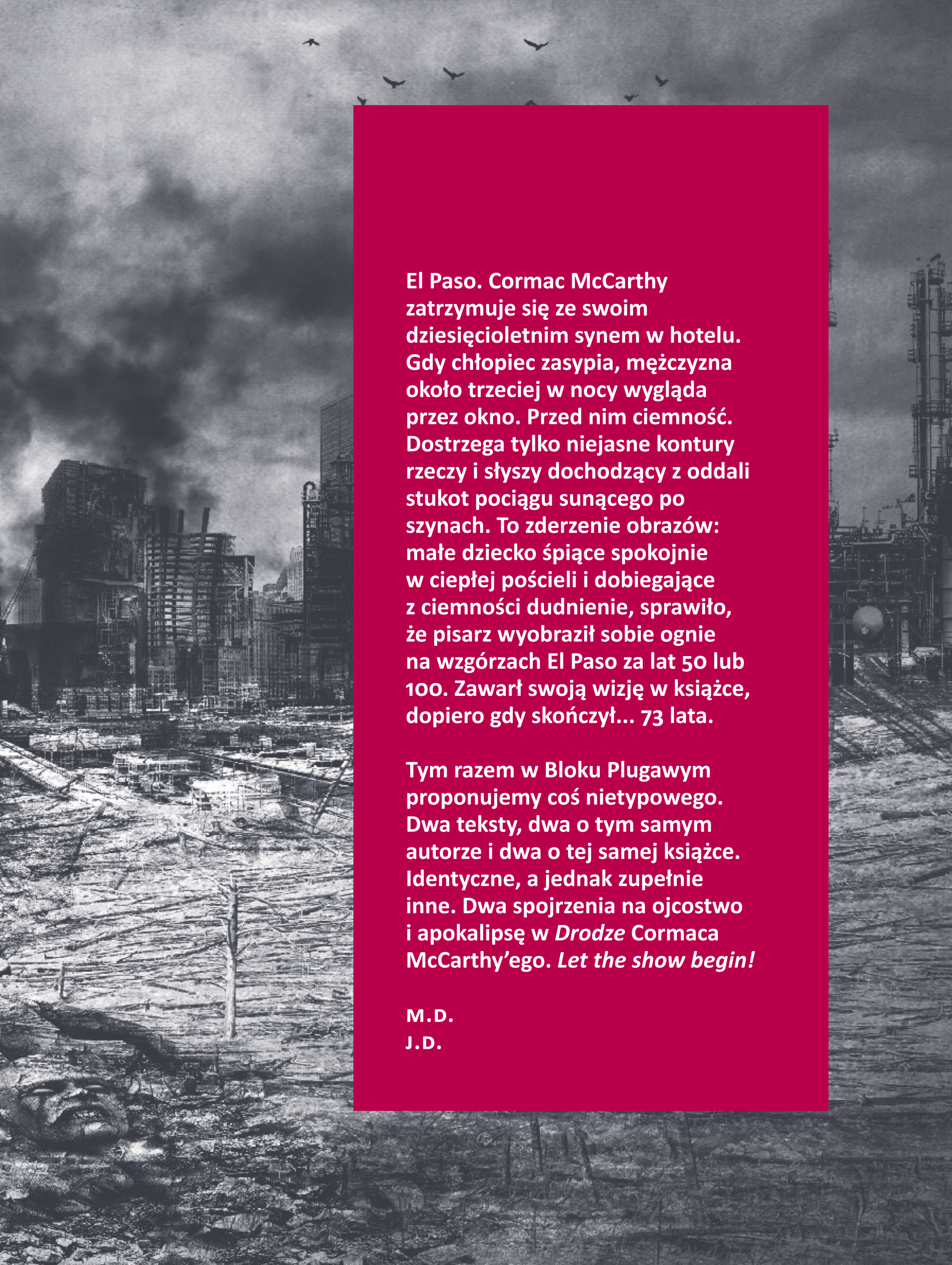
W niektórych wietnamskich barach i restauracjach widoczne są ołtarzyki, przy których składane są ofiary z jedzenia. Czy w lokalach należących do wietnamskich katolików także można zobaczyć podobne ołtarzyki?

– Większość Wietnamczyków przywiązuje wagę do zapewnienia sobie opieki i błogosławieństwa gdzieś z zaświatów. Stąd posążki Buddy, figurki, ołtarzyki i kadzidełka. Katolicy bardzo rzadko urządzają ołtarzyki z Buddą, chociaż może się to zdarzyć. Zasadniczo jednak wystrzegają się takich praktyk. W katolickich domach i lokalach na ołtarzyku można dostrzec figurkę Maryi Panny. Posążek Buddy, szczególnie Buddy otyłego, zaokrąglonego i uśmiechającego się, jest w świadomości powszechnej symbolem pomyślności i obfitości materialnej. W świątyniach można zobaczyć raczej ascetyczne i dostojne posążki Buddy. Buddę otyłego, z wielkim brzuchem, spotykamy w miejscach, gdzie robi się biznes. Taki Budda jest raczej kulturową, a nie religijną demonstracją pomyślności, Jest niczym znajdująca się w polskich domach podkowa na szczęście. Składanie ofiar z jedzenia na tych ołtarzykach niekoniecznie jest bałwochwalstwem, gdyż Budda nie jest uważany za boga. Buddyzm, jeżeli już mówić, że jest religią, to jest religią ateistyczną, w której nie ma miejsca dla Boga. Trudno więc mówić o bałwochwalstwie. Niemniej katolicy zachowują dystans do umieszczania Buddy na ołtarzyku, gdyż uważają, że może to stanowić duchowe niebezpieczeństwo. **Ω**

KONIEC CZĘŚCI I

KS. EDWARD OSIECKI – misjonarz ze Zgromadzenia Ojców Werbistów. W latach 1985–1995 pracował na misji w Papui Nowej Gwinei. Po powrocie do Polski został duszpasterzem środowisk uchodźców w Polsce. Jest współtwórcą Ośrodka Migranta w Warszawie oraz wydawnictwa Werbinum.





El Paso. Cormac McCarthy zatrzymuje się ze swoim dziesięcioletnim synem w hotelu. Gdy chłopiec zasypia, mężczyzna około trzeciej w nocy wygląda przez okno. Przed nim ciemność. Dostrzega tylko niejasne kontury rzeczy i słyszy dochodzący z oddali stukot pociągu sunącego po szynach. To zderzenie obrazów: małe dziecko śpiące spokojnie w ciepłej pościeli i dobiegające z ciemności dudnienie, sprawiło, że pisarz wyobraził sobie ognie na wzgórzach El Paso za lat 50 lub 100. Zawarł swoją wizję w książce, dopiero gdy skończył... 73 lata.

Tym razem w Bloku Plugawym proponujemy coś nietypowego. Dwa teksty, dwa o tym samym autorze i dwa o tej samej książce. Identyczne, a jednak zupełnie inne. Dwa spojrzenia na ojcostwo i apokalipsę w *Drodze* Cormaca McCarthy'ego. *Let the show begin!*

M.D.
J.D.



Marcin Darmas

OJCIEC I SYN NA DRODZE

Jeślibym pragnął jeszcze kimś
w życiu zostać, to tylko synem
WIESŁAW MYŚLIWSKI

W *Drodze* nie ma wspomnień, żaden z bohaterów nie został zaopatrzony przez McCarthy'ego w przeszłość

Z *bliskości* powstały świat i miłość. A następnie dopiero, na mocy *dystansu,* chwała i autorytet. Najpierw narodziły się zmysłowe Ateny, „nauczycielki całej Grecji", potem potęga i blask prawa Cesarstwa Rzymskiego. Założyciele amerykańskiej demokracji byli ojcami, mówi się przecież o ojcach założycielach. Republika Francuska powstała z nadania kobiety, z Wolności stojącej na barykadzie, z wypiętą dumnie piersią na obrazie Delacroix. A przyklejeni do jej stóp zalegli martwi synowie, związani z rodzicielką Wolnością nieskończonością węzłów…

Konsensus znajdziemy u matki, prawo ustanawia ojcowska pięść. Najbliżej jest matka, najdalej – ojciec. Niezwykle ważną figurą w wyobrażeniach rosyjskich jest czekająca na swojego Saszkę *babuszka*. Uzdrowicielka i pocieszycielka zarówno bliska, jak i daleka. U nas *chłopca* idącego na insurekcję żegna pocałunkiem w czoło Matka Polka.

Na śmierć prowadzi „płaczący generał", który w pijanym widzie wydaje rozkaz ostatniej szarży. Choć dwusylabowe tchnienie ginącego żołnierza jest zawsze powtórzeniem pierwszego wyartykułowanego przez dziecko słowa – *mama*.

Wobec ojca czuć można tylko trwogę i lęk. Matka toleruje, wysłuchuje, zawsze cierpliwie, zawsze z oddaniem – jest poza czasem. Do ojca można tylko mieć żal, bo w jego oczach nadal będziemy *niespełnieni,* dlań będziemy stanowić projekt *nieprawidłowy* i *niedokończony;* z brutalną przenikliwo-

ścią ojciec dostrzeże w oczach dziecka własne błędy i będzie mu je wytykać. Ojciec lokuje nas w przyszłości, pozostawia nas na pastwę przemijania i trudu stawania się samemu rodzicem, potem stopniowego rozkładu; *i nagle człowiek ten znika, tam w nieznanym, ty zaś sam pozostajesz nad przepaścią i zaglądasz w nią*, jak pisał Tołstoj. Stajesz się miłością matki, myślami ojca i musisz już robić miejsce dla innych rodziców, zaglądasz w nieznane i znikasz wciągnięty nagle albo długo.

Obraz dziecka jest dla matki zawsze zamazany, wbrew prawdzie rzeczywistej. Największy nikczemnik i padalec znajdzie u matki *zrozumienie* i *spełnienie*. Wystarczy pobieżny rzut oka na salę widzeń…

Ciepło wypływa z łona matki, ale nad nami zawsze wisieć będzie zimna ręka karzącego ojca. Po matce należy spodziewać się dobra, po ojcu – *nazwiska*. *Będziesz miał za to wszystko tym jednym podpisem zapłacone* – mówi ojciec do syna w *Nagim sadzie* Myśliwskiego. – *Staniesz się wreszcie imienny. A przecież o to ci zawsze chodziło. O imienność. Bo czymże innym jest człowiek, jeśli nie imieniem*. Z zerwania z ojcem wykluwa się tożsamość: *Ojciec – wielki Inny,* le grand Autre*, jak nazywa go Lacan – wchodząc pomiędzy dziecko a matkę, umożliwia dopiero separację i ostateczne ustanowienia Ja, które będzie odtąd zawsze zawieszone pomiędzy schizofreniczną dezintegracją a paranoiczną hiperintegracją w iluzji* imago*, między rozpadem zatem a tożsamością, która – wykluczywszy wszelką różnicę – zastyga w sztywnej masce śmierci duchowej* (Wawrzyniec Rymkiewicz).

Każde pęknięcie w ludzkim życiorysie objawia nam prawdę o *jestestwie*. Zimno prawdy znajduje się w figurze ojca. Wyobrażenia są matczyne. Jej opuszczać nie należy, jego opuszczać trzeba jak najprędzej.

Ty, człowiek będący dla mnie wielkim wzorem, Ty sam nie trzymałeś się tych nakazów, które na mnie nakładałeś. Przez to świat dzielił się na trzy części: jedną, gdzie ja, niewolnik, żyłem wśród praw wymyślonych tylko dla mnie i którym na domiar, nie wiedzieć czemu, nigdy w pełni nie mogłem sprostać – następnie drugi świat, nieskończenie oddalony od mojego, w którym żyłeś Ty, zajęty rządzeniem, wydawaniem rozkazów i gniewaniem się z powodu ich niespełnienia, i w końcu trzeci świat, gdzie żyli pozostali ludzie, szczęśliwi i wolni od rozkazów oraz posłuchu – w tym przypadku, z nieustannego żalu do *szorstkości* i *jałowości* powstał pisarz *lęku* i *samotności*. *Moja duma, moja próżność cierpiały wpraw-*

dzie wobec sławnego dla nas powitania moich książek: Połóż to na nocnym stoliczku! […] *Ta formuła brzmiała dla mnie jak nie przymierzając:* Teraz jesteś wolny! […] *Moje pisanie dotyczyło Ciebie, żaliłem się w nim przecież tylko, bo nie mogłem się wyżalić na Twojej piersi. Było to zamierzone pożegnanie z Tobą, rozciągnięte na długo, tyle że Ty je wymusiłeś* – wyznaje i dedykuje całe swoje pisarstwo ojcu autor *Procesu*.

W postapokaliptycznej wizji Cormaca McCarthy'ego, w drodze na południe, idą „mężczyzna" i „chłopiec". Świat się skończył, na stacji benzynowej zegar zatrzymał się na godzinie 1:17, nad głowami przestały latać ptaki, a ryby brzuchami do góry unoszą się na powierzchni oceanów, które poszarzały od pyłu. Dni się rozregulowały i są coraz krótsze. Na poboczach zardzewiałe samochody i poprzewracane autobusy. Dla garstki, której udało się przeżyć kataklizm, zaczyna się wyższa szkoła przetrwania.

Odradza się gdzieniegdzie kanibalizm, permanentny stan „wojny każdego z każdym"… *Byli niczym pielgrzymi z podań, połknięci przez jakąś granitową bestię, zagubieni w jej wnętrznościach*.

Bohaterami *Drogi* są ojciec i syn: *zaszczute zwierzątka dygoczące jak lisy w kryjówce*. Ludzi boją się najbardziej, a w dalszej kolejności głodu i zimna. Ich wędrówka przypomina żeglugę po Oceanie Indyjskim, którego skala i gwałtowność przekracza ludzkie możliwości i wyobrażenia. Reguły świata cywilizowanego zostały zawieszone. Wieczorami słyszą skowyt zabijanych i pożeranych, w oddali dzicz odprawia pogańskie rytuały, palą się ogniska i odbywają się szatańskie tańce.

Dzwoni im w uszach brutalna niepewność. *A czy my cały czas jesteśmy dobrymi ludźmi?* – pyta syn. *Tak, jesteśmy dobrymi ludźmi* – odpowiada ojciec. *I zawsze tak będzie? – Tak, zawsze tak będzie*. – *Dobrze*. Póki są razem, nie grozi im wynaturzenie. Rzadkie dialogi na tej drodze mają funkcję fatyczną, podtrzymują więź między ojcem a synem. Prawie zawsze kończą się biblijnym „dobrze" albo „to dobrze".

Pewnego dnia przeprawiają się przez betonowy most, by po kilku kilometrach dotrzeć do przydrożnej stacji benzynowej: *chłopiec stał w drzwiach. Metalowe biurko, kasa. Jakieś stare podręczniki samochodowe, napuchłe i zawilgocone. Poplamione linoleum, pofałdowane pod nieszczelnym dachem. Mężczyzna zbliżył się do biurka i przystanął. Następnie wziął do ręki słuchawkę i wykręcił numer ojcowskie-*

go domu sprzed lat. Chłopiec patrzył. Co robisz?, spytał. Mężczyzna nie odpowiada. Odkłada głuchą słuchawkę. Idą dalej.

W *Drodze* nie ma wspomnień, żaden z bohaterów nie został zaopatrzony przez McCarthy'ego w przeszłość. Nie dowiemy się również, co stało się ze światem: uderzenie komety, tsunami, katastrofa atomowa? *Gdy wszyscy wreszcie umrzemy, zostanie już tylko śmierć, a wtedy jej dni też będą policzone. Stanie na środku drogi, nie mając nic do roboty, nie mając nikogo do zabrania. I powie: Gdzie się wszyscy podziali? Tak to będzie. Co w tym złego?*

Ojciec nie potrafi dostarczyć chłopcu złudzeń: *Myślisz, że umrzemy, prawda?* – pyta dziecko. *Nie wiem. – Nie umrzemy. – Dobrze. – Ale ty mi nie wierzysz. – Nie wiem. – Dlaczego myślisz, że umrzemy? – Nie wiem. – Przestań mówić: nie wiem. – Dobrze. – Dlaczego myślisz, że umrzemy? – Bo nie mamy nic do jedzenia.* Czas dany w *Drodze* McCarthy'ego jest na kredyt, świat również. Świat pożera się po trochu. Ale ojciec i syn idą dalej. Do kolejnego przystanku. Wszystko w tej wędrówce jest skazane na niepowodzenie. To dramat przejścia, to opowieść o cienkiej granicy między człowieczeństwem a zezwierzęceniem, to wędrówka, gdzie nie sposób odróżnić postaci od cieni.

My niesiemy ogień – powtarza nieustannie rodziciel dla podtrzymania ducha. Na szlaku *mężczyzna opowiadał chłopcu historie. Były to stare historie o odwadze i sprawiedliwości*. Resztę czasu szli w milczeniu, reguła władzy i autorytetu nie znosi debat, aby przetrwać, trzeba nauczyć się wykonywać polecenia szybko, bez komentarzy: *Ty […] już wcześniej zabroniłeś mi mówić, Twoja pogróżka:* ani słowa sprzeciwu!, *i ponadto podniesiona ręka towarzyszyły mi już od dawna* (z *Listu do ojca* Kafki).

W *Drodze* McCarthy'ego ojciec żyje, aby mógł przetrwać również syn: *wiedział tylko, że dziecko to jego racja bytu*; *zdawał sobie sprawę z tego, że może być tak, jak mówiła. Że jeśli jest dobrym ojcem, tylko chłopiec stoi między nim a śmiercią; moją rolą jest troszczyć się o ciebie. Bóg mnie do tego powołał. Zabiję każdego, kto cię dotknie. Rozumiesz?*; *Ćśśś. Jestem z tobą. Nie zostawię cię. – Obiecujesz? – Tak. Obiecuję. Chciałem uciec. Żeby ich odciągnąć. Ale cię nie zostawię*.

Bóg do życia powołał syna, aby ojciec nie popadł w szaleństwo.

W drodze do nicości towarzyszy zawsze ojciec. **Ω**

Jakub Dybek

KOHELET DOSTAJE PULITZERA

To właśnie na ojcu syn opiera swoje kruche istnienie

Być może właśnie w tym tkwi słabość *Drogi* Cormaca McCarthy'ego, że nie mogła być napisana bez doświadczenia ojcostwa. Tej osmozy lęku, siły i niepewności. Prawdopodobnie w tym tkwi słabość tej książki (lub moja), że nie zrozumiem, o czym McCarthy chciał ze mną porozmawiać, dopóki nie wezmę w objęcia swojego syna lub córki.

1:17

Po pierwsze, wtórność. Współczesność do bólu i łez ograła temat apokalipsy i motyw drogi. Mieliśmy to w *Wojnie światów* Wellsa, mieliśmy po tysiąckroć w kinematografii – od wizji bez nadziei na przetrwanie, do triumfu ludzkiego geniuszu nad złym demiurgiem. *Zegary stanęły o 1:17. Długie nożyce światła, a potem seria wstrząsów* – tyle dowiadujemy się o tym, dlaczego ojciec i syn przemierzają Stany Zjednoczone po apokalipsie. Nie wiemy, czy to my ją wywołaliśmy (katastrofa ekologiczna, wojna jądrowa), czy ktoś zwyczajnie wkurwił się na homo sapiens i zdecydował o uderzeniu meteorytu. Pewni możemy być jednego – dwaj mężczyźni prowadzą przed sobą wózek z supermarketu. Wędrują w poszukiwaniu pożywienia przez opuszczone miasta, wśród mżawki szarego

popiołu padającego z nieba, wywracających się drzew, przechodzącego co jakiś czas trzęsienia ziemi, pożarów. Prostacka fabuła na 267 stronach powieści staje się koszmarem człowieka Zachodu. Tego, który ma gębę Charliego. Każdego Europejczyka składającego ofiary idolowi systemu, w którym przyszło mu dziś żyć.

KIM JEST KTOKOLWIEK?

Ta postapokaliptyczna sztukateria ma pomóc McCarthy'emu w opowiedzeniu historii o poszukiwaniu człowieczeństwa. Dlatego zbudowana została w *Drodze* cała antropologia ukazująca ludzkie skłonności w głęboko demonicznym świetle. Świat po katastrofie to już nawet nie cofnięcie się do hobbesowskiego stanu natury, w którym każdy pragnie dla siebie coraz większej mocy. To już nawet nie jest pesymistyczna wizja natury ludzkiej, w której każda jednostka postrzega siebie jako centrum. W świecie *Drogi* nie ma żadnych instytucji, aksjomatów, instancji odwoławczej. Jednostki posiadają tyle mocy, ile są w stanie zdobyć – kierują nimi już tylko zwierzęcy strach i podobne im odruchy.

> *[…] natknęli się na ślady odciśnięte w nawierzchni. Pojawiły się nagle. Przykucnął i patrzył. Nocą ktoś wyszedł z lasu i pomaszerował roztopioną szosą. Kim jest ten człowiek?, spytał chłopiec. Nie wiem. Kim jest ktokolwiek?*

Bo gdy zapanował wszechogarniający głód, ludzie zaczęli się zjadać. Oto przed bohaterami, którzy szukają czegoś jadalnego w piwnicy opuszczonego domu, ukazuje się ludzkie gniazdo, bydlęca przechowalnia istot – już tylko z wyglądu przypominających ludzi – przeznaczonych do konsumpcji. W świecie, po którym porusza się ojciec z synem, wraz z odcięciem elektryczności odcięta zostaje przeszłość, obyczajowość, kultura. Wobec apokalipsy zawieszone zostają wszelkie zasady. Jednostki postawione w obliczu końca ulegają krańcowej barbaryzacji. Jedyną formą współistnienia są luźne, istotowo plemienne zbiorowości, które zdają sobie sprawę, że gdy nie uda się znaleźć czegoś, co nadawałoby się do jedzenia, to współplemieńcy mają pełne prawo uczynienia go z ciebie.

TATO

I w tym wszystkim ojciec i syn, którzy „niosą ogień". McCarthy stworzył jedną z najbardziej poruszających, archetypiczną w istocie postać ojca we współczesnej literaturze. Jeżeli gdzieś pośród meandrów popkultury zdarzy-

ło nam się zwątpić w istnienie sztuki będącej apoteozą ojcostwa, to odnajdziemy ją właśnie w *Drodze*. To ojciec walczy o rodzinę, gdy jego żona – zrozpaczona, bez nadziei na lepszy los – decyduje się od nich odejść. Ojciec oddziela światło od cienia.

To właśnie na ojcu syn opiera swoje kruche istnienie, nieznające świata sprzed kataklizmu. A przecież chory, wątpiący, wygrażający Bogu mężczyzna (*czy masz szyję, bym mógł Cię udusić?*) żałuje, że nie umarł, zanim to wszystko się wydarzyło. Mimo to wciąż próbuje żyć. Bezustannie powtarza dziecku: *Tak właśnie postępują dobrzy ludzie. Ciągle próbują. Nie poddają się.*



Nie miłujcie świata
ani tego, co jest na świecie!
Jeśli kto miłuje świat,
nie ma w nim miłości Ojca.
(1 J 2, 15-17)

Wie, że to, czym określał się jako człowiek przez tyle lat, nie ma żadnego znaczenia. Jak w tej pozbawionej nostalgii scenie, gdy rozkłada zawartość portfela na drodze i rusza dalej. Odarty ze złudzeń, doskonale zdający sobie sprawę z beznadziejnego położenia, w jakim się znajduje, nie traci poczucia ciągłości ze światem starym. I mimo że *Nie ma szali, a dziadowie leżą martwi w ziemi*, to wciąż stać go na zadawanie sobie pytań pierwszych, które chronią go przed osunięciem się w zezwierzęcenie. *Myślisz, że twoi dziadowie patrzą? Że ważą cię na szali? Według jakich kryteriów?*. A kilkanaście stron później, nie wiadomo do kogo – do Boga, przodków? *Myślę, że może patrzą, powiedział. Wypatrują czegoś, czego nawet śmierć nie potrafi odczytać, a jeśli tego nie zobaczą, odwrócą się od nas na zawsze*.

KOHELET U OPRAH WINFREY

Największą jednak zaletą *Drogi* jest jej popularność, która dyskutowana na kanapie *The Oprah Winfrey Show* i nagrodzona Pulitzerem przemyci ducha Słowa, ducha Księgi Koheleta tym, którzy być może nigdy do niej nie zajrzeli. I to nie tylko za sprawą oręża McCarthy'ego, jakim jest umiejętność zbudowania biblijnej frazy. W tej książce pojawiają się niemal teologiczne passusy:

> *Żadnych list spraw do załatwienia. Dzień opatrznością sam dla siebie. Godzina. Nie ma żadnego później. Później jest teraz. Wszystkie rzeczy pełne wdzięku i piękna, które są bliskie sercu człowieka, mają wspólne źródło w cierpieniu. Rodzą się w żałości i popiele.*

Marność nad marnościami i wszystko marność. Powieść pełna biblijnej metaforyki, aluzji do Pisma. Mówi mężczyzna o synu:

> *Jeśli nie jest słowem Bożym, to Bóg nigdy nie przemówił.*

Od początku tej podróży traktuje go jak Dziecię. Poświęci wszystko, by chronić tego – być może ostatniego – „proroka". Dziecko stanie się dla niego głosem sumienia, czystą dobrocią, a zarazem skarbem, który należy złożyć w ofierze światu, by przywrócić mu właściwe proporcje. A gdy będzie umierał, poprosi syna, by codziennie z nim rozmawiał, i obieca mu przyszłe spotkanie.

> *Próbował rozmawiać z Bogiem, ale najlepiej było, gdy rozmawiał z ojcem, więc właśnie z nim rozmawiał i nigdy nie zapominał.*

CIEPŁE PANTOFELKI

Gdy kończę lekturę, zerkam na tylną okładkę i blurb z recenzji Jacka Dukaja. Droga *to czarna jak węgiel elegia o tym kolorowym raju, w którym żyjemy, nie zdając sobie sprawy z naszego szczęścia.*

I licząc na to, że powyższe zdanie wyrwano z kontekstu, zadaję sobie pytanie, czy to możliwe, by po przeczytaniu tej książki dojść do takich wniosków. Czyż to nie owoce owego pełnego kolorów raju ogląda ojciec wraz z synem, wędrując przez pustynię popiołów, kryjąc się przed kanibalami?

To nie afirmacja, to przestroga. **Ω**

DRAMAT POETY DRAMATEM NARODU

Żorż Ponimirski

Chciałbym powiedzieć, że nie znoszę Gałczyńskiego za to, co pisał i komu swoim piórem służył, i wreszcie za to, jakie były tego konsekwencje dla intelektualistów, którzy czytali jego teksty. Ale nie mogę, bo ilekroć z przerażeniem czytam jego propagandowe tekściki, zaraz w którymś z wierszy trafiam na przejaw geniuszu

Gałczyński tragicznym poetą był – winien brzmieć podpis pod zdjęciem Gałczyńskiego wykonanym gdzieś w latach 40. w Zakopanem. Na pierwszym planie stoi poeta z jedną ręką zaciśniętą na teczce (z wierszami? książkami? czekami? dewizami?), w drugiej ściska jakiś gałganek (a może czapkę ze sznurkami) i otulony w płaszcz patrzy gdzieś w górę (w niebo do Boga? na szczyty gór? do żony stojącej w oknie schroniska? w pustkę?). Stoi z półotwartymi ustami, jakby miał coś mówić (albo z tego zrezygnował). W jego posturze są: ból i dramat (w zmęczonej twarzy), poszukiwanie, hardość i niezłomność (w oczach żywych dumnych) i szyderstwo (w grymasie ust). Grymas na myśl o tym, że nie raz i nie dwa pisał wiersze na zamówienie, dla mamony. Najpierw swe pióro oddał Bolesławowi Piaseckiemu i razem z nim atakował Tuwimów i Słonimskich, a potem tak samo jak chwat z ONR swym geniuszem wspierał nowy komunistyczny ład. Grymas na myśl o tym, że gdzieś tam (za alkoholowym parawanikiem) kryła się dusza delikatna. Bowiem Gałczyński tragicznym poetą był…

Gałczyński tragicznym poetą był

Poeta, który patrzy na zdjęciu z Zakopanego, to w równym stopniu poeta *Poematu dla zdrajcy, Chryzostoma Bulwiecia podróży do Ciemnogrodu* czy też *Umarł Stalin*, co autor *Listu do przyjaciół*

z „Prosto z Mostu" Piaseckiego, *Romancy o trzech siostrach emigrantkach*, *Ulicy szarlatanów* wreszcie i *Pieśni o żołnierzach z Westerplatte* oraz wręcz przegenialnych *Notatek z nieudanych rekolekcji paryskich*. Autor pełen sprzeczności i paradoksów.

Najtragiczniejszy wydaje mi się jednak ten Gałczyński z „Przekroju" z lat 1946–1950, gdzie pisywał *Teatrzyk Zielona Gęś* oraz *Listy z fijołkiem*. Jak pisze w swojej książce *Niebezpieczny poeta. Konstanty Ildefons Gałczyński* Anna Arno, robił to, aby móc utrzymać rodzinę. W łącznie 180 króciutkich tekścikach komentował polską rzeczywistość: narodowe przywary, powszechny hurrapatriotyzm i pieniactwo oraz wszelkiego rodzaju stereotypy. TZG do dziś cieszy się ogromną popularnością ze względu na swoją aktualność. Nic dziwnego, że zarówno Olga Lipińska (nie tylko z powodów artystycznych), jak i kabaret Potem tworzyli występy właśnie na podstawie tekstów z *Zielonej Gęsi*. Nic też dziwnego, że poloniści z wypiekami na twarzach zaczytują się w przedstawieniach najmniejszego teatru świata.

Najgorsze jest to, że wielokrotnie nie można Ildefonsowi odmówić racji, kiedy bezlitośnie punktuje nasze negatywne cechy, kiedy wytyka durną waleczność o wszystko i nic, kłótliwość i bylejakość. Problem w tym, że tych jakże słusznych analiz dokonywał na łamach „Przekroju", kiedy w Polsce mościła się władza komunistyczna. A jej celem była walka ze wszystkim, co stare, pańskie, sanacyjne, burżuazyjne i zastąpienie tego nowym, komunistycznym, proletariackim. Całe szczęście dla wielu osób, które dzisiaj sięgają po TZG, że nie mają pojęcia, w jakie, niekiedy parszywe, konteksty te małe absurdalne tekściki były wprzęgnięte. Jak za ich pomocą programowano czytelników i jakie treści wskazywano za słuszne. Tyle dobrego, że i w latach 40. masy niewiele rozumiały z TZG, o czym świadczą listy oburzonych robotników, którzy czytając „Przekrój", natrafiali na dziwne i zawiłe (pozbawione zdrowego proletariackiego ducha) formy literackie. Nic dziwnego, do pełnego bowiem zrozumienia sztuki *Zielonej Gęsi* trzeba znać zarówno kontekst polityczny, jak i posiłkować się wiedzą o polskiej kulturze i historii (co najmniej na poziomie przedwojennej matury). Gałczyński pisał teksty do „Przekroju" za pieniądze i dla pieniędzy. Sam przyznawał, że tylko gęś żywi jego i jego rodzinę. Nie można

Tylko gęś żywi jego i jego rodzinę

o tym wymiarze tekstów zapomnieć. Postaram się przybliżyć jedynie trzy z tych przedstawień, które udało mi się zrozumieć (i się po tym zasmucić). Będzie to jednak jedynie mała próbka tego, czym Gałczyński raczył swoich czytelników.

Teatrzyk Zielona Gęś zadebiutował w 1946 roku w 57. numerze „Przekroju".

Teatrzyk Zielona Gęś
ma zaszczyt przedstawić
Potwornego wujaszka

Występują:
POTWORNY WUJASZEK
NIESZCZĘŚLIWA CIOCIA
GENERAŁ MŚCISŁAW

POTWORNY WUJASZEK: *(ocieka krwią)*
NIESZCZĘŚLIWA CIOCIA: Cóż to za nowy kawał, Alojzy?
POTWORNY WUJASZEK: Zamordowałem baronową.
NIESZCZĘŚLIWA CIOCIA: *(głucho)*
To już szósta zbrodnia w tym tygodniu. Alojzy, co się z tobą stało?
POTWORNY WUJASZEK: Nuda. Nudzę się.
NIESZCZĘŚLIWA CIOCIA: Nudzisz się? Och, jaka szkoda, że jestem sparaliżowana, bo uplotłabym sobie wianek z narcyzów i w tym wianku zatańczyłabym ci taniec Mórz Południowych. Pamiętasz, jak w Mszanie Dolnej...
POTWORNY WUJASZEK: Gdzie jest nasz kotek?
NIESZCZĘŚLIWA CIOCIA: Wyszedł na dach.

Szkoda, bo chciałem go udusić

POTWORNY WUJASZEK: Szkoda, bo chciałem go udusić. Dusić. Dusić. Nuda.
NIESZCZĘŚLIWA CIOCIA: Och, uduś mnie, nieszczęsny. Przecież i tak nie dla mnie radość życia, skoro lewe oko mam wybite przez ciebie i tylko pół wiosny widzę w tym roku.
POTWORNY WUJASZEK: Wiosna? Wiosna będzie, jak wróci generał.
NIESZCZĘŚLIWA CIOCIA: Czy wróci?
POTWORNY WUJASZEK: Wróci z bronią w ręku. Na białym koniu. I wszystkie dzwony uderzą. I nie będzie nudy, tylko konstrukcja i wiel-

ki, natchniony płacz odrodzenia. Jajka stanieją. Ja zostanę wojewodą smoleńskim. *God save general*.

GENERAŁ: *(nie wraca)*

POTWORNY WUJASZEK: *(dusi kotka)*

KURTYNA

(K.I. Gałczyński, *Teatrzyk Zielona Gęś*, Iskry 2009, s. 5–6)

Mam rok 1946, kiedy to w Polsce toczy się *de facto* wojna domowa. Komunistyczną władzę umacniają po wsiach i miastach rosyjskie bagnety. Niemała część liczy, że już za chwilę przyjdą Amerykanie, Brytyjczycy czy chociaż Francuzi, a wraz z nimi on – generał Anders na białym koniu. Miraż, który dla setek Polaków był nadzieją, przez Gałczyńskiego jest bezlitośnie wyśmiany. Kto bowiem czeka na Andersa? Zdegenerowany arystokrata – straszny wujek. Kreatura o zbrodniczych zamiłowaniach, udusiłby nawet kota z nudów (chłopów swoich pewnie dawno podusił), a także jego histeryczna, niedojrzała żona. Jak tylko przyjedzie generał, wróci stary ład. Wujcio pojedzie na kresy, aby tam jako wojewoda wyżywać się na chłopach, zaś ciotunia pojedzie do wód w Mszanie, obijać się i bumelować. Ot, banda zdegenerowanych potworów dawnego burżuazyjnego ładu. Przesłanie proste, tylko potwory na Andersa czekają. Ale to dobrze, bo on i tak przecież nie przybędzie.

Tylko potwory na Andersa czekają

Teatrzyk Zielona Gęś
ma zaszczyt przedstawić
Pana Tadeusza

Występują:

KLUCZNIK GERWAZY

WOŹNY PROTAZY

PAN TADEUSZ nie występuje. Na emigracji.

KSIĘGA XI

– Tak, tak, tak, Protazeńku – rzekł klucznik Gerwazy.
– Tak, tak, tak, Gerwazeńku – rzekł woźny Protazy.
– Tak, tak, tak – powtórzyli zgodnie kilka razy,

Kiwając w takt głowami. Wreszcie woźny rzecze:
– Bieda nasza skończy się wkrótce, ja nie przeczę.
Wszakże były przykłady. Pamiętam procesy
Dziejowe, w których działy się gorsze ekscesy,
A referendum cały zakończyło kłopot:
Tak z Borzobochatymi pogodził się Łopot,
Krepsztułowie z Kupściami, Putrament z Piktumą,
Z Minkiewiczem Mackiewicz, z Kwileckimi Tumo,
Co mówię! Choć Polacy miewali swe grzeszki,
Lecz godzili się w końcu z Soplicą Horeszki,
Bo, gdy na rozum wzięła królowa Jadwiga,
To się bez sądów owa skończyła intryga,
Więc po cóż wciąż ze sobą mamy mieć na pieńku?

WOŹNY PROTAZY: Tak, tak, tak, Gerwazeńku.
KLUCZNIK GERWAZY: Tak, tak, Protazeńku.
WOŹNY PROTAZY: Na Mickiewicza i Marylę Świderską! Czy mnie ucho nie myli? Obywatel klucznik zmienia zdanie? Na początku przedstawienia głosowaliście Tak, Tak, Tak, a teraz tylko Tak, Tak, dwa razy. Co to znaczy?
KLUCZNIK GERWAZY: Bo, rozumiecie, co do jednego „tak" rozmyśliłem się. W sprawie upaństwowienia i Nysy – Tak-Tak. Ale co do senatu, to jednak jestem za senatem. Nie. Twardo. Przed chwilą „Głos Horeszkowa" otrzymał wiadomość. Z Waszyngtonu.
WOŹNY PROTAZY: Paczka?
KLUCZNIK GERWAZY: Masa paczek. Posłuchajcie: 1000 Bęc-Walskich, kinofikacja i 1000 literatów zawodowych (Oddział Koźminek i Blaszki Powiat) otrzymało wizy i samolotami odjeżdża do Ameryki. Na stałe. A paczki na cały stan tych byków na zasadzie special agreement będą przychodziły w dalszym ciągu. Rozumiecie? Więc głosuję za senatem. Ale amerykańskim!!!
KURTYNA

(K.I. Gałczyński, *tamże*, s. 17–18)

Niedługo później w Polsce odbyło się referendum, w którym głosowano za trzema reformami państwa, zniesieniem senatu, reformą rolną oraz zachodnią granicą. W kraju doszło do podzia-

łu – komuniści zachęcali do głosowania „3 razy tak”, a prozachodnia opozycja zgadzała się w kwestii reformy rolnej i zachodniej granicy, ale nie akceptowała zniesienia senatu. Fakt ten nie uszedł uwadze Gałczyńskiego i napisał *Pana Tadeusza*, w którym to Gerwazy i Protazy w księdze XI godzą się właśnie dzięki referendum. Klucznik Gerwazy (ohydny konserwator starego porządku), pała niezdrowym sentymentem do senatu, a wszystko to za sprawą paczek, które z Ameryki dostawał i na której był żołdzie, jak można wręcz pomyśleć. Nie przypadkiem właśnie sługa arystokracji Horeszków był przeciwny zniesieniu senatu, podczas gdy typowo polski Protazy z Soplicowa to zwolennik zmian i postępu.

W roku 1948 cały czas toczyła się wojna domowa między podziemiem powojennym a komunistami. Terror aparatu stalinowskiego się rozwijał. Tymczasem w „Przekroju” Gałczyński komentuje rzeczywistość w następujący sposób:

Teatrzyk Zielona Gęś ma zaszczyt przedstawić sztukę z życia nadwiślańskich inteligentów pt: *Hamlet & kelnerka*

Osoby:
HAMLET – książę Danii
KELNERKA – taka pani
HENRYK ŁADOSZ – bez komentarzy
i PIEKIELNY PIOTRUŚ – świnia
Miejsce: Oberża „Pod Wyskubanymi Brwiami”
Czas: Nieokreślony

HAMLET: *basem* Co może być?
KELNERKA: Wszystko. *odpina broszkę i zdejmuje buty*
HAMLET: *sopranem, stanowczo* Nie, te sprawy odłożymy do wtorku. Pytam, co może być w sensie picia?
KELNERKA: Kawa, herbata.
HAMLET: *lirycznym tenorem* Wobec tego kawa. Nie. Herbata. Nie. Kawa. Nie. Herbata. Nie. A może jednak herbata? Nie. Kawa. Kawa Herbata. Herbata. Kawa. Kawa. Kawa. Kawa. *Pauza: przyćmienie świateł: mezzosopranem* Herbata!



KELNERKA: A może kawa?
HENRYK ŁADOSZ: A może herbata?
HAMLET: *Umiera na brak decyzji i skręt kiszek na ostrym zakręcie historycznym*
PIEKIELNY PIOTRUŚ: Makabryczne. Kobiety szaleją. *pisze białą, stanowczą kredą na czarnej trumnie Hamleta*: HAMLET IDIOTA
KURTYNA

(K.I. Gałczyński, tamże, s. 214–215)

Dla wszystkich, którzy nie wiedzą – wyjaśnienie. Hamlet to AK, a potem i podziemie antykomunistyczne. To właśnie ci, którzy nie wiedzieli, czy mają skorzystać z amnestii, czy cały czas walczyć. Kawa i herbata symbolizują konflikt wewnętrzny: bić się czy nie bić, pójść na ugodę z władzą czy też nie. Hamlet to określenie jak najbardziej negatywne. Hamletyzowanie, próżne roztrząsanie sporów, które doprowadza do tragedii, miało być genetyczną cechą polskiego podziemia.

A zatem właśnie wtedy, kiedy generał Fieldorf przeżywał wewnętrzne rozterki, czy powinien się ujawnić kiedy Urząd Bezpieczeństwa rozbijał Wileński Okręg AK, w „Przekroju" pojawia się skomponowany przez Gałczyńskiego *Hamlet & kelnerka*. Wpisał się on swoją *Zieloną Gęsią* jednoznacznie w program propagandy komunistycznej, mającej na celu walkę z „zaplutym karłem reakcji". Warto porównać sobie postać Hamleta z Gałczyńskiego z tą z *Trenu Fortynbrasa* Herberta.

Modli się o to, aby być innym człowiekiem

Chociaż TZG z pozoru jest niewinną zabawą językową, groteską, która ma za zadanie tylko śmieszyć, w rzeczywistości jest jednym z trybików w maszynerii komunistycznej. Kolejnym małym kroczkiem, który miał przekonać niezdecydowanych do jednie słusznego ustroju. Prawie każdy spośród tekstów Gałczyńskiego z *Zielonej Gęsi* jest podporządkowany właśnie temu zadaniu. Większość z nich w swojej wymowie ideologicznej jest do bólu łopatologiczna i prymitywna, atakująca religię, Zachód i sanację (odsyłam do *Zasłonięcia Ameryki* czy też *Żarłocznej Ewy*).

Niełatwo, czytając *Zieloną Gęś*, nie potępiać Gałczyńskiego. Brutalna ideologia wyzierająca z tych króciutkich tekścików niejednokrotnie napawa obrzydzeniem. Aby nie dać się pogrążyć

niechrześcijańskiemu myśleniu, warto zestawić to, co pisał poeta na zlecenie, z tym, co pisał dla siebie. Kiedy do „Przekroju" trafiały teksty najmniejszego teatru świata, Gałczyński napisał dla siebie *Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich,* w których ujawnił cały dramat swojej duszy. Wiersz, w którym modli się o to, aby być innym człowiekiem, lepszym, moralniejszym, mądrzejszym. Choćbym chciał, nie mogę więc potępiać Gałczyńskiego. Nie jego to wina, że człowiekiem był słabym.

PS Nie było też tak, że Gałczyński nie próbował przełamać jednoznacznej ideologicznej linii „Przekroju". Nigdy nie ujawnił się jego bluźnierczy (w stosunku do komunistycznej władzy) spektakl. **Ω**

Przerażony do ostateczności spuszcza kurtynę

Teatrzyk Zielona Gęś ma zaszczyt przedstawić
polski dramat polityczno-eschatologiczny
Naród i ustrój

Występują:
NARÓD
USTRÓJ
GŻEGŻÓŁKA

NARÓD: Ustroju, gdzie jesteś?
USTRÓJ:

NARÓD: *(głośniej)* Ustroju, gdzie jesteś?!
USTRÓJ:

NARÓD: *(fortissimo)* Ustroju, gdzie jesteś?!!!
USTRÓJ:

NARÓD: Ustrój nie odpowiada narodowi!

GŻEGŻÓŁKA: *(przerażony do ostateczności spuszcza kurtynę)*

(K.I. Gałczyński, tamże, s. 394–395)



Żorż Ponimirski

ANEKS ANI TEATRZYK, ANI GĘŚ, ANI ZIELONA

Bo ja pikietuję i manifestuję przeciwko temu, co się wyczynia (goli wino marki Sophia i obęcwala się do reszty). Bo Wacia twierdzi, że wywożą płody. Co proszę? Płody?

Kiedy postawiłem ostatnią kropkę nad ostatnim „i” w ostatnim zdaniu mojego tekstu, do mojego mieszkania wkroczył niezapowiedziany żadnym listem wizytowym, ni mejlem lub SMS-em gość. Najpierw poczułem bijącą od niego woń kukurydzianej whisky marki Wild Turkey oraz stonki. Spadochroniarz i dywersant, pomyślałem, jednak spoglądałem jak oniemiały, wpatrując się w jego paczkę, którą ściskał pod pachą. W krótkich słowach, popartych zielonym argumentem, powiedział, że chce, abym przerobił Gałczyńskiego. Na moje protesty, że ja nie potrafię, że nie znam się i że mam poważne obawy, czy kiedy coś napiszę, to mnie pies Fafik w nocy nie będzie nachodził i straszył, on był nieczuły. Pomachał butelką i kopertą, z której zachęcająco uśmiechały się dolary. Kazał mi poprzerabiać teatrzyki Ildefonsa tak, aby wydźwięk miały jedynie słuszny. Tu i ówdzie dopisać, tam przerobić, przekleić, dokleić. Łudził wizą i Jackowem. Więc pisałem, a on ręką trzymał mnie za głowę.

Ani Teatrzyk, ani Gęś, a już na pewno nie Zielona Zmuszony jest zaprezentować

ŚMIERĆ JULIUSZÓW CEZARÓW



Występują panowie:

JULIUSZE CEZARZY – generałowie, literaci, wodzowie

SUFLER BRUTUS – na emigracji w Nowym Jorku, nie może wziąć osobiście udziału w zbrodni

CHÓR SPISKOWCÓW

JULIUSZ CEZAR 1, 2, 3, 4, 5
(wychodzą z domu)

SPISKOWIEC 1
(szuka sztyletu albo chociaż browninga)

BRUTUS
(przez Skype'a)
Głupcze! Krytyka!

SPISKOWIEC 2
(nerwowo szuka numerów „Krytyki Politycznej", rozkłada i czyta)

JULIUSZ CEZAR 1, 2, 3, 4, 5
(chórem)
A więc chcecie mnie zabić.

SPISKOWIEC 1 I 2
(z wypiekami na twarzy studiują „Krytykę Polityczną")

JULIUSZ CEZAR 1
To był spisek przeciwko mnie.

JULIUSZ CEZAR 2
Nie, bo przeciw mnie.

JULIUSZ CEZAR 3
A właśnie, że to ja miałem być ofiarą.

JULIUSZ CEZAR 4
A nie, bo ja!

JULIUSZ CEZAR 5
Głupcy, to wy mnie chcieliście zabić.
(W tym czasie spiskowcy dekonstruują się pod wpływem lektury i automatycznie umierają. Juliusze Cesarzy tymczasem wyciągają własne gazety i zaczynają sobie nawzajem czytać, w efekcie czego również umierają automatycznie).

Ani Teatrzyk, ani Gęś, a już na pewno nie Zielona
Zmuszony jest zaprezentować



Występują:

IDIOTKA *(monolog)*: Dziś oczywiście znów przespałam calusieńki dzionek. A dlaczego? Bo oczywiście pikietowałam poprzedniej nocy. „W barze mlecznym pod Cherubinami" i oczywiście zalałam się. Pod te cherubinkami ninami. Ale czemuż to zalałam się się? Zalałam się z rozpaczy i z protestu, czyli (nie)świętego oburzenia. Bo ja pikietuję i manifestuję przeciwko temu, co się wyczynia. *(goli wino marki Sophia i obęcwala się do reszty)*. Bo Wacia twierdzi, że wywożą płody. Co proszę? Płody? Miliardy wagonów ze płodami jadą na Wschód. Słyszycie? A my zostaniemy bez płodów. Więc jeżeli oczywiście teraz np. będę chciała wyskrobać coś z siebie, to oczywiście mowy nie ma, bo już wyskrobali. Bo tak nas wycyckali. Heheheh. Kantu-kantu ze skrbantu. A jeszcze Kazia twierdzi, że opiatów dosypują do płodów. Więc gdyby np. wyskrobać garść płodów z opiatami, to oczywiście naturalnie śmierć w męczarniach, czyli mówiąc naukowo – kościeleagitacja. Ja się załamuję *(załamuje się)*. A z tą dżenderową ortografią? Przepraszam, to jak się dzisiaj pisze: „ucho" czy „uszyca"? Nikt nie wie i wszyscy się boją. A ja się nie boję. Ja jestem gotów umrzeć za dżender ortografię. Cyk i gotowe. Oto moja pierś femenowska. Wacia, manifę! Szumiały mu echa kawiarni. Polszo, buzi! *(umiera automatycznie)*

NAGROBEK

TUTAJ LEŻY IDIOTKA,
WSZYSTKICH DURNIÓW MASKOTKA. UMARŁA W OSTATNI WTOREK. PRZECHODNIU,
ZMÓW PACIOREK.

PRZECHODZIEŃ PŁCI ŻEŃSKIEJ

Nie mam czasu, bo idę do pracy.

KURTYNA

Ani Teatrzyk, ani Gęś, a już na pewno nie Zielona
Zmuszony jest zaprezentować



HAMLET W WILANOWIE

Występują:
LEMING 1
LEMING 2
DOBRZE POINFORMOWANY FACET

Na płocie powiewa afisz spektaklu Hamlet

LEMING 1:
Ham-let?

LEMING 2:
Ha-mlet?

LEMING 1:
H-a-m-l-e-t?

LEMING 2:
Haml-et?

DOBRZE POINFORMOWANY FACET:
HAMLET.

LEMINGI:
Nie znamy!

(kurtyna zawstydzona opada)

Ani Teatrzyk, ani Gęś, a już na pewno nie Zielona
Zmuszony jest zaprezentować



Występują:
CHÓR POLAKÓW SENTYMENTALISTÓW
MARSZAŁEK

CHÓR POLAKÓW SENTYMENTALISTÓW:
Przybądź! Przybądź o wielki! Polska w potrzebie!

MARSZAŁEK:
(wstaje z grobu, rozgląda się wściekły, podwija rękawy i bije po mordzie sentymentalistów)
Samemu pracować, a nie głowę mi zawracać.

(wraca do grobu i przykrywa się płytą)

Kurtyna litościwie opada.

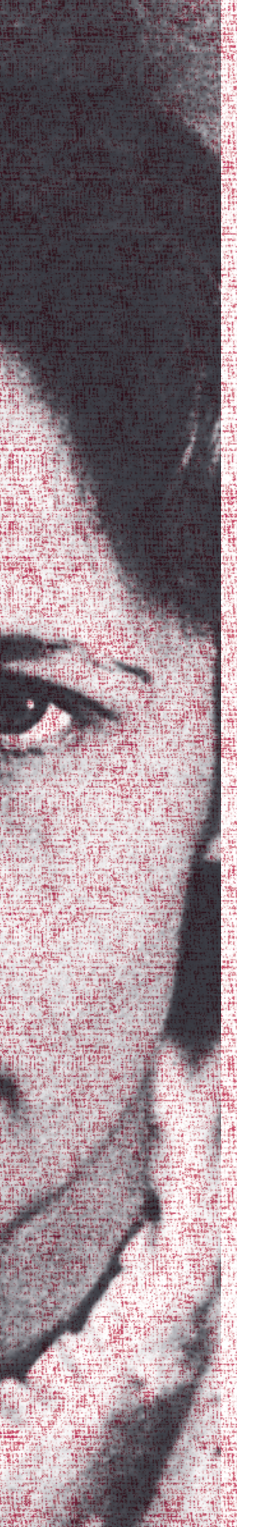
Nigdy nie głosuj na Pawłowicz, J. Kaczyńskiego
na całą partię P.I.S. i na Solidarną Polskę. Ci ludzie
tworzą sitwę która chce męgdnić Polskę, a samodzielnie
nie potrafią myśleć, ciągle liczą na Boga, uważając
że się pomodlą i Bóg im wszystko załatwi, nie tędy
droga, trzeba ciężko pracować. Bóg im nie pomoże,
bo nie może i w Polsce będzie bardzo źle. Pawłowicz
stara panna i Kaczyński stary kawaler są sobie warci
są porąbani, nafaszerowani zazdrością i złośliwością.
Politycy nie okradajcie ludzi ubogich i bezrobotnych
i nie wspierajcie finansowo i rzeczowo bogaty kler.
Nasze podatki przeznaczone muszą być na nasze
zdrowie i na oświatę.

AGNIESZKA OSIECKA – SŁODYCZ PRL-U CIĄGLE KRZEPI!

Remigiusz Właszt-Matuszak

W lipcu 1944 roku Agnieszka Osiecka liczyła sobie siedem wiosen, a w czerwcu 1989 roku była już kobietą po pięćdziesiątce. Zostało jej jeszcze kilka lat w zdrowiu i urodzie – miała wielki *apetyt na czereśnie*, na życie, miłość, na rozmowy z przyjaciółmi, na pisanie tekstów piosenek, którymi osładzała siermiężne lata Gomułki, kredyty Gierka, nędzę stanu wojennego. „Krzepiła jak cukier", pozwalała nam łatwiej znosić PRL. Odeszła w marcu 1997 roku – nie zdążyła zobaczyć, jak *zakwitną jabłonie*. Miała ledwie 61 lat. *Życie zazwyczaj trwa za krótko, chcesz coś powiedzieć – no to mów*





Mówiła i pisała. Zostawiła około dwóch tysięcy wierszy – tekstów piosenek, kilka książek i barwne wspomnienia o sobie – swoją legendę.

Jeśli coś trwale zostaje w powszechnej pamięci społeczeństw, w historii narodów, to są to właśnie piosenki. Niektóre stają się hymnami religijnymi, narodowymi, politycznymi, inne śpiewane są dla czystej przyjemności przy okazjach rodzinnych, na wycieczce, przy biesiadnym stole.

Klimat i geografia sprawiły, że my, Polacy, nie jesteśmy narodem rozśpiewanym czy nawet muzykalnym. Daleko nam do Włochów czy Serbów, ale jeśli coś zostało w każdym z nas z poprzednich wieków i z epoki II Rzeczypospolitej, to są to właśnie słowa pieśni, fragmenty szlagierów poety tej miary co Julian Tuwim, jak również powiedzonka zaczerpnięte ze strofek innych „tekściarzy". Rozwijające się radio, fonografia i kino docierały z piosenką w latach 20. i 30. do milionów Polaków. Podobnie było i jest z 45 latami PRL. Jeśli coś z tego „eksperymentu" politycznego i ekonomicznego zostało i trwa w powszechnej pamięci, to właśnie piosenki.

„Nasza noblistka" z Krakowa przetrwała tylko dzięki jednemu szlagierowi wylansowanemu przez Joannę Rawik – *Nic dwa razy się nie zdarza.* Renesans Juliana Tuwima to Ewa Demarczyk i jej legendarne wykonanie *Grand Valse Brillante* – a „tekściara" Osiecka pobiła wszystkich o kilka długości, stworzyła rekordową liczbę ponad czterdziestu przebojów znanych prawie każdemu w naszym byłym „najweselszym baraku w całym obozie" krajów demokracji ludowej. Setka jej następnych piosenek też ma do dzisiaj swoich fanów i przechodzi niemal dziedzicznie z rodziców na dzieci. Alfabetycznie piosenki Osieckiej możemy sobie pośpiewać do białego rana, zaczynając od: *A ja wolę moją mamę* – piosenkę tożsamą z Majką Jeżowską, a kończąc na *Zielono mi* – sygnale rozpoznawczym Andrzeja Dąbrowskiego – czy *Zabawie w Sielance* w fantastycznej interpretacji Barbary Rylskiej – *Na Czerniakowskiej, róg Gagarina, ostatni tramwaj jęknął na szynach*. Dzisiaj tramwajów *już nie ma*, a Sielanka to przecież Sowa & Przyjaciele. Teksty Osieckiej są stale aktualne! Pewnie za chwilę wypłyną w wideoklipach kampanii wyborczych 2015 roku – *Widzisz, mała, jak to jest, tyle serca, taki gest* albo *Czy te oczy mogą kłamać?*

Agnieszkę Osiecką „poznałem” w Sopocie w czasach wczesnego Gomułki, gdy miałem lat 12. Pierwszy raz na żywo zobaczyłem Poetkę w Teatrze Ateneum, w czerwcu 1964 roku na drugiej premierze jej musicalu *Niech no tylko zakwitną jabłonie,* miałem wówczas lat 16, a spotkałem oko w oko w Dębkach, na plaży w 1996 roku, gdy byliśmy już „bardzo dorośli”. Sądzę, że Osiecka w podobny, incydentalny sposób zagościła w życiu tysięcy Polaków, z kilkuset wybrańcami przyjaźniła się, a całe miliony zawdzięczały jej dobrą zabawę w latach młodości i miłości oraz miłe wspomnienia z prywatek, imprez i domówek – gdy przez chwilę byli szczęśliwi przy jej piosenkach.

W 1960 roku pierwszy raz Rodzice zabrali mnie na wakacje do ZAIKS-u w Sopocie, było to takie pożegnanie z dzieciństwem. Zaczęło się od moich popisów naiwności – stwierdzeniami, iż „syn” pani Magdaleny Samozwaniec „poszedł już sam na plażę”. Zgromadzeni przy stole zasłaniali się, czym kto miał, a ja nie wiedziałem, o co chodzi. Magdalena Samozwaniec (córka Wojciecha Kossaka) nosząca się na licealistkę, względnie amerykańską sekretarkę, miała już około 65 lat, a „syn”, „synowie” po dwadzieścia parę.

Na zimnej plaży, w koszach osłaniających od wiatru, Matka pochłaniała czytadło sezonu: *Lato nagich dziewcząt* Stanisławy „Stachy” Fleszarowej-Muskat. Unikałem czytania książek, jak mogłem, ale tu na okładce były nagie, powyginane dziewczyny, a tytuł sugerował atrakcje.

Dzisiaj twórczość Fleszarowej-Muskat określana jest z przekąsem jako grafomania, ale weźmy do ręki i poczytajmy na nowo *Witaj, smutku* Saganki, kolejne dzieła Katarzyny Grocholi – *Serce na temblaku*, *Kryształowy Anioł*, albo „rewelki” głośnego Dżeka de Nel?

Po 1956 roku, po wyrzuceniu na śmietnik socrealizmu, *Lato nagich dziewcząt* było jak zakazana coca-cola. Książka i pisarz byli w tamtych latach autentycznie i powszechnie szanowani. Stali na szczycie społecznej hierarchii. Cały świat pasjonował się kolejną książką Ernesta Hemingwaya czy Dos Passosa, a **Truman Capote był w latach 70. XX wieku OSTATNIM kultowym pisarzem rozpoznawalnym na całym świecie**. Po 1956 roku książki Fleszarowej-Muskat mogły nareszcie zaistnieć i rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Dzisiaj wiem, że „Stacha" Fleszarowa w *Lecie nagich dziewcząt* sportretowała elity ówczesnego Sopotu – letniej stolicy PRL – gdzie w '56 roku odbył się pierwszy i ostatni festiwal jazzowy zakończony starciami młodzieży z milicją na Monciaku. (Dopiero w 1963 roku festiwale muzyczne wróciły do Sopotu).

Lato 1960 roku to była mała stabilizacja i próba powrotu do normalnego życia z czasów II RP. Cenzura wycofała się do swojej nory na Mysiej, a ludzie mogli kupować książki modnych zachodnich i polskich pisarzy. Na stronach *Lata nagich dziewcząt* występuje ojciec Agnieszki Osieckiej – pianista (również) jazzowy Wiktor Osiecki. (Jazz był wówczas muzyką wolności, a jazzmani królami życia). Główna bohaterka powieści to młodziutka Agnieszka (Osiecka) przeżywająca gorący romans z wziętym czterdziestoletnim rzeźbiarzem. Jest tam świat modelek (!), panienek z legendarnego Grand Hotelu – zakazanej oazy luksusu – i bajkowy samochód – studebacker avanti – własność rzeźbiarza – jedyny w Sopocie i w Polsce, długi na ponad 6 metrów, z tylnymi płetwami tnącymi powietrze chromem ozdób i świateł. Pokazanie się na ulicy w Poznaniu czy Sopocie takiego amerykańskiego krążownika szos wywoływało autentyczne zbiegowisko. Z jednej strony były konne fury jeżdżące po Warszawie do 1964 roku, jakieś syrenki i P-70, a z drugiej imperialna arogancja dobrobytu – limuzyny i kabriolety, które właśnie na przełomie lat 50. i 60. pyszniły się swoim apogeum wielkości. Cadillaki, buicki i studebackery nigdy już nie osiągnęły rozmiarów z tamtej bajecznej epoki – *sweet sixties.*

Zachłyśnięcie się „wykwitami" Zachodu było w 1960 roku powszechne. Wszyscy też zapragnęli wyjechać do Francji i Stanów. Marek Hłasko, Leopold Tyrmand, Roman Polański, Krzysztof Komeda-Trzciński, Jadwiga Kukułczanka – to oni jako pierwsi dali sygnał do odlotu. Agnieszka Osiecka też chciała zobaczyć świat na własną rękę.

Zanim się to jej udało (pierwszy raz jako studentce w 1957 roku na „zbiorowym paszporcie"), w ramach rozbiegu przed skokiem za ocean w wieku lat 17 rozpoczęła druk reportaży w „Głosie Wybrzeża". Był to przełom 1955–1956, polska odwilż wyciekała ze wszystkich szczelin w PZPR. Puławianie łapali drugi oddech i chwilowo gnoili natolińczyków, zanim ci w 1962 roku nie przeszli do kontrataku. W tym zamęcie cenzura przymknęła oko na wysyp studenc-

kich teatrzyków, w tym i na STS. Na jego scenie Agnieszka Osiecka recytowała pierwsze teksty, miała tam pierwsze romanse, a potem burzliwy związek (1956–1957) z Markiem Hłaską. Jego opowiadania błyskawicznie adaptowano na scenariusze filmowe. Reżyser *Pętli* (1957) Wojciech Has, Marek Hłasko i niekoronowana królowa ówczesnej soc bohemy – pisarka, „egzystencjalistka", tłumaczka i aktorka Jadwiga Kukułczanka zapewnili Osieckiej błyskawiczny awans i akceptację artystycznej Warszawy i warszawki. Agnieszka miała status oficjalnej muzy „kanonizowanego" Hłaski – ten związek otwierał jej wszystkie drzwi. Nawet despotyczna Kukułczanka zaczęła zapraszać ją na przyjęcia do zrujnowanej willi na fortach mokotowskich. Jadwinia, czasami Jadzisko, była jedyną kobietą, wobec której Osiecka miała drobny kompleks niższości. W 1957 roku ruszyła pełną parą polska TV! A Kukułczanka była jej intelektualnym mózgiem – pierwszy spektakl telewizyjny to był *Skowronek* według jej przekładu i wskazówek (!) obowiązujących reżysera i aktorów. Potem były następne – oglądały to ówczesne elity Polski, ci, których stać było na horrendalnie drogie odbiorniki telewizyjne (5–8 tys. zł, przy średniej pensji 1200 – 1500 zł). Programy artystyczne jedynego kanału TVP ustalano w domu Kukułczanki – tam przychodzili znani aktorzy, reżyserzy, pisarze, muzycy. Gdyby Jadwiga Kukułczanka wstąpiła do partii, dokonała „właściwego wyboru", zostałaby wiceministrem kultury, zastępcą prezesa tow. płk. Włodzimierza Sokorskiego w Radiokomitecie lub kim by chciała. Ale Kukułczanka komuny ścierpieć nie mogła, ciągnęło ją do Paryża, i tam zaraz po Polańskim w 1960 roku wyjechała i na zawsze osiadła. Światowej kariery nie zrobiła, bo kogo we Francji, „na Zachodzie", interesują polskie tłumaczki. Jej ostatni spektakl w TVP to *Panna Molierówna* z 1995 roku. Wcześniej miała politycznego pecha – w 1980 roku w trakcie „karnawału Solidarności" doprowadziła do rozpoczęcia polsko-francuskiej produkcji filmu pt. *Osioł grający na lirze* w reżyserii zaprzyjaźnionego Wojciecha Hasa. 13 grudnia 1981 roku na paryskim lotnisku czekała na jego przylot. Wojciech Has i cała ekipa zostali na zamkniętym Okęciu! Projekt upadł. Dopiero w 1987 roku Has spotkał Kukułczankę podczas kręcenia we Francji filmu *Niezwykła podróż Baltazara Kobera*. Było to ich ostatnie spotkanie – reżyser zmarł dwa lata później.

A ja osobiście mam wyrzuty sumienia, iż ostatni pobyt w Paryżu mu trochę popsułem, wysyłając pod paryski adres, do zaprzyjaźnionej ze mną Tereski Kozłowskiej i jej przyjaciółki Kukułczanki, szefa produkcji tego filmu – Pawła Rakowskiego – by ekipie pomogły! W kilka tygodni po powrocie filmowców do kraju dostałem wezwanie na komendę Milicji Obywatelskiej na Wilczej celem wyjaśnienia zaginięcia dwóch pięciolitrowych baniek z „olejem jadalnym", jakie obie panie wręczyły Hasowi i Rakowskiemu dla swoich rodzin w Polsce! Słowem, Has i Rakowski mieli te bańki przewieźć samolotem w swoim bagażu! Jak się domyśliłem, zostawili je w hotelu lub na lotnisku! **Takie były REALIA PRL-u!**

Paryż, obok Nowego Jorku i Los Angeles, był po 1956 roku głównym ośrodkiem, magnesem dla polskich elit artystycznych wydostających się z PRL. Agnieszka Osiecka w Paryżu bawiła wielokrotnie. Pierwszy raz latem 1957 roku, gdy jako 21-letnia studentka, w drodze na winobranie, przywiozła Jerzemu Giedroyciowi przemycony z Polski maszynopis *Cmentarzy* Marka Hłaski. Po winobraniu ściągnęła do Maisons-Laffitte całą grupę z STS: Andrzeja Jareckiego (swojego przyszłego narzeczonego), Witolda Dąbrowskiego, Jerzego Markuszewskiego, Jarosława Abramowa-Newerlego i funkcjonariusza ZMP/ZSP Andrzeja Drawicza!

Bliska znajomość, a pewnie i gorący romans między Osiecką a Jerzym Giedroyciem, wybuchła niespodziewanie. Pięćdziesięcioletni Giedroyc, zdeklarowany homoseksualista (z klasą!), będący w stałym związku z malarzem Józefem Czapskim, nagle przypomniał sobie porywy młodości. Stracił zupełnie głowę, załatwiał Osieckiej Stypendium Forda, lansował do Nagrody Kościelskich i przez swoich wpływowych bliskich przyjaciół, Stempowskiego i Jeleńskiego, uruchamiał wszelkie przychylne Osieckiej kontakty prywatne. Później latami przez ambasadę francuską w Warszawie wysyłał jej fundusze, książki i listy. Ich korespondencja, którą wzajemnie sobie zwrócili przed jej śmiercią, została szczelnie zamknięta w sejfie Instytutu „Kultury" i utajniona przez córkę Autorki. Widocznie były powody. Natomiast jest faktem, że Agnieszka Osiecka, stale szukając namiastki mądrego i opiekuńczego ojca – jakim był Wiktor Osiecki – wybierała na życiowych partnerów mężczyzn dominujących warunkami fizycznymi, jak Marek Hłasko czy Wojtek

Frykowski, lub błyskotliwych intelektualnie i dużo starszych, jak Giedroyc czy Jeremi Przybora. (Co spadkobiercy Przybory i Osieckiej ujawnili, ogłaszając drukiem ich miłosną korespondencję w 2010 roku).

Pobyt Osieckiej w 1957 roku w redakcji wrogiej reżimowi „Kultury", jej korespondencja z Giedroyciem i kontakty z dyplomatami Francji i Niemiec oraz donosy Andrzeja Drawicza [TW „Kowalski", „Zbigniew" (1953–1976), który niebawem został przewodniczącym RN ZSP (związku studentów w PRL), a w magdalenkowym rządzie Tadeusza Mazowieckiego pełnił funkcję prezesa Komitetu Radia i Telewizji – 1989–1991] sprawiły, iż SB zakłada jej teczkę, a całej sprawie nadaje kryptonim „Osa". Osiecka nie ma i nigdy nie miała chęci do antyreżimowych działań. Unika wątków politycznych w swojej twórczości, a sama do Giedroycia pisze: *lepiej byłoby, żeby się każdy zajął własnym szczęściem, zamiast robić w polityce*. Giedroyc przeżył Osiecką o dwa lata.

Kryptonim „Osa" – „pokajanie" Agnieszki Osieckiej – to tytuł jednego z rozdziałów ważnej książki Joanny Siedleckiej poświęconej LUSTRACJI, problemowi ciągle niewygodnemu i budzącemu ostre politycznie emocje. Nie jest moim celem streszczanie wnikliwej historycznie pracy Joanny Siedleckiej, ciekawie (!) przedstawionej i zawartej na stronach książki *Kryptonim „Liryka" – Bezpieka wobec literatów.* Każdy, kto chce dokładnie poznać mechanizmy infiltrowania i pozyskiwania literatów przez SB MSW w PRL, powinien książkę Joanny Siedleckiej przeczytać uważnie, ze zrozumieniem i na spokojnie. W kontekście wątku Osieckiej wspomnę tylko hasłowo, iż Poetkę śledzono, podsłuchiwano i wzywano na przesłuchania, a paszport miała wstrzymany przez siedem lat. Jarosława Abramowa-Newerlego potraktowano jeszcze surowiej – zabrano mu paszport na lat osiem. Jego i Andrzeja Jareckiego próbowano bezskutecznie zwerbować jako TW!

Osiecką dodatkowo wplątywano w różne „gry operacyjne" skierowane przeciw „Kulturze" – zajmowało się nią kilku oficerów SB. Później zdesperowana Poetka postanowiła odzyskać paszport, próbując listownie wzruszyć samego gen. Mieczysława Moczara, pisząc do niego *jak poetka do pisarza* – szef MSW pozostał jednak głuchy na jej prośby. Osiecka przeżyła również rewizję związaną

z aresztowaniem w 1962 roku swojego teścia Jana Frykowskiego – łódzkiego prywaciarza milionera, ojca Wojciecha Frykowskiego. Przy usiłującym uciec z PRL starym Frykowskim znaleziono bowiem torbę z kilkuset tysiącami dolarów, z których większość wyparowała w dniu aresztowania. U Osieckiej szukano dokumentów i dewiz. Być może ten cały wieloletni cyrk wpłynął na jej decyzję związania się na dziesięć lat z filarem reżimowego tygodnika „Polityka" Danielem Passentem, bliskim przyjacielem towarzysza Mieczysława Rakowskiego, późniejszego premiera PRL.

W 1967 roku po odzyskaniu paszportu Osiecka mogła pojechać do Stanów i w drodze powrotnej w 1968 roku nareszcie spotkać Giedroycia. Cała Polska, nie bacząc na konsekwencje, pielgrzymowała do paryskiej „Kultury". W 1962 roku – Stefan Kisielewski, w 1965 roku pojawił się 18-letni Adam Michnik (kto spowodował, że chłopakowi przed poborem do LWP dano paszport?), 1967 – Barbara Toruńczyk (córka płk. Henryka Toruńczyka). Gombrowicz i Hłasko mieszkali nawet w Maisons-Laffitte. Inwigilacja Osieckiej trwała jeszcze w 1971 roku, a pewnie skończyła się dopiero w 1989 roku. Po rozwodzie Poetki z Wojciechem Frykowskim (1964) (Frykowski został zamordowany w rezydencji Polańskiego w Hollywood przez bandę Mansona w 1969 roku) jej drugim mężem został reżyser Wojciech Jesionka, a później nastąpiła epoka pogodzenia się z PRL i długi związek z Danielem Passentem, urodzenie (1973) i wychowywanie jedynego dziecka – Agaty. Podczas następnych odwiedzin w Paryżu, w 1975 roku, po ślubie z Passentem, było chłodno. Współredaktorzy „Kultury" określili Passenta jako *„Paskudztwo"*. *Z panią Passentową było sztywno* – pisał red. Zygmunt Hertz do Czesława Miłosza.

Poetka przez wiele lat prowadziła Radiowe Studio Piosenki Polskiego Radia. Wylansowała wiele późniejszych gwiazd estrady i filmu. Studio wyemitowało ponad 500 piosenek – Osiecka jednoosobowo wykonywała prekursorską pracę wszystkich późniejszych programów typu *Mam talent*, *Tylko muzyka* i pochodnych.

W mojej próbie opisania życia Poetki, *znaczącej przedstawicielki środowisk twórczych Polski Ludowej*, kobiety zaplątanej w realia PRL, chcącej normalnie żyć i dającej żyć wszystkim innym, chciałem pominąć współczesną rolę jej córki Agaty, ciągle dobrze zapowia-

dającej się dziennikarki telewizyjnej lat 42, i w tym postanowieniu będę trwał. Chciałem też zmarginalizować postać red. Daniela Passenta, o którym praktycznie zapomniano, ale „ktoś" nacisnął sprężynę i red. Passent, wyciągnięty z szafy, stał się gwiazdą i autorytetem moralnym TVN i TVP. Znienacka, nieproszony, nachodzi mnie w domu, opowiadając ćwierćprawdy, banały i wlewa mi wodę do butów – dlatego muszę zareagować.

Państwowe „moczarowskie" wydawnictwo Interpress za społeczne pieniądze redagowało tomiska *Kto jest kim w Polsce – informator biograficzny*. Po 1989 roku ukazały się trzy edycje (wcześniej jedna). Zawarte są tam biogramy **napisane z własnej nieprzymuszonej woli** przez wybranych przedstawicieli elit PRL, a potem III RP. I tak w edycji z wiosny 1989 roku czytamy: *Passent, Daniel, dziennikarz, felietonista, tłumacz, satyryk, ur. 1938 r. w Stanisławowie.... Studia Uniwersytet Leningradzki,* UW *– 1956–60, Uniwersytet Princeton* USA *– 1962–1963, Uniwersytet Harvard 1979–1980.* Hmm – kto mógł zostać wytypowany na studia w ZSRS, a potem w USA?! *Redaktor tygodnika „Polityka" od 1958 roku – zastępca red. nacz.* Wydał kilkanaście książek w PRL. *Sposób spędzania wolnego czasu: narty, tenis.* Jak wiemy, były to typowe zajęcia obywateli PRL.

Kto jest kim w Polsce edycja III, Interpress, 1993 rok: *Passent, Daniel* (jw.), drobna zmiana to: *córka, pasierb. Red. miesięcznika „The World Pap." Boston 1990 – liczne publikacje w „NYT" USA, „Guardian", „Daily Telegraph".*

Kto jest kim w Polsce edycja IV, PAI, 2001 rok: *Passent, Daniel, dziennikarz, publicysta, dyplomata, żonaty, Marta Orawińska... ambasador w Republice Chile 1997–2001, sposób spędzania wolnego czasu: czytanie...*

Agnieszka Osiecka z dużą dozą autoironii napisała w: *Kto jest kim w Polsce*, wyd. 1989, *Sposób spędzania wolnego czasu: miłość, podróże... Hobby: alkohol.* W wydaniu z 1993 roku (jw.) *Hobby: alkohol, fotografia*. W ostatniej, czwartej edycji *Kto jest kim* ze zrozumiałego powodu Osiecka jest nieobecna.

Kończąc opis roli Daniela Passenta w życiu Poetki, muszę wspomnieć i wyjaśnić, iż red. Passent nie był zwykłym dziennikarzem w PRL. Był siostrzeńcem gen. Jakuba Prawina, komunisty, od 1920 roku działającego w ZSRS. W czasie Wielkiej Czystki resort

tow. Jeżowa nie zaliczył go do Polaków, dzięki temu nie został rozstrzelany jak około 111 tys. polskich komunistów i zwykłych Polaków żyjących na terenie ZSRS. W stopniu generała w 1945 roku objął dowództwo Polskiej Misji Wojskowej w Niemczech (w Berlinie Zachodnim). Była to jedna z najważniejszych placówek dyplomatycznych, wywiadowczych i politycznych w Europie Zachodniej. W 1950 roku został odwołany. Daniel Passent przebywał w Berlinie u wuja i ciotki od 1945 do 1950 roku. Wrócił, mając już 13 lat.

Będąc typowanym do otrzymania stypendium w USA i dostając paszport (rok 1962 to apogeum zimnej wojny), red. Passent odbywał obowiązkowe rozmowy z oficerami SB i wywiadu wojskowego. Ich rezultaty znajdujemy w książce Filipa Gańczaka pt. *Filmowcy w matni bezpieki* wydanej w 2011 roku. Autor – młody student zamieszkały na stałe w Niemczech – znający realia PRL z gazet, w kontekście inwigilowania Zygmunta Kałużyńskiego i Aleksandra Forda, przytacza zeznania i donosy Daniela Passenta. Można przeczytać fotokopie dokumentów, zdjęcia itd. Redaktor Passent występuje w dokumentach jako KP –„kontakt poufny". Informacje zaczynają się od 19 września 1961 roku – Passent ma wówczas 23 lata. Teczka Daniela Passenta nosi sygnaturę AIPN, 002082/151/CD/2. Figuruje on też w wykazie sygnatur innych wydziałów II Departamentu MSW. Prawicowi recenzenci nie zostawili suchej nitki na powierzchownej pracy Filipa Gańczaka, uznając, iż młody autor poprzez swoje wybiórcze kwerendy archiwalne spalił temat.

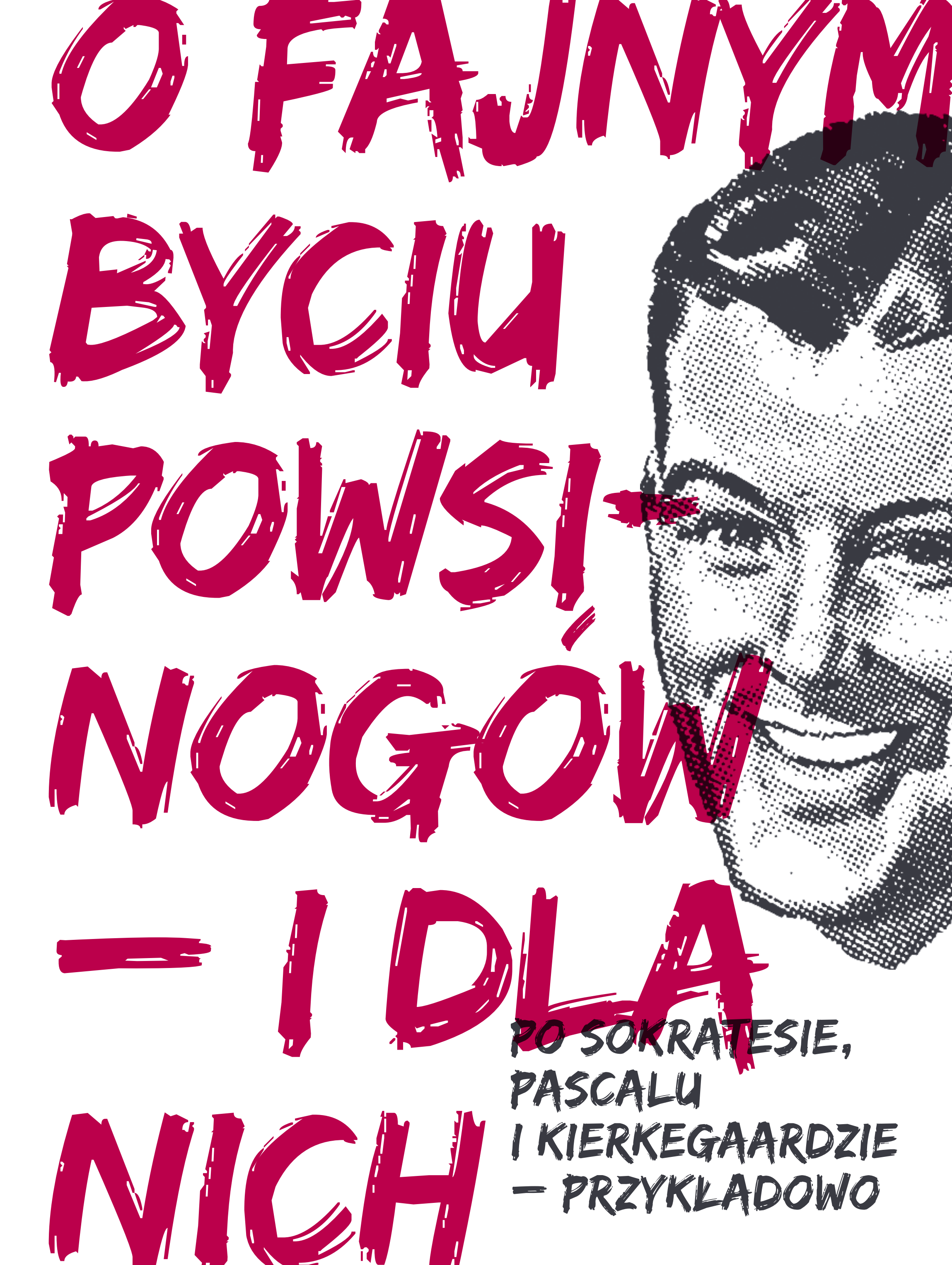
W sierpniu 1996 roku zostałem przez znajomych przywieziony z Gdyni do Dębek. Chcieli się pochwalić nowo zbudowanym domkiem letniskowym. Spędziłem w Dębkach autentyczny ostatni dzień lata – ilustrację wyciętą z filmu Tadeusza Konwickiego pod tymże tytułem. Słońce przez chmury, zimny wiatr, lodowaty, siny Bałtyk, kilka osób na plaży. Z tyłu od strony rzeki przyszedł osiłek w płaszczu kąpielowym, przywitał się i usiadł opodal, po chwili przyszła starsza kobieta w kostiumie i rozpinanym swetrze, coś nuciła, a potem, gdy usiadła, zaśpiewała jemu, plaży, nam, improwizowaną rymowankę: *Student mnie zostawił, serce mi rozkrwawił… co było, nie będzie, …to było, nie wszędzie…* – to był refren. To była Osiecka. Gdy zaczął siąpić deszcz, wstali i poszli brzegiem w stronę Władysławowa. **Ω**

Jeśli zgodzimy się, że prawdą jest to, co powiedziano już lata temu – a co wtedy było jeszcze raczej proroctwem niż stwierdzeniem faktu – że żyjemy dzisiaj wszyscy w jednej globalnej wiosce (przy czym słowo „wszyscy" dotyczy tylko tych spośród mieszkańców ziemi, których… to dotyczy – inni po prostu „nie liczą się"), to powiedzmy też, że dzisiaj „powsinogi" stanowią coraz większy odsetek mieszkańców tej naszej wioski. Łazi taki powsinoga z kąta w kąt i… fajnie mu się łazi. Bo przecież jest fajnie, koniec końców, w naszej wiosce.

Bez słowa „fajnie" – którego znaczenie jest tym fajniejsze, im bardziej niejasne: po prostu fajnie znaczy fajnie, i już, nie ma co filozofować – trudno byłoby opisać rzeczywiste aspiracje duchowo-kulturalne wielu tubylców naszej dzisiejszej globalnej wioski (których jednak nie wolno, rzecz jasna, nazywać globalnymi wsiokami – bo się obrażą!). Bez słowa „fajnie" trudno byłoby odpowiednio pojąć rację bytu rozrywki, bez której przecież na pewno nie byłoby tak fajnie. Nie byłoby tak fajnie, gdyby nie rozrywka, która „domaga się naszej uwagi nie po to, aby ją skupić, lecz aby ją rozproszyć", jak napisał o telewizji kiedyś znany pisarz Saul Bellow (w czasach, gdy widocznie można było jeszcze myśleć, że pisarze i czytelnicy ważniejsi są od spikerów i telewidzów, a przynajmniej że ich zdanie jest ważniejsze, więcej znaczy, bo więcej waży).

***

Ujrzałem to wszystko i zacząłem się śmiać. Wbrew pozorom temu, kto to napisał, nie było wcale aż tak wesoło. Søren Kierkegaard, bo to on jest autorem tych słów, pisał to oczywiście ironicznie. Mógł on jednak mimo wszystko się śmiać, bo go na to zwyczajnie i jak najbardziej po ludzku było stać. Dzięki majątkowi, który wcześniej zgromadził jego ojciec, a którego należna część stała się następnie kapitałem życiowym „Sokratesa z Kopenhagi", mógł Kierkegaard bez specjalnego oglądania się na przyziemne sprawy, związane z potrzebami codziennymi i chlebem powszednim, skupić się na tym, co uznał za najważniejsze, a o czym tak pisał w swoim *Dzienniku*: *Chodzi o zrozumienie swojego celu, by dostrzec, czym w istocie jest to, co Bóg chce, abym czynił; chodzi o znalezie-*


O FAJNYM BYCIU POWSI-
NOGÓW
– I DLA NICH
PO SOKRATESIE,
PASCALU
I KIERKEGAARDZIE
– PRZYKŁADOWO

nie prawdy, która byłaby prawdą dla mnie, […] o znalezienie idei, dla której chciałbym żyć i umierać.

Tym, co ujrzał Kierkegaard i co sprawiło, że zaczął się śmiać, była cała ta codzienność ludzka, która – gdy staje się „wszystkim" – tak skupiona jest na samej sobie, że na to, co naprawdę ważne, w ogóle nie zwraca uwagi. Nie chodzi tu jednak o to, że niektórzy cały czas muszą tylko gonić za groszem, żeby mieć co do garnka włożyć – bo to przecież w żadnym sensie nie może wydać się śmieszne – lecz o to, że także ci, którzy mając wystarczająco dużo środków do życia (albo nawet i więcej jeszcze), nadal „nie żyją naprawdę". Nie chodzi więc o tych nieszczęśliwych i biednych, którzy nieraz całe życie tracą na to, aby tylko przeżyć z dnia na dzień, lecz o tych, którzy wolni od tego rodzaju zmartwień, gdy mogą wreszcie mieć czas dla siebie, bo ich na to zwyczajnie i bardzo po ludzku stać – nadal nie zajmują się tym, co dla nich najważniejsze, nie szukają samych siebie, zamiast tego spędzając czas na głupstwach. A śmieszne może być to – chociaż śmiać się z tego można tylko ironicznie – że żyjącym w ten sposób może się wydawać, że żyją dobrze – bo fajnie im się żyje.

Człowiek mający dosyć mienia, aby żyć, gdyby umiał przebywać w domu z przyjemnością, nie opuszczałby go, aby śpieszyć na morze lub oblegać fortecę – napisał wcześniej Pascal (nawiasem mówiąc, we wcześniejszej wersji zamiast: *aby spieszyć na morze*, napisał Pascal więcej: *aby zobaczyć cudzoziemskie miasto lub przywieźć pieprzu*; dobrze, że także ta wcześniejsza, mniej skrótowa wersja przetrwała do naszych czasów). Inaczej jednak niż później Kierkegaard, Pascal nie wspomniał przy tej okazji ani słowem o śmieszności. *Jeśli kupuje tak drogo szarżę w armii, to dlatego, iż wydawałoby mu się nie do zniesienia nie ruszyć się z miasta; poszukuje rozmów i zabaw jeno dlatego, że nie umie z przyjemnością zostać u siebie*.

Kierkegaard, który miał „dosyć mienia, aby żyć" i którego było na to stać – nie tylko z finansowego punktu widzenia! – zdecydował się „zostać u siebie". I chociaż można by się spierać, czy uczynił to dla przyjemności (bo różnie można rozumieć przyjemność), na pewno uczynił to dla siebie. I z tej perspektywy mógł się śmiać, patrząc na tych, którzy najwidoczniej wybrali inaczej, gdy tymczasem oni z kolei – którzy wiedli życie „dużo bardziej rozsądne" – mogli się śmiać z niego: że pomyleniec, marnuje nie tylko swój czas, lecz także pieniądze, które przecież można by zużyć na pewno lepiej. Zamiast pisać wciąż o tym samym, i to w dodatku w taki sposób, że „w sumie do końca nie wiadomo, co i jak i o co chodzi tak konkretnie", zamiast próbować się ze słowami i myślami i drukować to potem na własny koszt (chociaż

nie przynosiło to żadnego finansowego zysku!), mógł za te pieniądze zobaczyć niejedno cudzoziemskie miasto lub założyć jakiś dochodowy biznes („przywieźć pieprzu”) i pomnożyć swój majątek, a wtedy stać by go było na jeszcze więcej podróży do cudzoziemskich miast – i fajnie by mu się żyło.

Tak więc dla tych, których sposób życia sprawił, że Kierkegaard, gdy ujrzał to wszystko, zaczął się śmiać, on sam też był „śmieszny”. Tymczasem – gdyby się nad tym poważniej zastanowić – może nic w tej sytuacji, dla żadnej ze stron, nie było naprawdę aż tak śmieszne, raczej przeciwnie. Ale tak to już bywa w życiu: człowiek potrafi śmiać się także wtedy, gdy nic tak naprawdę nie jest śmieszne. Człowiek potrafi się śmiać nie tylko z radości.

***

Można obstawiać niemal w ciemno, że gdyby zrobić dziś konkurs na najważniejszą rzecz spośród wszystkich rzeczy nieważnych, pierwsze miejsce w tej konkurencji słusznie zdobyłaby rozrywka – przynajmniej w „naszym świecie”. Rozrywka jako przyjemność, przy której człowiek może się zapomnieć. Rozrywka jako przyjemność, nie na temat. Rozrywka jako niby-świat, w którym dusza w człowieku może się poczuć, jakby była na wagarach. Rozrywka jako coś, co człowiekowi niby do niczego nie jest potrzebne, ale bez czego trudno żyć. Rozrywka jako niepoważne lekarstwo, które stosowane w nadmiarze może jednak okazać się bardzo poważną trucizną… Żyjemy w bardzo rozrywkowych czasach. Przynajmniej tak to wygląda na pierwszy rzut oka, gdy spojrzeć na życie w naszej (?) globalnej wiosce – że jest tu bardzo rozrywkowo.

Jedyna rzecz, która nas pociesza w naszych niedolach, to rozrywka – pisał Pascal, autor *Myśli* – a wszelako to jest największa z naszych niedoli; ona głównie przeszkadza nam myśleć o sobie i gubi nas niepostrzeżenie. Inaczej trwalibyśmy w nudzie, a ta nuda popchnęłaby nas do szukania trwalszego sposobu wyrwania się z niej. Ale rozrywka bawi nas i wiedzie niepostrzeżenie ku śmierci.

Więc czym jest rozrywka, a przede wszystkim jaka jest „racja jej przyczyny” – a jest ona *bardzo oczywista, zasadzająca się na przyrodzonym nieszczęściu naszej słabej i śmiertelnej doli, tak nędznej, iż nic nie zdoła nas pocieszyć, kiedy się nad nią zastanawiamy* – to wiedział już wieki temu Pascal. Może zresztą i wcześniej o tym wiedziano, a Pascal jedynie tak celnie wyraził to słowami, mniejsza o to – w każdym razie odkrycie wartości rozrywki na pewno nie jest dziełem najnowszych czasów. Dziełem najnowszych czasów jest przemysł rozrywkowy i pomysł, że może on uczynić ludzi szczęśliwszymi. Bo nawet jeśli rozrywka jest tylko prowizorycznym środkiem zaradczym na nieszczęścia naszej

„słabej i śmiertelnej doli", jest przecież sposób trwalszego wyrwania się z niej – jeszcze więcej rozrywki!

Bo chociaż także i dzisiaj można słyszeć mniej optymistyczne głosy, że takie uszczęśliwianie w istocie polegać ma na tym, żeby „zabawić się na śmierć", taki postpascalowski ton na pewno nie jest dominujący w naszej wiosce. Odważniej myślący teoretycy rozrywki, tacy jak choćby Neil Postman, autor książki *Zabawić się na śmierć* (i czytelnicy tej książki), stanowią dziś w sumie mało znaczącą mniejszość w porównaniu z ogromną liczbą praktyków rozrywki, którą tworzą nie tylko liczni showmani, lecz także ich publiczność – idąca w miliony. W tym tłumie najwidoczniej nikt nie zawraca sobie głowy żadnymi niepotrzebnymi myślami.

Ironistów w stylu kierkegaardowskim jest jeszcze mniej. A przynajmniej jeszcze mniej ich widać. Wydaje się, że właściwe miejsce kogoś, kto chciałby dzisiaj, *gdy ujrzał to wszystko, zacząć się śmiać*, jest chyba w domu wariatów. Poważnie!

Zdarzają się jednak wciąż, rzadko, bo rzadko, ale jednak, dziwacy, którzy zamiast normalnie – jak wszyscy! – łazić po naszej wiosce i cieszyć się, że jest fajnie, zaczynają za dużo myśleć i w ogóle wydziwiać. Nazywa się ich często – pogardliwie, choć nie bez pewnej mimo wszystko łaskawej pobłażliwości – „filozofami" (gdzie cudzysłów słyszalny jest wystarczająco wyraźnie). I nie trzeba ich nawet w domu wariatów zamykać. A niech sobie wydziwiają – dziwacy! Niech tylko nie będą natrętni i na co dzień nie wchodzą w drogę normalnym ludziom.

***

Kierownicy i animatorzy bardzo rozrywkowego świata, w którym żyjemy – nie rezygnując z ambicji, by nazywać ten świat (poważnie!) kulturalnym – nie są jednak na tyle głupi, żeby całkiem wykpiwać i negować wszystko, co było kiedyś. Dlatego nie odrzucają oni pryncypialnie i kategorycznie słowa „filozofia". Filozofia tak w ogóle, czyli jako kiedyś „dobra marka", nie jest więc traktowana źle – jako mimo wszystko cenny zabytek minionych czasów i wcześniejszej kultury. Równocześnie jednak – co pokazuje na co dzień praktyka życia w naszej wiosce (jeśli tylko przyjrzeć się uważnie) – uznaje się z góry za głupią stratę czasu jakiekolwiek próby praktykowania dzisiaj tego, co kiedyś legło u podstaw filozofii – ryzykownego myślenia na poważnie.

Bo przecież przeciętny powsinoga w naszej globalnej wiosce – jako wzorowy tutejszy, czyli najważniejszy klient, którego nie wolno lekceważyć – najczęściej wcale nie jest zainteresowany prawdziwie ryzykownym myśleniem na poważnie. Nasza globalna wioska w końcu rozrywką stoi, a najfajniejsza rozrywka to uwolnienie nie tylko od powagi, lecz także od ryzyka!

A powsinodze właśnie tego potrzeba najbardziej – poczucia nieważkości i bezpieczeństwa równocześnie. Takiej potrzeba mu rozrywki i takiej kultury, i w ogóle. Żeby nie przestał być sobą – powsinogą, który łazi po naszej (i jego) wiosce i ani mu w głowie wybrać się i pójść gdzieś dalej.

Bo powsinoga to w końcu nie byle kto – to przecież Każdy przez duże K! – więc i do kultury ma prawo, i na kulturę ma chęć. Niech to jednak będzie kultura w sam raz dla niego, żeby fajnie mu było być jej uczestnikiem i użytkownikiem.

I o to właśnie, by dostał on to, czego mu trzeba – dbają kierownicy i animatorzy naszego możliwie jak najbardziej rozrywkowego świata (którzy, jak się zdaje, wiedzą najlepiej, czego Każdemu naprawdę potrzeba). Dlatego nie lekceważąc otwarcie samego słowa „filozofia" – szczególnie gdy dotyczy ono tego, co było kiedyś – równocześnie nie zmuszają swoich poddanych do niczego, co im niemiłe. W ten sposób gotowi są zadowolić także tych, którzy mogą mieć akurat takie życzenie, przynajmniej od czasu do czasu, żeby być na ty także z „większą mądrością" – i nazwać to filozofią. Jeśli tylko takie będzie ich życzenie, dostaną filozofię w formie gotowej – z dostawą do domu. Żeby „dojść do mądrości", nie będą musieli w ogóle ruszać się z miejsca ani wychodzić dokądkolwiek – żadnych wypraw w nieznane.

Filozofia początkowo była prywatną sprawą myślicieli, zajętych pytaniem o początek świata i w ogóle o jego sens – czyli pierwszych naukowców, którzy na dobrą sprawę jakby poza swoją nauką świata nie widzieli (dzisiaj ich późnymi wnukami są ci uczeni, którzy również często są jakby całkiem oderwani od świata normalnych ludzi). Jednak od czasów Sokratesa – i za jego przyczyną – filozofia przestała być już tylko prywatną sprawą jakichś kilku dziwaków (i często odludków), którzy sami siebie mogli nazywać „miłującymi mądrość". Sokrates jako pierwszy z filozofów naprawdę wszedł w drogę normalnym ludziom! Uczynił z filozofii sprawę publiczną – bo chciał uczynić ludzi lepszymi, a dokładnie, jak sam o sobie mówił, chciał im tylko pomóc w tym, aby oni sami tego chcieli: być lepszymi i mądrzejszymi. Żeby potem, jako lepsi i mądrzejsi obywatele, umieli stanowić – w warunkach demokratycznych – lepsze i mądrzejsze prawa.

Jak to się skończyło, wiadomo – z oskarżenia publicznego postawiony przed sądem, został Sokrates skazany i stracony. Co zapewne miało być także wystarczającą nauczką i ostrzeżeniem dla ewentualnych jego naśladowców.

Ci, którzy pozbyli się Sokratesa (a którym on – jak sam mówił – chciał tylko pomóc), może jednak nie dlatego to uczynili, że byli źli i nie chcieli być dobrzy. Może i chcieli być dobrzy (a jeszcze bardziej mądrzy!), ale nie

spodobało im się to, w jaki sposób mieliby niby do tej dobroci (i mądrości) dojść, a mianowicie: że najpierw musieliby uznać swoją niewiedzę tam, gdzie wcześniej wydawało im się, że wiedzą. Innymi słowy, każdy musiałby zacząć od tego, że przyznałby się, iż błądził tam, gdzie wcześniej wydawało mu się, że nie błądzi, czyli po prostu: *Byłem głupi!* Ktoś taki musiałby najpierw „wyjść z siebie", żeby pójść dalej. A to oczywiście niełatwa rzecz, zrobić coś takiego.

Gdyby jeszcze Sokrates pracował nad nimi dyskretnie i bez świadków, wtedy – kto wie – może by mu się udało. Ale on miał w zwyczaju robić to publicznie! Publicznie – przy świadkach! – prowadząc rozmowy z tymi, którzy we własnym mniemaniu mieli się za mądrych, robił z nich głupków! To się przecież musiało skończyć źle – dla niego.

Dzisiaj, gdy też żyjemy „w warunkach demokratycznych", ci filozofowie, którzy – jak się o nich powszechnie mówi – cieszą się powszechnym uznaniem (bo są tacy! – i ich nie nazywa się „filozofami" w cudzysłowie), najwidoczniej dobrze odrobili lekcję o Sokratesie. Zamiast tropić i kwestionować mniemania tyleż błędne, co powszechne – jak to czynił Sokrates – uważnie wsłuchują się w to, co… najchętniej słuchane. Usłyszenie tego, co zwykłe, ale liczne powsinogi w naszej wiosce chcą słyszeć, zapewnia im późniejsze uznanie i szacunek – wystarczy tylko, że wyrażą to „mądrzejszym językiem", żeby każdy poczciwy powsinoga mógł dzięki temu o sobie samym myśleć jeszcze lepiej.

Sokrates, gdyby pojawił się w dzisiejszych czasach raz jeszcze, ale nie jako ten sławny Sokrates, lecz incognito – uznany by został najpewniej za wariata. Na śmierć jednak nikt by go pewnie nie skazał, przynajmniej nie tak całkiem na poważnie. Zamiast tego inaczej by go zabito – śmiechem.

Gdy tymczasem mądrzejsi od niego (życiowo) filozofowie mogliby dalej i bez przeszkód rozsławiać swoje imię jako filozofów, opowiadając co ambitniejszym powsinogom w naszej wiosce (za przyzwoleniem kierowników i animatorów tutejszego życia kulturalnego), że mądrość i prawda to łatwe rzeczy. I że aby do mądrości i prawdy dojść, nie trzeba wcale nigdzie daleko chodzić. Bo mądrość i prawda to nasze tu i teraz.

– Poważnie?

– A po co od razu poważnie! I w tym właśnie tkwi cała tajemnica tej prawdy i mądrości: bez przesady z tą powagą! Na tym polega cały dowcip tej filozofii.

Kto chce, może się śmiać.

***

Ja was, obywatele, kocham całym sercem – mówił ponoć podczas swojego procesu Sokrates (według Platona) – *ale posłucham boga raczej aniżeli was*

i póki mi tchu starczy, póki sił, bezwarunkowo nie przestanę filozofować i was pobudzać, i pokazywać drogę każdemu, kogo tylko spotkam, mówiąc, jak to zwykle, że ty, mężu zacny, obywatelem będąc Aten, miasta tak wielkiego i tak sławnego z mądrości i siły, nie wstydzisz się dbać i troszczyć o pieniądze, abyś miał ich jak najwięcej, a o sławę, o cześć, o rozum i prawdę, i o duszę, żeby była jak najlepsza, ty nie dbasz i nie troszczysz się o to?

A im, kierownikom życia kulturalnego Aten, którzy go przed sądem postawili, a którzy przecież i zwykłe powsinogi mieli wtedy na myśli (żeby nie burzyć porządku społecznego, który był przecież całkiem fajny), chodziło tylko o to, żeby Sokrates przestał łazić po rynku i męczyć ludzi swoim gadaniem. Tylko tyle: chcieli, żeby dał im spokój. A on nie, uparł się – i dalej swoje!

I jeżeliby mi kto z was zaprzeczał i mówił, że dba, ja go nie puszczę i nie dam mu odejść, ale go będę pytał i badał, i przekonywał, i jeśli dojdę do przekonania, że on nie ma dzielności naprawdę, a tylko tak mówi, to będę go poniewierał, że o najwyższe wartości najmniej dba, a rzeczy lichsze wyżej stawia.

No, z tym poniewieraniem to już grubo przesadził: toż to ewidentnie groźby karalne były! I to za co – za to, że ktoś nie jest tym, za kogo się podaje, a tylko tak mówi? Przecież każdy ma prawo do wolności słowa, a już chyba najbardziej na swój własny temat. Gdyby Sokrates żył dzisiaj, gotów byłby poniewierać każdego jako kłamcę za to tylko, że ten… nie dotrzymał obietnic wyborczych. Toż to przecież ewidentne naruszenie dóbr osobistych by było! A to nie tylko karalne jest, ale także po prostu śmieszne. Bo to przecież dzisiaj wie każdy normalny człowiek: że wszyscy kłamią, ale to nie ma znaczenia, bo i tak nikt nikomu nie wierzy.

I co on tutaj z duszą, *żeby była jak najlepsza*, wyjeżdża, i na dodatek jeszcze z jakimś bogiem! – prawo gwarantuje światopoglądową neutralność przecież, takie gadanie to o paragraf zahacza. Bo nie każdy musi w tego jego boga wierzyć ani nawet w duszę – tak w ogóle. I wreszcie, co mu do tego, kto co za ważniejsze dla siebie uważa – każdy ma prawo do własnej prawdy na ten temat, mamy tolerancję w końcu czy nie?!

Co za gość! – dałby lepiej na luz, no…

Kierkegaard zresztą nie lepszy. Następny się znalazł – upierdliwiec!

Tak, właśnie tak można by powiedzieć: upierdliwiec! Słowo to bowiem mogłoby być zupełnie normalnym i nawet kulturalnym wyrażeniem – o ile tylko użyte zostałoby przez kogoś z tych, którzy już wcześniej uznani zostali za wystarczająco legalnych kierowników i animatorów kultury. Jak się

bowiem już okazało, nawet dużo bardziej dosadne słowa uchodzić mogą za jedynie wyrażoną opinię, a nie słowa obraźliwe, jak wytłumaczył to swego czasu jeden kierownik kultury, gdy inna kierowniczka kultury nazwała właśnie co wybranego papieża słowem, które wcześniej (gdy owa kierowniczka jeszcze go tak niespodziewanie nie awansowała kulturowo) uchodziło za jednoznacznie niekulturalne. Okazuje się zatem, że czasem nie jest najważniejsze co, ale kto mówi.

Wracając jednak do Kierkegaarda…

Jeśli się bowiem wszyscy jednoczą, by całe życie we wszystkim uczynić lżejszym, wtedy może się pojawić tylko jedno niebezpieczeństwo, to mianowicie, że owa łatwość stanie się tak wielka, że stanie się nazbyt łatwa; wówczas pozostanie już tylko, chociaż dotychczas jeszcze nie zauważono tego mankamentu, że się trudności w ogóle nie zauważy, że się nie dostrzeże jej potrzeby – napisał Kierkegaard. I wyciągnął z tego osobiste wnioski: *Zdałem sobie sprawę, że niczego się nie podjąłem, niczego nie zrobiłem, że w żaden sposób nie ulżyłem ludzkości, więc z wielkiej miłości do niej i z rozpaczy wywołanej moim tragicznym położeniem, z pobudek czystego serca, w stosunku do tych wszystkich, którzy wszystko wszystkim ułatwili, postanowiłem bezinteresownie, że moim zadaniem będzie: wszędzie spiętrzać kłopoty.*

Tak sobie wymyślił – sabotażysta jeden! Niby filozof, ale w gruncie rzeczy – można powiedzieć – zwykły awanturnik i prowokator. Zamiast przyłączyć się do wspólnego dzieła – żeby całe życie we wszystkim czynić lżejszym – on postanowił utrudniać i robić kłopoty postępowi. *Troublemaker* złośliwy! Ale i tak nie tak bezczelny jak Sokrates – to trzeba mu przyznać. Bo przynajmniej całą tę robotę za własne pieniądze robił – choć właściwie to nie za swoje, lecz za tatusiowe (utracjusz!) – podczas gdy Sokrates (według Platona), zamiast się ukorzyć przed sądem, jeszcze bezczelnie zaproponował dla siebie… państwową pensję! – za swoje krytykanctwo, jeśli nie wręcz szkodnictwo.

A cóż odpowiada człowiekowi ubogiemu, zasłużonemu, który musi mieć wolną głowę, żeby was mógł nawracać? – miał spytać Sokrates swoich sędziów, gdy mu przyszło samemu zaproponować dla siebie inną karę zamiast kary śmierci. I sam odpowiedział: *Nie ma nic odpowiedniejszego, Ateńczycy, jak to, żeby takiemu obywatelowi dawać honorowy wikt w Prytanejon: o wiele więcej, niż jeśli któryś z was na koniu, parą albo czterema końmi odniesie zwycięstwo w Olimpii.* I jakby tego było mało, dodał jeszcze: *Bo dzięki niemu zdaje się wam, że jesteście szczęśliwi, a dzięki mnie – jesteście. Taki nie potrzebuje utrzymania, a ja potrzebuję. Jeżeli więc mam*

po sprawiedliwości proponować karę należytą, to proponuję: honorowy wikt w Prytanejon.

Sam nic nie robi, a innych poucza – oto portret filozofa, do którego powstania przyczynili się oni obaj: i Sokrates, i Kierkegaard. Wydawało im się, że tacy są dla ludzi dobrzy, bo w dobrą stronę ich kierują, bo prawdę im mówią. I jakby w ogóle nie obchodziło ich to, że ludzie może wcale nie chcą takiego kierownictwa i takiej prawdy! I takich filozofów, którzy zamiast naprawdę pomóc, ułatwić cokolwiek, najchętniej by tylko albo „poniewierali" człowieka, albo „wszędzie spiętrzali kłopoty". Bo jak niby miałoby być fajnie – im – z takimi filozofami! A ten tu mówi, żeby mu jeszcze za to płacić! Ludzie!

***

Poznaj samego siebie! – na tym przegrali najwięcej, bo nie mogli przecież wygrać. Bo na tym przecież każdy jeden (!) może tylko stracić – wobec większości i w oczach większości, zwłaszcza gdy ta większość zacznie mówić jednym głosem – że ten jeden nie może mieć przecież racji, bo przecież „wszyscy" tak mówią.

Poznawanie samego siebie nie jest łatwe. To właściwie salto mortale do środka – gdy człowiek sam na siebie zaczyna patrzeć z podejrzliwością: czy to na pewno ja? Decydując się na drogę, która ma go doprowadzić do poznania samego siebie, człowiek szybko może zauważyć, że właściwie idzie po bezdrożach: tędy nikt przed nim nie szedł – bo to jest przecież tylko jego droga i nikogo innego. Chcąc dojść do samego siebie, człowiek musi przejść przez ciemny las niepewności i wątpienia, samotności, a często najczarniejszej rozpaczy. Można zwariować na tej drodze.

Nic zatem dziwnego, że powsinoga w naszej wiosce, który przecież nie chce zwariować i który umie należycie korzystać z rozrywek, jakich pełno w naszej wiosce, żyje jak „wszyscy" i nie robi sam sobie niepotrzebnych kłopotów. I oczywiście nie jest głupi – przynajmniej w swojej własnej ocenie. A głupi jest dla niego właśnie ten, kto nie umie dać sobie rady sam ze sobą. Powsinoga daje sobie radę świetnie – potrafi fajnie żyć. I wie aż za dobrze, że na pewno niefajne jest to, do czego namawia go głupi: żeby zatracić się na drodze do jakiegoś „siebie samego". Takich głupich i ich gadania lepiej unikać.

Człowiek wyraźnie stworzony jest do myślenia, to cała jego godność – napisał Pascal. *Cała zaś jego zasługa i cały obowiązek to myśleć, jak się należy. Owóż porządek myśli jest ten, aby zacząć od siebie i od swego Stwórcy, i swego celu.*

Ale przecież tutejszy powsinoga to właśnie robi: zaczyna od siebie i od swego celu. I przecież daje sobie radę,

jak się należy. Cel wydaje mu się oczywisty i jasny jak słońce: chodzi przede wszystkim o to, żeby sobie ułatwiać, a nie utrudniać. Nie ma więc sensu męczyć się i wybiegać myślą nie wiadomo dokąd, jeśli tu – na miejscu – jest wszystko, co potrzebne do tego, aby było mu fajnie. To przecież każdy głupi wie!

Rzeczywistym stwórcą tutejszego powsinogi jest jego tutejszość właśnie. Wobec której nie zamierza on wcale – broń Boże – głupio się buntować. Bo tylko głupi będzie próbował podcinać gałąź, na której siedzi.

A jeżeli powiem, że to właśnie jest też i największe dobro dla człowieka – powiedział Sokrates (według Platona) – *każdego dnia tak rozprawiać o dzielności i o innych rzeczach, o których słyszycie, że i ja rozmawiam, i własne, i cudze zdania roztrząsać, a bezmyślnym życiem żyć człowiekowi nie warto, jeśli to powiem, to tym mniej mi będziecie wierzyli. Ale to tak jest, jak mówię, obywatele: tylko przekonać kogoś o tym nie jest łatwo.*

Aż strach pomyśleć, co by to było, gdyby wszyscy dali się nagle do tego przekonać i zaczęliby tylko *i własne, i cudze słowa roztrząsać* – żeby w ten sposób żyć życiem bardzo „myślnym”! A tutejszy powsinoga nie żyje przecież, jak mógłby sugerować Sokrates, życiem bezmyślnym – tak całkiem. Owszem, on też myśli i myśli jak najlepiej, akurat tyle, ile trzeba. Bez przesady! Bo w tym właśnie tkwi cały dowcip – że nie ma sensu myśleć za dużo. A już szczególnie na swój własny temat: kim jestem, dlaczego i po co tak naprawdę? Tylko krzywdę sobie można zrobić takim myśleniem. I własne życie sobie obrzydzić.

***

Jeśli jednak ktoś chce, proszę bardzo – wolno mu: niech staje się sam dla siebie pytaniem i niech męczy się i pyta wciąż sam siebie, czy on to na pewno i naprawdę on, i czy to, co mówi, jest naprawdę tym, co on (prawdziwy i najprawdziwszy) chciałby powiedzieć. Ale niech nie męczy tym innych, którzy chcą żyć normalnie i myśleć bez przesady. Niech da im spokój!

Dlatego filozofia – i owszem – niech sobie będzie, jeśli tylko znajdą się chętni na tego rodzaju rozrywkę. Niech więc będą wydziały (nomen omen – miejsca wydzielone!) na uniwersytetach, gdzie ci, którzy mają na to ochotę, będą mogli spędzać czas na filozofowaniu. I niech nawet, zgodnie z propozycją Sokratesa, pieniądze za to biorą, że będą „wszędzie spiętrzać kłopoty” – ale tylko tym, którzy mają na to ochotę. Niech idą do nich ci, którzy mają na to ochotę, bo albo naprawdę inaczej nie umieją, jak tylko zastanawiać się nad człowiekiem, dlaczego nie jest on dość ludzki na tym świecie, albo po prostu mają życzenie być w, ich zdaniem, „lepszym towarzystwie”,

gdzie znajdą wspólników do tego, aby z wyższością mówić o innych, jacy tamci są głupi, i z bezpiecznych pozycji (we własnym gronie) śmiać się z nich.

Tak będzie lepiej dla wszystkich i fajnie. Ci, którzy chcą żyć normalnie i myśleć bez przesady, będą mieli spokój, a ci ponoć ponadnormalni też przecież na tym zyskają: bo w swoim rezerwacie będą przecież w bezpiecznym miejscu, oczywiście dopóki tylko nie zechcą wyjść stamtąd, żeby innym psuć fajny nastrój. Bo wtedy może być różnie.

Przegrywam – powiedział podczas swojego procesu Sokrates (według Platona) – *bo za mało mam nie argumentów, tylko bezwstydu i bezczelności, i zbyt mało mi się chce mówić wam takich rzeczy, których wy byście słuchali najchętniej.*

I można powiedzieć: prawie całkiem fajnie to ujął. Gdyby tylko zamiast o bezwstydzie i bezczelności powiedział o otwarciu i tolerancji – byłoby już całkiem fajnie.

I niech to będzie wskazówką dla tych, którzy – gdy już znudzi im się siedzenie w filozoficznym rezerwacie i marnowanie czasu z dala od spraw codziennych naszego fajnego tu i teraz – zechcą wreszcie wyjść do ludzi (i życia!), żeby naprawdę im pomóc, ułatwić cokolwiek. Niech wiedzą, jaki użytek zrobić ze swojej elokwencji – w gadaniu przecież nabrali biegłości. Niech zechcą w końcu mówić ludziom takie rzeczy, których oni by słuchali najchętniej. Najpierw jednak niech znajdą tych ludzi i poznają ich preferencje wyborcze, a dopiero potem niech mówią – do swojego elektoratu.

Wtedy zostaną docenieni, na pewno. A ich profesorski tytuł (jeśli wcześniej udało im się taki zdobyć) zajaśnieje nad nimi niczym aureola. Na wiecach, gdzie przecież zawsze zejdzie się kilku tutejszych powsinogów – bo oni przecież też chcą, przynajmniej od czasu do czasu, usłyszeć mądrego człowieka. Który im powie, że mają rację.

Albo jeszcze lepiej – w telewizorze.

I w końcu wszyscy będą zadowoleni. I będzie fajnie – tak *jak się należy*. **Ω**

BIBLIOGRAFIA:

S. Bellow, *Suma po przemyśleniach*, tłum. T. Bieroń, Poznań 1998

S. Kierkegaard, *Dziennik (wybór)*, tłum. A. Szwed, Lublin 2000

W. Lowrie, *Kierkegaard*, tłum. J.A. Prokopski, Kęty 2011

B. Pascal, *Myśli*, tłum. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1989

Platon, *Obrona Sokratesa* [w:] Platon, *Obrona Sokratesa, Kriton, Uczta*, tłum. W. Witwicki, Warszawa 2008

N. Postman, *Zabawić się na śmierć*, tłum. L. Niedzielski, Warszawa 2006



Anna Stępniak

Bycie konserwatystką bywa męczące – z jednej strony stygmatyzacja przez wielu miejskich „postępowców", a z drugiej coraz silniejsze poczucie zażenowania i zniechęcenia w reakcji na wyczyny czołowych (nie)medialnych „prawicowców"

SIEDEM GRZECHÓW GŁÓWNYCH POLSKIEJ PRAWICY



Czym właściwie jest prawica w Polsce? Jaki jest jej desygnat? Coraz częściej odpowiedź na to pytanie sprawia trudności. Polityka staje się coraz bardziej emocjonalna, a więc i partie oraz świat mediów chcą/muszą wpisywać się w ten nurt – kosztem sfery deskryptywnej i faktograficznej.

Nie wdając się w głębsze rozważania politologiczne, trzeba powiedzieć, że podział na te dwa bieguny zaostrzył się w ciągu ostatnich dziesięciu, a zwłaszcza pięciu lat. Ale początki tego podziału zarysował wszak kapłan III RP, a mianowicie Adam Michnik, gdy 25 lat temu kreślił wyraźne rozróżnienie na antykomunistów „właściwych" oraz „jaskiniowych". To, co dzieje się w mediach, jest tego kontynuacją. I właśnie o media mi chodzi, bo nie warto pochylać się nad „świniami i szubrawcami"[1], którzy obficie zasilają poselskie ławy.

Wydaje się, że główna oś, determinująca ów podział w Polsce, wyznaczana jest przez stosunek do PRL-u i przemian okrągłostołowych. Ale w sferze gospodarczej i społecznej zdefiniowanie osi podziału lewica – prawica jest znacznie trudniejsze. Na przykład o udziale państwa w życiu obywatela oraz o kondycji struktur państwowych

1 Podobno takiego określenia rządzących po komunizmie miał użyć słynny polski jasnowidz, którego radził się sam Piłsudski, Stefan Ossowiecki.

i oczekiwań wobec niego najczęściej wspomina prawica, a nie lewica (chodzi o stawiane pytanie, czy skoro polskie państwo nie umie zapewnić bezpieczeństwa prezydentowi RP, to spełni swoje obowiązki względem Jana Kowalskiego). A przecież, według niektórych, państwo powinno jak najmniej ingerować, nadzorować, wtrącać się itd. Ale *ad rem.* W niniejszym tekście autorka pragnie zwrócić szczególną uwagę na tych prawicowców/ konserwatystów/ parapatriotów, o których najgłośniej, a którzy przeważnie wyrządzają swoim odbiorcom niedźwiedzią przysługę.

Poniżej przedstawiam siedem rodzajów niedomagań (ułomności, błędów) strony prawej – tj. publicystów, komentatorów, dziennikarzy i szerzej – środowisk, które ją współtworzą. Sprzyjają one coraz większemu zniechęceniu i apatii zwykłego odbiorcy; deprecjonują również postulowane idee, stanowią o nieskuteczności przekazu itp. To, czym (nie)zajmują się prezydent, premier, minister, poseł, burmistrz, jest jakimś tam zdarzeniem X, lecz idzie o to, w jaki sposób można to przedstawić i co „dać od siebie".

1. WOJENKI

Nie da się zbudować niczego sensownego, wzmagając personalne urazy i ambicje. Nie do wytrzymania są kłótliwość, egocentryzm, olbrzymia małostkowość i brak współdziałania. Ileż to publicystów i wydawców kroczy sobie po ziemi… a przed nimi idzie ich wielkie ego. *To my ujawniamy!*; *Tylko u nas prawda*; *Nasz nius*. Wszyscy mamy licencję na „niepokorność"! Ileż jest podkręcania niezdrowych emocji: *Powiew świeżego powietrza w zatęchłym studiu* TV (to z nagłówka); *Wystarczy jeden mały krok, zwycięstwo jest już naprawdę blisko*; dużo mocnych słów, urazów i niechęci, które tak naprawdę determinują charakter medialnego dyskursu po „naszej" stronie. Czasami też można odnieść wrażenie, że są pewne podmioty, które działają niczym „Gazeta Wyborcza" *à rebours* i potrafią sięgać po manipulacje i przeinaczenia, byle tylko dowieść czegoś niesamowitego i wyjątkowego, co – w ich mniemaniu – na pewno wpłynie bardzo korzystnie na wyniki finansowe ich poletka. Niestety, ale zacietrzewienie nie może doprowadzić do niczego konstruktywnego, a już na pewno nie do tego, by utrzymać przy sobie konsumenta.

2. KRECIA ROBOTA

Niektórzy przedstawiciele mediów po prawej stronie wykazują – zdaje się – naturalną skłonność do podkładania się i dawania za bezcen najlepszych argumentów swoim najbardziej zagorzałym przeciwnikom. Tak jest, zwłaszcza gdy nie potrafi się korzystać z niektórych narzędzi, przede wszystkim Twittera. Wielu z szanownych dziennika-

rzy nie rozumie, do czego to medium służy. A ich działania kończą się tym, że w 160 znakach chcą zawrzeć iście genialną myśl dotyczącą jakiegoś superistotnego zdarzenia. Myślą tak i myślą, stuk, stuk, jest, enter! Po czym okazuje się, że wyszło nie tyle zjawiskowo, co koślawo, strasznie, a wręcz groteskowo. Ale za późno, przekaz, nawet najbardziej głupi, poszedł już w świat, a tzw. screeny zostały dawno już zapisane na dyskach twardych u konkurencji… I zaczyna się – tygodniowe wałkowanie tematu, który jest kompletnie nieistotny; chodzenie po telewizjach, tłumaczenie się, co się miało na myśli, odkręcanie, a czasem grożenie pozwami za niewłaściwą interpretację myśli geniusza. A biedny, osamotniony konserwatysta załamuje ręce i zastanawia się: czy naprawdę mam ochotę dalej inwestować w coś tak jałowego i bezsensownego?

3. PONURY BETON

Trudno przekonywać do siebie szerokie grono odbiorców, tkwiąc w narzuconych przez samych siebie schematach, gdzie nie ma możliwości dyskutowania. Najlepiej, jak czynią to niektóre środowiska, zwłaszcza prasowe, okopać się we własnych szańcach na świętej wojnie ze Złem i nie zmieniać nic. Co z tego, że odpływ czytelników będzie się zwiększał z każdym rokiem! Najwygodniej nakreślić czarno-biały obraz, w którym nic się nie zmienia, żaden nawet najmniejszy punkcik. Przykro to przyznać, ale często (zbyt często) po prawej stronie jest tylko powaga, która ociera się o kicz czy wręcz surrealizm. Nie ma sensu przekonywać przekonanych, pytanie, co zrobić, by otworzyć się medialnie na tych niezdecydowanych i niezainteresowanych? Konserwatyzm nie musi być ponury i – przepraszam za potoczne sformułowanie – pszenno-buraczany. Jest naprawdę bardzo, bardzo niewiele inicjatyw, w których działają ludzie o bardziej otwartych umysłach. To poważny problem komunikacyjny, który jest istotną barierą.

4. DZIADOSTWO

Brak znajomości prawideł marketingu, psychologii i PR-u jest czymś, co ciężko wybaczyć. Dziadowsko robi się strony internetowe, dziadowsko obrabia się zdjęcia, groteskowo przygotowuje się okładki. Czasami można odnieść wrażenie, że niektóre prawicowe media mają deficyt grafików, a termin „nowoczesne formy komunikacji” jest im nieznany. Warto zajrzeć do mainstreamowej, zepsutej i zaprzedanej władzy konkurencji i zrozumieć, że wiedzą oni całkiem sporo o doborze kolorów, zdjęć, komponowaniu layoutów, tworzeniu przejrzystych struktur, które oko ludzkie po prostu chłonie. Niestety, ale bardzo wiele treści elektronicznych i papierowych tworzonych przez pra-

wicę jest beznadziejnych, a nierzadko wzbudzają one autentyczny śmiech. I nie pomogą tu tłumaczenia, że nie ma na to funduszy – wystarczy po prostu odrobina biznesowego myślenia. Praca w mediach przedstawianych jako prawdziwe/ wolne/ misyjne nie polega tylko na tym, by przedstawić (mądre) treści, ale też w jaki sposób tego dokonać.

5. ODDANIE WALKOWEREM KULTURY I SZTUKI, BO WSZYSTKO, CO WSPÓŁCZESNE, JEST „ZEPSUTE"

Zdecydowana większość prawicowców brylujących w mediach nie ma podstawowych narzędzi i kompetencji, by wypowiadać się o sztuce nowoczesnej, ale też nie ma chęci, by zrozumieć, jakie przemiany dokonały się w tej sferze w wieku XX (chyba że to taka poza). Nie wszystko, co istnieje poza kanonem klasycystycznym, poza harmonią i proporcją oraz akademickimi tematami, musi być z gruntu brzydkie, nieciekawe i szkodliwe. Na przykład w idealizowanym i ulubionym przez prawicę okresie II Rzeczypospolitej[2] powstało wiele sztuki, którą można by uznać za „zdegenerowaną", nieklasyczną, dziwną, niezrozumiałą i „nieforemną". Słychać o honorze, zasadach czy rozwoju przemysłu, a czemu nic o awangardzie, formistach, kapistach, *art déco*...?

Z drugiej strony, prawica na własne życzenie jest łatwym atakiem wyjałowionego, odartego z wartości i uzbrojonego *okrętu sztuk płynącego obecnie cieśniną między Scyllą wynaturzonej rewolty (rewolty dla samej rewolty) a Charybdą zwyrodniałego indywidualizmu (egocentryzmu jako usankcjonowanej wartości)*[3]. Lewactwu, które nie ma nic do powiedzenia, zamiast się na nie oburzać, należy powiedzieć jasno: golizna jest wtórna, skandal jest przebrzmiały, a wy od ponad 120 lat chcecie kruszyć zatęchłe mury mieszczańskiej obłudy; ile można?

6. EKOLOGIA TYLKO DLA FRAJERÓW

Pomysł, że zainteresowanie środowiskiem, ekosystemami, ginącą fauną czy florą, a przede wszystkim zmianami klimatu, jest tylko dla frajerów i lemingów – to jedno z większych nieporozumień po prawej stronie. Dlaczego zieloni muszą być lewicowi?

Prawica powinna w sposób zdecydowany zająć się nieodwracalnymi zmianami dokonywanymi na ziemi przez człowieka. Tymczasem takich tematów kompletnie brakuje, a gdy są podejmowane, stają się przede wszystkim obiektem kpin i żartów.

Błędem jest traktowanie tych spraw jako marginalnych i drugorzędnych. Tempo rozwoju miast i przemysłu przy

2 Autorka też jest fanką II RP, w przeciwieństwie do III RP.

3 Antoni Libera, *Kim jest artysta w dzisiejszym świecie*, www.teologiapolityczna.pl.

nigdy wcześniej nieistniejącej tak dużej dynamice przyrostu naturalnego w skali globalnej może przynieść nieodwracalne skutki dla życia wszystkich organizmów na całej planecie. Dlaczego oddawać lewicy walkowerem tak ważne zagadnienia?

7. DOBRZE MI W MOJEJ CIASNEJ, SKISŁEJ JASKINI

Ciężko to przyznać, ale prawica często jest ograniczona, czy wręcz ksenofobiczna, wroga innym kulturom i nacjom. Polska, choć mamy obowiązek o nią dbać i pracować, aby była wspaniała, nie jest centrum wszechświata. Nie warto też obsesyjnie skupiać się wokół idei, że Polska jest i musi być przedmurzem wszystkiego, co złe, a strażnikiem prawdy, pamięci i godności jest wyłącznie polska prawica…

Nie znaczy to, by teraz – w kontrze – skupiać siły i środki na przygotowaniu obszernych reportaży o buddystach ze Sri Lanki albo na gwałt przeprowadzać wywiady z naukowcami ze stacji badawczych na Antarktydzie, ale czy 95% treści przekazywanych odbiorcom musi dotyczyć wyłącznie Polski? A czemu by tak nie zająć się Bliskim Wschodem czy Azją, gdzie mieszkają miliony chrześcijan? Jeszcze gorzej: dominująca prawica za mało mówi nawet i o samych Polakach, ale tych mieszkających daleko od ojczyzny, ot, chociażby w Kazachstanie. I zamiast bić na alarm, że Polaków z kazachskich stepów z chęcią ściągają do siebie Putin i Łukaszenka, prawicowe tuzy dziennikarstwa wolą koncentrować się na tym, co powiedział trzeciorzędny rangą poseł partii Krzak. Tym samym również medialna prawica przyczynia się do bardzo niebezpiecznego upolitycznienia całego naszego życia społecznego.

Podsumowując: prawicowiec w Polsce, zwłaszcza młody, czuje się zmęczony i pozbawiony zapału. I w pewnym, ograniczonym tylko stopniu dotyczy to sfery polityki. Równie przytłaczająca jest jakość dyskusji prezentowana w wielu mediach kojarzonych z prawicą. Warto to zmienić i nie zrzucać całej winy tylko na nieudolnych polityków. **Ω**



Krzysztof
Kłopotowski

PIĘKNA LENI I BLOND BESTIE

Nie wiadomo, czy i jak Zachód odzyska żywotność z epoki, gdy bez lęku wierzył w swą wyższość, mistycyzm, zdrowie, piękno i siłę. Czy podobna, żeby faszyzm te idee ostatecznie skompromitował?

Jedynym filmowcem III Rzeszy, którego dzieła wolno podziwiać bez narażania się policji myśli, jest Leni Riefenstahl. A to dzięki świetnemu warsztatowi mimo horrorów, jakie zapowiada. Jej *Triumf woli* z połowy lat 30. należy do kilkunastu najlepszych dzieł kina w ogóle.

Podobnie Fryderyk Nietzsche jest jedynym ideologiem III Rzeszy szanowanym dzisiaj za głębię umysłu, choć czcili go naziści za horrory, do jakich nawoływał. Dziś robi się z niego antynazistę, wyciągając pogardę dla nacjonalizmu i antysemityzmu. A co z atakiem na etykę chrześcijańską w *Antychryście*, przy którym blaknie atak bolszewików? Co z ideą hodowli nadczłowieka?

TRIUMF WOLI WODZA

Ze wszystkich gwiazd tylko ona nas rozumie

Osławiony film Leni Riefenstahl ze zjazdu partyjnego w Norymberdze w roku 1934 powstał na zamówienie Hitlera. Chciał on dzieła sztuki zamiast kroniki filmowej. Zwrócił się do Leni, bo widział jej filmy, gdzie grała dziewczynę zakochaną w górach, symbolu mistycznych aspiracji. *Błękitne światło* sama wyreżyserowała tak dobrze, że dostała Złoty Medal na festiwalu w Wenecji. Znali się zresztą parę lat. Wiedział, że Leni go podziwia. Zanim doszło do *Triumfu woli*, ona miesiącami omawiała z Goebbelsem projekt jakiegoś filmu o Hitlerze. Minister propagandy III Rzeszy zapisał w *Dziennikach*, że *ze wszystkich gwiazd tylko ona nas rozumie*. To widać na ekranie.

Oto z pochmurnego nieba zstępuje samolot na arcyniemieckie miasto średniowieczne. Cień skrzydlaty nakłada się na kolumnę marszową sunącą ulicą Norymbergi. Z podniebnej maszyny wysiada zbawiciel państwa witany entuzjastycznie. Przejazd ulicami w otwartym mercedesie. Z wież kościołów, ratusza i domów powiewają flagi ze swastyką w słoneczny dzień. Nieprzebrane tłumy na ulicach podnoszą prawe ramię w pozdrowieniu „Heil Hitler!". Las rąk, szczęśliwe twarze mężczyzn, kobiet, dzieci, niektóre bardzo piękne, wszystkie zdrowe. Ujęte teleobiektywem dają efekt stłoczonego tłumu, ale jeszcze o rysach jednostkowych. To są ludzie na progu przemiany w masę do ulepienia przez natchnionego Wodza. Za dziesięć lat, na wezwanie Goebbelsa, ta masa zawoła o wojnę totalną, czyli własną zagładę. Teraz tego nie wie.

Dramat apoteozy Adolfa Hitlera rozgrywa się w trzech głównych lokacjach. Na ulicach miasta podczas jego przyjazdu i potem defilady wojskowej. To spotkanie z narodem niemieckim w jego dziejowej kolebce. Na stadionie oglądamy życie wewnętrzne partii nazistowskiej. A na koniec w długiej nawie jak w katedrze Hitler zostaje przedstawiony jako absolutny Wódz partii, państwa i armii. Niemcy to on, jak deklaruje jego zastępca Rudolf Hess.

Film ma mocną strukturę ideową. Pierwszy na stadionie capstrzyk Służby Pracy jest pokazem jednoczenia narodu ponad podziałami regionów i klas. Zaczyna się apelem, kiedy na wezwanie przodownika chóru *Towarzyszu, skąd jesteś?* meldują obecność przybysze z różnych prowincji. Młodzi mężczyźni w mundurach robią musztrę z łopatami, recytując hymn o swoim trudzie dla Niemiec na budowach dróg i osuszaniu bagien. Brzmią jednym głosem, wymachują łopatami w jednym rytmie, chociaż jest ich zgromadzonych 52 tysiące. Hitler zapowiada koniec podziałów klasowych; każdy Niemiec będzie musiał przejść w życiu etap pracy fizycznej.

Kolejna demonstracja na stadionie zachwyca marszową choreografią 200 tysięcy ludzi, pokaz jedności partii. Kilka miesięcy wcześniej Hitler zarządził „noc długich noży". Kazał zabić swego najbliższego towarzysza walki i dowódcę SA Ernesta Roehma, razem z kilkuset SA-manami. Na miejsce amatorskich bojówek SA wysunął doskonałą machinę mordu SS na czele z Heinrichem

Himmlerem. Widać dyscyplinę aparatu przemocy. Hitler kroczy korytarzem między kolumnami setek tysięcy mężczyzn; Wódz kilka metrów z przodu ustawił sobie po obu bokach nowego dowódcę SA Viktora Lutze i Himmlera. W rytmie werbli przechodzą kilkaset metrów do kolosalnego wieńca ze swastyką i wracają na miejsca. Wódz z wysokiej trybuny nawiązuje do rozbicia rzekomego spisku i obiecuje, że nie rozwiąże SA. Po czym następuje defilada wojskowa. Nie ma żadnego sensu dla widzów i uczestników na stadionie, ale ujęta z punktu widzenia Hitlera oraz z góry, z dołu, z lotu ptaka kamerami Leni Riefenstahl daje w kinie imponujące widowisko.

Wejście pocztów sztandarowych z napisami na proporcach *Niemcy, obudźcie się* do długiej hali to otwarcie ostatniej części opowieści o przemianie Hitlera w absolutnego Wodza. Zaczyna się minutą ciszy ku czci zmarłego kilka miesięcy temu powszechnie szanowanego prezydenta i marszałka Paula von Hindenburga oraz towarzyszy poległych w Wielkiej Wojnie. Hitler odmówił przyjęcia prezydentury ponoć z szacunku dla poprzednika. Jednak połączył urząd prezydenta i kanclerza, biorąc pełnię władzy, w tym nad armią, gdyż generałowie chcieli go obalić. Film ma konsekrować Wodza w oczach Niemców, pokazując zasłuchanych w nim dowódców wojska. Końcowa mowa Hitlera porywa wielotysięczną masę ludzką, zapowiadając tysiącletnią Rzeszę. Zapewnia, że partia będzie przewodnią siłą narodu i nigdy nie odda zdobytej władzy.

TRIUMF KINA LENI

Leni Riefenstahl nakręciła kilkaset tysięcy metrów taśmy w ciągu sześciu dni zjazdu NSDAP na początku września 1934 roku. Ścieśniła to w dwugodzinną opowieść, wykorzystując jedną czterdziestą materiału. Montaż zajął pięć miesięcy. Po niezliczonych próbach wyłoniła się narracja w filmie tak logiczna, że wydaje się jedynie możliwa. Leni znała program zjazdu w Norymberdze ułożony przez Hitlera i architekta Alberta Speera dla jej widowiska. To wspólne arcydzieło propagandy trójki twórców.

Siła rażenia *Triumfu woli* jest głównie zasługą talentu Leni, jej energii, uporu, opanowania tysięcznych detali produkcji i ogromu pracy. Jej ekipa liczyła 170 osób, w tym 16 kamerzystów i jeszcze

9 do zdjęć lotniczych, dochodziły do tego materiały 29 kamerzystów z kronik filmowych. Prócz tego miała 16 oświetleniowców i 13 dźwiękowców. Taki rozmach wtedy był bez precedensu w filmie dokumentalnym, choć zdarzał się w fabule. Leni połączyła oba sposoby narracji. Niektóre zbliżenia twarzy kręcono w studiu po zjeździe, aby uzyskać doskonale oświetlone i skadrowane portrety. Pewne cytaty z przemówień też dokręcano w studiu, na tle odtworzonej scenerii ze zjazdu. Hitler przejeżdżający ulicami Norymbergi ma za plecami kamerzystę robiącego ujęcia przez ramię Wodza, jak w fabule. Leni, jedyna kobieta między setkami tysięcy mężczyzn, piękna wśród blond bestii, była widoczna z dala w białym kostiumie, gdy kierowała ekipą.

Dla uzyskania rozmaitości punktów widzenia autorka wybrała miejsca dla kamer na dachach, w rowach kopanych w głąb na wzrost kamerzysty, na rozsuwanych drabinach straży pożarnych, w samolotach, na maszcie sztandarowym na stadionie, gdzie widać automatyczną kamerkę dla uzyskania w obrazie efektu wznoszenia się nad polem widzenia. Położyła także tory kamerowe, w miejscu gdzie przemawiał Hitler, żeby uzyskać interesującą dla oka jazdę, fotografując Wodza w ruchu i zawsze z dołu, by dominował nad widzem. Fajerwerki, rozbłyski lamp magnezowych, pochodnie i świece dymne na tle sztandarów przy zdjęciach nocnych tworzyły nastrój plemiennego rytuału braterstwa.

W filmie nie ma ani słowa mówionego komentarza, który tłumaczyłby widzowi, co myśleć. Za to na początku jest napis zapowiadający sprawozdanie z wydarzenia przełomowego dla narodu. Ale to nie znaczy, że mamy do czynienia z zewnętrzną obserwacją. To kreacja od początku, od idei zjazdu partyjnego zaplanowanego dla kamer, przez wybór punktów widzenia, materiału, rytmu montażu, po ilustrację muzyczną, a są to melodyjne marsze z motywami wziętymi z Beethovena i Wagnera, dla każdego Niemca rozpoznawalne, by wynieść zjazd partii nazistowskiej na szczyty niemieckiego idealizmu.

Piękna wśród blond bestii, była widoczna z dala w białym kostiumie, gdy kierowała ekipą

Mistrzowski montaż tworzy po prostu piękne widowisko dzięki rytmom oraz kontrastom obrazów i znaczeń. Następują po sobie kadry skomponowane po przeciwnych osiach; prawice uniesione w pozdrowieniu narodowo-socjalistycznym; zbliżenia butów żoł-

nierskich czy pasów z mocnymi klamrami, twarze ludzkie niemal wyłącznie mężczyzn, wyrażające idealny typ aryjskiego Niemca. Wyjątkiem są przywódcy NSDAP, paskudni, oprócz głównego bohatera tak fotografowanego, że czasami wydaje się przystojny. Jakże trafny tytuł filmu wybrał sam Hitler. *Ktokolwiek widział i doświadczył twarzy Wodza w* Triumfie woli*, nigdy jej nie zapomni. Będzie go ścigać za dnia i we snach, jak spokojny płomień wpalający się w duszę*, zapisał Goebbels.

Film ma wiele ujmujących swojskością momentów. Są to przyjazne zapasy i bójki chłopców z Hitlerjugend przy porannym myciu. Dobosz o obnażonej klatce piersiowej dziecka bije w bęben z zapałem. Radosne, niewinne twarze zapowiadają lepszą przyszłość narodu poniżonego po przegranej wojnie, traktatem wersalskim oraz Wielkim Kryzysem lat 30. Ilu z tych dzieciaków przeżyje następne dziesięć lat? A jeśli nawet, to przez jakie przejdą męki, jakie męki zadadzą?

Takich pytań nie stawiali sobie wtedy widzowie, podziwiając formę i energię wizji. *Triumf woli* dostał Narodową Nagrodę Niemiecką, według słów Goebbelsa za *monumentalne obrazy wcześniej niewidziane życia politycznego w Niemczech oraz za wielką wizję Wodza pokazaną w pełnych wigoru obrazach wcześniej niewidzianych*. Także Złoty Medal na festiwalu w Wenecji i Złoty Medal na międzynarodowej wystawie sztuki i techniki w Paryżu w 1937 roku. Leni stała się najsławniejszą gwiazdą III Rzeszy, *moją doskonałą kobietą niemiecką* według Hitlera. Dopiero po II wojnie światowej film został uznany za groźną propagandę nazizmu. Leni, ten wielki talent kina XX wieku, objął bojkot zawodowy.

Złoty Medal na festiwalu w Wenecji i Złoty Medal na międzynarodowej wystawie sztuki i techniki w Paryżu

FASCYNACJA FASZYZMEM

Leni odrzuciła zarzut propagandy nazizmu, bo w roku 1935 Churchill powiedział, że Niemcom zazdrości Wodza, więc czemu miała być mądrzejsza od Churchilla? Nie przewidziała przyszłości. Zresztą – powiada – dwa główne tematy *Triumfu woli* to praca i pokój. I nie ma tu ani słowa o antysemityzmie. Reżyser dokumentu *Cudowne i straszne życie Leni Riefenstahl* Ray Mueller próbował wydobyć od niej przeprosiny wobec narodu niemieckiego. Daremnie. Polacy pewnie chcieliby przeprosin za to, że w 1939 roku wzięła

udział w kampanii wrześniowej, w mundurze, jako korespondent wojenny. Materiały z tego wyjazdu się nie zachowały. Po klęsce Francji wysłała do Hitlera entuzjastyczny telegram. W ostatnich latach III Rzeszy kręciła film fabularny *Tiefland*, biorąc na statystów Cyganów z obozu koncentracyjnego, czemu zaprzecza wbrew dokumentom. Jednak sąd denazyfikacyjny nie stwierdził, by prowadziła działalność podlegającą karze.

Po wojnie Leni próbowała robić filmy podwodne i o Nubijczykach w Afryce, z czego powstały świetne fotografie. Album z Somalii wydany w połowie lat 70. zganiła papieżyca lewicy nowojorskiej. Susan Sontag oskarżyła autorkę o faszyzm – kult piękna, siły i zdrowia. Chociaż Nubijczycy są czarnymi, a nie Aryjczykami, Leni Riefenstahl przedstawiła ich *w zgodzie z głównymi tematami ideologii nazistowskiej: kontrast czystego i nieczystego, niezepsutego i zepsutego, fizycznego i umysłowego, radosnego i krytycznego. Głównym oskarżeniem Żydów w Niemczech było, że są wielkomiejscy, intelektualni, nosiciele destrukcyjnego, psującego „ducha krytycznego”* (...). *Zaś teraz „cywilizacja” jest czynnikiem zepsucia* na tych zdjęciach.

Estetyka faszystowska zdaniem Sontag wypływa ze skupienia na sytuacji kontroli, uległego zachowania, nadzwyczajnego wysiłku, egomanii i służalstwa w charakterystycznych pokazach: to zmasowanie grup ludzkich, przemiana ludzi w rzeczy i ugrupowanie wokół wszechpotężnego, hipnotycznego przywódcy lub siły. Choreografia przebiega między ciągłym ruchem a statycznym męskim pozowaniem. Sztuka faszystowska sławi poddanie, czci bezmyślność, uświetnia śmierć.

Album z Somalii wydany w połowie lat 70. zganiła papieżyca lewicy nowojorskiej

Górskie filmy z udziałem Leni przed *Triumfem woli* zapowiadają faszyzm jako *wizualnie nieodparta metafora nieograniczonego dążenia ku wysokim celom mistycznym, pięknym, jak też przerażającym, które później nabrały konkretu w kulcie Wodza. Postać na ogół grana przez Leni Riefenstahl jest dziką dziewczyną odważającą się wspinać na szczyt, który inni, „świnie z doliny”, omijają*. To jest też opinia Siegfrieda Kracauera – górskie filmy Riefenstahl są antologią uczuć protofaszystowskich.

Mam nieśmiałe pytanie: Jaka przyszłość czeka zachodnią cywilizację, gdy dążenie ku wysokim celom mistycznym, siły, zdrowia i piękna zostają potępione?



Pozornie absurdalne wyroki Sontag i Kracauera wynikają z wiedzy o historii, ale także z lęku o przyszłość. Faszyzm chciał przemocą zatrzymać upadek Zachodu, korzystając z idei filozofa XIX wieku Friedricha Nietzschego. Piękna Leni intuicyjnie, a przenikliwy Fritz intelektualnie dokonali krytyki rozkładu Europy, dając faszystowską alternatywę dla liberalizmu i indywidualizmu. Alternatywa ta ciągle żyje w podziemiach kultury. Ma groźny urok, bo liberalizm i indywidualizm sprowadziły na Europę kryzys duchowy. W naszych czasach doszła poprawność polityczna, wywołując kryzys demograficzny i rozbrojenie ducha wobec wojowniczego islamu. Nie wiadomo, czy i jak Zachód odzyska żywotność z epoki, gdy bez lęku wierzył

w swą wyższość, mistycyzm, zdrowie, piękno i siłę. Czy podobna, żeby faszyzm te idee ostatecznie skompromitował?

PROTONAZISTA Z POGARDĄ DLA MIERNOTY

Dla nazistów i Nietzschego konflikt był nieodłączny od życia; ktoś musi przegrać, aby wygrał ktoś. Wielkie konflikty nie będą rozwiązane przez wymianę argumentów; ludzie są irracjonalni. Hitler uważał wysoce rozwinięty intelekt za słabość. Niemcy potrzebowały burzy namiętności wywodzących się z instynktów i popędów. Co za zbieżność z filozofem, który uznał świadomość za *najbardziej omylny organ ludzki, a instynkt – ze wszystkich rodzajów inteligencji, które dotąd odkryto – za najbardziej inteligentny*. Słusznie, bo instynkty to sposoby działania sprawdzone przez miliony lat ewolucji gatunku.

Hitler, Goebbels i większość intelektualistów nazistowskich podziwiali Nietzschego, który uważał, że większość jednostek nie ma prawa istnienia, a ich wybicie polepszyłoby rodzaj ludzki. Napisał wprost, że *ludzkość w masowej ofierze dla pomyślności pojedynczego, silniejszego rodzaju – to byłby postęp*. Taka myśl nie była obca nazistom.

Naziści i Nietzsche zgadzali się, że małżeństwo ma być organizowane przez państwo w celu rozpłodowym, zamiast wynikać z oczarowania seksualnego partnerów. Ideałem człowieka dla Nietzschego była „blond bestia", chociaż źle rozumiana przez wyrwanie z kontekstu tych słów. Nie chodziło mu o aryjskiego blondyna, lecz o lwa, symbol pierwotnego etapu rozwoju kultury, w każdym narodzie i w każdej rasie. Nie był rasistą, inaczej niż naziści.

Niemcy potrzebowały burzy namiętności wywodzących się z instynktów i popędów

Blond bestia to ideał wychowawczy Hitlera. *Brutalna, dominująca, nieustraszona, okrutna młodzież ... Wolna wspaniała bestia drapieżna znowu musi błyszczeć z jej oczu*. Taka młodzież była mu potrzebna do szykowanej wojny. Nietzsche uważał, że wojna jest szlachetna i wzywał nadejście wielkiej czystki bezwartościowych jednostek. Chciał stworzenia nowej kasty rządzącej w Europie. Demokracja miała być tylko narzędziem rasy panów, filozofów u władzy i artystów tyranów. Tak myśleli o sobie naziści. *Polityka jest najwyższą sztuką, najbardziej wszechstronną i my, którzy kształtuje-*

my politykę współczesnych Niemiec, czujemy się artystami... zadaniem sztuki i artysty jest formować, nadawać kształt, usunąć chorych i tworzyć wolność zdrowym. Tak pisał Joseph Goebbels w 1933 roku, kiedy dostał do ręki największe tworzywo – świadomość narodową.

Nietzsche odrzucał kapitalizm jako odczłowieczający system gospodarczy. A Hitler oświadczył, że go odrzuca za *nieprzyzwoitą ocenę jednostek ludzkich według bogactwa i własności zamiast odpowiedzialności i wydajności*.

ALBO BÓG, ALBO WÓDZ

Między Nietzschem a nazistami są też różnice. Oni uznali niemieckiego Aryjczyka za typ rasowo wyższy, ale Nietzsche sądził, że wyższe typy człowieka mogą być w każdej rasie. Oni wierzyli, że współczesna niemiecka kultura jest najwyższą i największą nadzieją dla świata. On uważał ją za zdegenerowaną przez odrodzenie religijne, socjalizm, równość i demokrację. Naziści oczywiście byli antysemitami, a on sądził, że to jest moralna choroba. Oni uważali chrześcijaństwo za religię radykalnie różną od judaizmu i dużo wyższą. Zaś on uznał chrześcijaństwo za niższą i groźniejszą wersję judaizmu – gdyż rozprzestrzeniło wynalezioną przez judaizm moralność niewolników. To marna moralność sług, którzy pragną kontrolować swoich panów przez wyrzuty sumienia.

Nadczłowiek nie ma litości, ponieważ przeszkadza prawu rozwoju, które jest prawem selekcji. Utrzymuje przy życiu, co do śmierci dojrzało

Najszkodliwsza jest litość dla tego, co nieudane i słabe – chrześcijaństwo, rzekł Nietzsche w *Antychryście*. Litość namawia do nicości, lecz zwie to „zaświatem", „Bogiem", „zbawieniem". Wzniosłe słowa okrywają dążność wrogą życiu. Dobra jest wola mocy i to, co moc w człowieku podnosi. Złe to, co pochodzi ze słabości. Szczęściem jest uczucie, że moc rośnie. Dobry jest nie pokój, ale wojna, nie cnota, ale dzielność bohaterów Renesansu, bez „moralizny". Nietzsche zachwala hodowlę wartościowszego typu człowieka – nadczłowieka – aby poprawić rodzaj ludzki. Do tej pory pojawiał się z przypadku, lecz budził strach. Wyhodowano więc zwierzę domowe i stadne, chrześcijanina. Ubolewa także nad fałszywym pojęciem postępu, gdy to, co późniejsze, uważa się za lepsze. A nieprawda! Europejczyk nowoczesny stoi niżej od Europejczyka epoki Odrodzenia. Ideałem był dla niego zbój Cezar Borgia: bystry, piękny, zimny i okrutny. Nietzsche ubolewał, że nie został papieżem

i Watykan musiał się zadowolić nieco mniejszym draniem, jego ojcem Aleksandrem VI.

Tak niezwykłe jednostki pojawiają się wszędzie i w całych dziejach. Cel historii to nie „postęp", ale wytwarzanie w każdej epoce ludzi, którzy realizują pełnię człowieczeństwa. W historii chodzi o nadczłowieka, typ wyższy wobec zbiorowości, który sam sobie tworzy zasady działania, poza dobrem i złem. Typ nadczłowieka może zdarzyć się nie tylko jednostkom, lecz również rodom, szczepom i ludom. Nadczłowiek nie ma litości, ponieważ przeszkadza prawu rozwoju, które jest prawem selekcji. Utrzymuje przy życiu, co do śmierci dojrzało. Blisko stąd do nazistowskiej „rasy panów".

Nietzsche zarzuca chrześcijaństwu, że zwalcza wyższy typ człowieka i jego instynkty uznaje za zło. Wielki filozof przeocza, że narody powszechnie uważane za chrześcijańskie nie były słabe, skoro skolonizowały brutalnie większość globu. Zachowały moc mimo nauczania Chrystusa, bo przystosowały je do swych celów. Wypaczyły sens Ewangelii, ale zachowały zmysł współczucia.

Główne wartości wspólne Nietzschemu i nazistom to: 1. kolektywizm, 2. instynkt, 3. wojna, 4. autorytaryzm. Różnił ich stosunek do socjalizmu, którym filozof gardził, gdy Hitler wychwalał i wprowadzał w życie po zdobyciu władzy.

Naziści mieli mocny zespół idei filozoficznych, stwierdza Stephen Hicks w książce *Nietzsche and the Nazis*, za którym podaję powyższe porównania. Przekonały one nie tylko miliony zwykłych ludzi, ale również niektóre najlepsze umysły tamtego pokolenia wcale nie przymusem, bo przed zdobyciem władzy przez Hitlera. A entuzjazm zwykłych Niemców wobec Wodza widać na kronikach filmowych.

Druga dekada XXI wieku nieco przypomina lata 30. Wielką Recesję wywołali banksterzy, zubażając masy, a wzbogacając oligarchów. Pojawił się sprzeciw wobec kapitalizmu bez kontroli państwa. Ideę nadczłowieka wtedy uzasadniano wyższością aryjskiej rasy. Dziś staje się realna poza rasą dzięki sztucznej inteligencji. Nadczłowiekiem okaże się oligarcha z implantami, które wzmocnią mu umysł, zmysły, zdrowie i przedłużą życie niemal w nieskończoność.

Co było faszyzmem, teraz okaże się reakcją na transhumanizm – czyli przeniesienie ludzkiej świadomości na stale doskonalący się wehikuł biotechniczny dla garstki wybranych. Faszyzm był brutalną reakcją na nadużycia kapitalizmu (a także na komunizm, ale to inny temat). Zaś elitarny z natury transhumanizm może wywołać reakcję w postaci neofaszyzmu dla obrony mas przed poniżeniem i zagładą, przeciwko postępowi wiedzy i racjonalizmowi, które podcinają u korzenia życie, jakie znamy. Transhumanizm będzie rajem na ziemi dla górnego jednego procenta rodzaju ludzkiego. Wstęp do nabycia po cenach niebotycznych. Masy staną się zbędne do pracy z powodu automatyzacji. Po co trzymać przy życiu, co do śmierci dojrzało? – pytał już Nietzsche. Postulował władzę elity, a demokrację pozorną. I taka właśnie powstaje, gdy decyzje polityczne przywłaszcza sobie oligarchia.

Przyszłość nas nie potrzebuje. Dlatego pojawią się próby hamowania postępu. Dojrzewa bunt mas pod kierunkiem jakiegoś Zbawcy. Obieca ocalenie i nada sens życiu poczuciem wspólnoty w biologii człowieka, w instynktach zamiast świadomości, w imię „ziemi i krwi", narodu w miejsce globu.

Chyba że chrześcijaństwo wydobędzie z siebie nowe Objawienie. Ω

Transhumanizm będzie rajem na ziemi dla górnego jednego procenta rodzaju ludzkiego

WYKORZYSTANO:
Triumph of the Will, 1934, reż. Leni Riefenstahl
Wonderful and Horrible Life of Leni Riefenstahl, 1993, reż. Ray Mueller
Leni. The Life and Work of Leni Riefenstahl, Steven Bach, wyd. Alfred K. Knopf 2007
Fascinating Fascism, Susan Sontag, The New York Review of Books, 6.02.1975
Antychryst, Friedrich Nietzsche, Wydawnictwo Zielona Sowa 2003
Nietzsche and the Nazis, Stephen R.C. Hicks, Ockham's Razor 2010

Czesław Wiłosz

NAD RZEKĄ WISŁĄ PIŁEM BLANTONA

Piłem Blantona i myślałem, i myśląc czułem coraz bardziej,
Że ciepło Burbona i jego gorycz wiodą mnie ku temu,
O czym z zapałem rozprawiał ksiądz Strugaczek,
Że mianowicie Ona jest i czeka, i będę z nią czytał.
Będzie.



NEWMAN
ROZANOW

JAKUBOWSKI
McCARTHY

KUDYBA
POLKOWSKI

FRONDA LUX

PISMO POŚWIĘCONE \ NUMER 74 \ ROK 2015
CENA 29 ZŁ [W TYM 5% VAT]

PRZYCHODZIMY ZBURZYĆ TWÓJ DOM I ZRUJNOWAĆ CI ŻYCIE

PIOTR NOWAK
HODOWANIE TROGLODYTÓW

BUDYŃ
CONSERVATIVE PUNK MOVEMENT

ROSJANIE
O POLAKACH I UKRAIŃCACH